

**Melissa Pimentel**

→ NIE  
MÓJ  
JEDYNY ←



**Melissa Pimentel**

NIE  
MÓJ  
JEDYNY

Przełożyła Magdalena Nowak

Wydawnictwo Czarna Owca  
Warszawa 2017

Teraz

Była poniedziałkowa noc. Odsunięte na bok mojego biurka resztki sałatki Cezar z kurczakiem powoli podsychały, a stojąca przy moim lewym łokciu kawa – już piąta tego dnia – dawno zdążyła wystygnąć. Spojrzałam na zegar w rogu ekranu: 21.23. Nie było szans, żebym wyszła z pracy przed północą.

– Mogę ci w czymś pomóc?

Podniosłam wzrok i zobaczyłam nad sobą Jennifer, asystentkę działu obsługi klienta. Kiedy zaledwie kilka tygodni wcześniej zaczęła u nas pracę, miała rumiane policzki i zdrowy wygląd kogoś, kto całe życie spędził na farmie (choć w jej przypadku tą farmą było Yale). Wystarczył jednak niecały miesiąc, a jej skóra już nabrała niezdrowego koloru świadczącego o niedoborze witaminy D. Wezbrało we mnie poczucie winy: była niczym niewinne jagniętko, powoli i metodycznie strzyżone przez wielkie miasto.

– Nie, mam wszystko. Dzięki. – Przyjrzałam się jej uważnie. Miała usta pomalowane szminką. Czerwoną szminką. – Wychodzisz gdzieś dzisiaj? – zapytałam.

– Skądże! – odpowiedziała, nerwowo pociągając za złoty łańcuszek na szyi. – To znaczy, tak jakby... Coś tam planowałam, ale mogę zostać tak długo, jak długo trzeba.

Zwróciłam uwagę, że miała na sobie sukienkę w kwiatki, która podkreślała jej smukłą talię. Nie ulegało wątpliwości, że wybierała się na randkę.

– Nie przejmuj się mną – powiedziałam. – Naprawdę, nie musisz tu ze mną siedzieć. Na którą jesteś umówiona?

Przestąpiła z nogi na nogę, próbując zachowywać się zwyczajnie.

– Hmm, właściwie to jestem już spóźniona dwadzieścia minut...

– To co tu jeszcze robisz? Idź! – ponagliłam.

Spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami i uśmiechnęła się serdecznie.

– Na pewno?

– Oczywiście.

– O Boże, bardzo ci dziękuję! – powiedziała, podchodząc do swojego biurka po torebkę. – Naprawdę, bardzo to doceniam. Obiecuję, że jutro przyjdę skoro świt.

– Wyluzuj, wszystko w porządku. Wyjeżdżam i nie będzie mnie do końca tygodnia, ale cały czas będę kontaktować się mailowo, więc informuj mnie o wszystkich poważniejszych kryzysach. Miejmy nadzieję, że większość spraw uda mi się dopiąć jeszcze dziś.

Jennifer zawahała się.

– Jesteś pewna, że sobie ze wszystkim poradzisz? Naprawdę mogę zostać. – Była już praktycznie jedną nogą za drzwiami.

– Wiem, wiem, ale dam sobie radę. Serio.

– Okej, cóż... to udanej podróży! Daj znać, jakbyś czegoś potrzebowała!

– Jasne. Jeszcze jedno, Jenn.

– Tak?

– Świetnie wyglądasz.

Rozpromieniona zniknęła za drzwiami. Usłyszałam jeszcze stuk jej obcasów na

schodach i dźwięk zamykanych z rozmachem drzwi przeciwpożarowych.

Westchnęłam i wróciłam do jednej z moich oznaczonych różnymi kolorami rozpisek. Pracowałam nad dużą kampanią cyfrową dla oferującej tanie przeloty firmy Spike, którą niedawno dotknęła prawdziwa plaga skandali związanych ze zdrowiem i bezpieczeństwem: salmonella w posiłkach serwowanych podczas lotów, zawodne pasy dla dzieci, ale wszystkim i tak utkwiała w pamięci historia z myszami, które przegryzły okablowanie podczas lotu do San Jose. Postanowiliśmy więc zmienić im hasło reklamowe na „Linie lotnicze dla żądnych przygód” i dodać materiały filmowe nakręcone przy użyciu kamerki GoPro przez różnych wariatów, a to skaczących z budynków, a to w głąb jaskiń. W tej chwili bowiem tylko wariat mógł dobrowolnie zdecydować się na skorzystanie z ich usług...

Moje osobiste poglądy na temat igrania z bezpieczeństwem pasażerów były bez znaczenia, ponieważ zyski z obsługi firmy Spike stanowiły poważną część dochodu BluFly i ich kampania po prostu musiała przebiegać gładko. W związku z tym od ponad trzech tygodni pracowałam po szesnaście godzin dziennie, najmarniej, o każdej porze dnia i nocy odbierając telefony od mojego podenerwowanego szefa. Tydzień wcześniej nabawiłam się tiku nerwowego w jednym oku, który teraz tylko się nasilał. No i oczywiście w najgorszym możliwym momencie musiałam wziąć tydzień urlopu, aby polecieć na północ Anglii, ponieważ moja siostra uparła się, żeby wziąć ślub w zamku (co w zasadzie, jeśli się znało Piper, nie było żadnym zaskoczeniem). Dolaniem oliwy do ognia było zaś to, że miał tam być również mój były chłopak. Tylko Piper mogła wyjść za najlepszego przyjaciela jedyne go człowieka na świecie, którego nie chciałam więcej widzieć. W każdym razie nie miałam nawet czasu, żeby wywoskować sobie nogi przed wylotem.

Na moim telefonie pojawiła się nowa wiadomość.

„Zamierzasz mnie jutro wystawić?”

To od mojej najlepszej przyjaciółki, Jess, która dwa lata temu przeniosła się wraz z mężem i synkiem w dzicz New Jersey, a którą od tamtej pory odwiedziłam aż trzykrotnie. Wiem, wiem. Jestem okropną najlepszą przyjaciółką. Jess nie omieszkała mnie o tym poinformować. Kolejna wiadomość.

„Pozwól, że ujmę to inaczej. NIE WAŻ SIĘ MNIE JUTRO WYSTAWIĆ! Nie chcesz wkurzyć ciężarnej, bo ona Cię rozwali”.

Obiecałam jej, że w drodze na lotnisko wpadnę do niej, ale, prawdę powiedziawszy, zamierałam się jakoś od tego wykręcić i spędzić rano w biurze. Jednak widząc te wiadomości, zrozumiałam, że jestem ugotowana.

„Oczywiście, że przyjeżdżam! Nie mogę się doczekać :\*”.

Położyłam telefon na biurku i wróciłam do moich rozpisek. Kątem oka dostrzegłam, że ekran telefonu ponownie błysnął.

„Kłamiesz, ale i tak Cię kocham. Daj znać, którym pociągiem przyjedziesz, a ja i Noah Cię odbierzemy :\*”.

Upiłam łyk zimnej kawy i skrzywiłam się. Do północy, powiedziałam sobie w myślach. Zostanę tylko do północy.

Obudziło mnie sztuczne cykanie świerszczy. Oczy jeszcze nie chciały mi się

otworzyć na dobre, kiedy w ciemnościach po omacku szukałam telefonu. 6.30. Wydałam z siebie żalony jęk. Rozważałam możliwość ponownego zamknięcia oczu i ponownego, delikatnego zanurzenia się w sen, ale nad małą niebieską kopertą na moim iPhone unosiła się złowroga czerwona liczba: 57 nowych, nieprzeczytanych maili. Biuro w Szanghaju pracowało w pocie czoła, kiedy ja spałam. Niechętnie stuknęłam w ikonkę palcem wskazującym i zaczęłam przeglądać długą listę mniejszych oraz większych katastrof, które będą wymagały naprawy... Czułam, jak ucisk w klatce piersiowej nasila się z każdym przesunięciem palca.

6.37. Czas wstawać. Spuściłam nogi z łóżka i nagle pożałowałam, że przed pójściem spać zażyłam zolpidem. Osłoniłam oczy przed słońcem, które wlewało się teraz przez okno, i siedziałam przez chwilę, przeglądając w myślach, co miałam tego dnia do zrobienia: siłownia, pociąg, Jessica, samolot. Anglia. Mój były. Jęknęłam po raz kolejny i rzuciłam poduszce tęskne spojrzenie.

Zmusiłam się, żeby wstać. O siódmej miałam zajęcia z Jeffem, który jeśli tylko się spóźnię, każe mi zrobić dodatkową serię wyskoków, przysiadów i pompek. Od ponad trzech i pół roku, a dokładniej rzecz biorąc, odkąd okazało się, że nie jestem w stanie wciągnąć sukienki z college'u powyżej kolan, wszystkie czwartkowe poranki spędzałam z Jeffem. Dni i noce przesiedziane za biurkiem nie pozostawały bez konsekwencji, na co jedynym lekarstwem było poddawanie się karze aplikowanej przez Jeffa w wymiarze dwóch treningów tygodniowo oraz częste bieganie nad rzeką jeszcze przed świtem. To było okrutne. I nie miało końca. Wydawało się bowiem, że jestem na to skazana do końca życia. Dlaczego z ćwiczeniami nie może być tak jak z pieniędzmi albo z kartą w Starbucksie, na której gromadzi się punkty, a później wydaje je przez resztę swoich dni? Tymczasem odkryłam, że wystarczył zaledwie tydzień przerwy, aby moje płuca wróciły do poprzedniego stanu, a tyłek zaczynał ciążyć ku dołowi. No więc cały czas musiałam walczyć.

Począpałam do łazienki i włączyłam światło, skrzywiłam się i postanowiłam jednak je wyłączyć. Szczotkowanie zębów w ciemnościach wydawało mi się znacznie bezpieczniejsze i bardziej ludzkie. Umyłam twarz, uczesałam się w kucyk, wciągnęłam na siebie strój fitnessowy, który poprzedniej nocy starannie sobie przygotowałam, i zaparzyłam kawę. Zegar na kuchence wskazywał 6.48 – miałam dodatkowe dwie minuty. Pościeliłam łóżko i po raz kolejny upewniłam się, że spakowałam wszystko, w tym jaskrawozielony koszmarek, który Piper wybrała dla mnie jako swojej druhny. Prosto z siłowni szłam na pociąg i nie mogłam sobie pozwolić, by się po coś wracać.

Upewniwszy się, że spakowałam sukienkę, buty, przybory do makijażu i zolpidem, rzuciłam ostatnie spojrzenie na mieszkanie. Było maleńkie, ale moje własne – pierwsze, na które było mnie stać w mieście. Nadchodzi taki czas w życiu singla, kiedy trzeba zamieszkać samemu, ponieważ wszyscy potencjalni współlokatorzy są zaburzeni lub chorzy psychicznie. Codzienne dojeżdżanie do pracy z Bay Ridge – gdzie mieszkałam przez ostatnie siedem lat, odkąd wyprowadziłam się z mieszkania w Sunset Park, które wynajmowałam razem z Jess – było straszne, choć zdecydowanie gorsze okazało się to, że czułam się najstarszą i najnudniejszą osobą w dzielnicy. Kiedy na miejsce Lena – starego, marudnego barmana w pubie McDougall's – przyszedł uśmiechający się

złośliwie dwudziestotrzylatek w hipsterskim podkoszulku, przygotowałam zestawienie swoich finansów i zadzwoniłam do agencji nieruchomości: musiałam przeprowadzić się na Manhattan, gdzie choć biedna, przynajmniej byłam młoda. (Nawet kiedy okazało się, że uczucie biedy przyćmiewa blaski młodości, było warto).

Moje nowe mieszkanie – maleńkie i niewiarygodnie drogie – znajdowało się w dawnej kamienicy czynszowej w East Village, ale było mnie na nie stać (ledwo) dzięki temu, że niedawno awansowałam na stanowisko account directora. Było też piękne – odsłonięta cegła na ścianach i wysokie sufity – i aby to podkreślić, powoli wymieniałam moje dawne graty z Ikei na stylizowane na stare meble, które jakiś spryciarz skupował pewnie na wyprzedazach garażowych w Michigan i odsprzedawał za niebotyczną cenę miejskim dorobkiewiczom takim jak ja.

Zbiegłam ze schodów i wypadłam na ulicę. Poranek zachwycał: niebo było nieskazitelnie błękitne, nie było jeszcze śladu duchoty, która niezawodnie pojawi się później w ciągu dnia, na ulicach nie walały się śmieci i inne pozostałości po poprzedniej nocy, ponieważ dopiero co przeszli tamtędy sprzątacze. W drodze, sącząc kawę, przysłuchiwałam się dźwiękom budzącego się miasta: podciągane metalowe rolety, wiadra wody wylewane na chodniki, stygnące silniki samochodów, którymi biznesmeni przyjechali na śniadanie. Weszłam do siłowni dokładnie o 6.59, a tam jak zwykle powitał mnie zapach potu, chloru i drogiego odświeżacza do powietrza.

Na mój widok podniósł się duży muskularny mężczyzna o stożkowej głowie z sadystycznym uśmiechem na twarzy: Jeff.

– Dzień dobry, Ruby – powiedział. – Gotowa na wycisk?

– Raczej nie – odparłam, ale to nie miało najmniejszego znaczenia, ponieważ nie dało się tego uniknąć.

Oblewając się potem, przetrwałam zwykłą serię coraz cięższych i coraz bardziej dziwacznych ćwiczeń, podczas gdy Jeff stał nade mną, od czasu do czasu wywrzaskując coś, co uważał pewnie za zachętę, co tymczasem moim zdaniem podpadało raczej pod znęcanie się.

– Niżej! Głębiej! Szybciej! Mocniej!

Pozbawione kontekstu słowa brzmiały, jakby reżyserował amatorskie porno. Zamknęłam oczy i skupiłam się na kawie i bajglu, które oczekiwały mnie w ramach nagrody, rozważając równocześnie, nie po raz pierwszy, ironię losu, która sprawiała, że musiałam ciężko trenować, żeby moje ciało choć trochę wyglądało tak jak wtedy, kiedy miałam dziewiętnaście lat i żywiłam się cheetosami, dietetyczną colą, plasterkami czegoś, co przypominało, ser i tanią wódką. Odepchnęłam tę myśl od siebie i wykonałam kolejne powtórzenia. Ćwiczę, żeby być silna i zdrowa, powiedziałam sobie, a nie chuda. (No dobra, przyznaję się, że o to też mi trochę chodziło).

Trening, oprócz tego, że pozwalał mi na zjedzenie bajgla bez poczucia winy, przynajmniej na chwilę rozluźniał ciasny supeł niepokoju, który stale czułam w okolicach mostka – niczym maleńki, trzepoczący ptaszek o bardzo ostrym dzióbku – odkąd dostałam awans. Z każdym przysiadem ucisk malał, aż pod koniec godziny ustępował zupełnie. Dzisiaj było to szczególnie przydatne, uwzględniając dodatkowy bagaż obaw związanych z podróżą/ślubem/rodziną/byłym facetem.

– Jeszcze jedna seria i koniec – powiedział Jeff, prężąc przed lustrem bicepsy, podczas gdy ja robiłam wykroki z obciążeniem.

Zdławiłam w sobie chęć, żeby walnąć go w głowę ciężarkiem.

Po skończonych ćwiczeniach, prysznicu i przybraniu właściwego sobie wyglądu poszłam do metra, ciągnąc za sobą hałasującą walizkę na kółkach. Miasto zdążyło już pozbyć się ostatnich resztek snu i tętniło teraz życiem, musiałam więc przepychać się pod Birdbath Bakery przez tłum rządny cronutów – a mówią, że nikt już nie jada glutenu (oprócz mnie). Ominęłam kobietę próbującą uwolnić obcas pomiędzy kratki, bezdomnego pchającego wózek pełen rozczłonkowanych manekinów oraz grupkę skacowanych studentów i zesłam na stację przy Drugiej Alei.

Podróż metrem jak zawsze była pełna zapachów, dźwięków i kończyn współpasażerów. Zazwyczaj unikam tego jak mogę – do pracy mam blisko, więc robię sobie spacer – ale raczej nie mogłam pieszo pokonać odległości ponad trzydziestu przecznic, która dzieliła mnie od dworca Penn Station, a podróż taksówką w meandrach porannych korków trwałaby dwa razy dłużej. Wepchałam się do zatłoczonego wagonu linii F, wzbudzając powszechny gniew, ponieważ w godzinach szczytu ośmieliłam się podróżować z walizką, i przybrałam wyraz twarzy mówiący „Nie zadzieraj ze mną” (połączenie nudy, nieprzystępności i ukrytej groźby). Znalazłam (na szczęście) skrawek wolnej podłogi i kolejne dwadzieścia minut spędziłam z iPhonem w ręku – podczas mojego treningu dostałam trzynaście nowych maili – usiłując nie zwracać uwagi na koszmarny zapach dochodzący od mężczyzny stojącego tuż obok mnie. Spojrzałam na niego kątem oka: wyglądał normalnie, można powiedzieć nawet, że był przystojny – około czterdziestki, z urzekającą czupryną siwiejących włosów, w dobrym garniturze – ale pachniał, jakby tarzał się w czosnku i mokrej psiej sierści.

Przyjrzałam się mu uważniej, ponieważ wydał mi się znajomy... Może kiedyś z nim pracowałam? Może chodzimy do tej samej siłowni? I wtedy sobie przypomniałam: w zeszłym miesiącu wymieniłam z nim kilka wiadomości na portalu randkowym OkCupid. Nawet się umówiliśmy, ale w ostatniej chwili musiałam odwołać z powodu kryzysu w pracy.

Poczułam na sobie jego spojrzenie i zaczęłam usilnie wpatrywać się w ekran telefonu.

Błagam, tylko sobie mnie nie przypomnij – modliłam się w duchu. Proszę, smrodziuchu, zostaw mnie w spokoju.

– TRZYDZIESTA CZWARTA ULICA, HERALD SQUARE!

Głos konduktora zatrzeszczał w głośniku. Przepchałam się do drzwi, wywołując pełne dezaprobaty głośne syknięcia z powodu mojej walizki. Drzwi zaczęły się zamykać, a wtedy śmierdzący mężczyzna spojrzał mi prosto w oczy i z jego twarzy wyczytałam, że jednak mnie rozpoznał. Odwróciłam wzrok. Drzwi zatrzasnęły się za mną, unosząc go w kierunku Czterdziestej Drugiej Ulicy. Wciągając walizkę po schodach, uśmiechnęłam się do siebie – kolejne małe zwycięstwo.

Wyszłam z metra i dalej poszłam pieszo. Letni skwar niczym kciuk naciskał na Nowy Jork i kiedy dotarłam na Penn Station, pot spływał mi po plecach.

– Jesteś zainteresowana darmowymi pasemkami? Właśnie otworzyliśmy nasz

nowiutki salon...

– Darmowe próbki „Nie do wiary, że to nie czekolada”, pierwszego czekoladopodobnego produktu w całości z buraka!

– Bilety za pół ceny na mecz Knicksów!

Jakoś utorowałam sobie drogę przez tłum turystów, koników i naganiaczy, wciskających ulotki dosłownie każdemu. Był w moim życiu taki czas, kiedy skorzystałabym z proponowanej przez tego przystojniaka darmowej wizyty u fryzjera, ale zdążyłam się już przekonać na własnej skórze, że najprawdopodobniej kiedy mówił „nowiutki salon”, chodziło mu o jakąś filię w bocznej uliczce w Chinatown, gdzie przefarbują mi włosy na pomarańczowo i policzą sobie sto dziesięć dolarów za naprawienie szkód. Bo o to właśnie chodzi w Nowym Jorku i to jest w nim piękne, choć jednocześnie wkurzające. Tutaj nikt nie dostaje nic za darmo. Na wszystko trzeba sobie zapracować.

Szłam szybko długim krętym korytarzem, mijając restaurację Nathan's, stoiska z pamiątkami i księgarnie pełne najnowszych wątpliwej jakości bestsellerów. Na podłodze wałały się pozostałości po porannej fali pasażerów dojeżdżających do pracy: kleksy rozlanej kawy na polerowanym betonie, zatłuszczone torebki, w których sprzedawano kanapki z jajkiem i croissanty, porzucony dział sportowy jakiejś gazety. Godzina porannego szczytu minęła i na stacji cisza odbijała się echem. Sprawdziłam na tablicy mój pociąg – numer 6929 do Millburn – i poszłam na wskazany peron. Miałam jeszcze trochę czasu do odjazdu, więc podeszłam do stoiska z bajglami i kupiłam pełnoziarnisty (z serkiem pakowanym osobno) i kawę (czarną).

Energicznie dmuchałam na gorący napój, kiedy nagle coś przyciągnęło mój wzrok: ze stojaka z magazynami gapił się na mnie nie kto inny, tylko mój były chłopak, uśmiechając się z wyższością z okładki „TechCrunch Magazine”. „Czy Ethan Bailey zbawi świat?” – głosił nagłówek, jakby specjalnie po to, by mnie zdenerwować.

– Podejrzewam, że nie – wymamrotałam pod nosem, wyciągając pisemko i kładąc je przed kasą.

– Cztery dolary – powiedział sprzedawca, nie uśmiechając się, ale wyciągając rękę.

Wydobyłam banknoty i wrzuciłam magazyn głęboko do torebki, po czym ruszyłam na pociąg.

Jazda linią Morris and Essex to socjoekonomiczna wycieczka po aglomeracji nowojorskiej w pigułce. Wyglądałam przez okno, kiedy pociąg jechał przez Chelsea, mijając butiki i drogie koktajlbary, park High Line, a potem nad rzeką Hudson, aby wjechać do New Jersey. Przejechaliśmy przez Hoboken na tereny przemysłowe usiane billboardami reklamującymi kluby ze striptizem, kredyty chwilówki i warsztaty samochodowe, aż w końcu pojawiła się pierwsza reklama sklepu West Elm, co niechybnie oznaczało, że oto wjeżdżamy na przedmieścia.

Skończyłam jeść bajgla i wydobyłam magazyn z czeluści torebki, trzymając go ostrożnie między kciukiem a palcem wskazującym, zupełnie jakby był radioaktywny. I w pewien sposób był, przynajmniej dla mnie. Kawa, którą wypić pospiesznie, w niepożądany sposób ponownie zjawiała się w moim przełyku. Nachyliłam się, aby uważniej przyjrzeć się fotografiom. Nie zmienił się. A jeśli w ogóle, to tylko na lepsze.



Z każdego pora jego skóry emanowała pewność siebie, jaką daje bogactwo, i najwyraźniej jakąś część swojej rzekomo ogromnej fortuny przeznaczył na wyprostowanie i wybielenie sobie zębów... Włosy miał teraz krótsze, ale nadal kręciły mu się na skroniach, a jego oczy miały dokładnie ten sam zielonozłoty odcień, który zapamiętałam. Tak, to z całą pewnością był on: człowiek sukcesu, ogłoszony najlepszym projektantem pokolenia i zapewne gdzieś w artykule określany jako jeden z najbardziej pożądanых kawalerów w Nowym Jorku. A przynajmniej był nim wtedy, kiedy ostatnio pozwoliłam sobie na to, żeby wpisać jego nazwisko w Google'u (robiłam to raz na dwa miesiące, nie częściej), po tym jak rozstał się z pewną długonogą dziennikarką modową.

Przejrzałam artykuł, w którym słowo „geniusz” powtarzało się tyle razy, że zaczęłam na poważnie rozważać możliwość posłania słownika synonimów wydawcy, i przyglądałam się dołączonym zdjęciom przez dokładnie cztery minuty. Ethan ze Steve'em Jobsem, serdecznie obejmuje go za ramię, podczas gdy obaj szczerzą się do obiektywu w identycznych golfach. Ethan na gali Met, wspomniana wcześniej dziennikarka modowa uczepiona go jak mała gałęzi. Na końcu zdjęcie Ethana z jego współnikami, na którym wszyscy obejmują się radośnie i uśmiechają do siebie nawzajem, jakby nie mogli uwierzyć we własne szczęście.

Ja sama nie mogłam w nie uwierzyć. Gdyby dziesięć lat temu ktoś powiedział mi, że Ethan zaprojektuje jedną z najbardziej uwielbianych i najczęściej używanych aplikacji wszech czasów, roześmiałabym mu się w twarz. Właściwie najpierw zapytałabym, co to takiego aplikacja, a dopiero później parsknęła niepowstrzymanym śmiechem.

Zamknięty magazyn z powrotem powędrował na dno torby. Znasz to uczucie, kiedy wrzucasz monetę za monetą do automatu i nic nie wygrywasz, ale jak tylko od niego odejdziesz, następna osoba wrzuca ćwierćdolarówkę i zgarnia całą pulę? Właśnie z tym uczuciem żyję od siedmiu lat, czyli od momentu, kiedy twarz Ethana ukazała się w magazynie „Wired” w artykule zatytułowanym „Wschodząca gwiazda”. Tamtej nocy wypłam z Jess pół butelki wódki i spaliłam magazyn w koszu na śmieci w akcie czegoś, co miało być „oczyszczającym rytuałem”, a okazało się niechybnym zalążkiem pożaru – plastikowy śmietnik wtopił się w dywan w salonie, co w efekcie spowodowało znaczny uszczerbek w kaucji zwrotnej za mieszkanie.

Drzewa migały za oknem pociągu, który coraz bardziej zagłębiał się w New Jersey. Zamknęłam oczy i oparłam się o szybę, przez co głowa podskakiwała mi w rytm stukotu kół. Jutro znów miałam go zobaczyć – pierwszy raz od niemal dziesięciu lat... Co mogłam mu powiedzieć? Czy on w ogóle się do mnie odezwie? A co, jeśli nadal żywi do mnie jakieś uczucia? Albo, gorzej, co jeśli już nic do mnie nie czuje? Opędzałam się od tych myśli, jakby to były natrętne muchy. Mężczyzna siedzący naprzeciw mnie napotkał moje spojrzenie i uśmiechnął się do mnie przyjaźnie. Miał na sobie garnitur, ale mankiety jego koszuli były wytarte, a kołnierzyk nieznacznie pożółkły, ogólnie sprawiał więc wrażenie znękaney osoby balansującej na krawędzi. Wróciłam do oglądania drzew, które stopniowo ustępowały miejsca identycznym domkom obitym drewnianym sidingiem, od czasu do czasu migało również niewielkie centrum handlowe. A co, jeśli po tych wszystkich latach nadal go kocham? Co, u diabła, wtedy zrobię?

– NASTĘPNY PRZYSTANEK: MILLBURN!

Sprowadziłam walizkę po stopniach na peron, odrzucając ofertę pomocy sfatygowanego współpasażera. O tej porze dnia na stacji nie było nikogo i poczułam się dziwnie winna, że oto w dzień powszedni udało mi się oswobodzić z miasta. Zmrużyłam oczy w ostrym słońcu i sprawdziłam maile na komórce: na szczęście nie było żadnych poważnych powodów do niepokoju. Odetchnęłam z ulgą i ruszyłam przed siebie.

– Ruby! Tutaj! – usłyszałam głos Jess, jeszcze zanim ją zauważyłam.

Stała obok olbrzymiego srebrnego SUV-a i zawzięcie machała rękami, mimo że na parkingu nie było nikogo oprócz niej. Uśmiech odmalował mi się na twarzy i puściłam się biegiem w kierunku przyjaciółki.

Jess uściskała mnie serdecznie.

– Tak się cieszę, że ci się udało... Bałam się, że się zgubisz albo co!

Była w ciąży, do tego bardzo zaawansowanej, ale nadal wyglądała, jakby składała się z długich nóg i blond włosów, chociaż zmieniła odcień z platynowego na bardziej miodowy. Miała na sobie legginsy i ciężową tunikę, zdaje się dość kosztowną. Wyglądała promiennie, wprost cudownie. Jak małe jajko – dziwne było wyobrazić sobie, że w jej brzuchu pływa sobie maleńka istota, której paznokietki, nosek, wszystkie organy wewnętrzne ściśnięte są tam w środku. Już sama ta myśl przyprawiała mnie o lekkie mdłości. Dzieci są cudem – bez wątplenia – choć czasem wszystkie te związane z nimi szczegóły za bardzo przypominają science fiction, żebym mogła myśleć o nich na spokojnie.

– Jess, mam trzydzieści dwa lata i byłam u ciebie zaledwie trzy miesiące temu, jak mogłabym się zgubić?

Zajrzałam przez okno do wnętrza samochodu i pomachałam do Noaha, dwuletniego syna Jess. W odpowiedzi posłał mi długie, badawcze spojrzenie. Dzieci są jak niedźwiedzie – wyczuwają strach.

Włożyłam walizkę do bagażnika i wspięłam się na siedzenie dla pasażera. Samochodowe stereo odtwarzało ścieżkę dźwiękową z *Krainy lodu* i Jess uśmiechnęła się do mnie przepraszająco, kiedy wyjeżdżaliśmy z parkingu.

– Ma na tym punkcie obsesję. – I wskazała syna ruchem głowy. – Tylko tego chce słuchać. Próbuję cały czas podsuwać mu coś nowego, ale Noah nie kupuje nic prócz tego. Któregoś dnia włączyłam Pharrella, bo pewna mama powiedziała mi, że dzięki niemu zwalczyła uzależnienie swojej córki od *Krainy lodu*, ale on darł się przez całą drogę. Prawda, koleżko? – Z tylnego siedzenia dotarł do nas tryumfalny okrzyk Noaha, a Jess przewróciła oczami. – Więc jak na razie jesteśmy skazani na Elbę i tego bałwana. Przykro mi.

– Właściwie to sama się w to trochę wkręciłam – powiedziałam.

I nie była to kompletna nieprawda: któregoś szarego styczniowego dnia poszłam do kina na *Krainę lodu* i skończyło się to tak, że kiedy Elsa śpiewała „Mam tę moc”, ku przerażeniu licznych ojców wygnanych tamtego popołudnia z domów, aby ich pociechy mogły obejrzeć ten film po raz enty, wybuchnęłam niekontrolowanym płaczem. Doświadczenie to nosiło znamiona katharsis, ale nie przypadło mi do gustu na tyle, abym chciała je powtórzyć. Przez wiele kolejnych tygodni nawiedzały mnie upokarzające wspomnienia, najczęściej podczas spotkań z klientami.

Wjechaliśmy na przedmieścia Millburn, które wyglądały raczej jak replika miasteczka z lat pięćdziesiątych niż realne miejsce.

– Czuję się jak w czołgu – powiedziałam, kiedy mijałyśmy kawiarnie, butiki z ubrankami dla dzieci i sklepy z cukierkami.

Nadwozie SUV-a było prawie metr nad ziemią, co sprawiało, że wszystko – w tym inne samochody, rzędy sklepów i matki pchające wózki – wyglądało na mniejsze i bardziej bezbronne, niczym plastikowe figurki na wystawie sklepu z zabawkami.

– Wiem – przytaknęła Jess. – To trochę groteskowe, ale Noah ma tyle rzeczy... jest jak zwierzę juczne. Poza tym taki samochód bardzo się przydaje, kiedy moi teściowie są w mieście.

Wjechaliśmy na podjazd i zatrzymaliśmy się tuż przed porzuconym przed drzwiami garażu trójkołowym rowerkiem marki Radio Flyer. Dom w stylu Cape Cod z trzema sypialniami, który Jess i jej mąż kupili trzy lata temu, pomalowany był na gołębi kolor i otoczony rabatkami żonkili. Okalała go weranda, na której po trejażach piął się bluszcz, a na balustradach i parapetach stały skrzynki z kwiatami. Całość wyglądała dokładnie tak samo jak domek dla lalek, który miałam w dzieciństwie, i za każdym razem, kiedy wchodziłam do środka, dziwiłam się, że meble nie są miniaturowe. Na podwórku było pełno zabawek Noaha, w tym drewniany domek Piotrusia Pana i wiśniowoczerwony samochodzik. Na chwilę zadumałam się nad tym, że zostawiają to wszystko na zewnątrz, nie obawiając się kradzieży.

– Twój dom nadal jest idealny aż do obrzydzenia – powiedziałam, zamykając za sobą drzwi do samochodu i patrząc na bielone okiennice i równe rzędy dachówek.

– Jest trochę za mały, ale się sprawdza. Właśnie posialiśmy trawnik i teraz Ben świruje na punkcie podlewania. Jak tylko wraca z pracy, bierze szlauch i lupe i sprawdza, czy trawa już kiełkuje... Niedługo będziemy potrzebować więcej miejsca – powiedziała, głaszcząc się po brzuchu. – To taki dom na początek.

Wymruczałam coś niezobowiązującego i posłałam jej uśmiech. Noah miał niecały metr wzrostu, a niemowlę, kiedy się urodzi, będzie wielkości piłki do siatkówki: czy naprawdę potrzebowali więcej niż trzy sypialnie? Wygląda na to, że po trzydziestce nagle okazuje się, że zaczynasz potrzebować trzykrotnie więcej przestrzeni niż wcześniej, obojętnie ile masz dzieci i rzeczy. Metraż, ogród przed domem, ogród za domem, umywalka dla niej i dla niego – wszyscy zdają się realizować „nasze Boskie Przeznaczenie do rozprzestrzeniania się”. Pomyślałam o mojej przytulnej kawalerce: z pewnością przy odrobinie wysiłku pomieściłaby Noaha i dziecko. Może zmieściliby się w szufladach, jak na ilustracjach z książek dla dzieci. Nie żebym chciała sprawdzać tę teorię. Po pierwsze, to byłoby porwanie. Po drugie, z pewnością zaśliniliby mi swetry... Obrzydliwość!

Jess wypięła Noaha z fotelika, a on natychmiast rzucił się jej w ramiona. Zobaczyłam, jak zachwiała się lekko pod jego ciężarem, i ruszyłam z pomocą.

– Chcesz, żebym go zanosła?

Jess nie potrzebowała mnie jednak.

– Jestem teraz silna jak byk. Powinnaś zobaczyć moje bicepsy. Mogłabym wystąpić w zawodach strongmenów. Ben powtarza, że sprzeda mnie do cyrku. Jesteś głodna? Mam

w lodówce wszystko na sałatkę i upiekłam rano ciasteczka. Aaaa, no i Ben przyniósł znów te pyszne trufle z solonym karmelem, musisz spróbować. Pozwól mi tylko rozebrać małego i zaraz zrobię nam kawę.

Noah pobiegł pierwszy do kuchni, wykrzykując coś niezrozumiale i akcentując każdy dźwięk głośnym zawodzeniem. Spojrzałam na Jess, oczekując tłumaczenia.

– Jest głodny – powiedziała, spiesząc za nim. – Spóźniliśmy się na jego lunch.

Zostałam jeszcze chwilę w przedpokoju, wdychając woń drogich świec o cedrowym zapachu i świeżo upieczonych ciasteczek, przez którą delikatnie przebijała się kwaśna nuta świadcząca o często rozlewającym mleku. Przy drzwiach stały równo ułożone pary butów. Zdjęłam swoje i ustawiłam je obok jaskrawozielonych butów do biegania Bena. Wokół mnie zapanowała cisza, drobinki kurzu unosiły się we wpadających przez okno promieniach słońca. W środku dom był równie piękny: drewniane wypastowane podłogi i ściany gustownie pomalowane na stonowane kolory. Na półce nad niewielkim ceglany kominkiem stało zdjęcie ślubne, tuż obok zdjęcia wykończonej, ale niewiarygodnie pięknej Jess tulącej do piersi nowo narodzonego Noaha. W kącie stała stara skrzynka na wino pełna zabawek, a stolik kawowy usłany był książeczkami dla dzieci. Czułam się jak kosmita, który niespodziewanie wylądował na zupełnie obcej planecie.

W kuchni Jess z wojskową precyzją przygotowywała kanapki z masłem orzechowym i dżemem. Odcięła skórkę chleba, pokroiła kromkę w cienkie paski i położyła je na plastikowym talerzyku z rysunkowym lwem. Stałam w drzwiach i przyglądałam się tej domowej scenie, w której Jess obecnie brylowała, jak zawsze w takich momentach przeżywając ostry napad jakiejś pierwotnej zazdrości połączony z chęcią, aby wybiec z tego domu z wrzaskiem i napełnić płuca czystym, wolnym powietrzem. Zazwyczaj przeważała we mnie chęć ucieczki.

– Lunch, koleżko! – Jess postawiła talerz na blacie wysokiego krzeselka, w którym siedział jej syn, i poczochnęła mu włosy.

Noah tylko spojrzał na swoje jedzenie i zaczął zawodzić:

– Jiffy, Jiffy!

– W porządku, skarbie, już ci go dam.

Jess wyjęła inny plastikowy talerzyk z szafki, na którym widniała żyrafa z kreskówki, i przełożyła na niego kanapeczki. Zauważyła, że stoję w drzwiach, i uśmiechnęła się do mnie.

– To jego ulubiony – powiedziała, przewracając oczami, ale nadal zachowując świętą cierpliwość, która spłynęła na nią, gdy tylko po długim, ciężkim porodzie i zastosowaniu próżnościagu Noah pojawił się na świecie. Zanim Jessica została matką, można było ją określić, używając wielu barwnych przymiotników, ale z pewnością nie znalazłoby się wśród nich słowo „cierpliwa”.

Uszczęśliwiony Noah zaczął wsuwać jedzenie, więc Jess obróciła się do mnie, trzymając dłoń na brzuchu.

– Napijesz się kawy, tak? Ben ma teraz obsesję na punkcie parzenia na zimno. I koniecznie zjedz ciastko! Ben ich nie je przez tę swoją głupią dietę paleo, więc kiedy wyjedziesz, będę musiała je wyrzucić, żebyśmy z Noahem nie zjedli wszystkich.

Noah wydał cichy jęk rozpaczony i aby się pocieszyć, zaczął zlizywać dżem z kanapek.

Wzięłam owsiane ciastko z rodzynkami z ceramicznego talerza w słonecznym kolorze i ugryzłam je, podczas gdy Noah przyglądał się temu z nieukrywaną wściekłością.

– Są przepyszne – powiedziałam, rozsypując okruszki na dębowym stole.

– Koniec! – zawołał Noah.

Jego talerz był pusty – dzieciak musiał mieć w sobie odkurzacz... Jess wyjęła go z krzeselka i podała mu ciasteczko, które przyjął z wyrazem szczęścia zazwyczaj zarezerwowanym dla zdobywców Oscara, i pobiegł do drugiego pokoju.

– Gdzie to wszystko upolowałaś? – spytałam, wskazując na pokój.

Jess potrząsnęła głową.

– Powinnaś zobaczyć domy kolegów Noaha: nie ma miejsca, które nie zostałyby pokryte farbą kredową, i wszędzie te karafki w stylu vintage. W zeszłym tygodniu poszliśmy na przyjęcie urodzinowe dwulatka, na które jego mama upiekła ciasteczka z komosy ryżowej i karobu, i ustawiła je na malutkich buteleczkach z mlekiem. To było szaleństwo. Byłam oczywiście dziko zazdrosna.

– Jak się dogadujesz z innymi mamami? Zachowujecie się grzecznie?

– Niektóre są naprawdę upierdliwe, ale większość jest w porządku. Wiele z nich to dawne mieszkanki Brooklynu, które przeniosły się tutaj, żeby się rozmnożyć i umrzeć. Właściwie powinniśmy mieć stałe połączenie z Park Slope. Millburn to hipsterski odpowiednik Florydy.

Wstała i zakrzętała się wokół ewidentnie drogiego ekspresu do kawy.

– Ja to zrobię! – powiedziałam, rzucając się w kierunku blatu.

Jess odpędziła mnie.

– Cięża to nie choroba. Poza tym to urządzenie jest jak Enigma: nie wymagam, żebyś za pierwszym razem potrafiła złamać jego kod. Dobra, gdzie Ben włożył tę jamajską mieszankę? Jest tak pyszna, że można umrzeć. Musisz spróbować. Oczywiście teraz mogę ją sobie tylko powąchać, ale naprawdę to niebo w gębie.

Przyglądałam się jej w milczącym niedowierzaniu, nadal nie mogąc pogodzić w głowie obrazu domowej bogini, którą miałam przed oczami, ze wspomnieniem dziewczyny, z którą dzieliłam pokój w college'u: jednego dnia paliła jak szeregowiec i snuła gęsto przeplatane przekleństwami opowieści o tym, jak przeprowadzała wywiad z najgorętszym playboym Nowego Jorku w klubie ze striptizem w Queens, a następnego zamartwiała się źródłem pochodzenia jej karczochów i zbyt silnym współzawodnictwem dzieci podczas lekcji muzyki. Kobiety, która pewnego wieczoru porwała czekającą na kogoś limuzynę i zażądała, aby kierowca zawiózł nas do kabaretu w Williamsburgu, i która przespała się nie z jednym, ale aż z trzema graczami New York Yankees. Czasem zastanawiam się, czy nadal przysługuje jej dożywotnia darmowa wejściówka na wszystkie mecze, które drużyna rozgrywa na swoim stadionie.

Ale nie tylko Jess się zmieniła. Kilka lat temu miałam wrażenie, że zabrzmiał jakiś sygnał i wszystkie kobiety, z którymi hulałam, mając dwadzieścia kilka lat, nadstawiły uszu. Jedna po drugiej zaczęły znikać, przeprowadzając się na przedmieścia lub do mniej „wyczerpujących” miast, i nikt już nigdy nie miał zobaczyć ich w klubie nocnym czy

jakiejsz spelunie. Powód zawsze był taki sam: w Nowym Jorku było za drogo, ich istniejące lub dopiero potencjalne dzieci nie miały gdzie się bawić, konkurencja o miejsce w szkołach była szalona, brakowało przestrzeni. Podczas tych rzadkich okazji, kiedy udało mi się wyjść z pracy na tyle wcześniej, żebym mogła wyskoczyć z kimś jeszcze na drinka, po prostu nie miałam do kogo zadzwonić. Czułam się jak ci japońscy żołnierze, którzy całe lata po zakończeniu drugiej wojny światowej ukrywali się w lasach, przysięgając sobie, że nigdy się nie poddadzą.

Noah zjawił się z powrotem, niosąc w rękach stos książeczek.

– Mama, bajka?

– Za chwileczkę, skarbie – powiedziała Jess. – Może zajmiesz się układanką?

Poszedł sobie, wyglądając na odrobinę niezadowolonego. Jess położyła przede mną kubek – z tego samego słonecznego kompletu co talerz na ciasteczka – i usiadła z westchnieniem.

– Dobra. Opowiedz mi wszystko. Jestem gotowa na twoje meldunki z cywilizowanego świata.

Wzruszyłam ramionami.

– Naprawdę nie ma co opowiadać. W pracy w porządku. Mam mnóstwo roboty, ale jest dobrze. Na Jane Street otworzyli nową restaurację z tajskim jedzeniem, zakochałabys się w niej...

Jess zignorowała szansę rozmowy o pad thai.

– Ruby, nie mamy dużo czasu. Ten dzieciak to tykająca bomba, więc przejdźmy do meritum. Jakiś udany seks ostatnio?

– Nic godnego wzmianki – powiedziałam, strzepując okruszek z kolan. Nie miałam serca powiedzieć jej, że od miesiący nie byłam nawet na randce, o seksie nie wspominając.

– A co z Markiem? Nadal się koło ciebie kręci?

– Nie, na szczęście od dawna już nie. Cały czas mówił tylko o tym, co zjadł i ile ćwiczył danego dnia, i nie pomijał żadnego, nawet najmniejszego szczegółu. Traktował mnie jak swój osobisty Fitbit czy inną aplikację sportową. Nieważne, mam ci coś znacznie ważniejszego do powiedzenia.

– Mów...

Sięgnęłam do torby i wydobyłam z niej sfatygowany już magazyn.

– Oto co się dzieje – powiedziałam, wymachując nim dość nerwowo przed swoją twarzą.

Jess wpatrywała się w okładkę w milczeniu przez kilka minut, aż w końcu wyrwała mi gazetę z ręki.

– Chyba sobie żartujesz. Jak on niby miałby zbawić świat dzięki aplikacji pozwalającej na zamawianie jedzenia? Kurczak generała Tso dla wszystkich?

– To raczej coś związanego z oddawaniem jedzenia, które restauracje wyrzucają, dla biednych – wyjaśniłam. – Ale nie o to mi chodzi. Istotne jest to, że go zobaczę...

– spojrzałam na zegar kuchenny – ...za jakieś trzynaście godzin i nie mam najmniejszego pojęcia, co miałabym mu powiedzieć. Bo co można powiedzieć na coś takiego?

– Dźgnęłam palcem wyszczerzoną twarz Ethana na okładce magazynu.

– Ja bym zaczęła od „cześć” – zaproponowała Jess. – I chyba zrezygnowałabym ze wskazywania go palcem. – Spojrzała na okładkę. – Jest okropnie seksowny. Nie był chyba taki, jak byliście razem, prawda? Wiem, że spotkałam go tylko raz, ale wydaje mi się, że gdyby był aż tak przystojny, tobym go lepiej zapamiętała.

– A ja myślałam, że nie pamiętasz nic z dwa tysiące piątego.

– Zgadza się. Ale nadal uważam, że taki wygląd mógłby wyrzucić na mnie wrażenie. A więc jak chcesz to rozegrać?

Opadłam na oparcie krzesła.

– Wydaje mi się, że będę się starała go unikać, jak tylko się da.

– Dlaczego chciałabyś unikać czegoś takiego? – zapytała, wpatrując się w twarz Ethana.

Zabrałam magazyn i wrzuciłam z powrotem do torby.

– Hmm, bo to mój były chłopak? Ponieważ nie rozmawialiśmy, odkąd ze sobą zerwaliśmy prawie dziesięć lat temu? Prawdę powiedziawszy, to żenujące, że w ogóle się tym martwię. Na litość boską, byliśmy parą w czasach, kiedy Justin Timberlake miał kręcone włosy.

– Stara miłość nie rdzewieje – odparła tęsknym głosem.

– Chcesz mi powiedzieć, że nadal pamiętasz tamtego barmana z Last Drop?

– Oczywiście, że tak. Czasem, kiedy jest mi źle, myślę o jego ramionach.

– Okej, no cóż, ja nie myślę o ramionach Ethana ani o żadnej innej części jego ciała.

To prehistoria.

– Nie psuj całej zabawy. To takie romantyczne! Moglibyście zejść się z powrotem, do tego na weselu! W dodatku na zamku! Zupełnie jak w bajce! – Jess ułamała sobie kawałek ciastka i jadła go w zamyśleniu. – Powinnaś przynajmniej spróbować się z nim przespać.

– To żadna bajka, to moje życie i nikt nie będzie z nikim spał.

Jess uniosła brew.

– Wiesz, co mam na myśli.

– Niestety tak – odparła. – I o to właśnie mi chodzi.

Zapadła cisza, którą przerwał Noah.

– Mamusiu, wylałem!

– To tylko woda, skarbie?

– Wylałem niebieskie! – zawołał lekko drżącym głosem.

– Niebieskie? O Jezu, farby – powiedziała, zrywając się ze zdumiewającą szybkością. – Już idę!

Pobiegłyśmy do salonu, gdzie na drewnianej podłodze widniała kałuża gęstej niebieskiej farby. Pośrodku niej siedział Noah, a po twarzy spływały mu zabarwione na niebiesko łzy.

– Mój niebieski! – zawodził.

– Moja podłoga! – jęknęła Jess.

– Pójdę po papierowe ręczniki – powiedziałam, obracając się na pięcie i ruszając w kierunku kuchni.

– Poczekaj, ja je przyniosę – odparła. – Ty się nim zajmij i upewnij się, że nie

wetrze jeszcze bardziej farby w podłogę ani w swoje oczy.

Wepchnęła mi dziecko w ręce i wybiegła z pokoju.

– Cześć! – powiedziałam wesoło, choć mój głos był dziwnie zdławiony.

Noah przyglądał mi się podejrzliwie, zwisając bezwładnie w moich rękach i oceniając sytuację.

– Chcę na dół – powiedział. – Na dół, już!

– Jeszcze chwileczkę, kolego – powiedziałam, zaciskając uchwyt, aby mi się nie wysliznął. – Mamusia zaraz wróci.

– Na dół! – wrzeszczał, machając nogami. – Na dół! Na dół! Na dół! – Dźwięk ten w zasadzie przypominał syrenę policyjną, którą słyszałam w zeszłym roku podczas podróży służbowej do Kopenhagi.

– Noah! Nie kop cioci! – Jess wzięła go ode mnie, dając mi w zamian zwój mokrych papierowych ręczników. – Już się nim zajmę. Mogłabyś zetrzeć tę plamę?

– Oczywiście! – Kucnęłam i zaczęłam ścierać zaplamiony parkiet, a Jess zaniósła syna na górę. Nie pamiętam sytuacji, w której byłabym bardziej wdzięczna, pracując na kolanach.

Dwadzieścia pięć minut później po plamie nie było śladu (na szczęście farba była wodna), a Noah został wykąpany. Jess znalazła w jego spodenkach dwa kawałki chleba z masłem orzechowym i dżemem, co wyjaśniło, jak to się stało, że tak szybko zasłużył na ciastko. Teraz odrobinę niepokieszony bawił się wozem strażackim.

– Na czym skończyłyśmy? – zapytała Jess, układając się na sofie pełnej poduszek i nie spuszczać oka z syna. – Ach tak, planowałam nie zwracać uwagi na swojego przystojnego i bogatego byłego chłopaka. Nie rób tego. – Wzięła mnie za rękę i już wiedziałam, na co się zanosi.

– Proszę, nie... – starałam się wyprzedzić fakty. – Tylko nie ta twoja przemowa.

– Ruby, jesteś mądra, seksowna, zabawna i w ogóle cudowna. Zasługujesz na szczęście.

– Już dość.

– Kiedy patrzę, jak żyjesz, taka skupiona na karierze i skoncentrowana na tym, żeby wyeliminować wszystko, co cię rozprasza, martwię się o ciebie.

– Nie ma takiej potrzeby.

– Więc wyświadcz mi przysługę i postaraj się zachować otwarty umysł, dobrze? Tylko o to cię proszę: po prostu otwórz się na możliwość, że nadal możesz czuć coś do tego faceta.

– Naprawdę nie sędzę, żeby to było możliwe.

– W takim razie nie powinnaś mieć problemu z tym, by obiecać mi, że będziesz otwarta na wszystkie możliwości. – Po tych słowach tryumfalnie opadła na oparcie.

– Dobra – zgodziłam się z jękiem. – Wygrałaś. Czy teraz mogę dostać ciasteczko?

– Oczywiście – powiedziała, klepiąc mnie po głowie. – Grzeczna dziewczynka.

Jess odwiozła mnie na lotnisko, a Noah był bardzo podekscytowany na widok samolotów. Kiedy się zatrzymałyśmy, Jess uściśnęła mnie mocno.

– Wiem, że sytuacja jest stresująca, ale poradzisz sobie – zapewniła mnie. – Daj znać, jak wylądujesz. I kiedy go zobaczysz. I kiedy dojedziesz do zamku. Mówię



poważnie, wysyłaj mi esemesy cały czas.

– Oczywiście.

– Noah, pożegnaj się z ciocią Ruby!

Pochyliłam się do tyłu i dość niezgrabnie pocałowałam go w rączkę, którą on natychmiast wytarł. Jeszcze raz uściskałam Jess i otworzyłam drzwi.

– Obiecuj mi, że nie urodzisz, zanim wrócę, dobrze?

– Uwierz mi, nie spiesz mi się. Bezpiecznego lotu i informuj mnie na bieżąco! Nie rób nic, czego ja bym nie zrobiła!

– To daje mi duży zakres swobody.

Spojrzała na syna w lusterku i zbyła tę uwagę machnięciem ręki.

– Kocham cię!

Patrząc, jak odjeżdża, doświadczyłam nagłego ataku niepokoju. Jess chciała dobrze, ale nawet gdybym miała najsilniejszą wolę na świecie, nie byłabym w stanie podejść na luzie do perspektywy ponownego spotkania z Ethanem. Musiałam się przygotować.

Lot spędziłam wciśnięta między patykowatego mężczyznę w marynarce jak na safari a nastolatka, który przed wejściem do samolotu obficie spryskał się zapachem Drakkar Noir. Nie wiem, na kim miało to zrobić dobre wrażenie, ale z pewnością nie na mnie. Wypiłam mój zwyczajowy koktajl na okoliczność lotu, składający się z witaminy C, cynku i zolpidemu, i obudziłam się dopiero wtedy, kiedy trzeba było z powrotem przyjąć pozycję siedzącą. W trakcie podróży jedna z nóg wysokiego mężczyzny wtargnęła na moją przestrzeń, więc trąciłam jego stopę i posłałam mu uśmiech, mając nadzieję, że był on uprzejmy, acz stanowczy. Mężczyzna wolał jednak udawać, że jest zbyt wciągnięty w najnowszy film Camerona Crowe'a, jakby to w ogóle było możliwe.

Kiedy wylądowaliśmy na lotnisku Heathrow, w milczeniu przeszłam przez kontrolę paszportową i odebrałam bagaż. Miałam sztywne nogi i rozmyte spojrzenie. Kiedy w końcu przeszłam do sali przylotów, była prawie ósma rano. Samolot, którym Piper i Charlie lecieli z Bostonu, miał wylądować dopiero za godzinę, więc znalazłam wolne miejsce, włączyłam iPhone i uzbroiłam się w cierpliwość. Okazało się jednak, że nie przyszło mi czekać zbyt długo.

Kiedy podniosłam wzrok, zobaczyłam gwiazdę z okładki „TechCrunch Magazine”, niechybnie zmierzającą w moim kierunku. Jego chód był taki jak kiedyś: swobodny, ale dość dumny, choć ramiona miał szersze, a ubrania leżały na nim lepiej niż kiedyś. Miał czuprynę czarnych loków, choć gdzieś tam można było dostrzec już siwe włosy. Za to jego oczy... jego oczy były dokładnie takie, jak zapamiętałam. Byłam wstrząśnięta – a może nawet przerażona – ponieważ mój organizm zareagował zintensyfikowanym wydzielaniem dopaminy. To on, pomyślałam. Oczywiście, to zawsze był on.

– Ruby – powiedział, a zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż powitanie.

Nachylił się i przelotnie musnął mój policzek, właściwie nie dotykając go ustami. W tym momencie dwie sprawy stały się dla mnie bezspornie jasne: nadal byłam w nim zakochana (niemal nieprzytomnie), a on wprost przeciwnie.

– Ethan! – wykonałam coś na kształt salutu, czego natychmiast pożałowałam.

– Dobrze cię widzieć – skłamał.

– Ciebie też! – powiedziałam zbyt radośnie. – Co tutaj robisz?

– Mieszkam teraz tutaj – odpowiedział. – Nie na lotnisku. Chodziło mi o to, że mieszkam w Londynie. – Byłam zadowolona, widząc, że się trochę pogubił.  
– Przyjechałem odebrać Piper i Charliego.

– Ooo. Miło z twojej strony.

– No cóż... Dopiero przyleciałaś?

– Kilka minut temu.

– Miałaś dobry lot?

– Tak, dziękuję.

Zapadła niezręczna cisza, oboje wpatrywaliśmy się w bramkę przylotów, jakbyśmy mogli sprawić, że Piper i Charlie nagle się w niej zjawią. Minęło kilka minut. Złamałam się pierwsza.

– Pójdę do łazienki. Czy mogę zostawić walizkę? Przysięgam, że nie ma w niej materiałów wybuchowych!

Ruszając w kierunku toalety, zauważyłam kątem oka wyraz zmieszania na jego twarzy. Opryskałam twarz zimną wodą i przyjrzałam się sobie w niepochlebnym świetle jarzeniówek. Zgodnie z moimi obawami podczas lotu twarz mi spuchła, a do tego zauważyłam, że jakiś przypadkowy czarny włos wyrósł mi na podbródku. Moja fryzura też nie prezentowała się lepiej: włosy myłam dwa dni temu i teraz zdążyły już tu przykłać, tam znów się napuszyć. Co to za okrutny wszechświat, że przyszło mi spotkać się z byłym chłopakiem tuż po tak długim locie? I dlaczego przed chwilą wspomniałam mu o materiałach wybuchowych? I dlaczego po dziesięciu latach rozłąki nadal na jego widok czuję to dziwne uczucie w żołądku, jak wtedy, kiedy przejeżdżasz za szybko przez spowalniacz i przez chwilę znajdujesz się w stanie nieważkości?

Weź się w garść. Nałożyłam na usta trochę czerwonej szminki, co niestety sprawiło, że wyglądałam na jeszcze bledszą. Westchnęłam i poszłam z powrotem do sali przylotów.

Na szczęście w trakcie mojej nieobecności przybyła odsiecz: Ethan klepał Charliego po plecach i witał się z moją siostrą. Wzięłam głęboki oddech i podeszłam do nich.

– Ruby! – Charlie porwał mnie w swój niedźwiedzi uścisk, aż moje stopy oderwały się od ziemi. – Przyleciałaś! – Postawił mnie na ziemi i położył obie dłonie na moich ramionach. – Tak się cieszę, że tu jesteś. Piper, prawda, że cieszymy się, że Ruby tu jest? Mielśmy wspaniały lot. Na pokładzie mieli wszystkie filmy o Rockym, nawet *Rocky 5*! Uwierzyłybyś?

– Nie mów!

– A w połowie trasy dali nam miniaturowe lodowe batoniki. Też dostałaś lody w swoim samolocie?

– Przespałam większość podróży.

– A to szkoda! No to będziemy musieli wziąć cię dzisiaj na lody, żeby ci to wynagrodzić. Ethan, znasz jakąś dobrą lodziarnię?

Jasne. Jest nawet jedna na dworcu kolejowym...

– Nie trzeba, dziękuję. – Uwolniłam się od Charliego i podeszłam do siostry, która,

marszcząc brwi, patrzyła na swój telefon. – Zamierzasz się w ogóle przywitać ze swoją starszą siostrą? – spytałam, obejmując ją.

Była taka drobna – wydawała się mniejsza niż zwykle – a jej jasne włosy związane były w kok na czubku głowy, odsłaniając jej długą, szczupłą szyję i małe uszy. Z nas dwóch to ona miała w sobie grację i delikatność baletnicy. Ja byłam znacznie mocniej zbudowana.

– Przepraszam – powiedziała, niechętnie odwzajemniając uścisk. – Oczywiście, że miło cię widzieć i w ogóle, ale... czy oni mają tu chociaż 4G? Nie mam zasięgu, a muszę zadzwonić do ludzi od cateringu.

– Też się cieszę, że cię widzę – odparłam, wypuszczając ją z objęć.

Byłam przyzwyczajona, że Piper z rezerwą traktowała przejawy rodzinnej miłości: kiedy byłyśmy małe, darła się wniebogłosy, jeśli tylko ktoś wziął ją za rękę, a co dopiero chciał pocałować. Nazywaliśmy ją Księżniczką Lodu. Nadal tak robię, kiedy mnie nie słyszy.

– Trzymaj, możesz spróbować z mojego – powiedział Ethan, wręczając jej nowiutki błyszczący smartphona.

– To najnowszy model? – zdziwiła się Piper. – Nawet go jeszcze nie wypuścili!

– Korzyści z pracy – odrzekł, wruszając ramionami i przeczesując włosy dłonią. Żołądek skręcił mi się jeszcze mocniej.

– Widzieliście zdjęcia strażników Tower? Czyż nie są uroczy? – Obróciliśmy się i zobaczyliśmy parę w średnim wieku zmagającą się z wózkiem, na którym piętrzyły się bagaże.

– Przepraszamy za spóźnienie – powiedział mężczyzna – ale Barbara chciała się odświeżyć, zanim cię zobaczy, Ethan.

– Och, no cicho – rzekła Barbara, całując Ethana w policzek wymalowanymi ustami. – Nie słuchaj tego, co on mówi. Ale to prawda, cieszę się, że cię widzę! Czyż on nie jest przystojny. Kiedy występujesz w telewizji, mówię wszystkim, że jesteś moim drugim synem. „Patrzcie”, mówię, „To mój syn, Ethan!”, a wtedy oni na to: „Barbaro, to ty masz jeszcze jednego syna?”. Na co odpowiadam: „Może nie jest to mój rodzony syn, ale jest mi tak drogi, jakby nim był”.

– Miło mi cię widzieć – odpowiedział Ethan. – Ciebie też, Bob.

– Witaj, synu. – Mężczyźni wymienili uścisk dłoni, po czym Bob uściskał Ethana w najbardziej męski sposób, jaki widziałam.

– Dostyc tego! – roześmiał się Charlie. – Można się nabawić kompleksów, słuchając was. Ruby, pamiętasz moich rodziców, prawda?

Barbara patrzyła na mnie przez chwilę, mrużąc oczy, zanim na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– Ruby Atlas, nie widziałam cię całe wieki! Nic się nie zmieniłaś!

Dostrzegłam, że brew Ethana drgnęła niemal niedostrzegalnie.

– Bardzo miło panią widzieć – powiedziałam. – Pana również, panie Armstrong.

– Proszę, mów mi Bob. Gdzie się podziewa wasz ojciec? Sprzedaje drewno do lasu?

Zignorowałam ten przytyk.

– Tata i Candace dołączą do nas w hotelu w Bamburgh – tłumaczyłam. – Postanowili sobie zrobić krótką wycieczkę objazdową, skoro już tu przylecieli.

Oczy Barbary otworzyły się szerzej ze zdziwienia.

– Nadal jest z Candace? Czyż to nie cudowne? – Nie było wątpliwości, że wcale tak nie uważa, i zrobiło mi się przykro ze względu na moją macochę. – Twoja mama była wspaniała – powiedziała, biorąc mnie za rękę. – Jaka szkoda, że nie doczekała tego ślubu. Byłaby zachwycona. Miała w sobie tyle klasy.

– Wszystkim nam jej brakuje – skwitowałam, uwalniając dłoń z jej uścisku. Nie mogłam sobie pozwolić na to, żeby w tym momencie myśleć jeszcze o mojej mamie, a raczej o jej braku.

– Powinniśmy już iść – odrzekł Ethan, a z wyrazu zawstydzienia na jego twarzy zrozumiałam, że słyszał całą tę wymianę zdań. – Na zewnątrz czeka na nas samochód.

Zebraliśmy bagaże i ruszyliśmy na parking. Ethan szedł przodem i musiałam podbiec, żeby go dogonić.

– Dzięki, że mnie uratowałeś – powiedziałam cicho. – Nie wiem, jak bym sobie poradziła.

Skinął głową i przyspieszył kroku, tak że niemal biegł. Było jasne, że próbował się mnie pozbyć, zwolniłam więc. Nie ma sensu gonić kogoś, kto sobie tego nie życzy. Szłam powoli za wszystkimi, a kółka mojej walizki głośno przeskakiwały na płytach chodnika.

## Kiedyś

Ruby obudziła się w nocy z powodu ogłuszającego koncertu świerszczy i poczuła nagły przypływ silnego niepokoju. W pokoju panował taki mrok, że właściwie obojętne było, czy miała otwarte, czy zamknięte oczy. Jej głowa leżała na ogromnej stercie drapiących poduszek i teraz szyja wygięła się pod dziwnym kątem. Po chwili udało się jej dostrzec zarys plakatu Letters to Cleo oraz zdjęcia Jareda Leto.

W końcu pamięć powróciła: była w swoim starym pokoju, z powrotem u ojca – na tym cholernym zadupiu.

Jakim cudem kilka małych owadów potrafi tak hałasować, zastanawiała się. Ciągły szum ulicy i wrzaski pijanych pod oknem jej bostońskiego mieszkania zdawały się jej kojące w porównaniu z nocnym cykaniem świerszczy. Ciemność również była przerażająca – nie wiadomo, co mogło się czaić w wielkim ogrodzie jej ojca. Kilka lat wcześniej pewien z pozoru zupełnie normalny facet, z rodzaju tych, co to w sobotę rano trenują piłkę nożną, odciął żonie głowę i nadział ją na kij w ogrodzie, ponieważ przypaliła spaghetti... W mieście takie rzeczy się nie zdarzają. Można oberwać nożem, ale od gościa, który nim wymachuje, a nie od księgowego, który stoi cicho obok niego. Taki stan rzeczy wydawał się Ruby pocieszający.

Spojrzała na elektroniczny zegarek, który stał przy jej łóżku od niepamiętnych czasów: 4.12. Westchnęła, zapaliła światło i mrużąc oczy, sięgnęła po „Glamour”, który kupiła, jadąc tutaj. Przez chwilę wpatrywała się w uśmiechniętą twarz Jessiki Simpson, a następnie przewertowała sesję zdjęciową z modelkami przebranymi za Cyganki. Odnotowała w pamięci, żeby kupić spódnicę w tym stylu, i przeszła do artykułu na temat samoopalaczy.

Następne, co Ruby pamiętała, to okropny huk, który ją zbudził. Zrzuciła z siebie magazyn, który przykleił się jej do twarzy, i zamrugła, ponieważ słońce sączyło się już przez koronkowe firanki. Zegar pokazywał 6.33. Rozległ się kolejny huk i potok przekleństw. Ojciec Ruby bezsprzecznie był już na nogach.

Naciągnęła na siebie bluzę i szorty i poszła do łazienki. Zapach świeżo parzonej kawy dolatywał z kuchni i Ruby zatrzymała się na moment, by się nim rozkoszować. Bycie w domu miało kilka plusów.

Spojrzała na swoje odbicie w lustrze, konstatując z rozpaczą, że pryszcz, którego pojawienie się przeczuwała, postanowił w końcu wyskoczyć w nocy. Nacisnęła go końcem paznokcia i westchnęła: będzie musiała odkopać zapasy clearasilu z czasów liceum. Mimo dwudziestu jeden lat nadal miała pryszcze – gdzie tu sprawiedliwość?

Uczesała włosy w schludny kucyk i zeszła na dół. Słyszała głos ojca dobiegający z kuchni i niosący się po całym domu, ale go nie widziała. Kuchnia znajdowała się w innym skrzydle domu.

Ogrom tego domu – który ojciec Ruby kupił pięć lat wcześniej, tuż po tym, jak ożenił się z Candace – nie przestawał jej zadziwiać. Wychowała się po drugiej stronie miasta, w parterowym domu z trzema sypialniami, przytulnym salonem i niewielką werandą z huśtawką, który stał się jednak niewystarczający dla ojca wraz ze wzrostem środków na jego koncie, spowodowanym prosperitą jego agencji nieruchomości. Dlatego

razem z Candace kupili tę „miniposiadłość” na nowym eleganckim osiedlu i przenieśli się. Ruby mieszkała w tym domu tylko przez rok, zanim wyjechała do college’u, więc nigdy nie czuła się tu „u siebie”. Osiedle nazywało się Pieśń Południa, a ich dom – największy i usytuowany na szczycie wzgórza – wyglądem przypominał Tarę z *Przemięło z wiatrem*... Ruby nigdy nie udało się wytłumaczyć ani ojcu, ani Candace, co było w tym niestosownego. Candace zamówiła szyte na miarę zielone aksamitne zasłony do salonu, a każde przyjęcie musiała zacząć, stając na szczycie kręconych schodów i cytując „Tere-fer!” – słowa Scarlett O’Hary. Dopiero wtedy mogła pójść powitać gości.

Ruby przeszła do kuchni przez salon, z niedowierzaniem przyglądając się ogromnemu kryształowemu żyrandolowi, którego nie było jeszcze podczas jej poprzedniej wizyty. Jej ojciec był w stroju treningowym – profesjonalnie wyglądającym podkoszulku zasuwany pod szyją i w krótkich spodenkach z lycry – i gderał przez telefon na temat kosztów projektowania krajobrazu. Uśmiechnął się do niej i wskazał na dzbanek z kawą, a następnie wyszedł do pralni, by kontynuować rozmowę.

Nalała sobie kawy i zaczęła przeglądać wczorajsze wydanie „Beechfield Gazette”. Lokalna aukcja charytatywna, pożar szopy, koty wyglądające jak ich właściciele, letnie treningi szkolnej drużyny – nic niezwykłego. Na pierwszej stronie widniało zdjęcie małej dziewczynki z warkoczykami trzymającej ogromną porcję lodów. „Maisy Parker, lat cztery i pół, delectuje się w upale malinowo-waniliowymi lodami”. Nie było złudzeń: Ruby z powrotem była na przedmieściach. Złożyła gazetę i odłożyła ją na bok.

Ojciec Ruby, skończywszy besztac projektanta krajobrazu, wszedł do kuchni i zaczął się rozciągać, opierając jedną nogę o blat.

– Zaraz ruszam z Kevinem zrobić trzydzieści kilometrów – powiedział.

– Zamierzasz przebiec trzydzieści kilometrów? – zapytała z pewnym niedowierzaniem. Wiedziała, że ojciec dostał ostatnio świra na punkcie dobrej formy, o czym świadczyły butelki ze spiruliną w lodówce i słoiki z odżywką białkową w spiżarni, ale nie zdawała sobie sprawy, że został biegaczem.

– Przejechać na rowerze – odparł, przyjmując pozycję obronną. – Będziemy jeździć wokół jeziora. Świetny trening. Dotlenia serce. Mój brzuch nie był taki twardy od lat. Zobacz sama. – Ruby niechętnie dźgnęła go palcem i wydała dźwięk sugerujący uznanie. – Candace mówi, że z dnia na dzień wyglądam młodziej. Zaczęła nazywać mnie żbikiem. – Zamruczał śmiesznie i udał, że wystawia pazury.

– Tato, proszę. Nie chcę wiedzieć, jak mówi do ciebie Candace.

Roześmiał się i poklepał ją po plecach.

– Cóż, młoda, pomyślałem, że chciałybyś wiedzieć, że w twoim starym jest jeszcze życie!

– Z całą pewnością nie chcę! – zapewniła, odpychając go. – Ohyda.

– W porządku. Co masz dzisiaj w planach? – zapytał, podrzucając jabłko w powietrzu. – Powinnaś się trochę poopalać – powiedział. – Za długo już przesiadywałaś w bibliotekach. Jesteś taka blada... Jeśli pójdiesz tak do klubu, pomyśl, że jesteś duchem, i zadzwonią po Billa Murraya i spółkę! – Uśmiechnął się i wymierzył w córkę palcem. – Po kogo zadzwonią?

– Po pogromców duchów – wymamrotała posłusznie. – A tak w ogóle to w klubie bardzo lubią bladych białych ludzi. Prawdę mówiąc, to ty powinieneś być ostrożny – powiedziała, taksując wzrokiem jego głęboką opaleniznę. – Jeśli twoja skóra jeszcze trochę ściemnieje, zakażą ci wstępu.

– Nie bądź niesprawiedliwa, ta zasada została zniesiona dawno temu. Klub jest chlubą naszej społeczności, nie wspominając o tym, że zatrudnia twoją siostrę, więc lepiej się zastanów, zanim zaczniesz rozpowiadać takie głupoty. Ludzie mogą wyrobić sobie złą opinię na temat naszej rodziny.

– Nie martw się, nie zamierzam organizować protestów na polu golfowym, nic z tych rzeczy.

Zmarszczył brew.

– Ruby, w naszym domu nie żartuje się z pewnych kwestii. Kiedy zaczniesz pracę w biurze, będziesz miała do czynienia z wieloma członkami klubu, i nie życzę sobie, żebyś prezentowała takie nastawienie.

Ruby jęknęła w duchu na samo wspomnienie o pracy w agencji nieruchomości ojca. Starła się o przyjęcie na staż w różnych miejscach, z chęcią pracowałaby jako kelnerka, ba!, nawet stanie w przebraniu hot doga przed myjnią samochodową nie wydawało jej się złe – tyle że, niestety, nigdzie jej nie przyjęto. W końcu doszło do tego, że mogła pracować w agencji Atlas Reality albo nigdzie.

– Cześć, ranne ptaszki! Złapaliście jakieś robaczki na śniadanie?

Candace weszła do kuchni w czarnym sportowym staniku i dopasowanych legginsach, dzięki czemu widać było jej opalony umięśniony brzuch. Chociaż doprowadzała Ruby do szaleństwa, dziewczyna musiała przyznać, że jej macocha wygląda świetnie jak na kogoś, kto dobija czterdziestki.

Ojciec wypił napój z młodej pszenicy i włożył buty na rower.

– Dzień dobry, kochanie! Wychodzę z Kevinem pojeździć. Muszę być w dobrej formie dla mojej pani – powiedział, klepiąc ją w tyłek.

Zachichotała i pocałowała go w policzek.

– Żebyś wiedział – odparła, również dając mu klapsa. Ruby nie była pewna, czy ojciec poczuł to przez ochronną wkładkę w swoich spodenkach, ponieważ wyraz jego twarzy się nie zmienił. – Czy Piper już wstała?

– Oczywiście, że nie – odparła Ruby. – Nigdy nie pokazuje się przed dziesiątą. Wczoraj wieczorem narzekała na alergię, więc nie spodziewałabym się jej przed południem.

Ojciec zmarszczył brew.

– Mam nadzieję, że jej nos nie zrobi się czerwony. Jutro idzie pierwszy raz do pracy w klubie. – Ruby pocieszała się tym, że jej siostra, która do tej pory za pracę uważała zmywanie lakieru z paznokci, niedługo miała zostać hostessą w miejscowym country klubie i będzie musiała nosić specjalny strój. Sama myśl o Piper w poliestrowym kostiumie nappełniała Ruby wielką radością.

Na zewnątrz rozległ się dźwięk dzwonka rowerowego i ojciec chwycił swój plecak.

– To Kevin. Do zobaczenia po pracy!

I wyszedł z domu, stukając butami na kafelkach, podczas gdy Candace nalała Ruby

drugi kubek kawy, a sobie zieloną herbatę.

– Jakie masz plany na dziś? – zapytała, uśmiechając się. – Będę jechała później do centrum handlowego, może chciałabyś wybrać się ze mną?

– Nie, dziękuję – odpowiedziała Ruby.

Mimo że wiedziała, iż Candace zapłaciłaby za jej zakupy, nie mogła się przemóc, by mierzyć ciuchy przed swoją turbomacochą z napompowanym biustem. To był ostatni dzień jej wolności po ukończeniu college'u, następnego dnia miała zacząć pracę w biurze, sprowadzającą się do umierania z nudów w ciągłym szumie klimatyzacji. Chciała wykorzystać ten dzień jak najlepiej.

– Okej, zostań w domu i popracuj nad opalenizną. Wracając, wstąpię do delikatesów. Jak sądzisz, czy jest coś, na co twoja siostra miałaby ochotę?

– Wydaje mi się, że stosuje teraz makrobiotyczną dietę Gwyneth Paltrow – odparła Ruby. – Będzie więc dobrze, jak kupisz mnóstwo fasoli i warzyw.

Candace zmarszczyła brwi.

– Biedactwo. Nabawi się tylko wzdęć od tego ciągłego jedzenia fasoli.

Candace sięgnęła po swoją torebkę od Chloe Paddington i torbę Longchamp, w której nosiła swoje rzeczy na siłownię.

– Dobra, jadę na spinning! Miłego dnia i spróbuj opalić sobie trochę te blade nóżki, panienko!

I wyszła, unosząc się w obłoku perfum Happy od Clinique.

Ruby nasmarowała się olejkiem Hawaiian Tropic (SPF 4 – bezpieczeństwo zawsze najważniejsze) i spędziła resztę dnia nad basenem, raz za razem to zapadając w drzemkę, to znów leniwie przewracając kartki powieści. Piper zjawiła się koło południa, burknęła coś do siostry i sprzątnęła jej sprzed nosa olejek i ostatnią dietetyczną colę. Sprzeczały się między sobą, dopóki nie wróciła Candace i nie pokazała im swoich nowych nabytków, w tym mikroskopijnej białej spódniczki z džinsu, którą siostry zgodnie znienawidziły.

Kiedy ojciec wrócił z pracy, wszystkie trzy były rozdrażnione i skarżyły się na potówki. Zupełnie nie wyczuwając sytuacji, opowiadał im o swoich sukcesach: pobił swój rekord rowerowy, podczas lunchu sprzedał trzy mieszkania, uzyskał zniżkę na nawóz do trawy i opowiedział tak zabawny dowcip, że Buddy Cartwright aż wypluł ostatni łyk mountain dew. Ruby i Candace słuchały go i na zmianę wydawały pomruki aprobaty, jedząc grillowanego kurczaka i sałatkę, a Piper w milczeniu żuła swoją soczewicę. Ruby podjęła ostatnią próbę wykręcenia się od pracy u ojca, powołując się na ucisk na nerw w palcu, ale ojciec szybko to uciął.

O dziewiątej wieczorem włożyła swój talerz do zmywarki i wzięła torebkę.

– Wychodzę – powiedziała z nadzieją, że uda jej się szybko wymknąć. – Spotykam się ze znajomymi z liceum w Billy Jack's.

Ojciec uniósł brwi pod samo niebo.

– W Billy Jack's?! Dlaczego, u diabła, wybierasz się do tej speluny?

– Ruby myśli, że włóczenie się po takich miejscach sprawia, że wygląda na obyłą w świecie – powiedziała Piper, nie pomagając tym siostrze.

– To nieprawda. – Niestety, trochę tak było.

– Ależ tak.



– Zamknij się!

– Dziewczynki – wtrącała się Candace radośnie – spróbujcie się nie kłócić. Dla dobra waszego taty. Wiecie, co doktor powiedział o jego ciśnieniu.

Ruby w nagłym ataku paniki obróciła się na pięcie, aby spojrzeć mu w twarz.

– Nie. Nie wiem, co powiedział doktor. Co powiedział?

– Nic takiego – odparł ojciec, prostując ręce nad głową. – Po prostu mam trochę za wysokie ciśnienie.

– Przepisał waszemu ojcu beta-blokery. To przez ten stres w pracy. – Candace zostawiła kawałek kurczaka i spojrzała wymownie na męża.

– Dlaczego mi nie powiedzieliście? – zawołała Ruby. – Skąd mam niby o tym wiedzieć?

– Hmm, może dlatego, że nigdy nie ma cię w domu? – Piper nadal nie była pomocna.

– Skarbie, to nic takiego. Naprawdę. Idź, spotkaj się z przyjaciółmi i baw się dobrze. Potrzebujesz pieniędzy?

– Nic mi nie trzeba, tato. Dziękuję.

– Pewnie masz rację. Lepiej nie chodzić do takiego miejsca z za dużą ilością pieniędzy. A, i jeśli ktoś będzie chciał, żebyś z nim wyszła lub poszła do łazienki czy coś w tym guście, to powiedz, że nie, dobrze?

– Dobrze, tato. – Ruby zwalczyła chęć, by powiedzieć, że przez ostatnie cztery lata mieszkała w dzielnicy Bostonu słynącej z barwnej mieszanki prostytutek i narkomanów.

– Dlaczego nie weźmiesz ze sobą siostry? – zaproponowała Candace. – Może być wesoło!

– Po moim trupie – powiedziała Piper, sięgając do lodówki po miniaturowego drinka. – Zupełnie jakbym chciała, żeby ktoś mnie zobaczył w takim miejscu... Poza tym wychodzę dziś z Kimberly.

– Piper, wiem, że w college’u przyzwyczaiłaś się do alkoholu, ale teraz jesteś w moim domu i wiesz, co myślę o picciu nieletnich.

Piper przewróciła oczami.

– Och, proszę. To przecież na bazie wina, to nie bacardi. To właściwie sok.

– Piper...

– Proszę, tatusiu! – Pomachała przy tym rękami, aż ojciec uległ jej, wzruszając tylko ramionami.

Wyszła z kuchni, ale najpierw porwała kolejną buteleczkę.

Ruby wsiadła do samochodu, włączyła Sheryl Crow i ruszyła do Billy Jack’s, czując się, jakby znów była w ostatniej klasie liceum. Tyle że z prawdziwym dowodem osobistym.

Kiedy dotarła do baru i weszła przez drzwi w stylu tych z saloonu, powitały ją początkowe dźwięki *Sweet Child of Mine*. Grupa jej znajomych siedziała w kącie, nerwowo sącząc budweisery i niespokojnie obserwując stałych bywalców tego miejsca. Bar był pełny i duszny od piwnych oddechów, i Ruby poczuła, że koszula natychmiast przykleiła się jej do łopatek. Przeszła obok dwóch tańczących entuzjastycznie kobiet w obciętych džinsach i topach bez pleców i przytrzymała się kontuaru, żeby nie stracić

równowagi.

– Co będzie dla ciebie? – zapytał barman, pochylając ku niej swoją szczupłą sylwetkę.

Spojrzała w górę. I ten gość, brudną szmatą wycierający rozlane piwo, okazał się najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała.

Burza czarnych loków opadała mu na szerokie, gładkie czoło. Brwi miał grube i idealnie proste, pod nimi zaś znajdowały się wielkie oczy z długimi, ciemnymi rzęsami. Cienki, niemal dziewczęcy nos kontrastował z pełnymi ustami.

– Um... – Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Kobieta małowówna – skwitował. – To mi się podoba. Jestem Ethan.

Wyciągnął do niej (idealną) rękę i błysnął (idealnie) krzywymi zębami...

Patrzyła oniemiała.

Ethan – myślała, obracając to imię w pamięci, jakby było okrągłym i gładkim kamieniem.

Lekko trącił ją w ramię.

– Wszystko w porządku?

Natychmiast wróciła do rzeczywistości.

– Ruby – przedstawiła się, podając mu rękę. – Nazywam się Ruby.

– Super – powiedział. – Jak ta piosenka.

Ruby nie miała pojęcia, o czym mówi, ale nie miało to znaczenia. Jedyne, co się teraz liczyło, to jego zielonozłote oczy i odbijająca się w nich jej twarz.

Teraz

– Co masz na myśli, mówiąc, że on cię nienawidzi?

– To, że mnie nienawidzi. Chcesz, żebym przedstawiła ci to na wykresie czy co?

Prowadziłam szeptaną rozmowę z Jess, skryta za rośliną doniczkową na stacji King's Cross. Nade mną znajdował się przeszklony sklepiony sufit, a hala rozbrzmiewała głosami pasażerów spieszących na swój pociąg. Nasz odjeżdżał dopiero za godzinę, więc Ethan zabrał pozostałych na lunch do luksusowego baru na St Pancras. Ja wykręciłam się, mówiąc, że potrzebuję kupić zapasowe rajstopy – co faktycznie było słabą wymówką, biorąc pod uwagę, że był lipiec i w Londynie panował upał, ale Ethan przyjął ją bez zastrzeżeń – i pobiegłam, żeby zadzwonić do Jess.

– Nie rozumiem. On nie wie, co się wydarzyło, prawda?

– Nie! – zawołałam, aż kobieta pchająca wózek z sennym niemowlęciem posłała mi gniewne spojrzenie. Ja tylko wywróciłam oczami. – Nie – powtórzyłam ciszej. – I się nie dowie, choć to i tak nie ma znaczenia, bo mnie nienawidzi. Właściwie to jest wobec mnie zupełnie obojętny, co jest jeszcze gorsze.

– Jak może być wobec ciebie obojętny? Jesteś cudowna!

– Patrzy na mnie jak na puszkę kleju do tapet.

– Okej. A jakie on wzbudza w tobie uczucia?

– W tym tkwi problem – powiedziałam, przełykając z trudem. – Wydaje mi się, że nadal go kocham.

– O cholera!

– To jest śmieszne, prawda? Przecież już go nawet nie znam, jak mogę go kochać? To pewnie tylko hormony albo zmęczenie lotem, albo coś jeszcze innego. Może tutaj coś jest w powietrzu. Obojętne. Po prostu zapomnij, co ci powiedziałam. Nie zwracaj na mnie uwagi. Jakoś się z tego wykaraskam. Właściwie już czuję, że mi przechodzi. Tak! Już mi lepiej, to był fałszywy alarm.

– Ruby, weź się w garść.

– Zapomnij wszystko, co ci powiedziałam. Wnioskuje o czasową niepoczytalność.

– Ruby, jeśli nadal coś do niego czujesz, a uwzględniając fakt, jak się rozstaliście, byłoby to zupełnie naturalne, masz obowiązek wobec samej siebie sprawdzić, dokąd cię to zaprowadzi.

– Nie słyszałaś, jak mówiłam, że ma mnie za klej do tapet?

– Pewnie udaje! Założę się, że w środku jest tak samo rozemocjonowany jak ty.

Przygryzłam skórę przy paznokciu.

– Nie wygląda na kogoś, kto przeżywa emocjonalne burze.

– Dlatego że jest bogaty? Bogatych ludzi też mogą przepelniać rozmaite emocje!

– Przestań! – powiedziałam, odrywając skórę zębami i krzywiąc się na widok niewielkiej kropli krwi. – I nie, nie dlatego, że jest bogaty, tylko dlatego, że jest... sama nie wiem... inny. Mówię ci, Ethan ma mnie w dupie. Nic już do mnie nie czuje.

– Nie spiesz się tak – odparła. – Nie zamykaj się tylko dlatego, że nie od razu rzucił się w twoje ramiona.

Westchnęłam i oparłam się o chłodną, kamienną ścianę hali. Na dworcu panował

zgiełk: zagubieni turyści z mapami i kijami do robienia selfie ciągle na siebie wpadali. Obserwowałam kobietę, która przeskoczyła przez barierkę i pobiegła z otwartymi ramionami do czekającego na nią mężczyzny.

– To takie żenujące – powiedziałam do Jess. – Czuję się jak jakaś głupia nastolatka.

– Miłość jest żenująca. Tak już jest. Pozwól sobie na to przynajmniej przez chwilę. Westchnęłam.

– Powinnam kończyć. Muszę jeszcze kupić gdzieś rajstopy.

– Po co ci? Pogoda w Anglii naprawdę jest taka zła?

– To dłuższa historia.

– Okej, ale pamiętaj, co ci powiedziałam: nie panikuj. Daj się ponieść biegowi wydarzeń.

– Dobrze wiesz, że kiedy ostatnio posłuchałam tej twojej rady, skończyłam z pasemkami w stylu J. Lo, a ty umawiałaś się z graczami Yankees.

– I nadal uważam, że oba te wybory były słuszne. Kocham cię.

– Też cię kocham. Nie wyłączaj telefonu. Mam przecucie, że będę cię potrzebować.

Rozłączyłam się i ruszyłam na St Pancras, ale po drodze wstąpiłam do drogerii Boots po rajstopy, a wyszłam z naręczem egzotycznie brzmiących kosmetyków. Kiedy usiadłam przy stoliku, pokazałam Piper moje łupy.

– Kradnę to – powiedziała, przestudiowawszy listę składników na tubce peelingu cukrowego. – I to – dodała, przysuwając do siebie serum na noc.

Włożyłam kosmetyki z powrotem do reklamówki.

– Drogeria jest dwie minuty stąd. Mogę cię tam zaprowadzić i kupisz sobie, co będziesz chciała.

Wyrwała mi torbę z rąk.

– Dlaczego niby miałabym się stąd ruszać? Tu jest szampan. Napij się. – Nalała pół kieliszka i mi podała. – A tak w ogóle... – powiedziała scenicznym szeptem – ...jak sobie radzisz z... no wiesz, o czym mówię... – Skinęła znacząco głową w kierunku Ethana, który siedział przy drugim końcu stołu i cierpliwie wyjaśniał Bobowi i Barbarze, dlaczego jeszcze nie poznał królowej, mimo że mieszka w Londynie od trzech lat i, jak niestrudzenie podkreślała Barbara, jest Bardzo Ważną Osobą.

– W porządku – powiedziałam, choć bałam się, że przez mój cienki podkoszulek zobaczy, jak szaleńczo bije moje serce. Bardzo kochałam siostrę, ale wyznanie jej prawdy na temat moich uczuć do Ethana w ogóle nie wchodziło w grę. Piper nie potrafiłaby utrzymać języka za zębami, nawet jeśli jej życie by od tego zależało, i każde moje słowo z pewnością zostałyby powtórzone Charliemu... co znaczy, że natychmiast dotarłoby do samego zainteresowanego. – To dawne dzieje. Nie ma sprawy – dodałam, wzruszając ramionami, aby nadać moim słowom nonszalancji.

– Okej, uff! Ethan powiedział dokładnie to samo, ale chciałam się upewnić, że wszystko z tobą w porządku. Wiem, że to musi być niezręczne: nie masz nikogo, a na ślubie swojej siostry spotykasz byłego chłopaka. Do tego to ślub twojej młodszej siostry.

– Dzięki, Piper. – Staralam się nie okazywać tego, jak dobiła mnie zarówno tym, że rozmawiała o mnie z Ethanem, jak i tym, że potwierdziła moje przypuszczenia, iż

jestem mu obojętna. To już oficjalne: jestem klejem do tapet.

– Mówię tylko, że zrozumiałabym, gdybyś czuła się niepewnie w całym tym zamieszaniu. Zwłaszcza że Ethan odniósł tak niewyobrażalny sukces. Wiesz, że został wybrany przez magazyn „Time” na jednego ze stu najbardziej wpływowych ludzi?

– Nie wiedziałam. – Oczywiście, że wiedziałam.

– I właśnie zakłada organizację charytatywną, która ma zapewniać szkolenia techniczne dla dzieci z marginesu.

– Wow.

– Chodzi mi o to, że on jest po prostu wspaniały, więc naprawdę jestem pod wrażeniem, że tak spokojnie to wszystko znosisz.

– Cóż, jak mówiłam, to już historia.

– Jesteś niesamowicie dzielna.

– Prehistoria.

– Gdybym była na twoim miejscu i mój były chłopak okazałby się, no nie wiem, półbogiem...

– Piper, u mnie wszystko gra, jasne? Doceniam, że się o mnie martwisz, i cieszę się, że uważasz, że jestem dzielna, ale, prawdę powiedziawszy, po prostu podchodzę do tego wszystkiego spokojnie. W ogóle mnie to nie rusza.

– Dobra! Dobra! Cicho, po prostu chciałam być dobrą siostrą.

– Wiem, że jesteś – odparłam i, wierzcie lub nie, to była prawda. Piper była zapatrzona w siebie, często niezwykle denerwująca, a czasem wykazywała się zdumiewającym brakiem świadomości, ale serce miała ze złota. Przynajmniej najczęściej.

– Czas już na nas – powiedział Ethan, odsuwając się od stołu i dając znać przechodzącemu kelnerowi, że chce zapłacić. Uśmiechał się przy tym kątem ust, z czego wywnioskowałam, że słyszał całą naszą rozmowę.

Irracjonalny przypływ nastoletniej chuci, która zawładnęła mną na widok Ethana, przeszedł w irracjonalny przypływ nastoletniego gniewu.

– Ja zapłacę – powiedziałam, sięgając po torebkę. – Przyjechałeś tutaj samochodem i zapłaciłeś za bilety na pociąg... Nie musisz cały czas za nas płacić, wiesz?

Zignorował moje nalegania.

– Naprawdę, wszystko jest w porządku. – Wsunął kartę kredytową do skórzanej okładki na rachunek i podał ją kelnerowi.

– To chociaż się podzielmy – powiedziałam, wyjmując swoją kartę z portfela i machając nią do kelnera. Byłam zdeterminowana, żeby udowodnić Ethanowi, że nie tylko on ma pieniądze. Chciałam krzyknąć, że ja też odniosłam sukces! Ja również jestem Bardzo Ważną Osobą w niektórych kręgach! A przynajmniej Ważną Osobą. Ponad wszelką wątpliwość zaś jestem Osobą. – Proszę to wziąć – powiedziałam do kelnera.

– Nie – zaproponował Ethan, tym razem bardziej stanowczo. – Ja płacę.

– Nie rozumiem, dlaczego miałbyś za wszystko płacić – odparowałam, mrużąc oczy.

– Dlatego że to jest miłe?

– To dlaczego ja nie mogę zrobić również czegoś miłego? – wypaliłam, a potem obróciłam się do kelnera. – Proszę nie zwracać uwagi na tego pana – rzekłam, kiwając

głową w kierunku Ethana. – Proszę uregulować całość moją kartą.

– Czy mam wrócić za chwilę? – zapytał zdenerwowany kelner.

– Nie! – zawołaliśmy jednocześnie.

– To śmieszne – powiedział Ethan. – Musimy zdążyć na pociąg. Jeśli tyle to dla ciebie znaczy, to proszę bardzo, zapłać ten cholerny rachunek. Nie krępuj się.

– Dziękuję – powiedziałam wyniośle, starając się, żeby nikt nie zobaczył, jak bardzo mina mi zrzędnęła na widok kwoty nabitej na terminal, który podał mi kelner. Wprowadzając PIN, starałam się nie myśleć o aktualnym kursie wymiany walut.

– Dobra – odezwał się Charlie, zbierając torby. – To w drogę.

## Kiedyś

Gdy Ethan zobaczył ją po raz pierwszy, właśnie kłócił się z jednym z klientów. Mick Dewey znów wciskał mu kit, że dostał za mało reszty, i Ethan znów musiał mu wyjaśniać podstawy matematyki. Kątem oka dostrzegł ją opartą o bar. Kilka kosmyków przykleiło się jej do czoła, a skóra nad jej górną wargą nieznacznie błyszczała od potu. Rozglądała się wokół, jakby była w muzeum osobliwości, a nie w podrzędnej knajpie, na jej twarzy zaś malował się wyraz lekkiego zdumienia, który, jak Ethan wkrótce miał się przekonać, nigdy jej nie opuszczał. Dwie sprawy nie ulegały wątpliwości: była absolutnie zachwycająca i zupełnie nie pasowała do tego miejsca.

Ethan jednym skokiem znalazł się na drugim końcu kontuaru, żeby mu nie uciekła.

– Hej, a co z moją resztą? – zawołał Mick.

Ethan pokazał mu w odpowiedzi środkowy palec, co być może nie należało do gestów świadczących o najlepszym poziomie obsługi klienta, ale było standardowym rozwiązaniem w barach takich jak ten, gdzie barman stale musiał sobie radzić z zaczepnymi pijusami (których oczywiście uwielbiał co do jednego). Poza tym, kiedy chodził z Mickiem do liceum, ten zawsze go tłukł podczas gry w bejsbol, więc miło było teraz, dla odmiany, mieć nad nim trochę przewagi. Taki mały odwet.

– Hej – zagadnął piękną dziewczynę, opierając się o kontuar w sposób, który w zamierzeniu miał być swobodny, ale i zawadiacki. – Co będzie dla ciebie?

Podniosła wzrok, zaskoczona, i przez kilka sekund wpatrywała się w niego.

– Um... – wydusiła z siebie i Ethan zrozumiał, że sprawy nie idą najlepiej.

– Kobieta małomówna – powiedział. – To mi się podoba. – I zaraz sam sprzedał sobie kopniaka, bo zdawało mu się, że wyszedł na dupka. – Jestem Ethan. – Wyciągnął do niej rękę, czując się jak obwoźny handlarz, który właśnie sprzedał komuś odkurzacz.

Dziewczyna nadal wpatrywała się w niego, jakby wyciągnął skądś królika. Przez chwilę martwił się, że może pomyślała, że panujący w barze nieprzyjemny zapach pochodzi od niego. „To zmywarka!”, chciał krzyknąć. Cuchnie! Zmywarka i Mick Dewey, który uparcie wpatrując się w swoją dłoń, po raz piętnasty przeliczał resztę, poruszając bezgłośnie ustami. Dziewczyna jeszcze przez chwilę gapiła się na Ethana. To było okrutne, bo jego ręka wciąż wisiała w powietrzu. Lada chwila Dewey podniesie wzrok, zobaczy, jak Ethan dostaje kosza od tej ślicznotki, i będzie go tym prześladował do końca życia. Ethan nie mógł do tego dopuścić. Sięgnął przez kontuar i lekko trącił ją w ramię.

– Wszystko w porządku?

Dziewczyna otrząsnęła się i z powrotem skupiła na nim wzrok.

– Ruby – powiedziała, podając mu swoją delikatną dłoń. – Nazywam się Ruby.

– Super – odpowiedział. – Jak ta piosenka.

– Ooo, jasne – odparła, ale swoim niepewnym uśmiechem dała mu do zrozumienia, że nie ma pojęcia, o czym mówił.

Zazwyczaj Ethan kierował się zasadą, że nie umawia się z dziewczynami, które nie znają się na muzyce rockowej z lat sześćdziesiątych (potencjalna wybranka musiała również uwielbiać *Big Lebowskiego* i nie cierpieć Jeffa Koonsa), ale Ruby była tak

urocza, że postanowił przymknąć na to oko. Ten jeden raz.

– Jesteś stąd?

– Tak, urodziłam się tutaj i wychowałam – powiedziała tonem świadczącym o tym, że nie napawa jej to dumą.

– Ach tak? To dlaczego nigdy wcześniej cię nie widziałem?

Zgodnie z wiedzą Ethana każdy mieszkaniec Beechfield przynajmniej raz w życiu przekroczył progi baru Billy Jack's. Młodzi ludzie bez kasy przychodzili tu ze względu na tanie piwo, a bogaci po to, by zabawić się ich kosztem i poprawić sobie samopoczucie. Tym pierwszym to nie przeszkadzało, ponieważ od czasu do czasu jakiś bogaty dzieciak miał ochotę zagrać w bilard na pieniądze, a w tej grze bez problemu rozkładali go na łopatki. A nawet jeśli zdarzyło się, że nie wygrali, w ramach nagrody pocieszenia mogli przyłożyć bogaczowi.

Ethan należał do tych bez kasy.

Ruby wzruszyła ramionami.

– Jestem tutaj z powrotem tylko na wakacje – powiedziała. – Właśnie skończyłam Boston College i jesienią przeprowadzam się do Nowego Jorku, więc... właściwie jestem tu tylko przejazdem.

– Ale wychowałeś się tutaj? Mam na myśli Beechfield, a nie ten bar. – Czuł, że zaczyna się gubić. Nalał sobie trochę whisky. Zazwyczaj nie pił w pracy, ale rozmowa z nią wytrąciła go trochę z równowagi. – Jestem zdziwiony, że nigdy nie spotkałem cię w szkole albo gdzieś indziej.

– Chodziłam do County Day Prep – rzekła trochę zawstydzona.

– Ooo, dziewczyna z prywatnej szkoły. To wszystko wyjaśnia. Ja chodziłem do Beechfield High. Harty do boju! – Ethan zastanawiał się, co w ogóle wyprawia. Wydawało mu się, jakby zupełnie z boku przyglądał się, jak robi z siebie kompletnego idiotę, tyle że nie mógł temu zaradzić.

– No cóż, mój ojciec to Alec Atlas – powiedziała, jakby to wyjaśniało wszystko. Choć, prawdę powiedziawszy, tak właśnie było.

– Naprawdę? Słyszałem o nim.

Wszyscy słyszeli o Alecu Atlasie. Na każdej ławce, tablicy i witrynie w miasteczku widniał plakat przedstawiający tego właśnie człowieka unoszącego się z lampy dzina. ALEC ATLAS: TWOJE ŻYCZENIE JEST DLA MNIE ROZKAZEM. W całym miasteczku pełno było Atlas Specials, czyli luksusowych osiedli z miniposiadłościami noszącymi nazwy w stylu Szepczące Sosny czy Weneckie Sny. W ciągu minionych dziesięciu lat wyrosły na miejscu niemal każdego pola, sadu czy lasku w Beechfield ku niezadowoleniu wielu starszych mieszkańców, w tym ojca Ethana.

– Taak, każdy słyszał o moim ojcu – powiedziała i wyglądało na to, że nie jest z tego zadowolona.

Ethan rozumiał ją: wiedział, jak się żyje w cieniu własnego rodzica w małym miasteczku.

– Czego miałabyś ochotę się napić? – zapytał. – Na koszt firmy.

– Och, nie musisz tego robić. – Zacerwieniła się lekko, co Ethanowi wydało się czarujące.



– To jedyna korzyść z tej pracy.

– No to zgoda... Poproszę whisky. Niech będzie burbon.

– Dziewczyna, która pije burbona, co? To mi się podoba. – Nalał jej, nie żałując, a ona upiła łyk i skrzywiła się... Jednak nie była aż taką koneserką burbona. – Dolać ci do tego coli?

– Tylko trochę – powiedziała z ulgą.

– Hej, Ethan? Kogo muszę przelecieć, żeby się czegoś tutaj napić?

Ethan podniósł wzrok i zobaczył Charliego Armstronga, który opierał się o kontuar i machał do niego.

– Może zacznij od siebie? – odkrzyknął.

Usiłował posłać Charliemu wymowne spojrzenie – takie, które mówiłoby: „Chyba rozmawiam z kobietą moich marzeń, więc odchrzań się” – ale Charlie jak zawsze nie załapał. Byli przyjaciółmi od zawsze i Ethan kochał go jak brata, mimo że przez większość czasu Charlie doprowadzał go do szaleństwa.

– No, stary, umieram z pragnienia! – Charlie złapał się za gardło i udał, że mdleje, potrącając Micka Deweya.

Ethan, który liczył szkockie wypite przez Deweya, wiedział, że gość był niebezpiecznie blisko wszczęcia bójki: musiał wkroczyć, żeby Charlie nie umarł, i to nie z pragnienia...

Obrócił się do Ruby z przepaszającym uśmiechem.

– Przepraszam, zaraz wracam. Nie odchodź nigdzie, okej?

– Nie zamierzam – powiedziała, uśmiechając się nad brzegiem szklanki.

I w tym momencie Ethan pomyślał, że może mu się z nią udać. Przynajmniej miał taką nadzieję.

Teraz

Wsiedliśmy do pociągu z plastikowymi reklamówkami pełnymi jedzenia i butelek wody, które kupiliśmy w Marks & Spencer, i zajęliśmy miejsca. Charlie, Piper i Armstrongowie usiedli wokół stolika, wobec czego dla mnie i Ethana zostało ciasne, dwuosobowe siedzenie. Usadowiliśmy się ostrożnie, tak aby przypadkiem się nie dotknąć. Upewniwszy się, że wszystko w porządku, Ethan zaczął wyglądać przez okno, zupełnie mnie ignorując. Przemknęliśmy przez londyńskie przedmieścia pełne szarych i czerwonych domów w małych ogródkach, które ustąpiły wiejskiemu krajobrazowi równo rozciągających się zielonych pól, na których od czasu do czasu można było dostrzec stado owiec. Z tego, co od czasu do czasu udało mi się zobaczyć zza głowy Ethana, wywnioskowałam, że widoki były piękne, ale zmusiłam się do czytania kryminału, który kupiłam na lotnisku. W końcu usnęłam ukołyszana stukotem kół.

Obudziłam się, kiedy Ethan niezbyt delikatnie odsuwał moją głowę ze swojego ramienia.

– Już prawie jesteśmy – powiedział dość nieuprzejmie. – Czas się obudzić.

– Przepraszam – wymamrotałam.

Dotarło do mnie, że prawdopodobnie spałam przez kilka godzin, a wnioskując po powściągliwym zachowaniu Ethana i, co znacznie gorsze, po wilgotnej plamie na jego koszuli, większość tego czasu spędziłam wtulona w jego ramię. Zerwałam się na równe nogi i zaczęłam zbierać śmieci, które nagromadziły się pod moim fotelem w trakcie podróży.

– Zaraz będziemy na miejscu! – powiedziałam, nachylając się w kierunku stolika, wokół którego wszyscy czterej obecni i przyszli Armstrongowie spali z otwartymi ustami.

Barbara obudziła się niemal przerażona.

– Co mnie ominęło? – zapytała, wyglądając przez okno, za którym rozciągał się widok na kolejne zielone pole usiane pasącymi się owcami.

– Nic – powiedział Charlie, przeciągając się. – Sama trawa. Która godzina?

– Dochodzi osiemnasta – odpowiedział Ethan. – Wysiadamy na następnym postoju, więc zbierzmy nasze bagaże.

Pociąg zatrzymał się na stacji, skrzypiąc, i nasza szóstka wytoczyła się na peron. Nadal było jasno, a niebo błękitniało, ale na północy powietrze było ostrzejsze. Na końcu peronu stał mężczyzna o rumianej twarzy w odrobinę za małym garniturze. Uśmiechał się, trzymając w rękach kartkę, na której widniało nazwisko „Bailey”.

– Och, Ethan, co ty znów wymyśliłeś? – zapytała Barbara, a jej twarz zaróżowiła się z zachwyty.

– Pomyślałem, że łatwiej będzie wynająć kierowcę na tydzień, niż wynajmować samochód – odparł Ethan.

– Tylko spójrz na jego czapkę! Czyż nie wygląda uroczo?

– Ty pewnie jesteś Ethan? – zapytał mężczyzna, wyciągając do niego dużą spracowaną dłoń. – Nazywam się Victor, ale mówcie do mnie Vic. Komu pomóc z bagażem? – Wziął od Barbary jej napakowaną torbę od Very Bradley i przewiesił ją sobie na ramieniu, nie czekając na odpowiedź. – Proszę za mną – powiedział, kierując się

na parking.

– Do zobaczenia, Vic – zawołał mężczyzna palący papierosa przed głównym wejściem.

– Na razie, Carl. Nadal wiesz mi dychę za bilety na Toma Jonesa, które ci kupiłem!

– Tak, upominasz się już o to od miesiący, a ja od miesiący stawiam ci piwo i mówię, że jesteście kwita!

– Piwo to nie dycha. To gest przyjaźni, ty draniu! – Obaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem, a Vic zaprowadził nas do ogromnego czarnego SUV-a, podczas gdy Barbara rzucała nerwowe spojrzenia w kierunku Carla.

– To nie było miłe, że nazwał Carla draniem – wyszeptała do Ethana.

– Myślę, że żartował – odparł. – Wezmę pani walizkę, musi być pani bardzo zmęczona. – Zaniósł walizkę do samochodu i wpakował ją z pozostałymi do bagażnika, następnie bez słowa sięgnął po moją.

– Poradzę sobie – powiedziałam i chociaż wyraźnie poczułam, że coś strzeliło mi w kolanie, kiedy podniosłam torbę, nie dałam tego po sobie poznać.

Barbara rozsiadła się na siedzeniu w samochodzie.

– Oooh, takim samochodem podróżuje Karol z Camillą.

– To prawda, mówili o tym w filmie dokumentalnym, który widzieliśmy – rzekł Bob, zapinając pasy. – Wyglądają na sympatyczną parę.

– No cóż, nikt nigdy nie zastąpi Diany, a ja mu nigdy nie wybaczę, że...

– Jak długo będziemy jechać do hotelu? – przerwała im Piper. Podejrzewam, że w ramach przygotowań do ślubu słyszała już wszystkie przemyślenia Barbary na temat księżnej Diany, i to przynajmniej kilkakrotnie. – Umieram z głodu, a moja skóra dosłownie się marszczy. Potrzebuję się nawodnić, i to na wczoraj.

– Niedługo, jakieś trzy kwadransy, ale myślałem, że pojedziemy malowniczą trasą – powiedział Vic. – Piękne wiejskie krajobrazy, do tego kilka zamków.

– Powiedziałaś „kilka zamków”? – dopytywał Bob, pochylając się do przodu. – Chcesz powiedzieć, że w okolicy jest więcej niż jeden zamek?

– Jest ich całe mnóstwo! – odparł, śmiejąc się gromko. – Gdzie się nie ruszysz, tam zamek! To dlatego, że jesteśmy przy granicy. Zawsze trafiał się ktoś, kto chciał nas najechać. Powodzenia.

– Malownicza trasa zapowiada się wspaniale – powiedział Ethan. – Piper, mam w torbie butelkę wody, jeśli chcesz?

– W porządku, nie trzeba – odpowiedziała, ale z tonu jej głosu wywnioskowałam, że było wręcz przeciwnie i że przyjdzie nam jeszcze za to zapłacić.

Vic okazał się nie rzucać słów na wiatr. Co pięć minut wołał: „Zamek!”, wskazując na coś, co przypominało walącą się skałę niebezpiecznie przycupniętą tuż obok drogi lub niewyraźny zarys wieży oddalanej o kilka kilometrów. „I następny!”.

– To jakieś zamkowe bingo – mruknęłam, kiedy przejechaliśmy koło czwartego zamku, i wbrew sobie byłam zadowolona, widząc, że Ethan uśmiechnął się półgębkiem.

W końcu samochód zajechał przed imponującą posiadłość z piaskowca z portykami i pięknymi żłobkowanymi kolumnami. Wysokie okna były w większości ciemne, choć niektóre przysłonięto ozdobnymi roletami. Przed budynkiem znajdował się

wypielegnowany trawnik, na którym znajdowały się klomby z różowymi różami i purpurowym geranium.

Wysiadłam i zaczęłam rozprostowywać zeszywniałe nogi. Oczy piekły mnie po podróży, ale zdołały otworzyć się szeroko ze zdziwienia na widok ogromu tego wszystkiego.

– Czy to kolejny zamek?

– Co? To tutaj? – Vic wyciągnął moją walizkę z bagażnika i postawił ją koło mnie.

– Nie, skarbie, to przecież Bugle Hall! Jak na te strony to nowe budownictwo, zaledwie z osiemnastego wieku.

Chwilę zajęło mi przyswojenie pomysłu, że cokolwiek z osiemnastego wieku może uchodzić za praktycznie nowe, podczas gdy reszta wytaczała się z samochodu, prostowała nogi i dziwiła się na widok ogromnej posiadłości. Nawet Ethan, który sam pewnie miał dom wielkości tankowca, wydawał się być pod wrażeniem. Vic zaczął zanosić nasze bagaże do lobby, gdzie czekała już kobieta o niebieskich włosach, ubrana w spódnicę w szkocką kratę i bluzkę zapiętą pod samą szyję.

Vic zwrócił się do nas z uśmiechem.

– Dobrze, jesteście na miejscu, wszystko załatwione, więc będę się zbierał, chyba że jeszcze czegoś ode mnie potrzebujecie?

– Wielkie dzięki, ale wydaje mi się, że już sobie poradzimy. Mam twój numer w razie czego. – Ethan podał Vicowi rękę, wkładając mu równocześnie w dłoń duży purpurowy banknot.

– Dziękuję bardzo! Do zobaczenia!

Kobieta o niebieskich włosach, czyli, jak się okazało, pani Willocks, która nie omieszkała nas kilkakrotnie zapewnić, że zarządza wszystkim silną ręką, zaprowadziła każdego do jego pokoju, informując, że mamy trochę czasu, by „odświeżyć się”, zanim „herbata zostanie podana w salonie”. Każde jej wyrażenie powodowało u Boba i Barbary coraz większe paroksyzmy zachwytu i niebawem udało im się ją przekonać, by opowiedziała o wszystkich portretach wiszących w holu, podczas gdy oni doszukiwali się w nich śladów rodzinnego podobieństwa. (Przed wyjazdem do Anglii Barbara pobieżnie sprawdziła drzewo genealogiczne swojej rodziny, dzięki czemu oboje byli przekonani, że pochodzą bezpośrednio od Wilhelma Orańskiego).

Wykorzystałam zamieszanie, żeby wymknąć się do swojego pokoju – przypadł mi oczywiście najmniejszy, usytuowany na samej górze w dawnych kwaterach dla służby – i zabrać się do przygotowań. Ponieważ żyjemy w nowoczesnych czasach, a ja jestem nowoczesną kobietą, wiedziałam, od czego zacząć. Wyciągnęłam telefon i wymachiwałam nim, aż znalazłam zasięg, a potem wpisałam w wyszukiwarkę nazwisko: Ethan Bailey. Oczywiście, że już nieraz go sprawdzałam, ale teraz potrzebowałam dokładniejszych informacji. Potrzebowałam przeprowadzić dokładne śledztwo za pomocą Google'a.

Zostałam dosłownie zalana wynikami – wszystkie wychwalające jego liczne zalety. Przejrzałam artykuł w „New York Magazine” i wzmianki w AP Wire, zapoznałam się z jego profilem na stronie firmowej – „Ethan Bailey, powszechnie uznawany za wiodącego projektanta nowych technologii swojego pokolenia, w 2006 roku założył firmę

Albion, gdzie obecnie kieruje działem ds. rozwoju” – aż w końcu przeszłam do mediów społecznościowych. Zawartość jego strony na Facebooku była dostępna tylko dla znajomych – spryciarz – ale jego konto na Twitterze było publiczne. Na zdjęciu profilowym uśmiechał się pewnie do obiektywu, ubrany w kolejny drogi garnitur. Większość jego postów zawierała linki do artykułów na temat technologii lub wiadomości dotyczące Albionu, ale od czasu do czasu pojawiała się jakaś bardziej osobista informacja – „Miło było cię poznać” lub „Przykro mi, że nie odebrałem telefonu od ciebie” lub, raz, „Świetnie się z tobą bawiłem wczoraj w nocy. Może niedługo jakaś kolacja?”. Zagłębiłam się w meandry Twittera i teraz usilnie wpatrywałam się w maleńkie zdjęcia kobiet, z którymi, być może, Ethan sypiał. Znienawidziłam je wszystkie od pierwszego wejrzenia.

Byłam w połowie artykułu, w którym opisywano związki Ethana ze Steve’em Jobsem, kiedy ktoś zaczął walić w moje drzwi.

– Ruby! – zawołała Piper. – Co ty tam wyrabiasz? Tata i Candace przyjechali i wszyscy czekamy tylko na ciebie!

– Idę, idę! – wychrypiałam.

Pochyliłam się nad umywalką, która znajdowała się w pokoju, a nie w przyległej łazience, i opłukałam sobie twarz zimną wodą. Zobaczyłam swoje odbicie w lustrze i skrzywiłam się: opuchlizna po locie trochę zdążyła ustąpić, ale moje oczy wciąż były przekrwione, a pod nimi malowały się sińce. Poklepałam się po policzkach w nadziei, że poprawi mi to krążenie, ale nadal wyglądałam jak śmierć, tyle że lekko zaróżowiona. Nie było mowy, żebym mogła konkurować z tymi kobietami z Twittera, przynajmniej nie w tym stanie. Westchnęłam i zesłam na dół.

Armstrongowie poważnie potraktowali sugestię, żeby się odświeżyć: Bob miał na sobie beżowy lniany garnitur, a Barbara szykowny kostium. Oboje niezręcznie trzymali na kolanach filiżanki ze spodeczkami. Piper, przebrana w modne spodnie do jogi Lululemon i kaszmirowy sweter z markową torebką u boku, sprawdzała coś na swoim iPhone.

– Powiedziała mi, że mają tu wi-fi – syknęła. – Jak mam rozpropagować nasz weselny hashtag, skoro nie mogę nawet używać Twittera?

Tymczasem na aksamitnej otomanie, otoczeni bagażami niczym murem obronnym, przycupnęli mój ojciec i macocha.

– Cześć, prymusko! – zawołał tata na mój widok. Wstał ciężko i przytulił mnie.

– Jak się ma moja dziewczynka? Wyglądasz świetnie!

– Kłamiesz – powiedziałam. – Ale kupuję to.

Zajął mi chwilę, zanim mój wzrok przyzwyczał się do jego wyglądu. Był bardzo, bardzo pomarańczowy, zresztą jak zawsze odkąd przeprowadził się na Florydę, żeby „żyć snem”. W rzeczywistości był to raczej koszmar. W połowie lat dziewięćdziesiątych, unosząc się na fali sukcesu luksusowych osiedli w Beechfield, mój ojciec pił cały czas koolaid i wykupił tyle Orlando, ile tylko był w stanie: całe kilometry osiedli w nadziei na stały napływ młodych ludzi, chętnych emerytów i łatwych pieniędzy. Po załamaniu się rynku nieruchomości ojciec i Candace przeprowadzili się do jednego z niewielu niezajętych przez bank parterowych domów w Clearwater, który z uporem nazywali

Grotą Botticellego. Nie mogłam sobie wyobrazić wielkiego malarza renesansu na ranczu ozdobionym blad różowym stiukiem, ale wiedziałam, kiedy należy trzymać język za zębami. Przynajmniej czasem.

– Dla mnie zawsze jesteś piękna. Ty i twoja siostra jesteście moimi oczkami w głowie. Candace oczywiście też. Prawda, cukiereczku?

Candace posłała mu zdawkowy uśmiech. Moja macocha, również pomarańczowa, przyswoiła sobie estetykę rodem z Miami, w duchu której przywdziała połyskujące purpurowe legginsy i wyciętą bluzkę w liście palmowe oraz buty na tak wysokim obcasie, że jej stopy były ułożone niemal pionowo. Kiedy zaczęła się spotykać z moim ojcem, była przepiękna: same nogi, biust i falujące włosy, których tak bardzo jej zazdrościłam. Nadal wyglądała wspaniale, ale nabrała pewnej miękkości – rysy twarzy straciły wyrazistość, a talia nie była już taka wiotka.

Ale w oczach mojego ojca nadal była królową balu.

Ojciec podciągnął swoje kraciaste szorty i wzruszył ramionami.

– Jest trochę zła, bo zgubiliśmy się nieco po drodze.

– Alec, byliśmy już w połowie drogi do Glasgow!

– Zrobiliśmy sobie małą wycieczkę! – powiedział z uśmiechem. – Dobrze się przecież bawiliśmy, cukiereczku?

Candace westchnęła i uściskała mnie.

– Twój ojciec kiedyś mnie zabije. Jak się masz, skarbie? Wyglądasz na trochę zmęczoną. Znow się przepracujesz w tej swojej agencji?

Tata lekko szturchnął mnie w ramię, o mało nie wywracając Candace.

– Nie ma nic złego w ciężkiej pracy, co?

Uśmiechnęłam się słabo.

– Naprawdę nic mi nie jest – powiedziałam, uwalniając się z objęć pachnących Poison. Nigdy nie przyzwyczałam się do kalifornijskiej czułości Candace, mimo że była moją macochą od niemal dwudziestu lat. – Po prostu jeszcze nie zaaklimatyzowałam się w tej strefie czasowej. A jak wy się macie? Jak wasza podróż?

– O Boże – odparła Candace, wyrzucając ręce do góry. – To był absolutny koszmar. Mieliśmy trzy przesiadki! Trzy! W którymś momencie znaleźliśmy się w Dubaju, zupełnie nie wiedząc czemu. A twój ojciec zapomniał swoich leków na serce...

– Tato!

Zasłonił się rękami.

– Wszystko w porządku! Naprawdę! Zamierzałem odstawić je na jakiś czas, bo czuję się po nich jak wariat.

– Z pewnością nie powinieneś odstawiać ich znienacka! – powiedziała Candace.

– Hej, jestem twardzielem – powiedział, uderzając się w klatkę piersiową. – Ta stara pikawa nie przysporzy mi żadnych problemów, tyle mogę wam obiecać. Jestem w lepszej formie niż wtedy, kiedy się poznaliśmy!

Spojrzałam na jego brzuch nieznacznie zwisający nad paskiem.

– Pewnie uda ci się dostać lekarstwa tutaj – powiedziałam. – Może twój lekarz mógłby zadzwonić do tutejszej apteki?

– Ruby, czuję się dobrze – zapewniał, przybierając poważny ton.

Uniosłam tylko brew, a on znów szturchnął mnie w ramię, tym razem mocniej, i posłał mi jeden z tych swoich uśmiechów Aleca Atlasa, któremu nikt nie mógł się oprzeć, a potem zmienił temat:

– A co u ciebie w pracy? Wykańczasz ich tam?

– Staram się, tato.

– To dobrze, to dobrze.

Piper, która do tej chwili siedziała cicho, spojrzała znad swojego telefonu, marszcząc brwi.

– Jaki emotikon mam dodać, jeśli chcę powiedzieć, że „żyję pełnią życia”?

– Jak ci idzie gra w golfa, Bob? – zapytał ojciec, przepychając się obok mnie i siadając na fotelu koło poważnie zaniepokojonego obrotem spraw pana Armstronga.

– Nadal jesteś postrachem pola? – Zarechotał i klepnął Boba po plecach, a mnie naszły obawy, że tak jowialne zachowanie doprowadzi do oskarżenia o napaść, jeszcze zanim nasz pobyt tutaj się skończy.

– Prawdę mówiąc, mój handicap obniżył się ostatnio o kilka punktów – powiedział Bob, usztywniając się.

– Naprawdę? Chyba pozwalają ci grać na polu dla dzieci! Ha, ha!

– Bob i ja wygraliśmy turniej dla par Spring Fling – wtrąciła się Barbara, kładąc opiekuńczo dłoń na udzie męża. – Dostaliśmy identyczne blezery.

– Jak słodko! – wtrąciła Candace w nadziei załagodzenia całej sprawy, choć wnioskuje z wyrazu twarzy Barbary, zupełnie jej się to nie udało.

– To naprawdę coś – rzekł tata. – A jak się mają sprawy w klubie? Radzicie sobie w ogóle beze mnie?

Jedną z największych zniewag, jakich mój ojciec doświadczył w swoim życiu, było wyrzucenie go z Beechfield Country Club, kiedy to podczas kryzysu nie był w stanie uiścić składek. Podczas swojego ostatniego wieczoru w klubie wygłosił płomienne przemówienie na trawniku i spalił swoją kartę członkowską, ale wiem, jak bardzo go to zabolalo. W moich oczach wyglądało to jak wyrzucenie nastolatki z drużyny cheerleaderek: szybkie, brutalne i unicestwiające towarzysko.

– W klubie wszystko w porządku. Mamy nową saunę.

Bob był członkiem zarządu klubu i zaciętym obrońcą jego zasad i tradycji – nawet jeśli oznaczało to, że trzeba było wyrzucić przyszłego teścia jego syna. Mój ojciec nie zapomniał mu tego i wyglądało na to, że również mu nie wybaczył.

– Słyszałem, że w tych saunach aż roi się od bakterii. Lepiej uważaj na siebie, Bob, bo możesz usiąść na czymś i tego pożałować.

– Zaraz, zaraz...

– Może zanieście swoje torby do pokoju i zdrzemniecie się trochę? – Pomogłam ojcu podnieść się z fotela i skierowałam go wraz z Candace ku drzwiom. – Musicie być wykończeni po tych wszystkich perypetiach.

– Masz absolutną rację – powiedziała Candace, patrząc na mnie z wdzięcznością.

– Mówiłam ci, że niemal zajechaliśmy do Glasgow?

– Pozwól, że ci z tym pomogę.

Wzięłam bagaż ojca i zdecydowanie popchnęłam go w kierunku schodów. Zwróciłam uwagę, że szef na walizce od Louis Vuittona nie był oryginalny. Jeszcze kilka lat temu Candace prędeż by umarła, niż dała się przyłapać z podróbką. Najwyraźniej na Florydzie nadal nie było różowo.

– To zdecydowanie muszą być ręce złożone do modlitwy. – Usłyszałam jeszcze głos Piper, wciągając ciężką walizkę po schodach. – Kimberly oszaleje, kiedy przeczyta ten post na Facebooku.



## Kiedyś

Ruby rozchyliła zasłony i wyjrzała przez okno. Dzień był gorący, jeden z długiego ciągu dusznych dni, podczas których asfalt zaczyna się topić, a zapach spalin unosi się w powietrzu, ale godzinę wcześniej przeszła burza i podjazd był jeszcze mokry od deszczu. Powietrze pachniało świeżo ściętą trawą. Na końcu podjazdu latarnia roztaczała żółte światło, ale poza nią było ciemno.

Ruby wystroiła się na tę okazję w swoją ulubioną letnią sukienkę w stylu vintage, którą kilka lat wcześniej upolowała w sklepie z odzieżą używaną w Bostonie. Słonecznożółta, dopasowana w talii, z rozkloszowaną spódnicą – była znacznie bardziej dziewczęca niż inne ubrania Ruby i na ten wieczór wydała się jej idealna. Wyglądała przez okno już od dwudziestu minut, mimo że Ethan miał przyjść dopiero o dwudziestą. Nie mogła się powstrzymać. Nie mogła się doczekać.

W końcu usłyszała zbliżający się dźwięk silnika i dostrzegła światła wjeżdżającego na podjazd samochodu. Jej ojciec nagle stanął obok niej, żeby zobaczyć, na co patrzyła.

– Czy to syn Billa Baileya? – zapytał, kiedy Ethan wysiadł z samochodu i oboje patrzyli, jak idzie do drzwi.

– Nie wiem, kim jest jego ojciec, ale on ma na imię Ethan.

– Hmm – zamruczał, widząc, że Ethan przypadkowo nadepnął na geranium. – Wygląda na to, że to syn Billa.

Ruby otworzyła drzwi i jej oczom ukazał się Ethan w białym podkoszulku i spranych dżinsach, uśmiechający się do niej swoim krzywym uśmiechem.

– Hej – przywitał się, a serce Ruby poszybowało w górę.

– Ty musisz być Ethan! – Ojciec Ruby przepchnął się przed córkę, wyciągając dłoń. – Jestem Alec Atlas, ojciec Ruby.

– Miło mi pana poznać – powiedział Ethan, ujmując podaną mu dłoń. – Wiele o panu słyszałem.

– Mam nadzieję, że same dobre rzeczy! – odparł, siląc się na uśmiech. – Wiem, że oboje jesteście dorośli, ale Ruby jest moją małą dziewczynką...

– Tato, mam dwadzieścia jeden lat, nie dwanaście – przerwała mu Ruby. Usłyszała nerwowość w swoim głosie i znienawidziła się za to.

– Wiem, wiem, po prostu jestem twoim starym, nadopiekuńczym ojcem. – Ruby zastanawiała się, dlaczego tak łatwo było mu zrezygnować z tej cechy, kiedy w dzieciństwie zostawiał ją i Piper same w domu z filmami wideo i pizzą, a sam chodził na randki z całym mnóstwem długonogich blondynek, ale ugryzła się w język.

– Niczego nie musi się pan obawiać z mojej strony – zapewnił Ethan. – Zatrąszczę się o nią należycie, obiecuję. – Ethan puścił oko do Ruby, kiedy jej ojciec nie patrzył, a ona posłała mu szelmowski uśmiech.

– Miło mi to słyszeć. Jesteś synem Billa Baileya, prawda?

– Zgadza się – odpowiedział Ethan.

– Miły z niego gość. Powiedz mu, że jak się w końcu zdecyduje sprzedać swój stary dom, to niech do mnie zadzwoni. Znam kilku deweloperów, którzy kupią tę działkę za niemałe pieniądze.

– Ta ziemia należy do naszej rodziny od pięciu pokoleń, więc nie sądzę, żeby chciał się jej pozbywać, przynajmniej nie w najbliższej przyszłości – odpowiedział Ethan nadal spokojnym głosem.

– Cóż, nigdy nie wiadomo, co przyszłość przyniesie, więc po prostu przekaz mu moją wiadomość wraz z pozdrowieniami.

– Oczywiście, proszę pana.

– Nie będę już was dłużej zatrzymywał. Bawcie się dobrze i uważajcie na siebie!

– Cześć, tato – powiedziała Ruby, łapiąc Ethana za rękę, żeby uciec do samochodu.

– Nie zapomnij przekazać tego ojcu! – zawołał jej ojciec za nimi.

Ethan pomachał ręką na znak, że słyszał, ale już się nie odwrócił.

– O rany – powiedział, kiedy byli już w bezpiecznej odległości od domu Ruby.

– Czy on zawsze taki jest?

– Chodzi ci o to, że wszędzie węszy interes? Tak. – Przypomniała sobie o wysokim ciśnieniu ojca i poczuła się winna. – Ale ma dobre intencje.

– Na pewno – odparł. – Tyle że w przypadku mojego ojca źle trafił. Zawsze mówił, że Beechfield opuści dopiero nogami do przodu, i nie słyszałem, by zmienił zdanie.

– Szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby to miało powstrzymać mojego ojca.

Ethan zawiózł ich do małej włoskiej knajpki nad rzeką.

– Może nie ma tu na co popatrzeć – powiedział, wzruszając ramionami – ale jedzenie jest dobre.

Kiedy weszli do środka, wszyscy powitali Ethana po imieniu. Postawna kobieta o czerwonych, farbowanych włosach ruszyła ku niemu i porwała go w objęcia.

– Nie widziałam cię całe wieki! Gdzie się ukrywałeś? Tylko spójrz na siebie! Zmizerniałeś! Czy ten twój ojciec w ogóle cię nie karmi? Zamienię z nim parę słów, niech no tylko go spotkam.

– Od dawna sam się karmię, June – odparł Ethan z uśmiechem.

– Wiem, wiem, że jesteś dorosły, ale nic mnie to nie obchodzi. Dla mnie zawsze będziesz małym chłopcem, który nasikał na moje róże. Pamiętasz to? Boże, myślałam, że cię zabiję! Ale wtedy popatrzyłeś na mnie tymi swoimi wielkimi oczami i powiedziałeś, że „pomogłeś kwiatkom” i, och, zmiękczyłeś moje serce. Byłeś strasznie słodki. – Jej wzrok spoczął na Ruby. – A to kto? Czy to twoja dziewczyna? Ethanie Bailey, nie wiedziałam, że masz dziewczynę! Do tego taką ładną! Nie waż się złamać mu serca, moja panno – powiedziała, grożąc palcem oszołomionej Ruby. – Nie chciałabym musieć cię zabić.

– Ciociu June...

– Żartowałam! Oczywiście, że żartowałam! Wchodźcie i zjedzcie jakąś kolację! Oboje wyglądacie, jakbyście głodowali! – Wzięła Ruby za łokieć i zaprowadziła do stolika. – Wcale nie żartowałam – rzekła niskim głosem, odsuwając dla niej krzesło.

Ruby spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami i pokiwała głową.

– Przepraszam cię za to – powiedział Ethan, kiedy June zniknęła w kuchni. – Ona jest trochę... nadopiekuńcza wobec mnie.

– W porządku – odpowiedziała Ruby. – To właściwie było słodkie. Czyli ona jest twoją ciotką?

– Nie jesteśmy ze sobą spokrewnieni, nic z tych rzeczy, ale tak, właściwie jest moją ciotką.

– Aha, rozumiem.

– Mam wiele przyszywanych cioć w tym miasteczku. Jestem chodzącym potwierdzeniem przysłowia, że potrzeba całej wioski, by wychować dziecko. Moja mama... właściwie nigdy jej przy mnie nie było. – Nastąpiła chwila ciszy. – W każdym razie przepraszam. Koniec z ciężkimi tematami.

– Przykro mi – szepnęła Ruby.

– Kto jest gotowy na *antipasti*? – Ciotka June zjawiała się nad nimi, trzymając ogromny półmisek wędlin, serów i oliwek. Postawiła go z rozmachem na środku stołu obok koszyka z chlebem. – Mam nadzieję, że jesteście głodni – powiedziała. – Przyniosę jeszcze pieprz.

– Jak u diabła mamy to zjeść – westchnęła Ruby.

Jej sukienka była trochę ciasna – kim były te kobiety z przeszłości o taliach osy? – i Ruby obawiała się, że nie przetrwa takiej ilości szynki parmeńskiej.

– To dopiero przystawka – powiedział Ethan, zawijając kawałek parmezanu w plasterki prosciutto. – Będą kolejne dania.

– Proszę bardzo! – Ciotka June powróciła z młynkiem do pieprzu wielkości kija bejsbolowego. Szczodrze przyprawiła przekąski znajdujące się na talerzu i uszczypnęła Ethana w policzek. – Ależ ty jesteś uroczy! – powiedziała, mrugając do nich obojga porozumiewawczo, zanim na powrót zniknęła w kuchni. – Dajcie znać, gdybyście potrzebowali więcej chleba! – zawołała przez ramię. – Biorę się teraz za waszą rybę!

Ruby odłamała kawałek chleba i położyła na nim plasterki sera.

– Ile czasu pracujesz jako barman?

Wzruszył ramionami.

– Od jakichś trzech lat.

– I... podoba ci się to?

Nie była pewna, czy można o to zapytać tak, by nie wyszło, że traktuje go protekcjonalnie. Wnioskując po wyrazie jego twarzy, nie było takiej możliwości.

– No – odpowiedział. – Bardzo to lubię. Mogę spędzać czas z przyjaciółmi i jeszcze mi za to płacą, a w dodatku w ciągu dnia mogę robić to, na co mam ochotę. Ciężko nie lubić tej pracy.

– A co chciałeś robić wcześniej?

– W twoich ustach brzmi to, jakbym miał jakiś wypadek, po którym nadaję się tylko do pracy w barze – powiedział, śmiejąc się.

Zaczerwieniła się.

– Przepraszam, nie to miałam na myśli, po prostu... musi być coś, co chciałbyś robić oprócz bycia barmanem, prawda?

– W tej chwili nie. – Odgryzł kawałek chleba i zaczął go żuć w ramach strategii obronnej. – Wiem, że ani dla ciebie, ani dla twoich znajomych, ani dla twojego ojca nie jest to żadna kariera, ale ja jestem zadowolony.

– Wydaje mi się, że czynisz wiele krzywdzących założeń – powiedziała, upijając łyk wina i przelżykując je z zaciśniętymi zębami.

Bycie córką Aleca Atlasa nie było usłane różami – wszystkie te reklamy, z których szczerzył się do potencjalnych klientów... W dodatku w zależności od pory roku miał na głowie inny kapelusz: kapelusz czarownicy, pielgrzyma, Świętego Mikołaja, Abrahama Lincolna, trikorn – jako dziecko potrafiła określić, jakie święta się zbliżały, po tym, w jakim nakryciu głowy jej ojciec występował w lokalnej gazecie. Bez wątpienia odniósł sukces, dzięki któremu Ruby miała zapewnioną prywatną edukację i samochód na szesnaste urodziny. Ale Ruby jak nikt inny zdawała sobie sprawę, jak ciężko na ten sukces zapracował, i w przeciwieństwie do swojego ojca wiedziała doskonale, jak był postrzegany w ich małym miasteczku. Wiedziała, że w klubie mówili na niego „dziany Atlas”, ponieważ czuli od niego zapach pieniędzy. Jak się kiedyś dowiedziała od kolegi, z którym była w parze na zajęciach laboratoryjnych, a który należał do miejscowej arystokracji, ponieważ jego przodkowie faktycznie byli pielgrzymami, jej ojciec płacił w klubie składki dwukrotnie wyższe niż pozostali członkowie.

– A co? Chyba nie powiesz mi, że twój ojciec jest zachwycony, że poszłaś na randkę z barmanem? – zapytał. – Widziałem, jak na mnie patrzył. Jakbym był jakimś dostawcą.

– Powinnam już iść – powiedziała, opróżniając kieliszek, i odsunęła krzesło z hałasem.

To był błąd, dopiero teraz to dostrzegła. Co ona w ogóle robiła w tym miejscu z przypadkowym – choć niezwykle przystojnym – miejscowym gościem? Za dwa miesiące przeprowadzała się do Nowego Jorku! Nowy Jork – miasto pełne przystojnych i elokwentnych mężczyzn, którzy używali takich słów jak... jak elokwentny! Którzy robili kariery! I mieli eleganckie mieszkania! I buty z prawdziwej skóry! Wstała i sięgnęła po torebkę.

– Do widzenia – rzekła.

Dogonił ją, kiedy była już na parkingu.

– Jak zamierzasz wrócić do domu? – zadał jej pytanie, które przed chwilą jej samej przyszło na myśl.

– Na piechotę – powiedziała, wskazując na dwupasmową autostradę bez pobocza, która stanowiła jedyną drogę do domu.

– To trochę niebezpieczne – stwierdził. – Pozwól, że przynajmniej cię odwiozę.

– Dziękuję, nie trzeba. Bez problemu trafię do domu sama. Mieszkałam w Bostonie, więc myślę, że poradzę sobie w Beechfield.

– Ooo, mieszkałaś w Bostonie, co? W wielkim mieście pełnym świateł! Słyszałem, że mają tam muzeum i w ogóle!

Przewróciła oczami.

– Spójrz, naprawdę się nie dogadujemy, więc przyznajmy, że się nie zgadzamy, pożegnajmy się i miejmy nadzieję, że już się więcej nie zobaczymy. Okej?

– Jasne – powiedział. – Jak tylko odwiozę cię do domu w jednym kawałku. Chodź – powiedział, prowadząc ją za łokieć do samochodu. – Obiecuję, że nie będziemy musieli rozmawiać. Po prostu nie chcę mieć cię na sumieniu, jeśli coś cię rozjedzie. Nawet jeśli jesteś dziewczyną z wielkiego miasta, która umie sobie radzić.

– Dobra – zgodziła się.

Odetchnęła z ulgą, ponieważ przedmieścia nocą zdecydowanie bardziej ją przerażały niż miasto, głównie dlatego, że w mieście łatwo było zidentyfikować wszystkich wariatów. Na przedmieściach mogli czaić się gdziekolwiek – w lesie albo w volvo.

Ruszyli w milczeniu: Ruby żałowała, że nie wzięła ze sobą reszty wina, a Ethan zastanawiał się, czy Charlie nadal siedzi w barze. Kiedy skręcali w Hosmer Street, na drogę wyskoczyła sarna.

Ethan zahamował gwałtownie i samochód zatrzymał się z piskiem. Sarna stała w światłach, mrugając swoimi czarnymi oczami, i po chwili pobiegła do lasu. Patrząc na nią, słyszeli swoje szybkie, rwane oddechy.

– Cholera – odezwał się Ethan. – Wszystko w porządku?

– Tak. A u ciebie?

– Tak myślę. Cholera.

Spojrzała na niego i zobaczyła, że zbladł.

– Jesteś w stanie prowadzić?

Pokiwał głową.

– Tak. Daj mi minutę.

– Zjedź tutaj – wskazała na połacie trawy przy drodze.

Zrobił, jak powiedziała, i zgasił silnik. Oboje wsłuchiwali się w coraz spokojniejszy rytm swoich oddechów.

– Mój tata kiedyś przejechał psa – powiedziała. – Byłam z nim wtedy w samochodzie. Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy. – Nadal miała go przed oczami, jakby zdarzyło się to wczoraj: mieszanka szoku, poczucia winy i głębokiego smutku. – On uwielbia psy – rzekła, jakby to jednocześnie pogarszało i usprawiedliwiała to zdarzenie.

– Ja też – odpowiedział. – To znaczy, ja też uwielbiam psy. Nigdy żadnego nie przejechałem. Za to nie cierpię kotów.

– Naprawdę? Dlaczego? – Ruby bardzo lubiła koty.

– Zawsze wyglądają, jakby knuły coś przeciwko mnie.

– Może tak jest. Może wiedzą, że ich nie znosisz, i szykują swoją zemstę. – Odpięła pas i odwróciła się do niego. – Dzięki, że nie zabiłeś tej sarny.

– Nie ze względu na ciebie – odparł. – Ale proszę bardzo. Cieszę się, że wszyscy przeżyliśmy.

Siedzieli przez chwilę w ciszy.

– Nie chciałem się tak zachować – zaczął. – Po prostu bardzo się denerwuję, kiedy ktoś mnie pyta, co zamierzam zrobić ze swoim życiem. Cały czas to słyszę od mojego ojca, więc...

– Rozumiem – odparła. – Kiedy byłam w college'u, mój ojciec przynajmniej raz w tygodniu dopytywał się, czy już nawiązałam jakieś korzystne znajomości. Jestem pewna, że się rozplakał, kiedy powiedziałam mu, że będę studiować angielski.

– Studiowałam angielski?

– Przedsiębiorczość zrobiłam jako drugi kierunek. Moje małe ustępstwo.

– Jaka jest twoja ulubiona książka? – zapytał nagle, siadając wygodniej.

– To trudne pytanie – odparła. – Nie wiem... może *Czula jest noc*? Uwielbiam

wszystkie książki Fitzgeralda. A może *Targowisko próżności*? Przez jakiś czas miałam obsesję na punkcie *Szklanego klosza*. I każdej książki Jane Austen.

Pokiwał głową.

– Też uwielbiam Jane Austen – powiedział.

– Czekał, czytałaś Jane Austen? – Nie mogła wyobrazić sobie Ethana brnącego przez *Emmę*.

Wzruszył ramionami, zawstydzony.

– Wiem, że nie powinienem przyznawać się do tego, bo jestem facetem i w ogóle...

– Nie, nie o to mi chodzi, po prostu... Nie sądziłam, że interesujesz się literaturą.

– Co? Nie wiedziałaś, że barmani umieją czytać?

Poczuła, że się rumieni, i ucieszyła się, że było za ciemno, by mógł to dostrzec.

– Oczywiście, że nie. Po prostu jesteś pierwszym facetem, którego znam i który przyznał, że lubi Jane Austen.

Ponownie wzruszył ramionami.

– Staram się czytać wszystkiego po trochu – odrzekł. – Teraz przechodzę przez fascynację Chandlerem...

– Uwielbiam Chandlera! *Wielki sen* jest niesamowity. Widziałeś film?

Prychnął.

– Oczywiście, że widziałem film. Znajomość całej filmografii Humphreya Bogarta jest obowiązkiem w domu mojego ojca. Ale uważam, że książka jest znacznie lepsza.

– Nie jestem pewna – powiedziała, kładąc stopy na tablicy rozdzielczej. – Ciężko jest przebić duet Bogart–Bacall...

Spojrzał na nią i się uśmiechnął.

– Dobrze się bawię – powiedział. – Przepraszam, że wcześniej zachowałem się jak dupek.

– Ja też przepraszam. Nie powinnam była wychodzić – przyznała. – To było zagranie poniżej pasa, nawet jeśli nie zachowywałaś się najlepiej.

– Wiesz co? – zapytał, prostując się na siedzeniu i wkładając kluczyki do stacyjki.

– Może zaczniemy od początku? Ciocia June pewnie jeszcze przygotowuje makaron, który ma być daniem głównym. Usiądziemy, wypijemy butelkę wina... to znaczy ty wypijesz, bo ja prowadzę... i porozmawiamy o książkach i filmach i o wszystkim innym oprócz socjoekonomicznych podziałów Beechfield. Obiecuję, że nie będę zachowywał się jak dupek, jeśli ty obiecasz, że nie wyjdiesz przed końcem kolacji.

Ruby zapięła pas i uśmiechnęła się do niego szeroko.

– Umowa stoi.

Wyjechał na drogę i wcisnął gaz. Chciał szybko dojechać na miejsce, na wypadek gdyby się rozmyśliła.

Oczywiście nie było takiej możliwości, ponieważ Ruby była już zdecydowana.

Teraz

– Wszyscy gotowi? – głos Ethana dobiegł z dołu.

– Jeszcze chwilę? – zawołałam.

Upięłam włosy w kok na czubku głowy i włożyłam kolejny sweter – już trzeci. Nie pomyślałam o tym, żeby zabrać kurtkę, był przecież środek lata, ale wieczorami w kamiennych murach Bugle Hall robiło się naprawdę zimno. Zauważyłam, że opuszki moich palców zrobiły się sine. Spojrzałam w lustro – nadal byłam blada i opuchnięta, a do tego przez te kilka warstw ubrań, które na siebie włożyłam, wyglądałam jak zawodnik sumo. Nic nie dało się z tym zrobić – musiałam po prostu brnąć dalej.

Wychyliłam się przez poręcz schodów.

– Czy Piper jest już na dole?

Stał tam Ethan razem z Bobem i Barbarą – wyglądali na zirytowanych i zniecierpliwionych.

– Umieramy z głodu – zawołał Ethan. – Czy możesz powiedzieć swojej siostrze, żeby się pospieszyła?

– Słyszałam to, Ethan! – zawołała Piper z głębi swojego pokoju. – Nie pospieszaj mnie. Ruby! Nie mogę znaleźć swoich niebieskich butów na obcasie!

– Daj mi chwilę! – Weszłam do pokoju Piper i Charliego, gdzie na łożu z baldachimem rozłożone były kawałki jedwabnego materiału. Charlie siedział na aksamitnym pufie i w grobowym nastroju przeglądał wiadomości na swoim iPadzie.

– Sox spadli na sam dół tabeli – wymamrotał, potrząsając głową, podczas gdy Piper stała na środku pokoju, trzymając but na obcasie niczym broń.

– Dlaczego nie włożysz tych, które trzymasz w ręce? Są śliczne.

– Nie mogę. Są w niewłaściwym odcieniu różu!

– Piper, idziemy na nogach do pubu. Myślę, że i tak powinnaś włożyć jakieś bardziej sensowne buty. Wzięłaś jakieś sportowe?

Piper spojrzała na mnie przerażona.

– Ruby, wiesz przecież, że w sportowym obuwiu pojawiają się tylko na siłowni. Spakowałam je tylko na wypadek, gdyby tu na miejscu były jakieś zajęcia, ale raczej się na to nie zanoszą...

– Wydaje mi się, że dzisiaj będziesz musiała zrobić wyjątek – powiedziałam, wpychając jej tenisówki do rąk. – Pospiesz się, ojciec i Bob muszą dostać drinka, zanim znów zaczną rozmawiać o golfie.

Wyruszyliśmy do pubu, idąc żwirowym podjazdem jak stadko kaczek. Nadal było jasno, ale niebo się zachmurzyło i wiał lekki wiatr. Objęłam się rękami. W powietrzu unosił się zapach świeżo skoszonej trawy, wrzośców i naparstnic – wszystko podszyte ostrym, słonym zapachem oceanu. Byliśmy niedaleko wybrzeża i jeśli tylko bym się wsłuchała, mogłabym usłyszeć fale rozbijające się o klify.

– Vic mówił, że pub jest w tamtą stronę – powiedział Ethan, wskazując pole, gdzie pasło się kilka krów, otoczone drewnianym płotem, na którym wisiała duża tablica z informacją napisaną na czerwono: TEREN PRYWATNY.

– Powinniśmy się trzymać drogi – powiedziałam, wskazując na znak.

– To nie jest Ameryka – odparł Ethan, kierując się ku furtce. – Nie zjawi się tutaj żaden wieśniak ze strzelbą ani nic w tym rodzaju. Miejscowi są przyzwyczajeni, że przechodzi się przez ich ziemię.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że oprócz wszystkiego innego należysz również do zrzeszenia rolników hrabstwa Northumberland.

Zauważyłam, że zacisnął szczękę, i poczułam zadowolenie: całkiem dobrze się bawiłam, zachodząc mu za skórę.

– Vic powiedział, że to jest najlepsza droga do pubu, więc powinniśmy nią pójść – skwitował.

– Dobra – odparłam. – Ale jeśli jednak zjawi się ktoś ze strzelbą, całą winę zwałę na ciebie i zwiędę.

Ethan otworzył furtkę bez słowa i przepuścił wszystkich przodem. Przewrócił oczami, kiedy posłałam mu tryumfujący uśmiech.

– A fuj, Ethan! Tu wszędzie są krowie placki! – Piper z obrzydzeniem rozglądała się po pastwisku, zatykając swój delikatny nos. – Ohyda!

– Nie, po prostu wracamy do natury – powiedział mój ojciec, klepiąc Ethana po plecach. – Nic nie pobije świeżego powietrza. Poza tym podczas spaceru będę mógł opowiedzieć ci o nowym przedsięwzięciu, które mi się szykuje. – Wziął Ethana za łokieć i przyspieszył kroku, pochylając głowę w konspiracyjnym geście, kiedy opisywał mu plany kasyna na wodzie w Everglades. – Będzie się nazywać Gambling with the Gators – dobiegły mnie jeszcze jego słowa.

– Patrzcie, czy to jest bażant? – Charlie zawędrował w głąb pola, zostawiając mnie, żebym radziła sobie z marudną Piper oraz wstawioną Candace (przed wyjściem zdążyła odkryć bezpłatne miniaturowe buteleczki wódki). Pochód zamykali Bob i Barbara elegancko ubrani w dopasowane tweedowe stroje.

Krowy przyglądały się nam obojętnie, mrugając ciężkimi powiekami o długich rzęsach i od czasu do czasu opędzając się ogonem od jakiejś natrętnej muchy.

– Ethan – zawołałam. – Daleko jeszcze?

– Jesteśmy prawie na miejscu. Trzeba przejść przez te krzaki.

– Przez krzaki? – krzyknęłam, ale już nie odpowiedział.

Ethan i mój ojciec bez wahania weszli w gęste chaszczki, aby po chwili wyskoczyć stamtąd, klnąc i pocierając ręce.

– Jezu! – zawołał mój ojciec, chwiejnie idąc w naszym kierunku. – Zawróćcie! Tam nie jest bezpiecznie! Coś mnie pogryzło!

Candace popędziła do niego, tylko cudem nie wdeptując w żaden krowi placek.

– Cholera! Nic ci nie jest?

– Myślę, że to musi być jakiś trujący bluszcz albo coś w tym rodzaju – powiedział Ethan, patrząc na swoje ręce, które były czerwone i pokryte białymi pęcherzykami.

– Tylko że to naprawdę boli. Jak ukłucie osy.

– To mi wygląda na pokrzywy – powiedziałam, przyglądając się roślinom.

– Czy one są trujące? – zapytała Candace, marszcząc brwi ze zmartwienia. – Czy on się czymś zaraził?

– Tak, to zdecydowanie są pokrzywy – powiedziałam po dokładniejszych



ogłędzinach. – Nie martw się, są niegroźne.

– Łatwo ci mówić – odezwał się mój ojciec, pocierając oparzenia na swoich rękach.

– Boli jak sukinsyn.

– Nic ci nie będzie. Musimy tylko dojść do pubu, żebyś mógł opłukać sobie rękę pod wodą. – Obróciłam się do Ethana, tryumfalnie unosząc brwi. – Masz jeszcze jakieś pomysły, Magellanie, czy pozwolisz mi znaleźć drogę?

Ethan wykrzywił się do mnie, masując obolałą rękę.

– Proszę bardzo – wymamrotał.

Dziesięć minut później, po tym jak poszliśmy za wskazaniem migającej niebieskiej kropeczki na Google Maps, która zaprowadziła nas na drogę biegnącą wzdłuż pola, siedzieliśmy już wewnątrz pubu przy drinkach, liżąc rany. Piper znalazła tubkę żelu aloesowego na dnie swojej torby i teraz ojciec i Ethan byli nim tak nasmarowani, że kufle wyślizgiwały się im z dłoni, kiedy starali się je podnieść.

– Nie sądzę, żeby można było się tutaj napić budweisera – powiedział ojciec, z niedowierzaniem wpatrując się w stojący przed nim kufel stelli. – Gość za barem twierdzi, że nie mają żadnego amerykańskiego piwa. To ma być najbardziej zbliżone smakiem, ale jakoś mi się nie wydaje. – Upił łyk i się skrzywił. – Jak dla mnie za gorzkie.

– Jak brzmi ten stary kawał? – zapytał Ethan. – Co ma wspólnego amerykańskie piwo z seksem w kajaku?

– Cholernie za blisko wody – odpowiedziałam.

Spojrzelśmy na siebie i uśmiechnęliśmy się – przez chwilę po wszystkich tych uszczypliwościach nie było ani śladu.

– Hola, hola. Nie pochwalam takich rozmów – oburzył się mój ojciec. – Mówimy o najwspanialszym kraju na świecie, co dotyczy również jego piwa. Nasz kraj powstał z ciężkiej i ucziwej pracy miłośników budweisera.

– Wydaje mi się, że doszukujesz się w tym zbyt wiele, tato.

– Muszę przyznać, że mi to piwo smakuje – powiedział Bob, upijając z kufła old peculiar.

Po drugiej stronie baru grupka dwudziestokilkulatków zaczęła się głośno przekomarzać.

– TY POŁUDNIOWY MIĘCZAKU! – Napakowany rudzielec zerwał się na równe nogi i wymierzył palcem w nerwowego gościa w koszulce Newcastle United. – Co masz na myśli, mówiąc, że kupiłeś sobie SOKOWIRÓWKĘ?

Piper nadstawiła uszu.

– To tutaj można dostać sokowirówkę? Dzięki Bogu, bo już myślałam, że przyjdzie mi tu umrzeć z głodu. Widzieliście to menu? – Podniosła zalaminowaną kartkę papieru i potrząsnęła nią. – Jedyne warzywa, jakie tu mają, to ziemniaki! I serwują coś, co się nazywa „mięso i cynaderki zapiekane w cieście”... To żart, prawda? Jakim cudem oni tutaj nie ważą po kilkaset kilo?

– Budweiser smakuje jak siki. – Charlie wpatrywał się w telewizor nad barem, usiłując zrozumieć zasady krykieta, i dopiero teraz włączył się do dyskusji, chociaż cokolwiek za późno.

– Charlie! – upomniała go Barbara.

– Ty pieprzony KUTASIE! – wrzeszczał rudzielec. – Za chwilę powiesz mi, że jesz sałatki!

– Co to za gra? – zapytał ojciec, wskazując na telewizor. – Wygląda jak bejsbol, ale chyba nie znają zasad. – W telewizji jeden z zawodników w elegancki sposób odbił piłkę pionowym łukiem i rozpoczął serię trzech biegów. – Dlaczego on biega w tę i we w tę? Co ty wyrabiasz, idioto! – zawołał. – Jesteś na swojej stronie! Nie możesz się tu zatrzymać! Co za zwariowana gra – mamrotał, potrząsając głową. – Nie mają pojęcia, na czym to polega.

– Charlie, chodź ze mną, bo chcę zapytać tego gościa, gdzie kupił sokowirówkę – powiedziała Piper, upijając łyk chardonnay ze swojego kieliszka i zabierając torebkę.

Charlie wstał niechętnie, nie spuszczać oczu z telewizora, i poszedł za nią do hałaśliwej grupy.

– Czy to automat z papierosami? – zapytała Candace radośnie, przewyciężając ponury nastrój, który zaczął się, kiedy skończyło się działanie wódki. Wysypała wszystkie monety z portmonetki na stół i zaczęła je odliczać.

– Nie sędzę, żeby ta maszyna przyjmowała ćwierćdolarówki – powiedziałam łagodnie.

– Proszę bardzo – rzekł Ethan, podając jej garść lśniących angielskich monet.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Candace przyjęła je z radością.

– Candy, przecież ty nie palisz od lat! – zawołał ojciec. – Co w ciebie wstąpiło?

– Ale widziałam, że w duchu był zachwycony: zawsze podobały mu się małe szelmostwa, szczególnie w wykonaniu kobiet.

– Chrzanić to, jesteśmy na wakacjach. Poza tym ostatnio nie mam w życiu zbyt wiele przyjemności, więc muszę ją czerpać, skąd się da. Idziesz czy nie? – Candace posłała mojemu ojcu pierwszy szczerzy uśmiech, odkąd przyjechali, a on spojrzał na nią jak pies, który po nocy spędzonej na zewnątrz w końcu może wejść do domu. Poszli do automatu, chichocząc jak dzieci w znowie.

– Miło widzieć ich szczęśliwych – powiedział Ethan, przyglądając się, jak Candace klepnęła mojego ojca w tyłek, kiedy wymykali się zapalić zakazanego papierosa.

– Nie jestem pewna, czy są szczęśliwi – rzekłam. – Ostatnie lata były dla nich ciężkie.

– Słyszałem – odpowiedział, a wyraz jego twarzy złagodniał. – Przykro mi z tego powodu.

– To nie twoja wina – odparłam. – To znaczy, wiem, że teraz jesteś panem wszechświata i w ogóle, ale moim zdaniem nie ponosisz bezpośredniej odpowiedzialności za brak ciągłości finansowej mojego ojca.

Barbara uważnie przyglądała się wszystkim zgromadzonym w barze i niespodziewanie rozpogodziła się, kiedy jej wzrok padł na starszego mężczyznę w kaszkiecie i znoszonych wełnianych spodniach podciągniętych niemal pod same pachy, który siedział przy barze z kuflem ciemnego piwa i czytał gazetę łzawiącymi oczami.

– Bob, czy ten człowiek nie wygląda zupełnie jak mój stryjeczny dziadek George?

– Jest ładząco podobny!

– Myślisz, że to może być jakiś daleki krewny?

– Co nam szkodzi kupić mu piwo i zapytać?

Bob i Barbara zabrali swoje kufle i ruszyli do starszego mężczyzny, który lekko zachwiał się na ich widok, a następnie przywitał się z nimi, pokazując zepsute zęby.

– Okazuje się, że to miejscowy pijak, prawda?

– Z całą pewnością – zgodził się Ethan.

Zostaliśmy sami przy stoliku i wpatrywaliśmy się w swoje kufle w nerwowej ciszy.

– Twój tata sobie poradzi – odezwał się w końcu Ethan. – Bystry z niego gość.

– Przyznaję, że jest nieustępliwy. Podejrzewam, że już ci opowiedział o swoim najnowszym pomysle, cokolwiek to jest.

Roześmiał się.

– Pływające kasyno w Everglades – rzekł. – Starłem się delikatnie zasugerować, że może nie być to najbardziej przystępna lokalizacja dla graczy, ale on jest zupełnie pewny swego.

– Do końca tygodnia wymyśli coś innego. Pamiętaj tylko, że obojętnie co robisz, niczego dla niego nie podpisuj.

– Nauczyłem się tego już jakiś czas temu, ale dzięki. – Pociągnął spory łyk piwa.

– A co ty porabiasz? Nadal mieszkasz w Nowym Jorku?

– Tak, nadal. Nie tak łatwo się mnie pozbyć. W zeszłym roku przeprowadziłam się na swoje, więc to już oficjalne: nigdy nie opuszczę Nowego Jorku.

– Jasne.

– A ty nadal nie cierpisz tego miasta? – zapytałam.

Ethan nigdy nie ukrywał, że nienawidzi mojego wymarzonego miejsca zamieszkania, i nie wyobrażałam sobie, żeby zmienił zdanie. Jeśli nie jesteś fanem Yankees od pierwszego wejrzenia, nigdy ich nie pokochasz – mawiał w dawnych czasach. Uwierzyłam mu.

Posłał mi ten swój krzywy uśmiech i moje serce aż podskoczyło.

– Przecież wiesz.

– Jasne.

Patrzyliśmy na siebie przez minutę, świadomość naszej wspólnej przeszłości opadła na nas całym swoim ciężarem. Ethan wyglądał tak samo jak dziesięć lat temu, ale odniesiony sukces dodał mu kolejną warstwę – połysk, który daje poczucie własnej wartości. Atmosfera nerwowej energii, która zawsze go otaczała, zniknęła jak upał po burzy i zastąpiło ją coś bardziej konkretnego, ale i nieustępliwego. Nie zostało w nim zbyt wiele po synu mechanika: miał doskonałe obycie i spokój wynikający z pewności siebie.

– Ożeniłeś się? – zapytałam, doskonale wiedząc, że nie.

– Nie. A ty wyszłaś za mąż?

– Nie.

Znów zapadła cisza, tym razem na dłużej.

– Nadal pracujesz w reklamie?

– Jestem account directorem w agencji BluFly. Słyszałaś o niej? – Siliłam się na swobodny ton, ale bardzo mi zależało, żeby Ethan znał moją firmę i uznał, że również odniosłam sukces. Z jego perspektywy niewielki, ale zawsze.

– Przykro mi – powiedział, wruszając ramionami. – Kwestie reklamy zostawiam innym. Nie mam do tego cierpliwości, bez urazy.

– Ależ skąd – odparłam, choć czułam się dotknięta. Naszła mnie nagła potrzeba ukarania go. – Zapytałabym, co u ciebie słyhać, ale wyszłabym wtedy na idiotkę, która nie czytuje gazet. – Usłyszałam nutę rozgoryczenia w swoim głosie. – Pozwól jednak, że spytam, jak, u diabła, to się stało? Chodzi mi o to, że kiedy się znaliśmy, byłeś barmanem! – Powiedziałam to z drwiną i natychmiast tego pożałowałam. – Przepraszam – spróbowałam jeszcze złagodzić mój ton. – Po prostu jestem ciekawa... jak...?

Westchnął i oparł się o krzesło.

– W szkole poznałem pewnego gościa...

– Zaraz, wróciłeś do szkoły?

– Zapisalem się na kurs projektowania technicznego kilka miesięcy po tym, jak przestaliśmy być razem – odpowiedział, a wspomnienie o naszym rozstaniu było dla mnie jak cios w brzuch. – Ten gość miał pomysł na komputerową wersję szachów, ale taką, w którą można grać na telefonie.

– Czyli aplikację – rzuciłam, chcąc wyjść na zorientowaną.

– Dokładnie, tylko że wtedy nikt jeszcze nie brał ich na poważnie. W każdym razie ten gość chciał, żebym pomógł mu ją napisać: zupełnie prosta grafika, wszystko w zasadzie dość prymitywne. Przez kilka tygodni myśleliśmy o tym w pokoju nad warsztatem i doszliśmy do wniosku, że ta gra byłaby interesująca, o ile można by grać z innymi ludźmi. Więc zajęliśmy się tym od strony technicznej. Skończyło się na tym, że zbudowaliśmy własną platformę i... sam nie wiem, wszystko potoczyło się tak szybko...

– Całe imperium Albionu zaczęło się od skomputeryzowanej wersji szachów, którą wymyśliliście nad warsztatem twojego taty?

– Można tak powiedzieć.

– To znaczy, że twoje życie jest jak marzenie. – Pomyślałam o mojej skrzynce odbiorczej, która w tym momencie zapełniała się wiadomościami od klientów dotyczącymi terminów, budżetu, zmian w ostatniej chwili, i poczułam nagły przypływ rozpacz. Mój sukces wydał mi się teraz tak znikomy jak nigdy dotąd.

– Niezupełnie. Na początku było świetnie, ale odkąd weszliśmy na giełdę... Większość czasu poświęcam na uspokajanie podstarzałych białych gości w garniturach.

– Wiem coś o tym – powiedziałam. – Starzy biali faceci w garniturach to najczęściej uspokajana grupa ludzi na naszej planecie. Ale wydaje mi się, że pewnego dnia staniesz się jednym z nich, więc może nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

– Nie jestem pewien. – Zmienił pozycję na krześle. – Dostałem ofertę, bardzo poważną. Ktoś chce kupić moją firmę.

– To wspaniale! – zawołałam, a potem zobaczyłam wyraz jego twarzy. – Nie?

Wzruszył ramionami.

– Moi partnerzy sądzą, że powinniśmy ją przyjąć, podobnie jak członkowie rady nadzorczej.

– A ty? – zapytałam ostrożnie.

– Nie mam zielonego pojęcia. To mnóstwo pieniędzy, więc nie mam prawa narzekać i w ogóle, ale... co, do licha, mam ze sobą zrobić, jak nie będę miał już firmy?

– A co z tą fundacją charytatywną, którą zakładasz?

Uniósł brwi, a ja wzruszyłam ramionami.

– Gdzieś coś obilo mi się o uszy.

Potrząsnął głową.

– To również ma zostać wykupione. Więc naprawdę miałbym bardzo dużo wolnego czasu.

– Rozumiem – zapewniłam. – Moja praca rządzi całym moim życiem i myśl, że mogłabym jej nie mieć, jest... dziwna. Ale mógłbyś robić to, na co miałbyś ochotę! Dosłownie! Mógłbyś podróżować albo trenować triathlon, albo założyć nową firmę. Mógłbyś roztrwonić małą fortunę w nielegalnych szulerniach w piwnicach Chinatown. Mógłbyś kupić odległą tropikalną wyspę i zostać dyktatorem. Naprawdę, mógłbyś robić cokolwiek.

Roześmiał się i ucieszyłam się, widząc, że humor trochę mu się poprawił.

– Dyktatura na tropikalnej wyspie to jest myśl. Chcesz się jeszcze napić?

– Ja stawiam – powiedziałam. – Funty dosłownie wypalają mi dziurę w kieszeni.

Wcisnęłam się między dwa drewniane wysokie stołki barowe i położyłam łokcie na długim kontuarze. W głowie mi się kręciło z powodu całej tej sytuacji. Podsumowując, byłam w szesnastowiecznym pubie na zupełnym odludziu, zmagając się z efektami zmiany strefy czasowej i udzielając byłemu chłopakowi porad, na co wydać jego oszałamiającą fortunę... Jak dla mnie było tego za wiele. Spojrzałam na niego, jak tak siedział przy stoliku, wpatrując się w swoje ręce. Niesforny lok opadł mu na oczy i coś głęboko w środku pchało mnie, aby zanurzyć dłonie w jego włosach i założyć mu ten kosmyk z powrotem za ucho.

– Halo! Czy jest tam ktoś?

Spojrzałam i zobaczyłam gderliwego barmana wycierającego rozlane piwo starą szmatą i wpatrującego się we mnie niecierpliwie.

– Przepraszam – powiedziałam. – Zamyśliłam się.

– Zauważyłem. – Położył ręce na biodrach i ciężko westchnął. – Co mogę ci podać?

– Poproszę dwie piny kronenbourga.

– Jesteś pewna? Taka mała dziewczuszka jak ty?

Zjeżyłam się.

– Myślę, że poradzę sobie z całą pintą, dzięki.

– Jasna sprawa, twoja broszka. Już podaję dwie piny. – I poszedł nalać piwo, mamrocząc coś cały czas do siebie.

– Widzę, że doświadczasz słynnej lokalnej gościnności.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam szpakowatego mężczyznę w swetrze w irlandzki wzór, który w jednej ręce trzymał zniszczoną książkę, a w drugiej kufel bursztynowego piwa.

– Chyba nie radzę sobie z nim najlepiej – powiedziałam, wskazując kciukiem barmana.

– Nie zwracaj na niego uwagi. To stara zrzęda. Nie otrząsnął się nigdy po tym, jak Bobby Charlton przeszedł do United, i od tego czasu jest w złym humorze.

– Nie mam pojęcia, kim jest Bobby Charlton, ale przykro mi, że zrobił to, co zrobił.

– Podobnie jak połowie North East, złotko – odrzekł. – Jesteś z tej grupy Amerykanów?

– Co mnie zdradziło?

– Zawsze byłem znany z mojej zdolności do dedukcji. Zakładam, że przyjechałaś tu na ślub?

– Skąd wiedziałaś? Pomijając oczywiście twoją zdolność dedukcji.

– Są dwa powody, dla których Amerykanie tutaj trafiają: albo skręcili w złą stronę w Edynburgu, albo na ślub. Więc kto bierze ślub z Geordiem? Mam nadzieję, że nie ty. Wyglądasz na osobę zbyt na to rozsądną.

– Nikt nie bierze ślubu z żadnym Geordiem – odparłam. Nie byłam pewna, co to znaczy, ale nie wydawało mi się, by można było tak określić Charliego. – Moja siostra chciała wyjść za mąż w zamku, ma świra na punkcie Kate i Williama.

– Dobrze trafiła, tutaj aż roi się od zamków – powiedział. – W tych stronach nie można się odlać, żeby jakiegoś nie opryskać.

– Tak, tyle do mnie dotarło.

Ze stolika w rogu dobiegł hałas. Piper siedziała w skupieniu obok głośnych młodych mężczyzn i przeglądała coś na telefonie – prawdopodobnie zamawiała najnowszy model sokowirówki. Charlie znajdował się w środku wrzawy i wycierał usta wierzchem dłoni, tryumfalnie pokazując pusty kufel.

– Pierdol się! – wrzasnął do niego rudzielec, wylewając sobie resztę niedopitego piwa na podkoszulek.

– To ona ze swoim narzeczonym – wyjaśniłam, kiwając w ich stronę.

– Wygląda na to, że się zaprzyjaźnia, chociaż na twoim miejscu odciągnąłbym go od naszego Liama, zanim za bardzo się upije. Inaczej Liam zmusi go do gry w chwalipiętę i gość zgra się do ostatniej koszuli.

Spojrzałam na niego.

– Nie rozumiem nic z tego, co powiedziałaś.

– Nie pierwszy raz to słyszę – skwitował, szczerząc się.

Barman postawił przede mną dwa kufle piwa.

– Należy się siedem funtów dziesięć pensów.

Podaliśmy mu nowiutki banknot pięćdziesięciofuntowy, a on obdarzył go spojrzeniem, jakby to była przynajmniej gnijąca ryba.

– Nie masz drobniej?

– Przykro mi, tylko to dostałam w kantorze na lotnisku.

Westchnął głęboko i urządził prawdziwe przedstawienie, sprawdzając, czy banknot nie jest sfałszowany. W końcu z dużą niechęcią włożył go do kasy i wydał mi garść monet i zmiętych banknotów.

– Następnym razem lepiej, żebyś miała sensowne pieniądze – powiedział, krzywiąc się. – Cholerni Amerykanie.

Szpakowaty mężczyzna obok mnie roześmiał się.

– Nie wyrobiłaś sobie tutaj żadnych chodów – podsumował. – Wielkie dzięki, przez ciebie będzie w parszywym humorze przez tydzień.

– Sądziłam, że i tak jest zły z powodu Bobby'ego Charltona.

– Tyle że to jest jego wyjściowy zły nastrój. Ten człowiek ma więcej rodzajów złego nastroju niż miał Józef kolorów na swoim płaszczu.

Podniosłam kufle, a było w nich tyle piwa, że aż zaczęło się wylewać i spływać mi strużkami po rękach.

– Trudno – rzekłam, podnosząc kufel w geście pozdrowienia. – Do widzenia. Dzięki za... właściwie to za nic. Do widzenia.

Słyszałam, jak śmiał się, kiedy szłam do stolika. Ethan uniósł brwi, kiedy postawiłam przed nim piwo.

– Nowy przyjaciel?

– Nie sędzę – odparłam.

Znów siedzieliśmy w ciszy, ale tym razem przyjaźniejszej.

– A jak się ma twój ojciec? – odezwałam się pierwsza. – Nadal mieszka w Beechfield?

– Nie, musiał sprzedać ziemię kilka lat temu. Dostał wylewu podczas pracy i lekarz powiedział, że to dla niego zbyt wiele. Mieszka teraz ze mną.

– W Londynie? – Nie mogłam wyobrazić sobie ojca Ethana w mieście, a co dopiero w innym państwie.

Ethan musiał zauważyć wyraz zdziwienia na mojej twarzy.

– Wiem, prawda? Najwyraźniej przegapiliśmy koniec świata.

– Wszystko u niego teraz w porządku?

– Oprócz tego, że doprowadza mnie do szaleństwa? Tak, ma się dobrze. Jest na specjalnej niskotłuszczowej diecie, na którą bezustannie narzeka. No i jeszcze angielska pogoda wybitnie mu nie pasuje. To człowiek, który nie potrafi wyluzować. Ale nauczył się obsługi komputera, co okazało się prawdziwym dopustem. Całymi dniami wysyła mi maile, informując mnie, co „poprawił” w domu. Najczęściej oznacza to, że zabrał się za jakieś bardzo drogie i precyzyjnie skalibrowane urządzenie i zepsuł je... No i skarży się na kota.

– Twój ojciec ma kota?

Jezu, Bill Bailey musiał przejść prawdziwą przemianę: przeprowadzka do Londynu, a teraz jeszcze kot???

– Nie, to mój kot.

– Zaraz, zaraz, ty masz kota? Przecież nie znosisz kotów!

Kilka bezdomnych kotów kręcących się w okolicy baru Ethan zawsze nazywał „eleganckimi szczurami”.

– Nie – poprawił mnie. – Kiedyś nie znosiłem kotów. Teraz je uwielbiam.

– Nie wierzę! – Nie wyobrażałam sobie, żeby Ethan mógł mieszkać z „eleganckim szcurem”.

– Mogę pokazać ci zdjęcia, jeśli mi nie wierzysz. – Wyjął swój telefon i znalazł zdjęcie dużego, leniwie wyglądającego rudego kota o puszystym ogonie i gburowatym wyrazie pyszczka. – Widzisz?

Obdarzyłam go sceptycznym spojrzeniem.

– Zdjęcia kotów zajmują dziewięćdziesiąt procent internetu, więc to nie jest żaden dowód. Każdy może pokazać mi zdjęcie kota. Jak się wabi?

– Willy Nelson – powiedział bez wahania. – Jest bezzębny.

– Dlaczego? – zapytałam przerażona.

Wzruszył ramionami.

– Miał taką dziwną przypadłość polegającą na tym, że wszystkie zęby zapadały mu się w dziąsła. Musiałem zabrać go do specjalnego kociego dentysty, żeby mu je wszystkie usunął. Kosztowało mnie to fortunę.

– Jezu! – Oczami wyobraźni widziałam, jak Ethan próbuje umieścić wielkiego, pomarańczowego kocura w klatce i niesie go do dentysty. Oparłam brodę na dłoni i spojrzałam na niego ponad stolikiem. – Dobra, wyjaśnij mi, jak ktoś, kto nie cierpi kotów na tyle, że przechodzi na drugą stronę ulicy, kiedy jakiegoś zobaczy, skończył z bezzębnym kotem o imieniu Willy Nelson.

Przez chwilę wyglądał na zboląłego, zanim wziął się w garść i ponownie przybrał neutralny wyraz twarzy.

– Moja dawna dziewczyna znalazła go któregoś dnia w śmietniku przed sklepem z kanapkami. Kiedy wróciłem do domu, zastałem ich oboje zwiniętych razem na kanapie. Wyraz jej twarzy, wyraz twarzy jej i kota... Po prostu nie mogłem się nie zgodzić.

Żołądek mi się ścisnął na myśl o tej słodkiej domowej scenie: bogini o jedwabistych włosach i mlecznobiałej skórze ubrana w jedwab i kaszmir trzyma na kolanach mruczącego kota i oboje patrzą z uwielbieniem, kiedy Ethan wraca do domu – bez wątplenia drogiego i (dzięki znakomitemu wyczuciu smaku jego dziewczyny) wspaniale urządzonego.

– Miło – skwitowałam.

– No cóż, nie było tak miło, kiedy trzy miesiące później odeszła, zostawiając mnie z liniejącym kotem, który miał w zwyczaju wymiotować na dywan.

– Biedny Willy Nelson – powiedziałam, ale nie mogłam powstrzymać się, żeby się nie uśmiechnąć.

– Dzięki za współczucie. Tak czy siak, jest mu lepiej bez niej, bo nigdy nie pamiętała o tym, żeby mu kupić karmę, więc biedny zwierzak dostawał to, co gotowałam na kolację. Teraz ten kot je lepiej niż większość ludzi.

– A ty?

– Noo, ja też jadam całkiem nieźle. Pewnie mógłbym pić trochę mniej, ale...

– Nie o to mi chodziło... Czy jest ci lepiej bez niej? – starałam się, żeby mój głos brzmiał obojętnie, ale czułam, że gardło mi się ścisnęło.

Zrozumiałam, że jest dla mnie istotne, co czuł do tej swojej byłej dziewczyny, zupełnie jakby to był wyznacznik tego, co czuł do wszystkich swoich byłych dziewczyn. Grałam w grę, w której nie mogłam wygrać: gdyby powiedział, że nadal ją kocha – zabolaloby mnie to, a gdyby powiedział, że ma ją gdzieś – nie byłoby wcale lepiej. Przynajmniej miałam świadomość, w co się pakuję.

– To już historia – powiedział, machając rękę, a ja poczułam się jak muszka, którą zaraz rozgniecie. – To znaczy, przez chwilę było mi ciężko, ale to było kilka lat temu. Ledwo pamiętam jej imię.

– Spoko. – Sprawdziłam, jakie wrażenie wywarły na mnie te słowa: stan ciężki, ale niezagrażający życiu.



– Wiesz co? – spytał, upijając łyk piwa. – Cieszę się, że możemy w ten sposób rozmawiać. Przyznaję, że trochę niepokoiłem się naszym ponownym spotkaniem.

– Naprawdę?

– Martwiłem się, że to będzie niezręczne. Wiesz, tyle lat minęło i w ogóle...

– Potarł zarost na brodzie i uśmiechnął się do mnie. – Pewnie sądzisz, że to głupie.

– Ależ skąd! – powiedziałam za szybko i za głośno. – Ja też się trochę denerwowałam.

– A teraz siedzimy i gadamy razem... Jest w porządku, prawda?

Spojrzałam na niego: był taki przystojny, tak bardzo przypominał tę osobę, którą kochałam tyle lat temu, że poczułam, jak coś we mnie pękło. To było to. On i ja znów razem.

– Bardzo w porządku – odrzekłam i ożyła we mnie jakaś nadzieja.

Patrzyliśmy sobie przez chwilę w oczy i w tym momencie byłam pewna – tak pewna, jak swego własnego imienia – że on nadal coś do mnie czuje. Po chwili Ethan odwrócił wzrok i zaczął wyszukiwać na telefonie więcej zdjęć Willy’ego Nelsona, ale wrażenie tamtej chwili zostało między nami. Bez wątpienia.

## Kiedyś

Ruby stuknęła paznokciem w zęby.

– Nie jestem pewna – powiedziała. – Może wielorybem?

– Wielorybem? Dlaczego u licha chciałabyś być wielorybem?

– Bo mogą sobie pływać i jeść całymi dniami i nikt z nimi nie zadziera.

– A rekiny? – zauważył Ethan. – Rekiny mogą zadzierać z wielorybami.

– Ale nie z tymi największymi. Takie to nawet nie czują zębów rekina.

Ethan obrócił się, żeby na nią spojrzeć. Była zwrócona do niego profilem i w świetle księżyca widział jej zakręcone rzęsy. Znów stuknęła paznokciem o zęby.

– A może mewą? – powiedziała. – Miło byłoby móc latać, no i mewy cały dzień spędzają na plaży.

– Zawsze to robisz, kiedy się nad czymś zastanawiasz? – zapytał.

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Co niby robię?

– Uderzasz paznokciem o zęby.

– Nieprawda! – Przeraziła się.

– Robisz to cały czas! – powiedział, śmiejąc się. – Jesteś jak taki mały dziecko. Może to jest właściwe zwierzę dla ciebie.

– Boże, jak mi wstyd – wymamrotała.

– Co ty, uważam, że to urocze. – Prawdę powiedziawszy, Ethan uważał, że cokolwiek Ruby robiła, było urocze. Gdyby się teraz obróciła i go opluła, też by tak sądził.

Sięgnął i ujął jej dłoń w swoją.

– Zawsze przyjeżdżasz na osiedla, które buduje twój ojciec, czy to coś nowego?

Leżeli na dachu jego samochodu i patrzyli na niebo pełne gwiazd. Kiedy tu jechali, Ruby pilotowała go, mówiąc, żeby skręcił w lewo, a później w drugi zakręt w prawo, aż dojechali na wzgórzu, wokół którego rozciągało się w połowie zbudowane osiedle – jeśli wierzyć napisowi przy bramie wjazdowej, miała to być pierwsza wioska w stylu angielskim w Beechfield. U podnóża wzgórza znajdował się pokazowy dom z dachówką udającą strzechę, ale na pozostałym terenie aż roiło się od dźwigów i koparek, które przypominały śpiące dinozaury. Ethan zostawił włączone radio – chrzanić akumulator, zawsze jakoś odpali – i teraz dolatywał ich głos Vana Morrisona śpiewającego o balerinie przy wtórze świerszczy z pobliskich zarośli.

– Co mogę powiedzieć? Mam słabość do płyty pilśniowej i fuszerki – powiedziała ze śmiechem.

– Czysta perwersja!

– Prawdę powiedziawszy, zawsze przychodziłam tu sama. Kiedy byłam w szkole średniej, lubiłam jeździć nocą. Robiłam kółka, słuchając muzyki i pielęgnując swój niepokój. Zazwyczaj kończyłam na jakiejś budowie ojca, zapelniając pamiętnik złą poezją. – Spojrzała na niego kątem oka. – Jeśli jeszcze nie zrozumiałeś, to mówię ci, że byłam wtedy bardzo fajna. Niezwykle lubiana.

– Dla mnie to brzmi naprawdę spoko – zauważył. – Podoba mi się, że piszesz wiersze.

– Kiedyś pisałam – poprawiła go. – Nie robiłam tego od lat. Za bardzo mnie to dobijało.

– Myślę, że powinnaś spróbować od nowa. Założę się, że jesteś naprawdę dobra.

– Przysięgam, że nie. Czuję się zażenowana, czytając moje stare wiersze. Byłam taka melodramatyczna.

– Sami dla siebie jesteście najsurowszymi krytykami – powiedział, opierając się na łokciu i spoglądając na nią. – To nie powinno jednak powstrzymać nas przed tworzeniem.

Ruby również się podniosła i ich twarze znalazły się bardzo blisko siebie.

– A ty co chciałbyś tworzyć?

– Nie wiem. Lubię kombinować coś na komputerze i od zawsze uwielbiam sztukę.

– Na chwilę odwrócił wzrok, ale po chwili znów na nią patrzył. – Wydaje mi się, że nie ma jednej konkretnej rzeczy, którą chciałbym zrobić, ale wiem, że chcę tworzyć.

Przyciągnął ramię do ucha w czymś, co pewnie miało być wzruszeniem ramion, i w tym momencie wyglądał tak bezbrinnie, zupełnie jak mały chłopiec, który nie może otrząsnąć się ze snu. Ruby pochyliła się i pocałowała go.

– Jesteś uroczy – powiedziała. – Wiesz o tym, prawda?

– Wolałbym „przystojny” i „męski”, ale biorę i to.

– Jaki byłeś w liceum? Podejrzewam, że w przeciwieństwie do mnie nie siedziałeś sam w domu, czytając *Szklany klosz*.

Zmarszczył brwi.

– Nie wiem – odparł. – Uprawiałem sporty, wydurniałem się z Charliem i chłopakami z drużyny i paliłem sporo zielska. Jak wszyscy.

– Czyli byłeś całkiem popularny – stwierdziła raczej, niż zapytała, odrobinę zirytowana.

Roześmiał się i żartobliwie szturchnął ją w ramię.

– Co to ma być? Bawimy się w *Klub winowajców*?

– Jeśli tak, to ty z pewnością byłbyś Emilio Estevezem. Przystojny dupek o złotym sercu.

– Nie, postać z tego filmu, która do mnie pasuje, to ta grana przez Judda Nelsona: wagarowicz, palący pod trybunami przed treningiem.

– Och, oczywiście. Jesteś taki super, że nawet nie musisz się wysilać – skwitowała, teraz już z uśmiechem.

– Jak sobie chcesz. Zgaduję, że ty oczywiście byłabyś jak Molly Ringwald, tak? Z łatwością mogę sobie wyobrazić ciebie jako „pannę niedotykałką”. Założę się, że nauczyciele przepadali za tobą.

Ruby położyła się z powrotem i spojrzała na niebo.

– A właśnie że nie. Byłam zdecydowanie bardziej w typie Ally Sheedy: chodziłam w czarnych ciuchach i byłam zamknięta w sobie. Ujmijmy to tak: spędziłam dużo czasu, słuchając Tori Amos. Naprawdę dużo. – Spojrzała na Ethana. – Jako dziecko miałam w sobie dużo gniewu – dodała, uśmiechając się smutno.

– Z jakiegoś konkretnego powodu?

– Nie, z tych samych powodów co wszyscy. – W jej głosie pobrzmiwało

zdenerwowanie i odsunęła się od niego. Nie było wątpliwości, że ulotna chwila bliskości minęła. – Znasz teraz wstydliwą prawdę. W szkole byłam dziwakiem i kujonem.

– Szczerze mówiąc, zawsze podobały mi się takie dziewczyny.

Ruby parsknęła drwiąco.

– Nie żartuję! Okropnie podkochałem się w dziewczynie, która, wnioskując z tego, co mówisz, była do ciebie bardzo podobna.

– Naprawdę? Jak miała na imię?

– Lily – odpowiedział. – Chodziła po korytarzach w ciężkich martensach, zawsze ze słuchawkami na uszach. I zawsze nosiła ze sobą jedną książkę, *Wiersze zebrane Anne Sexton*.

– Uwielbiam Anne Sexton.

– Dlaczego mnie to nie dziwi? Pewnego razu wypożyczyłem tę książkę z biblioteki. Planowałem, że położę ją na swojej ławce, tak by mogła ją zobaczyć, a wtedy będę mógł z nią porozmawiać, kiedy zaś ona zobaczy, jaki jestem wykształcony i obyty, zakocha się we mnie bez pamięci.

– Udało się?

Ethan potrząsnął głową.

– Spojrzała na książkę i warknęła na mnie. Naprawdę warknęła!

– Pewnie przestraszyła się, że się z niej nabijasz. Ja bym tak to zinterpretowała. Musiała pomyśleć, że taki popularny chłopak jak ty wypożyczył jej ulubioną książkę, żeby jej dokuczyć.

– To dość głupi sposób rozumowania.

– Tak to już jest w liceum.

– Cóż, wystraszyła mnie niemal na śmierć. Dosłownie popchnęła mnie w objęcia Courtney Albertini.

– Zaczekaj! Chyba nie mówisz o tej Courtney Albertini, która jest teraz cheerleaderką New England Patriots? Widziałam ją na plakacie w centrum handlowym. Ma swój własny kalendarz!

Ethan pokiwał głową z powagą.

– Tak, to był dla mnie bardzo ciężki czas.

Ruby obróciła się i zaczęła uderzać go w pierś.

Ale z ciebie głupek! – chciała powiedzieć, ale nie mogła przestać się śmiać.

– Nie wierzę! – powiedział. – Opowiadam ci o moim największym nastoletnim cierpieniu, a ty mnie bijesz! Rozbój! – wrzeszczał. – Rozbój!

– Zamknij się!

Złapał ją za nadgarstki i przyciągnął do siebie.

– Tylko sobie wyobraź: taki Judd jak ja spotyka taką Ally jak ty. Jesteśmy jak Capuletti i Montecchi.

– Albo jak Jennifer Lopez i Ben Afflec.

– Jak Julia Roberts i ten piosenkarz country, jak on się nazywa?

– Lyle Lovett! – powiedziała. – Błagam, powiedz mi, że nie jestem Lylem w tym układzie.

– Nigdy nie mogłabyś być Lylem – odparł. – Słyszałem, jak śpiewasz.

Naciągnął im koc na głowy. Bez gwiazd i księżyca było zupełnie ciemno, a powietrze szybko stało się gorące i duszne od ich oddechów. Maski samochodu nadal były ciepłe, ponieważ silnik pracował. W tle słychać było piosenkę Fleetwood Mac puszczaną przez nocnego didżeja, a świerszcze w końcu zamilkły.

- Lubię cię – wyszeptał do niej.
- Ja też cię lubię – odpowiedziała. – Bardzo.
- Wygląda na to, że oboje się wpakowaliśmy.

Teraz

Obudziłam się o szóstej rano z nieprzyjemnym smakiem w ustach, efektem połączenia piwa, wódki z minibutelek, które zwinęłam z barku, i połówki zolpidemu.

– Co do... – otworzyłam oczy i poczułam przypływ paniki, bo nie wiedziałam, gdzie jestem.

Ściany, które ledwo widziałam w szarym świetle poranka, były pokryte tapetą w kwiaty bzu. Powierzchnia każdego mebla była zapełniona ceramicznymi figurkami zwierząt – kóz, wiewiórek, piesków – wszystkie wpatrywały się we mnie. Usiadłam, wyprostowana, a serce podeszło mi do gardła i utknęło w oparach wódki. Zamrugałam oczami raz i drugi, i trzeci. W końcu sobie przypomniałam. Byłam w Anglii, w ogromnym, starym – choć jak na miejscowe standardy nowym – domu z moją rodziną, z Armstrongami i – o Boże! – z Ethanem. Położyłam się z powrotem i uśmiechnęłam do poduszki na wspomnienie naszej wczorajszej wymiany wspomnień. Trwało to krótko, ale to było coś. Wiedziałam to na pewno.

– Kochanie, muszę się napić wody! Dosłownie umieram z pragnienia, a moja skóra zeświruje, jeśli się odwodnię. Proszę! – Słyszałam głos Piper czysto i wyraźnie przez cienkie ściany. Następnie usłyszałam, jak mój przyszły szwagier wstaje i idzie do łazienki. Puścił długiego, cichego bąka i westchnął przeciągle, zanim w rurach zahuczało i woda popłynęła do szklanki.

– Dziękuję! – zawołała dźwięcznie Piper. – A teraz wracaj z tym swoim słodkim tyłeczkiem z powrotem do łóżka.

Stało się niezwykle jasne, że potrzebowałam oddalić się poza zasięg mojego słuchu od tej dwójki, i to jak najszybciej.

Wstałam z łóżka. Pokój wyglądał cokolwiek złowrogo, ponieważ z każdej półki i niszy obserwowały mnie małpowane oczy ceramicznych stworzeń, i chciałam jak najszybciej się stamtąd wydostać. Włożyłam spodnie dresowe i stary podkoszulek, który spakowałam jako piżamę, i zeszałam po cichu na dół. Przemknęłam koło kuchni, w której pani Willocks przygotowywała już śniadanie, i wyszłam przez frontowe drzwi na trawnik, na którym zebrała się rosa. Potarłam ramiona, chcąc się rozgrzać, i sprawdziłam godzinę na telefonie: była dokładnie siódma, co oznaczało, że w New Jersey była dopiero druga nad ranem. Do diabła z tym! Zdecydowałam, że trudne chwile upoważniają mnie do sięgnięcia po niełatwe rozwiązania. Ukryłam się za szopą ogrodnika i wybrałam numer.

Jess odebrała już po trzecim sygnale.

– Halo?

Przez jej zaspany głos przebijała nuta zdenerwowania i poczułam wyrzuty sumienia, że budzę kobietę w ciąży w środku nocy.

– Jess, tu Ruby.

– Dzięki Bogu, że mnie obudziłaś. Śnił mi się koszmar, że musiałam urodzić bez znieczulenia. Co słyhać?

– Jestem w Anglii – powiedziałam zupełnie niepotrzebnie.

– Wiem o tym – odparła. – Poczekaj, wstanę. – Dobiegło do mnie, jak wstaje z łóżka, a następnie jej kroki w przedpokoju. – Okej – rzekła. – Mogę rozmawiać.

Oczekuję wyczerpującego sprawozdania: czy ty i Ethan już uprawialiście seks?

– Nie, ale... – zaczęłam obgryzać skórkę przy paznokciu i zapatrzyłam się na trawnik. – Wydaje mi się, że coś między nami zaiskrzyło.

– Co ty mówisz? Opowiedz mi wszystko.

– Właściwie to nie ma co opowiadać. My po prostu... sama nie wiem. Poszliśmy wszyscy do pubu, ale tak się złożyło, że zostałam sama z Ethanem przy stoliku i on zachowywał się tak, jakby cieszył się, że mnie widzi... I ja też...

– A później rzuciłaś się przez stół i oblizałaś mu twarz?

– Raczej nie. Tata i Candace skończyli palić i wrócili.

– Palili papierosy? Czy znów mamy tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty siódmy?

– No i czar prysł. Ale zdecydowanie coś między nami było.

– Zaprosiłaś go do swojego pokoju?

Musiałam stłumić przyływ irytacji – czułam, że Jess nie traktuje mnie poważnie. Wiem, że wolałaby usłyszeć, że od razu zaciągnęłam Ethana do łazienki na Heathrow, a dopiero później zaczęłam zadawać pytania. Jess zawsze była szalona, ale odkąd osiadła w domowych pieleszach, wzniosła koncepcję zapośredniczonego życia singla na zupełnie nowy poziom. W duchu byłam bardzo wdzięczna, że nigdy nie zabrała się do czytania *Pięćdziesięciu twarzy Greya*, bo z pewnością kupiłaby mi na urodziny knebel z sex shopu.

– Oczywiście, że nie! Jesteśmy w tym samym hotelu, co mój tata i siostra... Obrzydliwość. Poza tym nie udało mi się już z nim więcej porozmawiać. Kiedy wróciliśmy do hotelu, Ethan poszedł od razu do swojego pokoju.

– No cóż, wołałabym, żebyś robiła szybsze postępy, ale muszę się zadowolić tym, co jest.

– Daj spokój, to naprawdę było coś!

– Dobra! Dobra! Coś między wami zaiskrzyło. – Niemal słyszałam, jak się uśmiecha. – Jesteś zadowolona?

– To jest takie dziwne... Przecież minęło tyle czasu, a tu nagle BUM, jakby wszystko od nowa.

Byłam zadowolona, dobrze było trochę się rozluźnić i otworzyć na nowe możliwości. Westchnęłam – wiedziałam, co miało nastąpić.

– Nie chcę ci tego wypominać, ale mówiłam ci, że tak będzie.

– Ty kłamczucho, aż cię świerzbi, żeby powiedzieć „A nie mówiłam!”.

– Masz rację, uwielbiam to. Ale to takie romantyczne!

– Chyba tak. – Dałam się ponieść marzeniu o dłoni Ethana na mojej talii, które zostało przerwane przez dźwięk cieczy uderzającej o porcelit. – Czy ty sikasz, rozmawiając ze mną przez telefon?

– To się nazywa wielozadaniowość. I tak, sikam. O co ci chodzi? Widziałaś, jak sikam niezliczenie wiele razy!

Wróciłam myślą do obskurnych łazienek w college'u, popsutych toalet w nowojorskich barach, a nawet do uliczek Brooklynu, gdzie Jess bez ostrzeżenia ściągała majtki, mówiąc tylko: „Zasłoń mnie”.

– Za każdym razem wbrew mojej woli – podkreśliłam.

Dźwięk spuszczonej wody.

– I po sprawie. Na czym stanęłyśmy? Ach tak, romans!

– Prawdę powiedziawszy, wydaje mi się, że atmosfera do tego typu wyznań została zniszczona przez przerwę na toaletę – odpowiedziałam.

– W takim razie nie wytrzymałabyś ani dnia jako mężatka – podsumowała, niespodziewanie przybierając poważny ton. – Jeśli ułoży ci się z Ethanem, to zamierzasz mu powiedzieć?

Te słowa podziałały na mnie tak, jak przekłucie balonu działa na dziecko.

– Nie – powiedziałam cicho. – Nie sądzę, żeby była taka potrzeba. To już przeszłość, pamiętasz? Lepiej iść do przodu.

– Masz rację – rzekła, choć wydaje mi się, że żadna z nas nie była do tego przekonana. – Nie ma sensu wyciągać teraz brudów, co?

– Dokładnie. Wracaj do spania. Przepraszam, że cię obudziłam. Mam nadzieję, że rano nie będziesz wykończona.

– Proszę cię, z kulą do kręgli uciskającą mój pęcherz i nocnymi płaczami Noaha do normalnego funkcjonowania wystarczy mi półtorej godziny snu. Wyspałam się już, zanim zadzwoniłaś.

– Uwielbiam cię. Dzięki, że odebrałaś.

– Zawsze. Też cię kocham. Daj mi znać, jak tylko znów coś między wami zaiskrzy, tylko, na Boga, następnym razem go pocałuj.

Rozłączyłam się i z powrotem zakradłam do mojego pokoju, krzywiąc się za każdym razem, kiedy nastąpiłam na skrzypiącą deskę. Z radia w kuchni dolatywał kojący głos spikera, informujący o powiększeniu się miejscowej populacji wydr, a pani Willocks mruzczała rytmicznie do samej siebie. Wszystkie drzwi były nadal pozamykane, wszyscy byli zdesperowani, żeby we śnie przyzwycząić się do nowej strefy czasowej lub żeby odłożyć moment wspólnego siedzenia przy jednym stole. W moim pokoju promienie słońca wlewały się przez okno, więc otworzyłam je, wystawiłam głowę i nabrałam pełne płuca świeżego powietrza, czując równocześnie, jak ulatniał się nieprzyjemny, stęchły zapach panujący wewnątrz.

Położyłam się na łóżku i przejrzałam maile, zwłaszcza te oznaczone jako pilne. Przebrnęłam przez tyle, ile się dało, zanim zeszałam na śniadanie z żołądkiem zawiązanym na supeł z niepokoju. Tyle miałam z wakacji.

Wyglądało na to, że jako pierwsza zjawiłam się na śniadaniu i usiadłam na wysokim dębowym krześle. Stół przykryty był wykrochmalonym białym obrusem, który został przybrany mnóstwem szydełkowanych serwetek. Na środku stał wazon z bzem. Wszystko to stanowiło piękną całość, choć zdecydowanie zbyt żałobną w swej wymowie jak na śniadanie. Ściągnęłam bogato zdobioną opaskę z lnianej serwetki, którą rozłożyłam na kolanach. Poczulałam, że plecy same mi się wyprostowały.

– Dzień dobry! – Podniosłam wzrok i zobaczyłam panią Willocks z czymś, co wyglądało jak kogut zrobiony na drutach, w jednej ręce i z półmiskiem parującego jedzenia w drugiej. Miała na sobie sztywno wykrochmalony biały fartuch nałożony na sukienkę w kwiatki, na nogach połyskujące szare rajstopy, takie jak te, w których Piper występowała jako dziecko na recitalu stepowania. – Herbaty? – zapytała, wskazując na koguta.



– Poproszę – odparłam.

W zasadzie wolałabym napić się kawy, ale byłam zafascynowana kogutem i chciałam zobaczyć, co nastąpi. Pani Willocks nachyliła koguta nad moją filiżanką i nałała z niego dość słabą herbatę.

Musiała dostrzec wyraz niedowierzania na mojej twarzy, ponieważ skinęła w kierunku koguta i wyjaśniła:

– Ocieplacz na imbryk. Słodki, prawda? Zaraz podam mleko.

– Uroczy – potwierdziłam, patrząc na talerz pełen smażonych jajek i kiełbasek i starając się ukryć swoje rozczarowanie. – Nie ma pani może jogurtu? Albo płatków śniadaniowych?

– Nie chcesz ciepłego śniadania? – zapytała pani Willocks, mrużąc oczy. – To najlepszy sposób, żeby rozpocząć dzień. – Wskazała na kiełbaski. – Są wspaniałe, prosto od rzeźnika!

Naprawdę wyglądały smakowicie: grubiotkie i złociste, z cienką skórką delikatnie rozsadzoną przez mięso na końcach. Poczulałam, jak burczy mi w brzuchu. Jutro pobiegam, obiecałam sobie. Nabiłam kiełbaszkę na widelec i ugryzłam. Była przepyszna. I zrobię też trochę brzuszków, dodałam w myślach.

– A gdzie podziewa się reszta towarzystwa? – zapytała gospodyni, cmokając niecierpliwie. – Armstrongowie byli na dole punktualnie o ósmej, ale po pozostałych ani widu, ani słychu, a jest już wpół do dziewiątej!

– Muszą się przyzwycząić do nowej strefy czasowej. – Albo leczą kaca, dodałam w duchu. Kiedy wczoraj w nocy w końcu wspierałam się po schodach do mojego pokoju, na dole Candace dyrygowała moim ojcem i Armstrongami, którzy śpiewali hymn swojej młodości *If You Like Piña Coladas*.

– Cóż – powiedziała pani Willocks. – Mam nadzieję, że zjawią się, zanim jedzenie wystygnie.

– Zostanie więcej dla mnie! – odrzekłam wesoło. I jeszcze trochę przysiadów, napomniałam się w myślach.

Posmarowałam masłem gruby kawałek białego tostowego pieczywa. Zatopiłam w nim zęby i pozwoliłam, żeby masło roztopiło mi się na języku. Nie jadłam pszennych tostów od czasów prezydentury Busha – zdążyłam już zapomnieć, jak cudownie smakuje. Nie obejdzie się jutro bez przysiadów.

W tym momencie weszli tata i Candace – oboje wyglądali na zmęczonych i w nie najlepszej formie.

Ojciec przywołał na usta swój najlepszy uśmiech.

– Dzień dobry, słoneczko! Jak się dziś miewają wszyscy? Co za uczta! Pani Willocks, muszę przyznać, że wszystko wygląda fantastycznie! Candace i ja trochę przesadziliśmy wczoraj wieczorem, ale to nas z pewnością postawi na nogi, prawda, kochanie? – Ścisnął Candace w talii, a ona przełknęła z trudem, ostrożnie usiadła na krześle i zaczęła skubać suchy tost. – Biedna Candy, nie czuje się najlepiej – ciągnął, patrząc na nią.

Ojciec nałożył sobie kilka jajek i pomidorów, które potem wylądowały na trzech kawałkach obficie posmarowanych masłem grzanek. – Nie czas martwić się

cholesterolem, prawda, dziecko?

– Jak twoja głowa?

– Och, dobrze, dobrze. Znasz mnie, jestem silny jak tur! A jak ty się masz?

Odespałaś już różnicę czasu? Wyglądałaś na porządnie wstawioną, kiedy wróciliśmy.

W mojej głowie pojawiło się niewyraźne wspomnienie tego, jak siedziałam wczoraj w salonie i wpatrywałam się w wypukły wzór tapety, usiłując odtworzyć spojrzenie, które wymieniłam z Ethanem, podczas gdy mój ojciec i Bob głośno spierali się o Tigera Woodsa. Obląłam się rumieńcem.

– Spałam jak kamień – odparłam.

– To dobrze. Muszę pani powiedzieć, pani Willocks, że pani materace są jak chmurki!

Pomyślałam o łóżku w moim pokoju, które było nierówne i twarde, a leżące na nim dwie poduszki były zupełnie sflaczałe, i uniosłam brew, patrząc na ojca. Mrugnął do mnie porozumiewawczo.

– Miło mi to słyszeć, panie Atlas. Dokładam wszelkich starań, żeby moim gościom było wygodnie.

– Jestem zadowolony jak świnia w gnoju – powiedział ojciec i po wyrazie twarzy gospodyni zorientowałam się, że jednak poszedł za daleko. – Proszę mi wybaczyć porównanie – dodał jeszcze, zanim całą swoją uwagę poświęcił sporej ilości bekonu.

Zjawił się Ethan, a za nim Piper i Charlie. Ethan miał na sobie dżinsy i odrobinę za mały podkoszulek, który, kiedy sięgał po keczup, podniósł się na tyle, żeby ukazać jego wyrzeźbiony brzuch. Włosy miał potargane od snu, a oczy zamglone. Atmosfera poranka sprawiła, że aura bogactwa i pewności siebie została zastąpiona przez chłopięcy urok, który tak dobrze znałam. Chciałam go dotknąć. Poczuć ciepło jego ciała i twardość jego kości. Ale zamiast tego wyprostowałam się jeszcze bardziej i starałam się nawiązać z nim kontakt wzrokowy. Kiedy w końcu złapałam jego spojrzenie nad półmiskiem stygnących jajek, posłał mi szybki uśmiech i wrócił do swojej grzanki.

No cóż, pomyślałam, człowiek musi jeść, prawda? Nie możemy cały czas dzielić ze sobą wspaniałych momentów, zwłaszcza kiedy są kiełbaski do zjedzenia. Sięgnęłam po kolejną i ugryzłam, ale była już zimna i warstwa tłuszczu osadziła mi się na zębach.

– Przyniosę świeże jajka – powiedziała pani Willocks, sprzątając talerz ze stołu. – I herbatę, i tosty. – Słowa te adresowane były do Ethana, a zaróżowione policzki gospodyni upewniły mnie tylko w tym, że i ona nie oparła się jego urowi. – Chyba że chcesz coś innego, skarbie? – zapytała. – Mogę szybciotko zrobić ci owsiankę! Albo te naleśniki, które wy, Amerykanie, tak lubicie.

– Wszystko jest znakomite, dziękuję – odparł gładko i zauważyłam, że wróciła mu dobrze wyćwiczona ogłada. – Proszę nie robić sobie kłopotu.

– Ja chętnie zjem owsiankę – rzekła Piper. Wyglądała, jakby miała zemdleć ze szczęścia, że nie będzie musiała jeść jajek. – Nie powinnam jeść jajek, mięsa ani niczego z glutenem – wyjaśniła w ramach przeprosin.

– Oczywiście, złotko! – powiedziała pani Willocks i zniknęła w kuchni, powiewając fartuchem.

– Nie wiedziałam, że jajka też są na twojej czarnej liście – zdziwiłam się. – Co ci

zostało? Ciecierzycy i kombuczy?

– Nic na to nie poradzę, że mam delikatny żołądek – tłumaczyła Piper, unosząc zaczepnie brodę. – A po ciecierzycy mam wzdęcia.

– Gdyby twój żołądek był choć trochę wrażliwszy, to pisałby ci listy miłosne i zostawiał w szafce. – Zobaczyłam, że Ethan się uśmiechnął, i poczułam się niezwykle z siebie dumna.

Do jadalni weszli Bob i Barbara, oboje z zaróżowionymi od słońca i wiatru policzkami i ubrani w pasujące fluorescencyjne sportowe kurtki.

– Kto jest gotów na przygodę! – zawołała Barbara, unosząc parasolkę w górę. W ciągu dwudziestu czterech godzin, które spędziła w tym kraju, zdążyła już podłapać brytyjski akcent. – Lepiej ruszajmy w drogę, jeśli chcemy dotrzeć do Alnwick przed turystami!

Wokół stołu rozległ się stłumiony jęk. Ugryzłam zimną kiełbasę i popiłam ją herbatą: zaczęłam podejrzewać, że będę potrzebować więcej energii, niż dotąd sądziłam.

– No dalej! – wołał Bob. – Pospieszcie się!

## Kiedyś

Ethan wytoczył się z łóżka, włożył szorty i poszedł do łazienki. Myjąc zęby, patrzył na swoją twarz w lustrze, ale niczego nie dostrzegał. Jego myśli nadal krążyły wokół wczorajszego wieczoru, który spędził z Ruby w parku na kocu pod gwiazdami. Przełknął uśmiech i wypluł pastę. Wiedział, że gdyby jego ojciec przyłapał go na szczerzeniu się jak idiota, nie przestałby się z niego naśmiewać.

Zbiegł na dół, łapiąc w przelocie banana, i poszedł do warsztatu. Na zegarze była 11.13. Ojciec zajmował się już piątym samochodem tego dnia, a Ethan dopiero brał się do działania.

– Dzień dobry – zawołał, wchodząc do warsztatu.

– Cześć, młody – odpowiedział ojciec spod pontiaca bonneville rocznik 1996, któremu montował nowe amortyzatory. – Podasz mi puszkę PB Blastera?

Wytoczył się spod podnośnika i Ethan podał mu preparat. Ojciec ubrudzony był smarem, ale ciężko było odróżnić, które plamy były świeże, a które stare. Odkąd Ethan sięgał pamięcią, ojciec miał pod paznokciami ciemne półksiężyce brudu. Kiedyś moczył je godzinami w misce z wodą i czyścił szczotką, ale nigdy nie było widać różnicy. Po tym, jak matka Ethana odeszła, ojciec przestał się starać.

– Jestem, jaki jestem – mówił, wzruszając ramionami, i, co zaskakujące, kilka kobiet się na to skusiło, choć Ethan nie był pewien, czy dlatego, że naprawdę się im podobał, czy też było im żal, że żona zostawiła go z dzieckiem.

Niełatwo było się w tym rozeznać małomiasteczkowemu samotnemu ojcu ani chłopcu bez matki: granica między miłością a współczuciem była cienka i często niewyraźna. Ethan pomyślał o twarzy Ruby w świetle księżycy i o uśmiechu, który rozświetlił jej twarz, kiedy wziął ją za rękę. Uśmiechnął się do siebie. Dzięki Bogu, z nią wszystko było jasne.

Ojciec Ethana dostrzegł jego uśmiech. Usiadł na leżance warsztatowej – którą, zawsze zaradny, sam zrobił, sklejjąc kilka warstw dykty i przykręcając kółka ze starej deskorolki – i posłał mu długie, twarde spojrzenie.

– Z czego tak się cieszysz? – zapytał, wsuwając się z powrotem pod samochód.

– Z niczego – powiedział i zajął się sortowaniem nakrętek na wentyle, najpierw pod kątem wielkości, później marki, a na końcu koloru.

– Nie wciskaj mi kitu – zawołał ojciec spod samochodu. – Wiem, kiedy jesteś szczęśliwy, więc nie ma sensu ukrywać tego przede mną. Dlaczego masz takie maślane oczy? Niech zgadnę: to przez tę dziewczynę, z którą się spotykasz.

Uśmiech znów mimowolnie pojawił się na twarzy Ethana.

– Może.

– Nie udawaj niewiniątka. Widzę, że jesteś zakochany. Podaj mi szmatę ze stołu, dobrze? Miałeś już trzy wychodne wieczory w tym tygodniu, to musi być coś poważnego...

– Jest świetna. – Starał się, żeby jego głos zabrzmiał obojętnie, ale nie zdołał ukryć podekscytowania.

– Czyli miłość jak się patrzy. Jak się nazywa?

Tego momentu Ethan obawiał się najbardziej.

– Ruby Atlas.

– Córką Aleca? – Niedowierzanie w jego głosie było dobrze słyszalne nawet spod samochodu.

– Tak.

– No proszę – rzekł, wysuwając się spod pontiaca i rzucając w syna szmatą. – Mój syn prowadzi się z córką pana z country clubu. Teraz wiem, dlaczego wczoraj kupiłeś ten drogi śmierdzący ser. Zaraz się okaże, że zajadasz się musztardą Grey Poupon.

– To jest ser pleśniowy, a z tą musztardą to tylko reklama, tak?

– Nie sądziłem, że doczekam dnia, w którym mój syn będzie kupował sery pleśniowe i spotykał się z córką Aleca Atlasa. Opchnął ci już jakiś gówniany dom? Coś w stylu Cygańskiego Bungalowu albo Latarni Pocahontas?

– Nie, ale powiedział, bym ci przekazał, że z przyjemnością zajmie się sprzedażą tego miejsca.

– Po moim trupie. Alec Atlas wyprzedaje od dziesięciu lat całe miasteczko sprzed naszych nosów. Jeśli sądzi, że sprzedam mu ziemię naszej rodziny, by mógł zbudować jakiś zasrany Disneyland, to się przeliczy.

– Mniej więcej to mu właśnie odpowiedziałem.

– Dobrze. Przeklęty sęp. – Nastąpiła chwila ciszy, kiedy obaj czekali, aż ciśnienie starszego Bailey'a wróci do normy. – Ale wracając do jego córki... Ruby, tak? Lubisz ją?

– Na to wygląda – odparł Ethan, po czym dodał poważniej: – Tak, lubię. I to bardzo.

– Cóż, Alec wydaje się miłym gościem. Czasem jest dupkiem, ale kto nie jest? Przykra sprawa z tą jego żoną.

– Ruby nie chce o tym mówić.

– Rak – powiedział ojciec, wycierając ręce w spodnie. – Nie męczyła się długo, dzięki Bogu, ale bardzo ciężko było jej zostawić dwie małe córeczki. Miła kobieta.

– Jezu – powiedział Ethan. – Biedna Ruby.

– Tak, to dla nich wszystkich było bardzo ciężkie. Mój syn i Ruby Atlas. To naprawdę daje wiele możliwości. Sądzisz, że to coś poważnego? Bo na to wygląda.

– To jest bardzo poważne. Właściwie to jadę dziś do niej na obiad... z całą jej rodziną. – Przełknął nerwowo.

– Nie gadaj... – odparł ojciec, uśmiechając się. – Mam nadzieję, że pamiętasz, jak się używa noża i widelca. Nie myśl, że dadzą ci tam burgera. Znając Atlasa, pewnie będzie deska serów.

Ethan wzruszył ramionami.

– Ruby powiedziała, że będzie zwyczajnie. – Nie miało to jednak znaczenia. Od samego rana żołądek skręcał się Ethanowi z nerwów, nie zanosilo się więc na to, by miał coś przełknąć.

– Synu, podejrzewam, że dla Ruby co innego jest zwyczajne niż dla ciebie. Pamiętaj, żebyś przyniósł kwiaty – poradził, chichocząc do siebie. – I choć raz włóż koszulę z kołnierzykiem.

Tamtego wieczoru Ethan zajechał na podjazd Atlasów w zapiętej koszuli (nie pod

samą szyję, ale jednak) i z bukietem kwiatów. Był tam już kilka razy po Ruby, ale nie zdążył się jeszcze przyzwyczać do rozmiarów tego domu, który wyglądał jak gigantyczny tort weselny. W porównaniu z nim reszta domów na osiedlu wydawała się skromna, chociaż nawet najmniejszy był dwukrotnie większy niż ten, który miał jego ojciec. Światła były zapalone i Ethan widział przez okno jadalnię, gdzie Candace i Ruby nakrywały do stołu. Chryste, pomyślał, wysiadając z samochodu, jest nawet obrus.

Chciał zapukać do drzwi, ale Ruby otworzyła mu, zanim jego knykcie dotknęły drzwi.

– Przyjechałeś! – zawołała, rzucając mu się w ramiona, zupełnie jakby przejechał cały kraj.

– Proszę – powiedział, podając jej bukiet.

– Zachowaj je dla Candace – szepnęła. – Pokocha cię na wieki, jeśli dasz jej kwiaty. To jest praktycznie jedyny powód, dla którego nadal jest z moim ojcem. Numer do kwiaciarni ma w szybkim wybieraniu, na wypadek gdy coś przeszkobie. A zdarza mu się to ustawicznie...

Ostatnie zdanie wypowiedziała przez ramię, prowadząc go do kuchni. Nigdy wcześniej nie zaszedł tak daleko w posiadłości Atlasów i był pod ogromnym wrażeniem wszechobecnych marmurów.

Gwizdnął cicho.

– Co za miejsce – powiedział i natychmiast poczuł się jak swój ojciec.

– Wiem, to przesada – odparła Ruby, przewracając oczami. – Dali się ponieść podczas projektowania. Nie dorastałam tutaj – dodała pospiesznie. – Dom, w którym się wychowałam, był... – rozpaczliwie próbowała znaleźć odpowiednie słowo – ...normalny.

– Chyba żartujesz! To jest po prostu niewiarygodne! – Spojrzał na błyszczące przedmioty rozstawione na blatach. – Ja nawet nie wiem, do czego to służy – wyznał, pokazując ręką przedmiot, który równie dobrze mógł być ekspresem do kawy, jak i zdalnie sterowanym helikopterem.

– Ani ja.

– Ruby! – Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegł kobiecy głos. – Czy ja słyszę głos przystojnego mężczyzny?

– Jesteśmy w kuchni! – zawołała w odpowiedzi, a potem obróciła się do Ethana i ujęła jego dłonie w swoje. – Gotowy?

– Jak zawsze – odparł, chociaż stojąc wśród tych marmurów, był zdenerwowany jak nigdy.

– Pokochają cię – wyszeptała, kiedy zjawiła się Candace.

Minęła chwila, zanim jego wzrok się przyzwyczał: była ubrana w złotą, mieniącą się suknię i szpilki, których obcas był tak cienki i wysoki, że wyglądała, jakby unosiła się w powietrzu. Podeszła do niego i objęła go, zgniatając kwiaty, które znalazły się między nimi.

– Ethan! – zawołała. – Jak miło cię poznać, skarbie!

– To dla pani – wydukał, zmieszany, podając jej lekko poturbowany bukiet.

– Ależ to urocze z twojej strony! – porwała kwiaty z jego rąk i natychmiast zaczęła

je układać w jednym z ogromnych wazonów stojących na ozdobnym francuskim kredensie w rogu. Skończywszy, odsunęła się, żeby podziwiać swe dzieło.

– Są absolutnie piękne – powiedziała. – Najpiękniejsze, jakie kiedykolwiek dostałam. Bardzo ci dziękuję!

– Cała przyjemność po mojej stronie, pani Atlas.

– Proszę, mów mi Candace. „Pani Atlas” sprawia, że czuję się staro. Zawołam Aleca i możemy siadać do stołu. Mam nadzieję, że jesteś głodny. – Wyszła z kuchni, a tył jej sukni migotał jeszcze przez chwilę.

– A więc to jest twoja macocha, tak? – Ethan nagle odkrył w sobie nowe pokłady szacunku do ojca Ruby.

– Tak, to ona – odparła, wywracając oczami. – Nigdy nie sądziłam, że będę miała macochę, która będzie bardziej pociągająca niż ja, ale tak już jest.

– Ona nie jest bardziej pociągająca niż ty – zapewnił.

– Nie umiesz kłamać – powiedziała, całując go. – Okej, gotowy na drugą rundę?

Weszli do jadalni (masywny stół z orzecha, nakryty koronkowym obrusem, kompletna srebrna zastawa, łącznie z wazą – choć nikt, nawet Candace, nie wiedział, do czego służyła – i ciężkie czerwone aksamitne zasłony w oknach), gdzie Candace i Alec sprzeczali się cicho nad wózkiem z drinkami.

– Alec, naprawdę nie sądzę, że... Ethan! – Candace rozpromieniła się na jego widok. – Poznaj mojego męża, Aleca!

– Już się poznaliśmy – sprostował ojciec Ruby i ujął dłoń Ethana w żelazny uścisk. Miał na sobie džinsy zaprasowane w kant i buty ze skóry aligatora, i wyglądał na kogoś, kto musi stale walczyć z nadwagą. Jego twarz była różowa i pucułowata niczym dojrziała brzoskwinia. – Miło znów cię widzieć. Jak się miewa twój ojciec?

– Całkiem nieźle – odparł, krzywiąc się, kiedy ból w jego ręce zawędrował aż do ramienia.

– To dobrze, to dobrze. Chciałbyś się czegoś napić? Właśnie miałem przyrządzić sobie następny manhattan. Przejechałem dziś piętnaście kilometrów na rowerze stacjonarnym, więc myślę, że zasłużyłem na małą nagrodę, chociaż moja żona tak nie uważa. – Mrugnął do niego porozumiewawczo i bez cienia ironii. Ethan przytaknął bez słowa: był bezradny w obliczu tak przekonującego mrugnięcia. – Doskonale! Siadajcie, a ja się zabawię w barmana, choć podejrzewam, że powinienem zdać się na ciebie, bo w końcu jesteś profesjonalistą! – Roześmiał się głośno, ale zamilkł, widząc minę Ruby i Candace. – Tylko żartowałem – dodał, lecz Ethan nie był pewien, z czego: z tego, że Ethan był zawodowym barmanem (co było prawdą i w jego oczach nie był to żaden żart), czy z tego, że powinien pozwolić mu przyrządzić drinki (co również było prawdą, ale Ethan wiedział, że nie powinien tego mówić głośno). Uśmiechnął się więc dobrodusznie, usiadł przy stole i patrzył, jak gospodarz miesza alkohole (słabo, tak jak przypuszczał).

– Ethan – zagadnęła go Candace, stawiając na stole talerz umiejętnie ułożonych krewetek królewskich. – Ruby opowiadała nam, że jesteś geniuszem komputerów!

– Nie wydaje mi się – odparł, drapiąc się po szyi. – Lubię coś na nich kombinować, ale zdecydowanie nie nazwałbym siebie geniuszem. Nie skończyłem żadnej szkoły informatycznej ani nic z tych rzeczy.

Ojciec Ruby podał mu drinka i usiadł naprzeciw. Ethan upił łyk: cholernie mocny.

– A jaką szkołę skończyłeś? – zapytał. – A tak w ogóle, to na zdrowie.

– Na zdrowie – odpowiedział Ethan, upił kolejny łyk i poczuł, jak gardło pali go do żywego. – Nie skończyłem żadnej szkoły – wyznał. – To znaczy, do żadnej w ogóle nie poszedłem.

– Och, dlaczego?

Ethan zauważył, jak ojciec Ruby rzuca swojej córce spojrzenie z ukosa.

– Musiałem pomóc ojcu w warsztacie – powiedział, co przynajmniej po części było prawdą. Nie miał ochoty mówić całej prawdy, która przedstawiała się tak, że kiedy ledwo udało mu się skończyć szkołę średnią, o niczym bardziej nie marzył niż o tym, by nigdy więcej nie siedzieć w żadnej klasie.

Ojciec Ruby uniósł szklankę i Ethanowi przyszło do głowy, że zaraz obleje go swoim drinkiem.

– To bardzo szlachetne – oznajmił. – Ja również poszedłem do college’u dopiero kilka lat po ukończeniu liceum.

Ruby zamarła, zanurzając krewetkę w sosie, i spojrzała na ojca zdziwiona.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Mój ojciec nie mógł opłacić mojej dalszej nauki. Nawet gdyby było go na to stać, a nie było, dał mi jasno do zrozumienia, że miałem się wyprowadzić i zacząć zarabiać na siebie zaraz po rozdaniu świadectw.

– Nie wierzę, że dziadek Joe mógł się tak zachować – wymamrotała Ruby.

– Takie były wtedy czasy. – Ojciec skwitował to wzruszeniem ramion. – Prawdziwi mężczyźni szli do pracy, a nie spędzali całe dni nad książkami.

Ethan poczuł, że wezbrała w nim duma, ponieważ został zaliczony do prawdziwych mężczyzn.

– I co pan robił? – zapytał.

– Przez kilka lat pracowałem na budowach – odrzekł. – Nauczyłem się wszystkiego, czego mogłem się tam nauczyć. Potrafię rozróżnić złącze na wpust i pióro od jaskółczego ogona z odległości pięćdziesięciu kroków. Gołym okiem potrafię stwierdzić, czy fundamenty zostały krzywo wylane. I, co jest w moim fachu najważniejsze, potrafię wyczuć, kiedy wykonawca próbuje mnie na coś naciągnąć.

Ruby była zdumiona.

– Tato, nigdy w życiu nie widziałam cię z młotkiem w ręku.

– Co nie znaczy, że nie umiem się nim posługiwać. Po prostu nie mam na to ochoty i stać mnie, żeby ktoś to robił za mnie. I to, synu, jest definicja sukcesu. – Oparł się wygodnie na krześle i pociągnął tryumfalny łyk ze swojej szklanki.

Ethan nie był pewien, czy sam by tak zdefiniował sukces – osobiście lubił pracować własnymi rękami i, co ważniejsze, nie potrafił sobie wyobrazić, że kiedykolwiek w życiu będzie go stać na to, by zapłacić komuś, żeby coś za niego zrobił, ale mimo wszystko podziwiał swojego gospodarza.

– Tak – powiedział ojciec Ruby, porywając krewetkę z talerza i wrzucając ją sobie do ust. – Zawsze uważałem, że to dobry pomysł, by zorientować się w prawdziwym świecie, zanim oddasz się nauce.



– Nigdy mi tego nie powiedziałaś! – protestowała Ruby, nadal trzymając w ręce krewetkę, z której sos ściekał na obrus.

– Dlaczego miałbym ci to mówić? Byłaś skoncentrowana na tym, żeby pójść do college’u, odkąd przestałaś chodzić w pieluchach. Nazywałem ją Małym Einsteinem – powiedział do Ethana, po raz kolejny puszczając do niego oko. – Poza tym twoja matka zabiłaby mnie, gdybym nie zachęcał cię do pójścia na dobry uniwersytet. To jedno kazała sobie przyrzec przed śmiercią.

Przy stole zapanowała cisza. Ethan zastanawiał się, co należałoby w takiej sytuacji powiedzieć. Czy powinien wyrazić swoje współczucie? A może było już na to za późno, uwzględniając fakt, ile lat minęło od śmierci matki Ruby. Czy sprawiłby tym przykrość Candace? Skończyło się na tym, że napił się drinka, który nadal działał jak kwas na jego żołądek, ale smakował już lepiej, i wpatrywał się w swoje kolana.

– No cóż – odezwała się pogodnie Candace po upływie chwili. – Przyniosę obiad. – Wstała od stołu i poszła do kuchni.

– Nie mogę uwierzyć, że nie wiedziałam tego o tobie, tato – wyznała Ruby, po czym przypomniała sobie w końcu o krewetce i zaczęła żuć ją w skupieniu.

– Nadal mam kilka asów w rękawie – odparł ojciec. – Chodziło mi o to, Ethanie, że my nie jesteśmy tacy jak moja piękna córka. Niektórzy z nas są na tym świecie, żeby robić coś innego, niż trzymać nos w książkach.

– Tato! W college’u nie tylko czyta się książki! Pisałam prace! Skończyłam finanse! Czekam na mnie praca w jednej z najlepszych agencji reklamowych w Nowym Jorku!

– Wiem, skarbie, i jestem z ciebie bardzo dumny. Wiem, jak ciężko pracowałaś. Nie przeczę. Po prostu mówię, że jest wiele ścieżek na tym świecie, i jestem pewien, że Ethan znajdzie kiedyś swoją.

– Bardzo panu dziękuję.

Ethan nie chciał robić mu przykrości, mówiąc, że ma już wyznaczoną drogę, która zakłada, że będzie pracował w barze, dopóki jego ojciec nie przejdzie na emeryturę i nie przekaze mu warsztatu. Całe życie będzie mieszkał w Beechfield, pewnie w tym samym domu, w którym się wychował, i będzie pił z tymi samymi ludźmi w tych samych knajpach. Nawet kiedy siedział w tej wystawnej jadalni z efektownymi zasłonami i kryształowym talerzem pełnym skorupiaków, wiedział, że ten świat się mu wymyka. Ruby pojedzie do Nowego Jorku i zacznie swoje prawdziwe życie, które będzie wspanialsze i bardziej znaczące niż jego. I ona również wymknie się mu, jak gwiazda blaknąca w świetle poranka.

– Jeszcze jeden manhattan?

Ethan spojrzał i zobaczył ojca Ruby stojącego nad nim z pustą szklanką.

– Z przyjemnością – powiedział i sięgnął po ostatnią krewetkę leżącą na pokruszonym lodzie.

Teraz

Do: Bill Bailey

Data: 15 lipca 2015, 10:53

Od: Ethan Bailey

Temat: re: Wizyta u lekarza

Wiem, że nie poszedłeś, bo Jasmine mi powiedziała (zanim zapytasz, tak, śledzę Cię, i nie, nie uważam tego za naruszenie Twoich praw obywatelskich). Do tego lekarza czeka się ponad dwa miesiące. Sprawdzę, czy uda mi się znów Cię umówić, ale musisz mi obiecać, że tym razem na pewno pójdziesz.

Tutaj jak do tej pory wszyscy jakoś się ze sobą dogadują. Bob i Barbara nabrali przekonania, że są bezpośrednimi potomkami Henryka VIII, co pewnie Cię nie zdziwi. A on zachowuje się tak jak wtedy, kiedy kandydował na prezesa klubu, z tym że gorzej.

Udziałowcy naciskają na mnie, żebym podjął decyzję. Właściwie to cieszę się, że przez jakiś tydzień będę poza ich zasięgiem, bo dzięki temu będę miał trochę czasu i przestrzeni, żeby się spokojnie zastanowić.

Powiedz Jasmine, żeby nie karmiła Cię samym makaronem z serem. Może od czasu do czasu jakieś warzywa, żeby Twoje jelita nie zastrajkowały.

E

Teraz

Vic wjechał na podjazd autokarem.

– Twoja sekretarka powiedziała mi, że będziesz potrzebował samochodu na osiem osób – powiedział do Ethana, wruszając ramionami. – A to jest najlepsze, co mogłem znaleźć.

– Jest świetny, dzięki – odparł Ethan.

Vic cały się rozpromienił – nawet on uległ urokowi Ethana.

Myślałam o tym, kiedy Vic wioził nas krętą, wąską wiejską dróżką. Przyglądałam się profilowi Ethana, kiedy rozmawiał z kierowcą, i zastanawiałam się, jak odnajdywał się w swoim życiu, odkąd zmieniło się ono w bajkę. Wydawał się zupełnie niewzruszony faktem, że ktoś w jego imieniu wynajął autokar, jakby takie rzeczy zdarzały się mu każdego dnia. Jakby dziwić miało, gdyby było inaczej. Świat zdawał się naginać do jego woli, powietrze nabierało kształtów, żeby się do niego dopasować. A w środku tego wszystkiego był on, z tą samą co kiedyś czupryną niesfornych loków opadających mu na oczy i chłopięcym uśmiechem na ustach. Zastanawiałam się, czy mógł mnie wpuścić do środka, czy było tam jeszcze dla mnie miejsce.

Dojechawszy do zamku Alnwick, zatrzymaliśmy się na zwirowanym parkingu. Było jeszcze przed południem, ale i tak pełno już było chińskich turystów w identycznych kamizelkach w czerwono-zielone paski, którzy każdy swój krok dokumentowali za pomocą aparatów w telefonach, oraz udręczonych matek niosących torby wyładowane nawilżanymi chusteczkami i przekąskami, popychających swoje latorośle do wejścia. Vic zdecydował się poczekać na nas na zewnątrz.

– Widziałem już tyle zamków, że wystarczy mi do końca życia. Bawcie się dobrze! – Pomachał nam na pożegnanie, a następnie wyłożył nogi na tablicy rozdzielczej i zaczął przeglądać „Mirror”.

Ethan podszedł do okienka z biletami i powiedział kilka słów do sprzedawczynie, a potem ni stąd, ni zowąd zostaliśmy zaproszeni na prywatną wycieczkę z przewodnikiem.

– Pociągnąłem kilka sznurków – powiedział, bagatelizując całą sprawę.

Kiedy wchodziliśmy przez bramę do zamku, Bob i Barbara wyglądali, jakby mieli lada moment eksplodować z nadmiaru wrażeń.

– Wiecie, kiedyś Armstrongowie byli w bardzo bliskich stosunkach z rodem Percych – wyznała Barbara, gdy wchodziliśmy do komnaty strażników.

Szliśmy za przewodnikiem na szczyt okazałych schodów, stąpając ostrożnie po czerwonym orientalnym dywanie i podziwiając złożone sztukaterie przy sklepionym suficie. Nawet w słabym świetle oszałamiały swoim blaskiem – wystarczył jeden promień słońca padający na nie przez okno, żeby rozświetliły cały hol. Przez chwilę byłam tak oszołomiona, że aż mi tchu zabrakło.

Ojciec cicho gwizdnął.

– Musiało ich to sporo kosztować.

– Zamek należy do rodziny od ponad siedmiuset lat – powiedział Bob, dyskretnie robiąc zdjęcie rzeźbionej balustradzie swoim zawieszonym na szyi canonem. – A sam

budynek wzniesiono niemal tysiąc lat temu.

– Jezu! – Kolejne gwizdnięcie, tym razem dłuższe. – Jak, do diabła, udało się im wybudować coś takiego tysiąc lat temu?

– Dzięki systemowi feudalnemu, który opierał się na pracy wieśniaków – wyjaśnił Ethan, uśmiechając się krzywo. – Najwyraźniej w tym stroju stawianie budynków to była betka.

– Cóż, nie mogę powiedzieć, żebym nie tęskniła za dawnym stylem życia – powiedziała Barbara. – Jestem przekonana, że w tamtych czasach było znacznie łatwiej. Wszystko było bardziej cywilizowane.

– Pani Armstrong, wydaje mi się, że tysiąc lat temu w tych stronach stosunki między ludźmi nie były zbyt cywilizowane – uświadomił ją Ethan. – Spędzali dużo czasu, mordując się przy użyciu włóczni.

Posłałam mu uśmiech, a on mrugnął do mnie tak, iż myślałam, że zemdleję.

– No cóż – powiedziała Barbara, nie dając za wygraną – tworzyli piękne rzeczy.

– Musimy porozmawiać. – Obejrzałam się i zobaczyłam Piper tuż za moimi plecami.

Złapała mnie za łokieć i zaprowadziła do pomieszczenia, które wyglądało na bibliotekę. Zarówno ściany, jak i dywan były czerwone, a na środku sufitu znajdował się imponujący żyrandol. Nad naszymi głowami górowały półki pełne oprawionych w skórę woluminów i masywnych podpórek na książki. Korciło mnie, żeby sprawdzić, czy przesunięcie którejś z nich nie otwiera tajemnego przejścia.

– Czego potrzebujesz? – zapytałam, a mój wzrok błędził po pomieszczeniu w poszukiwaniu ukrytych dźwigni i guzików.

– Chodzi o Candace – powiedziała Piper. – Cały czas przynosi mi wstyd.

– Dlatego że się wczoraj trochę upiła? A kogo to obchodzi? Wszyscy się wstawiliśmy.

– To nie wszystko – odparła z rękoma na biodrach. – Mam na myśli to, jak się dziś ubrała... – W za ciasne białe dżinsy i różową bluzkę wiążaną na szyi, więc Piper miała trochę racji. – I to, że cały czas powtarza mi, jak bardzo jest podekscytowana, że jest matką panny młodej...

– Większość ludzi odebrałaby to jako coś miłego – uznałam.

– Ruby, czy ty nic nie rozumiesz? Ona nie jest naszą matką!

– Ale chce dobrze. – Byłam nieugięta. – Jest naszą macochą od bardzo dawna, więc myślę, że próbuje...

Piper skrzywiła się, a jej dolna warga zaczęła drżeć.

– Chcę, żeby tu była mama – jęknęła. – Nasza prawdziwa mama.

Westchnęłam i przytuliłam ją do siebie.

– Wiem, mała, wiem – powiedziałam. – Ja też.

Byłam zaskoczona, że Piper zareagowała tak emocjonalnie – prawie nigdy nie rozmawialiśmy ze sobą o mamie. Ona nigdy nie poruszała tego tematu, a ja bałam się, że może była za mała, żeby ją zapamiętać. Na pogrzebie mamy była zaledwie słodkim blond maleństwem stawiającym pierwsze kroki. Nie byłam pewna, czy w ogóle ma jakieś wspomnienia z mamą poza zdjęciami, które jej z tatą pokazywaliśmy, i historiami, które

jej opowiadaliśmy.

– To niesprawiedliwe, że jej tu nie ma – wyszeptała, wtulona w moje ramię.

– Masz rację – rzekłam. – To niesprawiedliwe. To naprawdę cholernie niesprawiedliwe. Ale masz mnie i tatę, i Candace, no i Charliego oraz jego rodzinę. Wszyscy jesteśmy tutaj dla ciebie. Wiem, że nic nie może wynagrodzić nieobecności mamy, ale nie jest tak, że nie masz nikogo.

Wyprostowała się i pokiwała głową, wycierając rozmazany tusz spod oczu.

– Wiem, że Candace ma dobre intencje, i lubię ją, naprawdę ją lubię – powiedziała, pociągając nosem. – Wolałabym tylko, żeby nie nosiła tyle lurexu.

Wzięłam Piper pod ramię i wyprowadziłam z biblioteki.

– Pewnych bitew nie da się wygrać – oznajmiłam. – Chodźmy zobaczyć, czy tata już coś zniszczył.

Na szczęście nie było aż tak źle, chociaż dopuścił się wykroczenia polegającego na tym, że przekartkował oryginalny odpis Domesday Book. Nasz przewodnik tylko głośno wciągnął powietrze i niezwykle grzecznie pouczył go, żeby nie robił tego nigdy więcej. W międzyczasie Candace przyglądała się uważnie jedwabnym włoskim arrasom, zastanawiając się na głos, czy nie dałoby się z nich uszyć sukienki koktajlowej. Charlie przyglądał się ekspozycji przedstawiającej rynsztunek do konnej walki na kopie – „Założę się, że to nie było takie trudne. Myślisz, że pozwoliliby mi to przymierzyć?” – a Bob i Barbara zaczęli dygać przed każdą wchodzącą osobą w nadziei, że będzie to księżna. Ethan stał spokojnie z boku, podziwiając obraz olejny przedstawiający kobietę o długich blond włosach w szkarłatnej sukni. Poczulałam ukłucie zazdrości, chociaż wiedziałam, że ona pewnie od dawna nie żyje.

Nasz przewodnik najwyraźniej nie mógł znieść myśli o tym, że kolejne odciski palców zostaną odcisnięte na którejś z wypolerowanych na wysoki połysk powierzchni, i zaproponował, żebyśmy przeszli do ogrodów.

– Czy ja przejechałem taki szmat drogi, żeby oglądać jakieś kwiaty? – narzekał ojciec, kiedy wychodziliśmy z zamku. – Na Florydzie jest ich pod dostatkiem.

– To chyba jednak nie to samo, tato – powiedziałam, wskazując na rozciągające się przed nami szykowne i niezwykle zadbane aranżacje.

Przez łuki widać było ogromną fontannę, z której woda spływała po kamiennych stopniach, otoczoną z każdej strony idealnie przyciętym żywopłotem. Dzieci ze szkolnej wycieczki wrzucały do niej monety, zamykając oczy i po cichu wypowiadając życzenia. Odruchowo sięgnęłam po torebkę, myśląc o wszystkich monetach, które zalegają na jej spodzie, i przez chwilę żałowałam, że jestem już na to za stara.

Przeszliśmy przez ogród różany. Barbara zachwycała się każdym kwiatem i widać było, że aż świerzbi ją, by uszczknąć szczerpkę do swojego ogrodu. Przyłączyła się do niej Piper i razem zastanawiały się nad możliwością wprowadzenia ostatnich zmian do i tak już niezwykle wyszukanych kompozycji kwiatowych na ślub, podczas gdy Bob wypytywał naszego anielsko cierpliwego przewodnika o łacińską nazwę każdej odmiany róż. Biedna Candace... Oprócz kaca szybko odezwał się u niej katar sienny i ojciec musiał zaprowadzić ją do kawiarni. Charlie i Ethan szli przodem, nachylając do siebie głowy w rozmowie.

Patrzyłam, jak oddalają się ode mnie, i usiadłam na ławce. Kamień pod moimi plecami i nogami był przyjemnie chłodny, zamknęłam oczy i wdychałam pachnące powietrze. Pomyślałam o tym, co pewnie działo się w biurze – dzień pracy dopiero się tam zaczynał, jeden po drugim przychodzili pracownicy, pachnąc mydłem i szamponem i niosąc bajgle, zdrowe koktajle lub termosy z kawą. Z Alnwick Nowy Jork wydawał się odległym snem: budowle ze szkła i stali, tłumy, nerwowa energia – wszystko to przywodziło na myśl inny wymiar. Spojrzałam przez liście winorośli pnącej się po trejżach na błękitne niebo nade mną i na wysokie mury zamku tuż poniżej. Czułam, jakbym cofała się w czasie, i zastanawiałam się, czy pod koniec tej wycieczki będę chodzić w przepasce na biodrach, polować na fretki z kijem i dziwić się na widok koła.

Nagle tuż za sobą, po drugiej stronie trejaży, usłyszałam głosy Ethana i Charliego. Zamarłam.

– Hej, nie musisz mi mówić. Czytałem tę książkę o Stevie Jobsie – mówił Charlie.

– A co jest między tobą a Ruby? Wczoraj wyglądało na to, że dobrze wam było razem.

Dobiegł mnie szelest, jakby ktoś kopał liście.

– Nie, nic z tych rzeczy – odparł Ethan.

– Nie zbywaj mnie. Pamiętam, jak byliście razem. Miałeś na jej punkcie totalną obsesję! Pamiętasz, jak mówiłem o niej Sutki o Smaku Piwa.

Poczułam równoczesny przyptyw dumy i oburzenia: wołałabym, żeby Charlie nigdy nie odnosił się do moich sutków, ale skoro już musiał, podejrzewam, że był to najlepszy możliwy scenariusz.

Usłyszałam, jak Ethan roześmiał się cicho.

– Pamiętam.

– Więc?

– To było dawno temu. Dużo się zmieniło.

W tym momencie zaczęło robić mi się zimno.

– Tak, ale musisz przyznać, że nadal jest niezła.

– Zgoda. Po prostu zbyt wiele czasu zajęło mi, żeby o niej zapomnieć... – Chwila ciszy, znów szelest liści. – Nie ma mowy, żebym do tego wrócił. Poza tym nie ma już do czego.

– Jesteś pewien?

– Absolutnie. Wszystko, co było między nami, dawno się skończyło.

I tyle.

A więc Ethan już mnie nie kochał i nie miał nigdy pokochać. Poczułam, jak świat mi się wymyka, i zaczęło mi się kręcić w głowie. Przez chwilę naprawdę obawiałam się, że zwymiotuję, i gdyby nie świadomość, że Ethan usłyszałby, jak rzygam w klombie różanym tuż za nim, pewnie tak by się to skończyło. Wsłuchiwałam się w ich oddalające się kroki i starałam się nabrać powietrza w płuca. Zakłuło mnie w sercu. Czułam się zraniona, bez wątplenia, i gorzko rozczarowana, ale przeważającym uczuciem był wstyd. Głęboki, niedający się wykorzenić wstyd. Ponieważ jak nikt wiedziałam, dlaczego Ethan nie mógł mnie znów pokochać, a, co gorsza, on nie wiedział nawet połowy z tego.

Byłam głupia, myśląc, że coś jeszcze może być między nami. Najbardziej w życiu nie lubiłam czuć się zawstydzona, a siedząc na tej zimnej ławce, drapana przez ciernie

róż, byłam upokorzona jak nigdy.

Przynajmniej on nie zdaje sobie z tego sprawy – powiedziałam do siebie.  
– Przynajmniej nie zdążyłam się zdradzić i zrobić z siebie jeszcze większej idiotki.

Wstałam i strzepnęłam ziemię z nóg. Nadal mogłam zachować twarz. Nie musiałam być nieudaczną, która zjawia się na ślubie siostry i ośmiesza się, wpadając w ramiona byłego chłopaka. Ethan nie mógł się nigdy dowiedzieć, co do niego czuję. Przysięgam to sobie solennie.

## Kiedyś

Ethan był na zapleczu, otwierając nową beczkę piwa Miller Light, kiedy usłyszał wymuszoną wymianę zdań między Ruby a Charliem i pospieszył, by uratować jedno przed drugim. Swoją buńczucznością i ciągłymi przechwałkami Charlie denerwował Ruby, ona z kolei peszyła go swoją pruderyjnością i ostrymi docinkami. Ethan pełnił funkcję bufora między nimi, prostując nieporozumienia, łagodząc je i nie dopuszczając, by rozmowy schodziły na niepożądane tematy.

Zabezpieczył kranik, wytarł ręce o spodnie i wrócił za bar. Był środowy wieczór i w telewizji nie było meczu, więc w barze panował względny spokój. Stali bywalcy siedzieli na swoich zwyczajowych miejscach, a w kącie zebrali się nauczyciele z pobliskiego liceum, którzy przyszli po skończeniu lekcji w szkole wakacyjnej i najwyraźniej nie spieszyło im się z powrotem do domu – na stole walały się puste butelki, a od czasu do czasu rozbrzmiewał gromki śmiech lub pisk. Będą tego żałować, kiedy następnego ranka z pierwszym dźwiękiem budzika dopadnie ich kac, ale na razie Ethan ochoczo podawał im wino i serwował nachosy podgrzane w mikrofalówce na zapleczu.

– Ethan, wiesz, że twoja dziewczyna nie oglądała *Big Lebowskiego*?

Ethan tylko wzruszył ramionami. Kiedy byli w trójkę, większość rozmów sprowadzała się do tego, że któreś z nich pytało go, czy zdaje sobie sprawę, że to drugie czegoś nie wie albo dopuściło się czegoś strasznego, dlatego w ciągu ostatniego miesiąca został ekspertem w zachowywaniu uprzejmego dystansu. Był neutralny niczym Szwajcaria, choć trzeba przyznać, że zaczynał skłaniać się trochę bardziej w stronę Ruby, ponieważ była ładniejsza i pozwalała mu ze sobą spać.

– Pewnie była za młoda.

– Stary, ten film wypuścili jakieś sześć lat temu! Nie była już wtedy niemowlakiem.

– Charlie obrócił się do Ruby, świdrując ją spojrzeniem. – Poważnie, to jest najlepszy film na świecie. Jak to możliwe, że nigdy go nie widziałas? Nie wiesz nawet, o co chodzi z Kolesiem! – Obrócił się do Ethana. – Twoja dziewczyna nie wie o Kolesiu!

– To dobry film – zgodził się Ethan. – Musimy go kiedyś razem obejrzeć.

– Dobry film?! Jak możesz w mojej obecności powiedzieć, że *Big Lebowski* to „dobry film”? Przez trzy lata nie chciałeś pić nic oprócz Białego Rosjanina! Widziałeś ten film tyle razy, że taśma się rozmagnetyzowała! Jak możesz udawać, że tego nie pamiętasz? – Charlie wpadł w furję i wyładowywał swoją frustrację na podstawce pod piwo, metodycznie rozrywając ją na kawałki.

– Przecież nie mówię, że nie! – bronił się Ethan, unosząc ręce do góry. – Wyluzuj, stary.

– Dobra, dobra, zobaczę ten twój głupi film – powiedziała Ruby, przewracając oczami do Charliego i odsuwając od niego strzępy podkładki. – Ale jeśli ja mam zobaczyć *Big Lebowskiego*, ty musisz przeczytać Jane Austen.

Charlie wpadł w popłoch.

– Dlaczego, u diabła, miałbym czytać jakieś starocie o miłości i innych głupstwach?



– To nie są żadne starocie – odparła Ruby. Sama zaczęła teraz szarpać już i tak porozrywaną podkładkę, więc Ethan delikatnie ją jej odebrał i wymienił na nową. – Jane Austen to jedna z największych angielskich powieściopisarek. Jej książki nie są tylko o miłości, ale i o... o kondycji człowieka!

– No jasne. Wystarczy cię posłuchać, by wiedzieć, że to nudziarstwo dla dziewczyn.

Ruby spojrzała na Ethana prosząco.

– Ethan, proszę, powiedz swojemu przyjacielowi, że Jane Austen to nie jest „nudziarstwo dla dziewczyn”. Gdyby mogła to usłyszeć, pewnie przewróciłaby się w grobie.

– Gdyby mogła to usłyszeć, toby żyła – zauważył zadowolony z siebie Charlie.

– Na litość boską, wiesz, o co mi chodziło! Ethan, powiedz mu, że Jane Austen jest świetna!

Ethan westchnął, co zdarzało mu się bardzo często w towarzystwie tych dwojga, ale w głębi duszy nie zamieniłby tego na nic innego. Dwie osoby, które kochał najbardziej na świecie – oprócz swojego ojca, oczywiście – wspólnie dotrzymywały mu towarzystwa w pracy. W takie wieczory był szczęśliwy jak nigdy, mimo że Charlie i Ruby kłócili się niemal bez przerwy. A może właśnie dlatego, że się kłócili.

– Stary, Jane Austen jest w porządku – powiedział, po raz kolejny wzruszając ramionami. – *Duma i uprzedzenie* jest całkiem zabawna.

– Koles, kiedy stałeś się takim mięczakiem? – spytał zniesmaczony Charlie. – Bądź tak dobry i daj mi jeszcze jedno piwo. Chyba że musisz pójść zmienić sobie tampon czy coś?

– Nie bądź dupkiem! – zaoponowała Ruby, szturchając go w ramię.

– Co ja takiego powiedziałem? – zdziwił się Charlie, rozcierając rękę. Wyglądał na autentycznie zbitego z tropu.

– Jak ty w ogóle chcesz znaleźć sobie jakąś dziewczynę, jeśli tak się wyrażasz? – zapytała Ruby.

– Nie martw się o mnie – powiedział, przechylając się niebezpiecznie na stołku barowym. – Świetnie sobie radzę.

– Kłamca – wtrącił Ethan, próbując zdusić śmiech.

– Chrzań się, stary. W zeszłym tygodniu pewna dziewczyna z Wentworth praktycznie błagała mnie, żebym wziął jej numer.

– Naprawdę? – zapytała Ruby, przebiegle mrużąc oczy. – Byłam w drużynie pływackiej Wentworth. Znam tam wiele dziewczyn. Jak miała na imię?

Charlie był zupełnie skołowany.

– Ja... no... nie pamiętam.

Ethan wybuchnął śmiechem.

– No dalej, koles! Przynajmniej jakieś wymyśl!

– Nie pamiętam, jasne? Byłem pijany! Wiem tylko tyle, że była naprawdę niezła.

– Mogę się założyć – powiedziała Ruby.

– A jeśli już mowa o niezłych dziewczynach, co słyhać u twojej siostry? – zapytał Charlie. – Jeśli miałbym się z kimś lepiej zapoznać, to właśnie z nią, jeśli wiesz, o co mi

chodzi.

– Fuj! Nie mów tak o mojej siostrze!

– Dlaczego nie? Przecież to w zasadzie komplement dla ciebie!

– W jaki sposób fakt, że chcesz przelecieć moją siostrę, ma mi schlebiać?

– Z powodu genetyki czy jak tam chcesz! I to ty wspomniałaś o seksie, nie ja. To ty jesteś zboczona. Chociaż, skoro mi to zasugerowałaś...

Ruby znów szturchnęła Charliego, tym razem mocniej, a jego stołek zachybotał się pod nim.

– Przestań mówić o seksie z moją siostrą!

– Dobra! Dobra! Chciałem tylko powiedzieć, że jakbyś chciała spędzić trochę czasu ze swoją siostrą, zwłaszcza że niebawem wyjeżdżasz do Nowego Jorku, i zaprosić mnie przy okazji... Chcę powiedzieć, że jak nikt inny doceniam wagę rodziny.

– Bardzo uprzejmie z twojej strony, że troszczysz się o jakość moich więzi rodzinnych – powiedziała, przewracając oczami.

– Możemy nawet zorganizować podwójną randkę, jeśli to miałyby was do siebie zbliżyć...

– Dość!

– Hej, hej, wyluzujcie – przerwał im Ethan, zarzucając na ramię ścierkę, którą wytarł rozlany syrop z granatu.

Nauczyciele spojrzeli, zdezorientowani. Jakąś butelkę lub dwie wina wcześniej zapomnieli, że w barze jest ktoś oprócz nich, więc sprzeczka przy kontuarze w nieprzyjemny sposób sprowadziła ich na ziemię. Jeden po drugim zaczęli spoglądać na zegarki i mamrotać do siebie, przeliczając, ile godzin snu im jeszcze zostało. Zebrali swoje rzeczy i pożegnali się, obejmując się przy tym zbyt długo i zbyt mocno poklepując się po plecach.

– Mam nadzieję, że ktoś was podwiezie do domu! – zawołał Ethan, w odpowiedzi na co niewyróżniający się niczym gość, który cały wieczór spędził wciśnięty w kąt, popijając rozwodnioną colę, wyjął kluczyki i powiedział, że przyjechał vanem.

Drzwi się otworzyły i wyszli na zewnątrz, wpuszczając do baru powiew gorącego i wilgotnego powietrza. Ethan spojrział na zegar: została godzina do zamknięcia.

– Na pewno chcesz tu tkwić? – zapytał Ruby. – Wiem, że masz jutro pracę i w ogóle.

– Oczywiście, że chcę – powiedziała, kładąc dłoń na jego ręce. – Poza tym sen jest dla słabych.

– Ja też zostaję – zadeklarował Charlie. – Chociaż nikt mnie o to nie prosił.

– To dlatego, że wszyscy wiedzą, że nigdy nie wyszedłeś z baru przed zamknięciem – rzekła Ruby, rzucając w niego orzeszkiem.

– Żebyś wiedziała! – odparł Charlie, łapiąc orzeszek i ciskając nim w Ruby.

– A o twojej siostrze mówiłem zupełnie poważnie. Zachowam się jak dżentelmen i w ogóle.

– Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że w ogóle znasz takie słowo jak „dżentelmen”.

– Ha, ha, ha. Jesteś przezabawna. A tak naprawdę, to mogłabyś szepnąć jej jakieś

dobre słowo o mnie.

– Daj mi resztę orzeszków i możemy o tym porozmawiać.

– Zgoda.

Ethan patrzył na nich, jak się przekomarzali, i zrozumiał, że nigdy nie był szczęśliwszy niż w tym konkretnym momencie, tuż przed północą w zaprzyjaźnionym barze w swoim rodzinnym miasteczku.

Teraz

Do: Bill Bailey

Data: 16 lipca 2015, 21:16

Od: Ethan Bailey

Temat: re: Alarm domowy

Nie był zepsuty, po prostu wpisałeś zły kod. Załatwię kogoś, żeby przyszedł i to naprawił. Następnym razem, kiedy tak się stanie, po prostu zostaw to w spokoju – nie chcę martwić się tym, że mógłbyś wychodzić przez okno lub zjeżdżać po rynnie. Po prostu spróbuj podejść do tego spokojnie, dobrze?

Słyszałem, że Sox rozgromili Giants wczoraj w nocy. Nie mogę uwierzyć, że tego nie widziałem.

E

Do: Mathius Sondergaard

Data: 16 lipca 2015, 14:21

Od: Ethan Bailey

Temat: re: Wykup

Mat!

Nie potrafię jeszcze podjąć ostatecznej decyzji. Przepraszam, wiem, że odchodzisz od zmysłów, ale czy mógłbyś dać mi jeszcze trochę czasu? To poważna sprawa, a ja nie jestem pewien, czy chcę już przechodzić na emeryturę.

Zadzwoń, jeśli będzie coś pilnego – w przeciwnym razie odezwę się wkrótce.

E

Teraz

Podczas jazdy powrotnej z Alnwick usiłowałam wziąć się w garść. Byłam oszołomiona i zobojętniała.

Candace wyciągnęła szyję, żeby na mnie spojrzeć.

– Wszystko w porządku, kochanie? – zapytała.

Najgorszy atak kataru siennego już jej minął, ale jej oczy nadal były zapuchnięte i przekrwione. Obudziło się we mnie współczucie dla niej – jak dotąd Anglia jej nie służyła.

– Tak, wszystko gra! – odpowiedziałam szczebiotliwie i udałam, że szukam czegoś w torebce, czułam bowiem, że łzy napłynęły mi do oczu. Zbierz się do kupy, pomyślałam. Nie rozczulaj się.

– Nie wyglądasz najlepiej – nie dawała za wygraną. – Może mogę coś ci podać? Coś zimnego do picia? Jeśli chcesz, z pewnością możemy zatrzymać się przed jakimś sklepem.

– Nic mi nie jest, naprawdę – odparłam i nie zabrzmiało to zbyt grzecznie. Kątem oka dostrzegłam, że ją uraziłam, więc natychmiast tego pożałowałam. Świetnie. Nie dość, że nikt mnie nie kocha, to jeszcze jestem jędrzą. Ten dzień mnie nie rozpieszczał.

W końcu autokar wjechał na podjazd Bugle Hall. Zadzwoił telefon Ethana, a on skrzywił się, zanim odebrał. Pomachał nam wszystkim szybko i pobiegł do środka z pociemniałą twarzą, mówiąc coś cicho do telefonu.

Tata stanął koło mnie i szturchnął mnie w żebra.

– Jak myślisz, o co chodzi? – powiedział, wskazując głową na Ethana.

– Nie mam pojęcia. – I w tym momencie naprawdę nic mnie to nie obchodziło.

– Pewnie coś ważnego. Taki gość jak on odbiera tylko ważne telefony.

– Tato, to by było wariactwo.

Choć pewnie tak właśnie było. Najprawdopodobniej Ethan właśnie rozwiązywał problem głodu na świecie albo zakładał fundację mającą pomagać niewidomym dzieciom z Sudanu, skurczybyk.

Mój ojciec się nie zrażał.

– Czytałem trochę o nim. Wiesz, na ile jest szacowany jego majątek netto?

– Nie i nie chcę wiedzieć.

Oczywiście, że wiedziałam. Sprawdziłam to wczoraj w Google’u. Nie była to informacja, którą w tym momencie uznałabym za pomocną.

– Pozwól więc tylko, że ci powiem, że jest tego sporo. Gdyby chciał, mógłby mieć własną drużynę bejsbolową. – To był ostateczny wyznacznik bogactwa w oczach mojego ojca.

– I bardzo dobrze. – Wyminęłam ojca i weszłam do środka. Potrzebowałam przerwy w wysłuchiwanie o zaletach Ethana. Albo drinka. A najlepiej obu tych rzeczy naraz.

Zamiast tego zastałam w salonie dwie piękne brunetki przycupnięte na sofie, przy których niczym trzmiel wokół szczególnie wonnych kwiatów uwijali się Bob i Barbara.

– Ruby, Alec, pamiętacie dziewczynki Duffych? – zapytał podekscytowany Bob.

Obie kobiety były w typie, który zazwyczaj zapamiętuję, ponieważ wzbudza we mnie mieszankę pogardy i nienawiści do samej siebie. Były długonogie i trzpiotowate – z rodzaju tych, które wieszają ogromne i drogie torebki na swoich delikatnych nadgarstkach. Zazwyczaj, kiedy idę ulicami Nowego Jorku, obrywam właśnie takimi torebkami. Te wydały mi się znajome, ale z innych powodów. Opiekowałam się nimi jako nastolatka.

– Tylor? Madison?

– O ja cię, Ruby! Cześć! – Tylor zeskoczyła z sofy i objęła mnie swoimi długimi rękami. – Nie wierzę! Ostatni raz widziałam cię, kiedy miałam siedem lat!

Próbowałam nie dokonywać w myślach obliczeń, ale bez skutku. Kiedy ich pilnowałam, miałam piętnaście lat, czyli one teraz miały... o Boże! Dwadzieścia trzy lata. Były pełnoprawnymi noszącymi torebki dorosłymi kobietami. Na samą myśl poczułam, jak kurczą mi się jajniki.

Madison wzięła mnie za rękę.

– Tak dobrze znów cię widzieć – powiedziała. – W ogóle się nie zmieniłaś.

Zastanowiłam się, jak wyglądałam jako piętnastolatka – fryzura na Jennifer Aniston i boczki wystające znad biodrówek – i poczułam się trochę dotknięta.

– Wy... wy się zdecydowanie zmieniłyście – odrzekłam. Były bliźniaczkami, ale nie identycznymi. Madison była trochę wyższa i miała drobniejszą budowę, a jej oczy były szafirowe w porównaniu z błękitnymi oczami Tylor. Obie były piękne do bólu. – Co wy tutaj robicie?

Tylor odrzuciła przez ramię swoje falujące włosy o karmelowych pasemkach i posłała mi zdziwione spojrzenie.

– Jesteśmy druhami! Siostra ci nie powiedziała?

– Nie, ale to nic nowego – odparłam. – Nawet nie wiedziałam, że się znacie.

– Och, przyjaźnimy się już od dobrych kilku lat – powiedziała Madison. – Organizowałyśmy konferencję w Klubie, a Piper ją dla nas przygotowała.

– Organizowałyście konferencję? – Wyglądały, jakby dopiero od niedawna mogły legalnie kupować piwo.

– Tak, to był zjazd młodych przedsiębiorców działających jedynie w internecie – tłumaczyła, lekceważąco machając ręką. – To było dość głupie. No bo kto przy zdrowych zmysłach organizuje fizyczną konferencję dotyczącą biznesu internetowego? I to w dodatku w Beechfield? Żenujące.

– I to jak – zgodziła się Tylor. – Ale byliśmy wtedy młode i naiwne.

– Czyli zajmujecie się technologiami?

Chociaż moja praca po części polegała na rozeznawaniu się w rzeczywistości cyfrowej, idea biznesu internetowego nadal pozostawała dla mnie niepojęta, podobnie jak wyrażenie „Netflix and chill” oraz to, kim, u licha, jest Grimes.

– Tylor jest praktycznie królową Instagramu – wyznała z dumą Madison. – Obserwuje ją już prawie pół miliona ludzi.

– Jezu – wydusiłam z siebie. – Czym się zajmujesz?

Tylor wzruszyła ramionami.

– Ćwiczę jogę, więc wrzucam dużo zdjęć asan, nad którymi pracuję. –

Wyobraziłam ją sobie w pozycji gołębia i nagle te rzesze fanów zaczęły mieć dla mnie sens. – Poza tym zajmuję się zdrowiem i odżywianiem. Właśnie założyłam własną firmę produkującą świeże soki. Dostarczamy je do biur w Nowym Jorku. To jest super.

– Ona zawsze jest skromna – wtrąciła się Madison. – Tylor jest po prostu boginią.

Nawet się wzruszyłam, widząc, jaka dumna jest z siostry – nie wydaje mi się, żeby między mną i Piper kiedykolwiek był choć cień takiego uczucia.

– A co u ciebie? – zapytałam Madison. – Też działasz w internecie?

– Proszę cię, Madison idzie znacznie lepiej ode mnie – powiedziała Tylor. – Ona ma prawdziwe imperium.

– Naprawdę? – Starłam się z całych sił przybrać wyraz twarzy, który choć częściowo zdołałby ukryć moją zazdrość.

Jak to się stało, że wszyscy ci ludzie mają imperia? Z tej perspektywy moje mieszkanie wydało mi się ciasne.

– Mam stronę o modzie – odparła Madison. – Nic wielkiego.

– Maddie, nie kokietuj. Nie słuchaj jej – te słowa Tylor skierowała do mnie. – To jest jedna z najbardziej wpływowych stron poświęconych modzie. Ten agregator ofert internetowych, który zaprojektowała, jest po prostu dziełem geniusza.

– Czyli zajmujesz się również kodowaniem? – Nie mogłam w to uwierzyć. Kim byli ci ludzie?

Madison wzruszyła ramionami.

– Byłam na kilku kursach w college’u. Ale dość już o nas. Powiedz nam lepiej, co u ciebie?

– Pracuję w reklamie. – Zazwyczaj kiedy wypowiadam to zdanie, czuję przypływ samozadowolenia rodem z serialu *Mad Men*, ale stojąc twarzą w twarz z tymi magnatkami nowej epoki, poczułam się jak przeżytek. Równie dobrze mogłabym powiedzieć, że zarabiam na życie, produkując liczydła.

– Super! – zawołały jednocześnie.

Do salonu wszedł tata, jedząc ciastko i pogwizdując pod nosem.

– Pan Atlas! – zawołała Madison. – Jak się pan miewa?

Z wyrazu twarzy mojego ojca wywnioskowałam, że nie miał zielonego pojęcia, z kim ma do czynienia.

– Cześć wam obu! – powiedział. – Co tam u was słychać?

– Och, wie pan – odrzekła Tylor. – Po staremu! Tata powiedział, żebym przekazała panu, że nie zapomniał o waszym zakładzie!

Teraz ze stanu zmieszania mój ojciec popadł w panikę.

– Doprawdy?

Barbara rzuciła mu kilka okruszków, żeby naprowadzić go na właściwą drogę.

– Tylor i Madison powiedziały właśnie, że ich rodzice postanowili odwiedzić St Andrews, zanim do nas dołączą – rzekła. – Wiesz, że Larry uwielbia pola golfowe, więc podejrzewam, że Joanne pojechała z nim, by się upewnić, że w ogóle tutaj dotrze!

– Joanne i Larry! – wykrzyknął. – Jakże się miewają te skurczybyki? Nie widziałem ich ze sto lat!

Bez trudu wywnioskowałam, że wcale nie cierpiał z tego powodu.



– Dobrze – rzekła Madison. – Będą tutaj jutro, więc proszę się przygotować na mnóstwo nudnych golfowych opowieści.

– Nie mogę się doczekać! – odparł mój ojciec z uśmiechem przyklejonym do twarzy. – Wasz ojciec nie wspomniał może, czego dotyczył ten zakład, co? Za nic nie mogę sobie przypomnieć. Nie sędzę, żeby w grę wchodziły duże pieniądze...

– Tata podejrzewał, że tak pan powie! – zawołała Tylor.

– Wasz ojciec nie da sobie oczu mydlić – wymamrotał.

– Czy ja słyszę moje dziewczyny? – Do salonu wbiegła Piper, wydając piskliwe dźwięki, i skierowała się ku sofie. Szybko zniknęła w uścisku wyrzeźbionych ramion i włosów niczym z reklamy Kérastase.

Tylor na chwilę wychyliła głowę, żeby zawołać: „Wychodzisz za mąż!”, zanim znów zniknęła w zbiorowej płataninie. Przyglądałam się temu z drugiej strony pokoju z uprzejmym uśmiechem. Pewnie to był ten moment, w którym miałam wyciągnąć pompony i wywijać gwiazdy z okazji ślubu, ale jakoś nie potrafiłam znaleźć w sobie energii, zwłaszcza tego dnia.

Piper w końcu przysiadła na sofie, trzymając obie przyjaciółki za rękę (to już była przesada – w końcu nie występowały u Oprah), patrząc na nie z uwielbieniem.

– Tylor – zwróciła się do karmelowych pasemek – uwielbiam twoją fryzurę. Jest w stylu Jennifer Lawrence, ale nie z *American Hustle*, gdzie wyglądała dość tandetnie. Przypomina elegancką Jennifer Lawrence.

– O mój Boże, przestań – odezwała się Tylor, przeczesując palcami swoje fale.  
– Dziś wyglądam jak ze śmietnika.

– Nieprawda! – zawołała Piper. – Wyglądasz wspaniale!

– Pozwól mi powiedzieć, że to ty wyglądasz wspaniale. Jesteś na diecie sokowej?

– Tak! – rzekła wniebowzięta Piper. – Posłuchałam twojej rady i kupiłam blender NutriBullet. Jest super!

– Właśnie widzę. Podczas lotu powiedziałam Madison: „Zobaczysz, jestem pewna, że Piper cały czas pije soki i będzie promienieć”. I tak jest!

– Tylor zajmie się wirtualną stylizacją wesela – poinformowała Piper wszystkich zebranych. – Chcemy, żeby nasz ślub stał się hitem internetu, więc wszyscy muszą zacząć wrzucać posty na Twitter i Instagram. Nasz hasztag to #PipsSięHajta. A Madison wyreżyseruje naszą sesję ślubną. I powiedziała, że może umieści ją na swojej stronie! Czyż to nie cudowne? Chyba umrę. Nie naciskam – dodała w kierunku Madison, która wyglądała, jakby dokładnie zdawała sobie sprawę z tego, jak bardzo jest naciskana.

– Będziecie jak Kate i Wills, tylko jak blond Kate i William z większą ilością włosów – powiedziała rozpromieniona Madison. – Będzie po prostu pięknie!

– Świetnie!

Wyobraziłam sobie zdjęcia, na których albo wyskakuję, żeby złapać bukiet panny młodej, albo siedzę niezgrabnie na beli siana u stóp Piper. „Pokaż, jak dobrze się bawisz!”, powie fotograf, a ja nie będę w stanie wymienić wszystkich powodów, dla których nie będzie to możliwe.

– Z pewnością będziecie wyglądać cudownie – zapewniał tata.

– Absolutnie – przytaknęła Barbara. – Wspaniale.

– Wspaniale – powtórzyłam niczym echo i z tęsknotą pomyślałam o małych buteleczkach wódki czekających na mnie na górze.

Zjawił się Ethan, nadal z telefonem w dłoni. Spojrzał na siostry Duffy, jak małe dziecko na lśniący czerwony rowerek pod choinką. A właściwie dwa lśniące czerwone rowerki.

– Przepraszam – powiedział. – Nie zdawałem sobie sprawy, że przyjechali nowi goście.

Spostrzegłam wyraz jego twarzy i zrozumiałam, że jak najszybciej muszę się stąd wydostać.

– Idę na spacer – zakomunikowałam i wszyscy spojrzeli na mnie, jakby byli zdziwieni, że jeszcze w ogóle tam jestem.

Nałożyłam sweter i ruszyłam wzdłuż podjazdu. Wyciągnęłam z kieszeni telefon i wybrałam numer, martwiąc się przelotnie o wysokość rachunku. Jess odebrała po trzecim sygnale. W tle słychać było wrzeszczącego Noaha.

– Czy dzwonisz, żeby powiedzieć mi, że właśnie zostawiłaś Ethana w stanie upojenia po seksie? Chociaż bardzo się z tego powodu cieszę, obecnie jestem po kostki w wymiocinach mojego dziecka i nie wiem, czy jestem w stanie wykrzesać pożądaną ilość entuzjazmu.

– To koniec – powiedziałam trochę zbyt melodramatycznie. – On nie chce do mnie wrócić.

– Co? Przepraszam, poczekaj chwilę – położyła dłoń na słuchawce. – Noah, idź pobaw się wozem strażackim, a mamusia przyjdzie do ciebie za minutkę, dobrze? Okej – odezwała się ponownie w słuchawce. – Powiedz mi, co się wydarzyło. Jestem pewna, że cokolwiek to było, grubo przesadzasz.

– Powiedział wprost, że nic między nami nie ma, więc nie wydaje mi się, żebym przesadzała.

– Jak... to znaczy dlaczego miałby powiedzieć coś takiego? Zapytałaś go o to?

– Podśluchałam, jak rozmawiał z Charliem. Był w tej sprawie bardzo zdecydowany.

– No proszę cię! On nie ma pojęcia, czego chce! Pewnie powiedział tak, bo chciał zachować twarz. To, co powinnaś zrobić...

– Jess, nie zamierzam nic robić. Powiedziałam ci; to koniec. Koniec. W ogóle nie wiem, co mnie naszło. Co ja w ogóle sobie myślałam? Jakbym przeszła chwilowe zaciemnienie umysłu.

– Takie zdrowotne określenie miłości...

– To nie była miłość – zaoponowałam. – Tylko tymczasowa niepoczytalność.

Weszłam przez furtkę na pobliskie pole, pamiętając o tym, żeby trzymać się wydeptanej ścieżki. Niebo było jasnoniebieskie i poprzecinane smugami chmur, a wietrzyk dość chłodny. Kilka kroków dalej pała się krowa, która przyglądała mi się bez ruchu, kiedy ją mijałam.

– Naprawdę nie uważam, żeby żywienie uczuć do osoby, którą się kiedyś kochało, można było zaklasyfikować jako tymczasową niepoczytalność.

– No cóż, w moim przypadku tak było. W każdym razie już po wszystkim, cały ten

upokarzający epizod jest już za mną i mogę ruszyć do przodu.

– Dlaczego upokarzający? Nie ma nic niewłaściwego w przyznaniu, że się coś do kogoś czuje!

– Hmm, jest, jeśli ta osoba w ogóle tych uczuć nie odwzajemnia. Wtedy to jest po prostu żenujące!

– Ruby, nie masz się czego wstydzić. On ci się podoba! Nie ma w tym nic złego! Poza tym jestem pewna, że zmieni zdanie. Może powinnaś jeszcze z nim poflirtować, przypomnieć mu, co traci.

– Chyba sobie żartujesz? Czy ty zupełnie oszalałaś? Powiedziałam ci, że on nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Dlaczego miałabym się mu narzucać po tym, jak usłyszałam coś takiego?

Za polem zaczynało się wzgórze i z trudem łąpałam powietrze, wspinając się na nie. Obejrzałam się za siebie: krowa nie przestawała mnie obserwować.

– Dlatego że coś do niego czujesz? Ponieważ warto w życiu podejmować ryzyko?

– Jest różnica między podejmowaniem ryzyka a misją samobójczą. Nie, mój plan na resztę pobytu tutaj zakłada, że zachowam twarz i zrobię wszystko, żeby Ethan nawet nie zaczął podejrzewać, jakie miałam wcześniej wobec niego zamiary. Będę nieporuszona niczym głąz. Zamierzam zachowywać się jak bohaterka *Zaginionej dziewczyny*.

– Pamiętasz, że to socjopatka, prawda?

– Obojętne. Wiesz, o co mi chodzi.

Jess westchnęła.

– Wolalabym, żebyś nie była wobec siebie taka surowa.

– Nie jestem – odpowiedziałam. – Po prostu patrzę na świat realistycznie. Cała ta sprawa jest dla mnie wystarczająco traumatyczna – nie muszę robić z siebie idiotki do końca. Od tej pory będę twierdziła samokontroli.

– Brzmi jak świetna zabawa. Nie chcę cię pouczać, ale wydaje mi się, że zmierzasz w kierunku...

– Jess, coś przerywa – skłamałam. – Zasięg jest tutaj beznadziejny! Zadzwoń później... Kocham cię, pa! – Rozłączyłam się i wrzuciłam telefon na dno torebki.

Wspięłam się na wzgórze i spojrzałam na patchworkowy wzór z traw i polnych kwiatów, na którym pasły się i wygrzewały w słońcu owce. Były większe, niż się spodziewałam, i, sądząc po zapachu, brudniejsze – całkiem nie te chodzące puszyste kłębki waty, jakie sobie wyobrażałam. Zatrzymałam się, żeby chwilę na nie popatrzeć i pozazdrościć im swobody oraz łatwego życia – pomijając widmo uboju, oczywiście. Chociaż akurat te owce wyglądały na zbyt stare na kotlet, pewnie więc były już bezpieczne. Nikt nie lubi baraniny – jest za twarda. Wszyscy chcą tylko delikatną, kruchą jagnięcinę.

Szłam dalej, zachęcona tym, że wciąż było jasno. Mogłabym przyzwycząić się do mieszkania na wsi, pomyślałam, przeskakując przez płot na pole pełne małych żółtych kwiatków. Wyobraziłam sobie, jak wieczorami przesiaduję w miejscowym pubie i nad pokaznym kuflem piwa rozmawiam z miejscowymi – cudowna pogoda na spacer, jak rzadko, mówiliby – ubrana w wełniany sweter i te wielkie gumowe buciory, które na wsi mieli chyba wszyscy. Tak, zdecydowanie był w tym dla mnie urok. Zielone falujące

wzgórza zdawały się nie kończyć. Moje oczy były przyzwyczajone do życia w Nowym Jorku, gdzie nie da się popatrzeć dalej niż na kilka metrów, nie natrafiając na jakiś budynek, tak że teraz, tutaj, ta wolna przestrzeń jawiła się niemal jak... luksus. Również cisza stanowiła dla mnie nowość: jedynie od czasu do czasu słychać było w oddali pomruk traktora lub ryk krowy.

Na pobliskim pagórku zauważyłam kamienną ławkę i postanowiłam przysiąść na niej na chwilę. Widok zapierał dech w piersiach: wzgórza ciągnące się we wszystkich kierunkach, a ponad nimi cienka, srebrnoszara linia morza... Zamknęłam oczy i pozwoliłam, aby słabe promienie słońca ogrzewały mi twarz. Słowa Ethana kołatały mi się w głowie i pozwoliłam sobie raz jeszcze poczuć głęboki żal, zanim wymażę je z pamięci. Uganiałam się za jakimś głupim marzeniem, które umarło dziesięć lat temu w barze w SoHo. Przypomniało mi się, co powiedziałam Jess: że będę jak twierdza. Wyprostowałam się, zacisnęłam pięści.

Jesteś twierdzą – powiedziałam do siebie. Jesteś silniejsza od tego wszystkiego.

– Rozchmurz się, złotko. Z pewnością nie jest tak źle.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam starszego mężczyznę w kaszkiecie z gazetą pod pachą. Zamrugałam, by upewnić się, że jest prawdziwy. Uśmiechnął się do mnie, ukazując zęby, które zgryzły zbyt wiele twardych miodowych karmelków. Bez wątplenia był prawdziwy.

– Taka ładna dziewczyna nie powinna dąsać się w samotności – powiedział.

– Nie dąsam się – odparłam, siłąc się na lodowaty uśmiech. Rozumiałam, że chciał dobrze, ale nawet kiedy byłam w najlepszym humorze, spuszczałam po brzytwie mężczyzn, którzy radzili mi się uśmiechnąć. A teraz nie byłam w formie. – Po prostu na chwilę pograżyłam się w myślach.

– Te myśli nie były chyba zbyt przyjemne – mężczyzna nie ustępował.

Jezu, niech już odpuści.

– Nic mi nie jest – upierałam się. – Naprawdę.

Spojrzał na mnie uważnie, jakby usiłował mnie gdzieś przyporządkować.

– Jesteś z Bugle Hall, prawda?

– Skąd pan wie? – Najwyraźniej była to jedna z największych wad mieszkania na wsi: wszyscy wiedzą o tobie wszystko i nie da się uniknąć rozmów, nawet jeśli nie ma się na nie ochoty.

– W takim małym miasteczku nic się nie ukryje – odparł z dumą.

– Zauważyłam.

– Czyli to ty wychodzisz za mąż? Przyszłaś tutaj, żeby zastanowić się, czy nie czmychnąć sprzed ołtarza?

– Nie – odpowiedziałam. – To moja siostra jest panną młodą, ja jestem tylko druhną. Ślub jest w sobotę w zamku Bamburgh.

– Ach, wspaniałe miejsce. Niektórzy mówią, że to nie jest prawdziwy zamek, ale nie słuchaj ich. Jest tak prawdziwy jak moje prawe oko. – Zaśmiał się. – To lewe jest szklane – dodał, wskazując na nie.

Skoro już o tym wspomniał, nie mogłam przestać na nie patrzeć. Nigdy wcześniej nie spotkałam nikogo ze sztucznym okiem, więc nie wiedziałam, jak zareagować.

– Przykro mi – spróbowałam.

Lekceważąco machnął ręką.

– Nie wygłupiaj się, skarbie. To było dawno temu. Willy Crannock wybił mi je pogrzebaczem. Zmieniając temat, co do tej pory udało ci się zobaczyć w naszej pięknej okolicy? Podejrzewam, że wybraliście się do Alnwick.

– Tak, dziś rano. Wszystko było piękne, zwłaszcza ogrody.

– Wszystko wypicowane przez tę cholerną księżną – powiedział, krzywiąc się.

– Wiesz, że pozbawiła okoliczne wioski wody, żeby tylko podlewać te swoje głupie rośliny?

– Nnnie, nie wiedziałam – odrzekłam, jękając się.

– Ale tak było. Cholerni arystokraci. Powinno się postawić ich pod murem i rozstrzelać.

– Hmm – wymruczałam niezobowiązująco, na tyle, na ile potrafiłam.

Mężczyzna rozzłościł się z powodu nadmiernie wypielęgowanego ogrodu i chociaż wyglądał niegroźnie, to przecież nigdy nie wiadomo, do czego ludzie są zdolni. Wiedziałam o tym lepiej niż inni.

– Wiesz, że siedzisz na mojej żonie – zapytał ni z tego, ni z owego.

Poderwałam się i spojrzałam na ławkę. Jak podejrzewałam, nie było pode mną żadnej starszej pani. Może mężczyzna stracił nie tylko swoje lewe oko...

Przybliżył się do ławki i przetarł tabliczkę umieszczoną na jej oparciu. Pochyliłam się, żeby odczytać napis: „Lily Cramer 1934–2008. Na zawsze w moich myślach”.

– Lily była pańską żoną?

– Nadal jest moją żoną. To, że nie żyje, niczego nie zmienia.

– Przepraszam – powiedziałam najdelikatniej, jak mogłam.

Mimo że mężczyzna denerwował mnie swoimi pytaniami, zrobiło mi się przykro, kiedy pomyślałam, że po prostu jest samotny. Poczułam narastającą gulę w gardle i usiłowałam ją przełknąć.

– Przeżyliśmy razem ponad pięćdziesiąt dobrych lat – rzekł z czułością. – Miałem szczęście, chociaż ona zawsze suszyła mi głowę, bo grałem na wyścigach konnych. Dała mi czworo pięknych dzieci. Mamy dziewięcioro wnucząt. Nie mam na co narzekać.

– Ma pan wnuki? – zapytałam, a na myśl o nim w otoczeniu małych złotowłosych cherubinków zrobiło mi się cieplej na sercu. – Więc nie jest pan sam?

– Sam? Ja prawie nie mam chwili spokoju! Jeśli żaden wnuk nic ode mnie nie chce, to są wieczory z bingo w klubie albo wycieczki do St James. Dodatkowo wszystkie babcie w miasteczku się za mną uganiają, pieką mi zapiekanki i pytają, czy mi czegoś nie zacerować. – Uśmiechnął się do mnie uprzejmie. – Nie, skarbie, o mnie nie musisz się martwić. Nie jestem samotny.

Poczułam absurdalny przyływ ulgi. Jeśli ten trochę dziwny jednooki mężczyzna może wieść spełnione i szczęśliwe życie w pojedynkę, może była jeszcze dla mnie nadzieja.

– A ta ławka?

– Lily uwielbiała tutaj przychodzić, więc kiedy zmarła, zamówiłem ten napis, żeby wszyscy wiedzieli, że to było jej miejsce.

– Tu jest przepięknie – powiedziałam, spoglądając ponad wzgórzami na morze.

– Boża kraina – rzekł, kiwając głową z aprobatą. – Będę już szedł. Obiecałem Willy’emu, że zajdę do niego i obejrzymy wyścigi. Nie chcę, żeby narzekał, że się spóźniłem.

– Też powinnam już wracać – odparłam, ale nadal siedziałam na ławce i podziwiałam widok.

– Ciężko jest zostawić to miejsce, nieprawdaż? – zapytał, podążając za moim spojrzeniem.

– To prawda – zgodziłam się. – Poza tym nie spieszy mi się z powrotem.

– Śluby potrafią dać popalić – zawyrokował z uśmiechem. – Zostań, jak długo masz ochotę. Jestem pewien, że Lily cieszy się z twojego towarzystwa. – Mrugnął, uchylił czapki i już go nie było.

Zamknęłam oczy i wystawiłam twarz do słońca.

## Kiedyś

Ethan i Ruby leżeli na plecach, próbując złapać oddech. Był środek sierpnia, a na ścianach jego małego pokoju osadzała się wilgoć. W powietrzu unosił się zapach seksu, którym przesiąknięta była również pościel, i to do tego stopnia, że żaden vizir nie mógł na to nic poradzić – trzeba ją będzie wyrzucić... Okno wychodzące na warsztat było zaparowane, co, uwzględniając okoliczności, nie było takie złe.

– Cztery razy w ciągu jednego dnia – odezwał się Ethan. – Jak to w ogóle możliwe?

Ruby obróciła się na bok i oparła na łokciu, żeby móc na niego spojrzeć. Leżał z rękami nad głową, zupełnie odkryty, eksponując szczupły tors i smukłe biodra. Ruby przełożyła nogę i usiadła na nim, pochylając się, żeby pocałować go w obojczyk.

– Nie mogę się tobą nasycić – wyszeptła.

Takie właśnie było to uczucie – niczym dotkliwy głód. Wyobraziła sobie, że jest pytonem, który rozwiera szczęki i połyka go w całości, ale nie powiedziała mu tego, żeby się nie wystraszył. Ją samą dostatecznie to przerażało.

– Pozwól mi złapać oddech – powiedział, wytaczając się spod niej. – Chcesz ostatni kawałek z pepperoni? – zapytał, sięgając do leżącego na ziemi otwartego pudełka z pizzą. Nie czekając na odpowiedź, złożył kawałek na pół i ugryzł.

Ruby przysunęła się do niego i zlizwała smużkę sosu pomidorowego, która została w kąciaku jego ust.

Tak mijały im noce: ukrywanie się w jego pokoju, pizza na wynos i więcej seksu, niż oboje uważali wcześniej za fizycznie możliwe. Przekraczało to wszelkie wyobrażenia Ruby. Oczywiście już wcześniej uprawiała seks. W liceum miała uroczonego chłopaka, Dana, z którym kochała się pierwszy raz w oranżerii jego rodziców przy dźwiękach Dave Matthews Band dobiegających ze stereo. Później było kilku gości z college'u – zostały jej po nich jedynie mgliste wspomnienia i brak satysfakcji, głównie z powodu upojenia alkoholowego. Ale to... to było coś zupełnie innego. Seks z Ethanem był niczym narkotyk, jak jeden długi, niekończący się odlot. Oboje tracili już głowę.

Ethan skończył jeść pizzę i wyskoczył z łóżka w nagłym przypiływie energii.

– Zobacz, co dziś kupiłem – powiedział, grzebiąc w szafie. Wydobył z niej stary polaroid i podał jej, żeby obejrzała.

– Super. Gdzie go znalazłeś?

– W sklepie ze starzyzną. I działa. – Wycelował w nią obiektyw, skadrował i nacisnął przycisk, wprawiając w ruch mechanizm aparatu, który wypluł z siebie sztywny kwadracik. Wyciągnął go i zaczął nim machać w powietrzu.

– Co robisz? – zapytała ze śmiechem.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Przyspieszam proces wywoływania! Każdy to wie. Widzisz?

Pokazał jej kwadrat, a Ruby dostrzegła pojawiający się jeszcze nikły zarys. Ethan ponownie zaczął nim machać, tym razem energiczniej, i już po kilku minutach obraz stał się widoczny: Ruby owinięta w jego pościel uśmiechała się do niego nieśmiało, przytłumione światło padało jej na twarz. Ethan spojrzał na zdjęcie z zachwytem.

– Zobacz, jak ładnie wyglądasz – rzekł.

– Myślę, że po prostu jesteś dobrym fotografem.

– Ależ skąd! – powiedział, wskakując na łóżko i klękając obok niej. – To cała ty. – Spojrzał na zdjęcie. – Uwielbiam polaroidy. Sprawiają, że wszystko wygląda jak okładka albumu Beach Boysów.

– Zdecydowanie – przytaknęła, chociaż nigdy żadnej nie widziała.

Ethan niesamowicie orientował się w świecie kultury i przy nim Ruby wydawała się jak dziecko we mgle. Blefowała, ile tylko mogła, ale zazwyczaj nie udawało jej się go zmylić.

– Nie masz pojęcia, o czym mówię, prawda? – powiedział, delikatnie podskakując na łóżku.

Przed jej oczami mignęły różne obrazy opalonych chłopców w kalifornijskim krajobrazie.

– Oczywiście, że wiem – próbowała się bronić. – No wiesz... taka okładka z deską surfingową? – zapytała cicho.

– Zaraz, zaraz, czy ty kiedykolwiek słyszałaś album *Pet Sounds*? – zapytał z szeroko otwartymi oczami.

Pokręciła głową.

– O mój Boże, to niesamowite! Poczekaj, to rozwali ci mózg. – Rzucił się przeszukiwać płyty w zniszczonych okładkach. – Mam! – Umieścił płytę na talerzu starego adaptera i przyłożył do niej igłę. – Zamknij oczy – powiedział.

Przez pokój popłynęły pierwsze taktory *Wouldn't It Be Nice*. Ruby przypomniała sobie tę piosenkę z długich podróży samochodowych z rodzicami, kiedy była mała. Rodzice śpiewali ją razem. Jej ojciec miał okropny głos – za nic w świecie nie potrafił utrzymać melodii – ale matka śpiewała czysto i wysoko, no i jakoś zawsze udawało jej się z nim zgrać. Ta myśl przywołała uśmiech na jej twarzy.

– Moja mama uwielbiała tę piosenkę.

Poczuła, jak materac się ugiął, kiedy Ethan położył się obok niej. Objął ją i przyciągnął do siebie. Zaczął śpiewać cicho z podbródkiem opartym o jej głowę. Ruby przyłgnęła do niego całym ciałem. Ethan gładził jej włosy, śpiewając, a kiedy piosenka dobiegła końca, pocałował ją.

– Jaka była? – zapytał delikatnie.

Ruby zastanowiła się, jakimi słowami mogłaby ją opisać, ale na myśl przychodziły jej jedynie dźwięki i zapachy: jej śmiech, kiedy ojciec opowiadał żarty, jej głos, kiedy życzyła jej dobrej nocy, jej zapach zaraz po wyjściu spod prysznic.

– Była wspaniała – powiedziała.

– Nigdy o niej nie mówisz. Opowiedz mi coś.

Ruby próbowała spośród gąszczu wspomnień wybrać coś konkretnego.

– Każdej niedzieli po treningu piłki robiła dla mnie i Piper naleśniki – zaczęła, zaskakując samą siebie. – Pozwalała nam nalewać sobie tyle syropu, ile chcieliśmy.

– To miłe – rzekł, gładząc ją po włosach. – Co jeszcze?

– Kiedy kroić banana, zawsze nacinała go wzdłuż. Robiły się wtedy takie bananowe usta. Sprawiała, że ten banan do nas mówił... nazywała go chyba Billy Banan albo jakoś podobnie... i odbywałyśmy z nim krótką rozmowę, zanim Billy został pocięty



na małe kawałki i zjedzony. – Urwała. – Jak się nad tym zastanowić, to było chore, żeby rozmawiać ze swoim jedzeniem, ale my to uwielbiałyśmy.

– Nie sądzę, żeby Billy Banan miał wam to za złe. Co jeszcze?

Odchyliła się do tyłu i westchnęła.

– Nie wiem. Minęło sporo czasu, odkąd ostatnio tak naprawdę o niej myślałam i starałam sobie przypomnieć coś o niej. Tata nie mówi o niej zbyt często... Chyba obawia się, że mogłoby to urazić Candace, a może po prostu to dla niego zbyt bolesne. A Piper... no cóż... nie wiem, co ona myśli. Obawiam się, że może była za mała, kiedy mama umarła, i nie pamięta jej w ogóle.

– Pytałaś ją o to?

Potrząsnęła głową.

– Za bardzo boję się odpowiedzi. Co jeśli ona zupełnie zapomniała mamę? Co jej wtedy powiem?

– Możesz powiedzieć jej to, co powiedziałaś mnie – odparł. – Możesz podzielić się z nią swoimi wspomnieniami.

– To nie zadziała w przypadku mojej siostry – powiedziała. – Ona... sama nie wiem... Po śmierci mamy każde z nas zamknęło się w sobie w ten czy inny sposób. Ale Piper odcięła się w znacznie większym stopniu niż tata czy ja. Jakby podjęła decyzję, że będzie kompletną jędzą i nie będzie przejmować się tym, co inni o niej sądzą.

– A co z tobą? Jak ty sobie poradziłaś, kiedy twoja mama umarła?

– Postanowiłam, że muszę się zatroszczyć o tatę – wyznałam cicho. – To było dla mnie najważniejsze. O Piper też, ale ona nie potrzebowała mnie tak bardzo, mimo że była taka mała. Tata potrzebował mnie najbardziej. Tak się bałam, że i jego mogę stracić... Praktycznie nie spuszczałam go z oczu przez kolejne cztery lata. Kiedy wychodził, tkwiłam jak pies przy oknie, odliczałam minuty do jego powrotu. Biedny gość, musiał się czuć, jakby miał małego prześladowcę.

– Nie, myślę, że to uwielbiał.

Wzruszyła ramionami.

– Chyba go to krępowało, ale nie mogłam zrobić nic innego. – Pomyślała o tamtym ranku, kiedy Candace zjawiała się na śniadaniu, i o tym, jak bardzo czuła się zdradzona, ale też odrobinę wdzięczna, że teraz ktoś inny będzie za niego odpowiedzialny. Porzuciła te wspomnienia i obróciła się do Ethana. – Dobra, wyciągnąłeś ode mnie wystarczająco dużo jak na jedną noc – skwitowała. – Teraz twoja kolej. Jaka była twoja mama?

Roześmiał się niskim, paskudnym śmiechem, którego Ruby nigdy wcześniej u niego nie słyszała.

– Ona nie jest moją matką. Już nie. – Usiadł i naciągnął na siebie podkoszulek, który leżał na ziemi. – Masz ochotę wyskoczyć na piwo albo coś?

Ale Ruby nie zamierzała pozwolić mu się wykręcić tak łatwo, nie po tym, jak obnażyła przed nim swoją duszę. Oko za oko, tragiczna opowieść o matce za tragiczną opowieść o matce.

– No dalej, przecież nie mogła być taka zła – nalegała. – Opowiedz mi coś o niej.

– Chciała go przyciągnąć do siebie, ale ją odepchnął.

– Nie ma co opowiadać, Ruby. – Starał się zachować spokój, lecz w jego głosie

słysząc było zdenerwowanie. – Była pijaczką. Do tego podłą. To, że zostawiła nas, było najlepszym, co mogła zrobić. Zrozum – dodał, odsuwając się jeszcze bardziej – nie chcę o tym rozmawiać, dobrze? Nie warto marnować na nią słów.

– Jasne. – Ruby pogładziła go po ramieniu, jakby był spłoszonym koniem wyścigowym.

Do tej pory zdążyła się dowiedzieć trochę o matce Ethana. Najwyraźniej wszyscy znali jakieś historie o Lucille Bailey: hipiska w latach siedemdziesiątych, w dziewięćdziesiątych była już tylko alkoholiczką, zostawiła męża i syna bez słowa. Ruby pomyślała o Ethanie jako małym chłopcu, nad którym Lucille się piekliła. I o tym, jak jako trzynastolatek wrócił do domu, w którym już jej nie było. Nagle poczuła ogromną potrzebę, żeby go chronić, żeby owinać Ethana ciepłym kocem, przytulić do siebie i powiedzieć, że jest już bezpieczny.

– Chodź do mnie – powiedziała cicho. Przyciągnęła go do siebie, a on tym razem nie protestował. Pocałowała go delikatnie w policzek. – Dobrana z nas para, co?

Przez moment trwali w bezruchu, wsłuchując się w swoje oddechy, ale po chwili Ethan wyskoczył z łóżka i zaczął szukać czegoś w szufladzie biurka.

– Co robisz?

– Chcę ci coś pokazać. – Podbiegł do komputera i zaczął wciskać klawisze. Ekran pociemniał, a po chwili pojawiła się na nim kobieca twarz – jej twarz.

– Hej! – zawołała. – Jak to zrobiłeś?

Roześmiał się.

– Narysowałem.

– Narysowałeś? Jak?

Wzruszył ramionami.

– Czytałem o modelowaniu 3D. Dużo tego się stosuje w grach komputerowych, więc pomyślałem, że spróbuję stworzyć w ten sposób portret. Co sądzisz? Wiem, że oczy są trochę dziwne.

– To jest naprawdę niewiarygodne – powiedziała. – Jako grafika komputerowa wyglądam nieporównywalnie lepiej.

– Niemożliwe – stwierdził Ethan.

Ruby wpatrywała się w swój portret przez kolejną minutę. Dokładnie było widać każdy jej włos, każdą rzęsę.

– Wiedziałam, że zajmujesz się komputerami, ale nie sądziłam, że jesteś w tym taki dobry.

– To naprawdę nic takiego. Wielu to potrafi.

– Nie sądzę, żeby to była prawda, zwłaszcza że nie uczyłeś się tego w szkole. Pomyśl, jaki mógłbyś być dobry, gdybyś się doksztacił.

– To tylko głupie hobby.

– Nie, to coś więcej. Nie umniejszaj tego: masz prawdziwy talent. Musisz coś z tym zrobić – naciskała. – Myślałeś o tym, żeby wrócić do szkoły?

– Ruby, już o tym rozmawialiśmy. Nawet twój ojciec się ze mną zgodził.

– Bo nie widział, co potrafisz. To jest twoja droga! Mógłbyś pojechać ze mną do Nowego Jorku! Tam jest mnóstwo świetnych szkół projektowania graficznego. Albo

mógłbyś od razu zająć się programowaniem! Pewnie jest już za późno, żeby zapisać się na semestr jesienny, ale założę się, że udałoby ci się dostać na wiosenny.

– Nie chcę chodzić do szkoły z bandą przemądrzałych głupków. Poza tym co z moim ojcem? Nie mogę go tak zostawić, żeby uganiać się za jakąś mrzonką. On potrzebuje mojej pomocy w warsztacie.

– Nie możesz zostać z nim na zawsze. To nie mrzonka, to twoje życie! Naprawdę masz talent! Nie chciałbyś czegoś z tym zrobić? Nie chcesz się stąd wydostać?

Potrząsnął głową.

– Nie po to ci to pokazałem, żebyś mi tu wygłaszała jakieś mowy motywacyjne – powiedział. – Po prostu zapomnij o tym, dobrze?

– Dobra – odparła. – Mogę przestać o tym mówić. Ale nie zamierzam o tym zapomnieć.

Teraz

Wróciłam do Bugle Hall w samą porę, by zobaczyć, jak Ethan obejmował Madison. Trzymała kij do krykieta, a Ethan, kładąc swoje dłonie na jej dłoniach, pokazywał, jak należy odbić. Miała na sobie dżinsowe szorty, tak mocno wycięte, że zaczęłam obawiać się o zdrowie jej pęcherza. Pomyślałam, że dla pewności powinnam sprawdzić, czy mają tu sok żurawinowy.

– Widzisz? – mówił. – To proste. Delikatny ruch w tył i do przodu.

– Czy mówisz to wszystkim dziewczynom? – zawołałam, wchodząc na podjazd.

Jesteś twierdzą – powtarzałam sobie w myślach. Jesteś niewzruszona niczym głąz.

Ethan puścił Madison i odsunął się od niej. W kąciку jego ust igrał niewyraźny uśmiech, jakby wbrew niemu.

– Ethan pokazywał mi, jak się gra – wyjaśniła Madison.

Jej włosy ułożyły się w długie, potargane fale, które w magazynach modowych określa się mianem „plażowych”, chociaż każdy wie, że na plaży nosi się kok usmarowany kremem do opalania.

– Nie wiedziałam, że jesteś ekspertem od krykieta – powiedziałam.

Wziął zamach i głośno uderzył piłkę kijem. Poszybowała prosto do bramki.

– Simon Le Bon nauczył mnie, kiedy ostatnio byliśmy w Babington House.

– Oczywiście – mruknęłam.

– Uwielbiam Babington House! – zaćwierkała Madison. – W zeszłym roku zorganizowałyśmy tam sesję. Świetne miejsce. Ale kto to jest Simon Le Bon?

Stłumiłam śmiech na widok grozy malującej się na twarzy Ethana.

– Do zobaczenia w środku – powiedziałam, oddalając się szybko. – Uważaj na plecy, staruszk.

Trafione.

W drzwiach pojawiła się Tylor.

– Obiad gotowy! Ethan, siedzisz koło mnie, bo Madison zawłaszczyła cię na cały dzień. A ja mam miliard pytań dotyczących optymalizacji konwersji.

Pozostała część naszej grupy siedziała już za ciężkim dębowym stołem, nerwowo przysłuchując się dochodzącym z kuchni odgłosom naczyń i garnków. Pani Willocks weszła w końcową fazę przygotowań do posiłku, a sądząc po dźwiękach, nie obyło się bez walki.

Zajęłam wolne miejsce obok taty.

– Ruby – rozpromienił się na mój widok. – Wróciłaś! Gdzie byłaś? Widziałaś coś fajnego?

– Byłam na krótkim spacerze. Znalazłam takie niewiarygodne miejsce na szczycie wzgórza... Widok jest powalający. Była tam ławka... – Zorientowałam się, że ojciec przestał mnie słuchać, ponieważ wstał na widok pani Willocks niosącej tacę parujących wielkich pierogów.

– Mam nadzieję, że wszyscy są głodni – wyszczebiotała, z dumą stawiając je na stole. – Zrobiłam różne rodzaje, więc każdy znajdzie coś dla siebie – dodała. – Są piwne ze stekiem, kurczak z porem i tradycyjne z wieprzowiną. – Pokroiła każdy pieróg

i nałożyła nam po kawałku z każdego rodzaju.

– Dziękujemy, pani Willocks – powiedzieliśmy chórem.

Spróbowałam pieroga z kurczakiem i porem: był znakomity. Zwykle nie przepadam za wytrawnymi wypiekami, ale ta kobieta była prawdziwą czarodziejką: od pierwszego kęsa wiedziałam, że będę chciała dokładkę (a do jutrzejszego treningu dodam pompki).

– Przygotowałam też coś specjalnie dla ciebie – te słowa pani Willocks skierowała do Piper. Po chwili wróciła z kuchni, niosąc na wyciągniętych rękach półmisek jedzenia w ciemnobrązowym kolorze. – Wątróbka i bekon – wyjaśniła. – Wiem, że nie możesz jeść dań mącznych ze względu na swoją... przypadłość.

– Wątróbka? Jak ten organ? – zapytała Piper, nieufnie przyglądając się jedzeniu, które postawiła przed nią gospodyni.

– Zgadza się, kochanie. Zawiera mnóstwo żelaza, ale żadnego glutenu. Wpisałam w internet i sprawdziłam!

– Wspaniale – powiedziała Piper słabym głosem, a ja nie mogłam jej nie współczuć. Pierogi były pyszne, ale nic, nawet niesamowite zdolności kulinarne pani Willocks, nie było w stanie sprawić, żeby wątróbka z bekonem wyglądała apetycznie. – Czy są może jakieś warzywa? – zapytała Piper z paniką w głosie, patrząc na stygnącą wątróbkę owiniętą plasterkiem bekonu z nieskrywanym już przerażeniem. – Muszę zjeść jakieś warzywa, bo inaczej moja równowaga zasadowa legnie w gruzach.

– Oczywiście, słoneczko! Już przynoszę! – I pani Willocks ponownie zniknęła w kuchni, aby po chwili pojawić się z miską pełną pieczonych ziemniaków. – Nie da się zjeść wątróbki z bekonem bez ziemniaków!

Piper wydała z siebie cichy dźwięk, niczym zaniepokojony kot.

– Co ja mam zrobić? – wyszczała, kiedy pani Willocks poszła do kuchni po więcej sosu. – Nie ma mowy, żebyśmy to zjadła!

– Piper, wyluzuj, to wygląda całkiem niezłe – powiedział Charlie. – Jeśli nie chcesz, mogę zjeść za ciebie. – I to, panie i panowie, jest właśnie miłość.

Zgodnie ze swoją obietnicą Charlie zjadł do czysta talerz wątróbki, zaraz po tym, jak rozprawił się z pierogami. Pani Willocks wyglądała, jakby chciała go pocałować, kiedy poprosił o dokładkę. Biedna, nie miała pojęcia, że Charlie spędził całe popołudnie, paląc skręty z ogrodnikiem w szopie. Tylor i Madison wesoło nałożyły sobie ziemniaki i poprosiły panią Willocks o więcej sosu, korzystając w pełni z dobrodziejstw swojego młodzieńczego metabolizmu (którego nie przywróci żadna dieta sokowa). Ethan szepnął coś do nich, a one aż zanosiły się ze śmiechu, pokazując rzędy równych, perłowobiałych ząbków. Odsunęłam talerz – straciłam apetyt.

Tata skończył ostatni kawałek pieroga i odsunął swoje krzesło od stołu, kładąc dłoń na brzuchu.

– Judy, to było wspaniale! – zawołał w stronę kuchni. Tylko mój ojciec mógł być z panią Willocks po imieniu po półtora dnia znajomości... – Kto ma ochotę na whisky i szarady? Co powiecie, dzieci, zupełnie jak wtedy, kiedy byliście małe!

– Nie, tato! – obie z Piper jęknęłyśmy równocześnie.

W większości spraw miałyśmy odmienne zdanie, ale w przypadku szarad byliśmy

wyjątkowo zgodne. Dorastałyśmy, oglądając naszego ojca powyginanego w każdą możliwą stronę i dziko gestykującego, zanim oczywiście i nieuchronnie wykrzykiwał odpowiedź, której nie byłyśmy w stanie odgadnąć. Wszystko przez to, że był beznadziejnym aktorem, ale zawsze chciał grać właśnie w tę grę. I zawsze kończyło się to tak, że ktoś w gniewie trząsał drzwiami, alkohol czynił więc tę sytuację jeszcze bardziej ryzykowną.

– No zgódźcie się, będzie fajnie! – przekonywał.

– Uwielbiam szarady – oświadczyła Tylor, podrywając się od stołu i biegnąc do salonu niczym żrebak.

– Ja też! – zawtórowała jej Madison, dołączając do niej. – To takie staroświeckie. Uwielbiam to!

– No cóż, czemu nie – powiedział Bob. – Alec, przyniosę od siebie jakąś dobrą butelkę.

– Wchodzę w to, ale tylko jeśli ty też – zwrócił się do mnie Ethan z uśmiechem.

– Co ty na to? – Był to akt zapierającego dech w piersiach okrucieństwa, ponieważ doskonale wiedział, jak nie znosiłam tej gry. Nie zamierzałam pozwolić mu się tak traktować.

– A co mi tam – westchnęłam i poszłam do salonu.

W ciągu tego dnia doświadczyłam już upokorzeń wystarczających na całe życie – kilka następnych godzin nie było w stanie pogorszyć sprawy.

Teraz

Do: Bill Bailey

Data: 16 lipca 2015, 23:48

Od: Ethan Bailey

Temat: re: Sox

Wiem, słyszałem, że kompletnie polegli w trzeciej rundzie. Porcello za nic nie potrafi rzucać. 82 miliony za gościa, który nie trafiłby piłką do talerza, nawet gdyby kelner mu pomagał... Zanosi się na powtórkę z 2012.

Hej, a pamiętasz dziewczynki Duffych? Tylor i Madison?

Też tutaj są. Przyjechały dzisiaj. Wydają się miłe.

E

Kiedyś

– Nie mogę uwierzyć, że się na to zgodziłam.

Ruby i Ethan siedzieli na parkingu francuskiej restauracji Le Boeuf, najszykowniejszej w całym Beechfield, czekając na przyjazd Charliego. Był koniec sierpnia i zmierzch zapadał już wcześniej. W samochodzie jednak nadal było gorąco i uda Ruby kleiły się do skórzanej tapicerki. Podniosła więc nogi i położyła stopy na desce rozdzielczej.

– Ani ja – powiedział Ethan i opuścił okno ze swojej strony. – Nie mogę uwierzyć, że w ogóle dopuściłaś taką myśl. Chcę mieć na piśmie, że zostałem do tego zmuszony.

– To twój najlepszy przyjaciel! – Ruby szturchnęła go w ramię.

– Co nie znaczy, że chcę chodzić z nim na podwójne randki.

– Przynajmniej on płaci.

– Oby. Jestem tutaj tylko w nadziei na darmowe żabie udka.

– Jeśli chociaż się do nich zbliżysz, zapomnij o całowaniu się ze mną dzisiaj. Pewnie wyłowili je z Assabet.

– Jestem na dziewięćdziesiąt procent pewien, że jako dziecko widziałem ciało unoszące się w tej rzece.

– Wcale by mnie to nie zdziwiło. Zaraz, to chyba oni.

Oboje przyglądali się, jak czerwona corvette'a Charliego – prezent od rodziców na dwudzieste pierwsze urodziny, który miał zastąpić podarowane mu na szesnaste urodziny audi, rok wcześniej rozbite o drzewo – zaparkowała obok nich. Najpierw wysiadł Charlie. Miał na sobie białą koszulę z kołnierzykiem i granatowy sweter – w co żadne z nich nie mogło uwierzyć – a jego włosy były starannie uczesane.

– Jasna cholera – powiedział Ethan. – On naprawdę traktuje to serio.

Charlie obszedł samochód i otworzył drzwi od strony pasażera. Najpierw pojawiła się w nich jedna długa opalona noga, a następnie druga. Ruby natychmiast rozpoznała buty – niebieskie sandały z paseczkami – i zaklęła pod nosem. „Wzięła moje buty!”. W tym momencie Piper wynurzyła się w całości z samochodu i pomachała im zdawkowo.

– Nie wierzę, że ona się na to zgodziła – wymamrotał Ethan.

– Prawdę powiedziawszy, była bardzo podekscytowana. Powiedziała, że według niej Charlie jest słodki. To, że jest praktycznie najbogatszy w całym mieście, też pewnie mu nie zaszkodziło.

– To nigdy nie szkodzi. Chodź – powiedział, otwierając drzwi. – Czas na przedstawienie.

Cała czwórka została zaprowadzona do stolika na środku restauracji i usadzona przez szefa sali, który nalegał, by osobiście rozłożyć im serwetki na kolanach. Wręczył Charlieemu listę win i zniknął, skłoniwszy się zamasyście. Charlie zamknął kartę, ledwo na nią spojrzawszy.

– Wszyscy chcą szampana?

Piper nie była tak zachwycona, odkąd w sklepie zapomnieli policzyć jej za spodnie do jogi J.Crew.

– Ależ tu wytwornie – szepnęła Ruby, a Ethan wytrzeszczył oczy na znak, że się



zgadza, i oboje zaczęli rozglądać się po sali.

Byli młodszy od najmłodszych klientów o dobre dwadzieścia lat, nie licząc nieszczęsnej Rosjanki, która karmiła starszego mężczyznę łyżeczką.

– Mam wrażenie, że wszyscy na mnie patrzą, jakbym miał coś ukraść – szepnął jej Ethan.

Wokół krzątali się kelnerzy w białych koszulach, niczym mewy krążące nad morzem pełnym ryb. Szampan został podany i ustawiony w wiaderku z lodem obok łokcia Ruby. Stuknęli się kieliszkami i wzniesli toast, następnie spróbowali rozmawiać na dorosłe tematy, dopóki Charlie nie zażartował z kształtu bułeczki. Od tego momentu było już tylko gorzej aż do chwili, kiedy po wypiciu pięciu butelek szampana i uiszczeniu rachunku przez niezwykle zadowolonego z siebie Charliego cała czwórka opuściła lokal i wytoczyła się na nocne powietrze.

Parking opustoszał, stały na nim już tylko samochody Ethana i Charliego. Obok tylnego wyjścia kilku pomywaczy siedziało w kucki i wspólnie paliło jointa. Ledwo zwrócili uwagę na mijającą ich czwórkę dzieciaków.

– Co będziemy teraz robić? – zapytała Piper, delikatnie chwiejąc się na obcasach. Kilka kosmyków wymyknęło jej się z koka.

– No cóż, z pewnością nie możemy nigdzie pojechać – zauważyła Ruby.

– A jedyne miejsce, jakie jest w zasięgu spaceru, to Billy Jack's, więc...

– Nie mogę iść do tego baru! – zaprotestowała Piper. – A co, jeśli ktoś mnie tam zobaczy?

– Nie bądź taką snobką – powiedział Charlie.

Wyglądał jak szczeniak, który właśnie położył przed swoją właścicielką jej pogryziony pantofel. Bardzo dumny, ale bez pojęcia, co go czeka. Przygotuj się na lanie gazetą, pomyślała Ruby. Bo to cię czeka.

Piper otworzyła usta ze zdumienia. Nikt nigdy się do niej nie zwracał w taki sposób, a już na pewno nie mężczyzna i to taki, który właśnie kupił jej najdroższą kolację w Beechfield. Ruby i Ethan nerwowo spoglądali to na jedno, to na drugie. Co się stanie? Uderzy go czy tylko obróci się na pięcie i go zostawi? Nie żeby miała daleko zajść w tych butach...

Zamiast tego, ku zaskoczeniu wszystkich zebranych – w tym chyba samej zainteresowanej – Piper zaczęła się śmiać. Szczerze, serdecznie i na cały głos.

– Chodź – powiedziała, biorąc Charliego pod rękę. – Idziemy do tego twojego głupiego baru. Ostrzegam jednak, że nawet nie zbliżę się do tamtejszej łazienki.

– Jak chcesz – odparł, prowadząc ją drogą. – Zawsze możesz skorzystać z bocznej uliczki, sam załatwiałem tam swoje potrzeby kilka razy...

Ruby i Ethan popatrzyli po sobie z uniesionymi brwiami.

– Co, u diabła, właśnie się wydarzyło? – zapytał Ethan. – Zazwyczaj w tym momencie wieczoru Charlie dostaje od dziewczyny w twarz.

– Zazwyczaj w tym momencie wieczoru Piper daje po twarzy chłopakowi i, naburmuszona, zostawia go – powiedziała Ruby. – Czuję się, jakbym obserwowała jakiś rytuał godowy do tej pory nieodkrytego plemienia.

– No cóż, dziwniejsze rzeczy już się zdarzały – powiedział Ethan, biorąc ją za rękę.

– Chcesz pójść z nimi?

– Czy naprawdę sądzisz, że przegapiłabym widok mojej siostry w Billy Jack's?

– odparła. – No dalej, idziemy!

Teraz

Do: Bill Bailey

Data: 17 lipca 2015, 08:13

Od: Ethan Bailey

Temat: re: Sox

Napisałem tylko, że bliźniaczki wydają się miłe! Jezu!

No, naciskają mnie jak szaleni, żebym podjął decyzję – chcą zdążyć z jej ogłoszeniem przed początkiem trzeciego kwartału. Część mnie chciałaby sprzedać i wynieść się stąd do diabła, bylebym tylko nigdy więcej nie musiał brać udziału w żadnym zebraniu zarządu, ale inna część (podejrzewam, że ta bezpośrednio spokrewniona z Tobą) nie ma pojęcia, co pocznę ze sobą bez firmy. Oprócz doprowadzania nas obu do szaleństwa.

Oczywiście, że nie ma nic między mną a Ruby. Dlaczego miałoby być? Wszystko się skończyło wieki temu. Pewna mądra osoba powiedziała mi kiedyś, że psy nie bez powodu zakopują kości. Nadal nie do końca rozumiem, co chciałeś mi przez to powiedzieć, ale i tak to powtarzam.

Karmisz Willy'ego? Podrap go ode mnie i daj mu dodatkową puszkę Sheby.

E

Teraz

Obudziłam się z kacem. Drugi dzień z rzędu. Do tego po wczorajszej pierogowej uczcie mój organizm był na krawędzi buntu. Moje kończyny były ciężkie, a między oczami czułam tępy ból – wiedziałam, że jedyne, co mogę zrobić, by znów poczuć się jak człowiek, to zasnurować buty i iść pobiegać, nawet jeśli była to ostatnia rzecz, na jaką miałam ochotę. Nie było innego wyjścia, jak tylko wszystko to wypocić, zwłaszcza że słyhać już było, jak pani Willocks krząta się w kuchni, piekąc coś, co pachniało jak babeczki z jagodami...

Zmusiłam się, żeby wstać, i wyciągnęłam z szafy sportowy stanik, szorty i podkoszulek. Podskoczyłam cicho w nadziei poprawienia krążenia, ale zamiast tego zrobiło mi się niedobrze i musiałam z powrotem usiąść na chwilę na łóżku i wziąć kilka głębokich oddechów, zanim byłam gotowa ruszyć przed siebie.

Ranek był zdumiewająco jasny, jedynie kilka leniwych chmur sunęło przez błękitne niebo. Zrobiłam krótką rozgrzewkę, odszukałam Kanyego na iPodzie i ruszyłam w lewo po ścieżce, która miała prowadzić nad morze. Była zarośnięta i wyboista, a przydrożne chwasty czepiały się moich nóg. Dalej pięła się stromo na wzgórze porośnięte trawą morską, która przyjemnie chrzęściła pod butami. Nabierałam głęboko powietrza i zaczęło mi się rozjaśniać w głowie.

Zgodnie z oczekiwaniami wczorajsze szarady skończyły się łzami. Charlie warknął na Piper, ponieważ nie domyśliła się, że dłoń, którą położył sobie na głowie, miała oznaczać płetwę rekina – „Szczęki! Jak mogłaś na to nie wpaść?!” – a biedną Candace zupełnie zmroziło, kiedy wylosowała do pokazania *Nieznośną lekkość bytu*. Ethanowi udało się pokazać *Pulp Fiction* w zaledwie kilku sprytnych ruchach, więc wszyscy wpadli w zachwyty – oprócz mnie, oczywiście. Barbara zasnęła w stylizowanym na zabytkowy fotelu, zwinięta niczym krewetka, z zaróżowionymi policzkami i mocno sfatygowaną powieścią Philippy Gregory na kolanach. Kiedy pierwsza butelka whisky została opróżniona, pojawiła się następna. W pewnym momencie – wydaje mi się, że koło północy – pani Willocks wetknęła przez drzwi głowę z nakręconymi papilotami i uprzejmie poprosiła, żebyśmy zachowywali się trochę ciszej. Niestety dla naszej biednej gospodyni zachowywaliśmy się jeszcze głośniej aż do hucznego finału, w którym tata brawurowo odtworzył bitwę pod Hastings przy użyciu pogrzebacza („Rekwizyty nie są dozwolone”, protestował Bob, ale został zakrzyczany). Niedługo później wszyscy udaliśmy się do łóżek.

Wbiegłam na szczyt wzgórza i pochyliłam się, myśląc, że płuca zaraz mi eksplodują. W myślach przeklinałam się za ten ostatni niepotrzebny kieliszek. Ale kiedy podniosłam głowę, po moich obu stronach zobaczyłam wydmy, a przede mną niebieskoszare morze i przypomniało mi się, jak bardzo to kocham: zapach soli i glonów, delikatnie podszyty nutą rozkładu, rytm fal, piski mew, które leniwie zataczały koła wysoko ponad moją głowę. Zdjęłam buty, związałam je razem sznurówkami i przewiesiłam sobie przez szyję – podczas biegu chciałam czuć mokry piasek pod stopami.

Po lewej stronie na końcu zatoki widać było wielki zamek na szczycie skał, który

wyglądał, jakby nie został zbudowany, ale po prostu wyłonił się z ziemi. Było to piękne i przerażające zarazem: można było z łatwością wyobrazić sobie ludzi, którzy w nim ginęli – sam w sobie stanowił przekonującą groźbę. Pobiegłam w dół w przeciwnym kierunku, po pustej plaży, na której można było napotkać co najwyżej kraby.

Po raz drugi w ciągu ostatnich dni byłam sama. I było to wspaniałe uczucie, choć odrobinę wytrącające z równowagi. W Nowym Jorku wszędzie byli ludzie. Na ulicach, w oknach drapaczy chmur, w siłowniach, w windach... wszędzie. Nawet w zaciszu mojego mieszkania cały czas byłam otoczona: sąsiad z dołu krzyczał na telewizor, para w mieszkaniu obok sprzeczała się, kto miał zabrać kota do weterynarza, na górze dziecko jeździło po parkiecie rowerkiem. I ciągle, ciągle te maile bezustannie spływające do mojej skrzynki odbiorczej. Ale tutaj nie było niczego. Przed sobą widziałam jedynie piasek i morze po horyzont. To było niesamowite.

W pewnym momencie w oddali zobaczyłam niewielki punkcik, a za nim kolejny. Ponieważ biegłam w ich kierunku, wkrótce byłam w stanie się zorientować, że to mężczyzna z wielkim kudłatym psem, niemal w połowie tak wielkim jak jego właściciel. Przodem biegł pies, pokonując plażę wielkimi skokami i szarżując na mnie z niepokojącą prędkością. Słyszałam, jak mężczyzna krzyczał na niego, ale pies nie reagował. Nie mogłam nic na to poradzić, więc po prostu cieszyłam się z przyływu endorfin i biegłam zwierzęciu na spotkanie.

No i spotkaliśmy się, w plątaninie mokrego futra i ubłoconych łap.

– Archie, nie! – krzyczał mężczyzna, podbiegając do nas. – Archie, zostaw panią!

Pies przygwaźdżał mnie swoim ciężarem, a ja leżałam, histerycznie zanosząc się śmiechem, i pozwalałam mu lizać się po twarzy.

– W porządku! W porządku! – zawołałam do mężczyzny. – Naprawdę!

W końcu udało mi się usiąść i zaczęłam drapać psa po łbie, a on wtedy wskoczył mi na kolana, niemal uniemożliwiając mi oddychanie.

– Chryste, tak mi przykro – powiedział mężczyzna, chwytając Archiego za obrozę. – Ten pies to koszmar!

– Ależ skąd! – zaprzeczyłam, poklepując psa po zapiaszczonym brzuchu. – Dobra psina, dobra... – Spojrzałam w górę i znalazłam się twarzą w twarz z mężczyzną z pubu.

– Och... – zareagowałam chyba niezbyt entuzjastycznie. – To ty.

– A niech mnie, moja amerykańska znajoma! – Wyciągnął do mnie rękę i pomógł mi wstać, a pies położył się ciężko na piasku obok nas. – Nie poznałem cię pod czterdziestokilogramowym psem. Co, u diabła, robisz tutaj tak wcześnie rano?

Wzruszyłam ramionami.

– Nie mogłam spać, więc pomyślałam, że pobiegam. Tu jest niesamowicie.

Podążył za moim wzrokiem i kiwnął głową.

– Czysta magia, zwłaszcza jeśli jest się samemu. Dlatego lubię chodzić z nim na spacerki wcześnie, przed planowanymi zabiegami.

– Jesteś chirurgiem? – Stał przede mną z włosami zmierzwionymi przez wiatr, w spłowiałych szortach i poplamionej parce, i nie mogłam go sobie wyobrazić ze skalpelem w ręku.

– Nie, daleko mi do tego. Jestem zwykłym wiejskim lekarzem: nadwyreżone

kolana i od czasu do czasu zapalenie migdałków to moja codzienność.

– Och, no cóż, to bardzo... szlachetne zajęcie. – Nie wiem, czemu to powiedziałam. Oczywiście uważam, że pomaganie ludziom jest bardzo szlachetne, ale kto jeszcze mówi w ten sposób? Zdaje się, że ja... otóż to.

Roześmiał się gromko.

– Tak, bardzo szlachetne, cały ja! A tak w ogóle, jestem Chris.

Podał mi wielką rękę, a ja uściśniłam ją, wyczuwając zgrubienia na jego palcach. Nie mógł być dużo starszy ode mnie, ale jego knykcie były grube, a opuszki starte i poranione. Miał ręce robotnika, nie lekarza, i natychmiast zrobiło mi się żal wszystkich pacjentów, którzy liczyli na łagodne traktowanie.

– Ruby – przedstawiłam się, a potem spojrzałam na Archiego, który teraz z językiem na wierzchu radośnie tarzał się w piasku. – Twój pies jest niesamowity! Co to za rasa?

– Wilczarz irlandzki – powiedział, pochylając się, żeby go podrapać.

– Wygląda... jak gość z prehistorii.

– O, wypraszam sobie! Powinnaś wiedzieć, że to bardzo inteligentne stworzenie, które tylko od czasu do czasu zjada swoje wymiociny. Prawda, chłopie? – Pies spojrzał na niego smutno i pobiegł gonić mewy. – Widzisz? Geniusz.

– To widać. Czyli mieszkasz niedaleko stąd?

– Trochę za wcześnie, żeby się wpraszać, nie sądzisz? – powiedział, uśmiechając się złośliwie.

– Ja wcale... ja tylko... – zaczęłam się jąkać i zacinać. Było dla mnie zdecydowanie za wcześnie na takie słowne przepychanki.

– Spokojnie, żartowałem. Mieszkam po drugiej stronie tamtych wydm – odrzekł, wskazując kilka porośniętych krzakami pagórków jakiś kilometr dalej. – Mam małą chatkę. Nic szczególnego, ale jest tam spokój i nie ma nikogo w pobliżu, co bardzo mi pasuje. Zatrzymałaś się w Bugle Hall, prawda?

Uniosłam brew.

– Jakim cudem wszyscy o tym wiedzą?

– Daj spokój, kochana! Kiedy pojawia się grupa dziwnych Amerykanów, wszyscy śledzą ich każdy krok. Tak to już jest w małych miasteczkach.

– Nie jesteśmy aż tacy dziwni.

Tym razem to doktor uniosł brew.

– Widziałem tę parę całą w tweedach napastującą miejscowego pijacznę, aby prześledzić jego linię genealogiczną – odparł. – Mnie nie oszukasz. Banda świrów.

Podniosłam ręce w geście poddania.

– Masz rację, nie da się zaprzeczyć: jesteśmy stuknięci. I tak, zatrzymaliśmy się w Bugle Hall. Tam jest... bardzo miło.

– Daj spokój, to cholerne mauzoleum! Byłem tam jako chłopiec parę razy: można się przestraszyć. Nadal wszędzie straszą porcelanowe figurki?

– Są ich tysiące! I wszystkie te talerze z twarzą księżnej Diany! To jest naprawdę dziwne.

– A to Anglia właśnie! Przynajmniej jej część. Biedna pani Willocks nadal

w żałobie po Dianie. Nigdy w pełni nie otrząsnęła się po tej stracie.

Przypomniałam sobie uprzejmą twarz naszej gospodyni i poczułam się wobec niej winna.

– Boże, jak mi głupio. Ona jest taka miła! – powiedziałam pospiesznie. – I jest znakomitą gospodynią!

– Podejrzewam, skoro każe wam tyle płacić za możliwość spania w otoczeniu sfory ceramicznych straszydeł. – Zauważył wyraz mojej twarzy i zrobiło mu się głupio. – Masz rację, oczywiście. To wspaniała kobieta. Obawiam się, że kiedy mieszkasz w małym miasteczku dostatecznie długo, zaczynasz skupiać się na ludzkich dziwactwach.

– Nie musisz się tłumaczyć – odparłam. – Mieszkam w Nowym Jorku i codziennie w drodze do pracy w skrytości ducha życzę śmierci przynajmniej trzem osobom.

– Tak już jest z ludźmi, nie? – skwitował, szczerząc się w uśmiechu.

– Nie musisz mi o tym mówić – powiedziałam. – Na mnie już chyba czas. Pani Willocks przygotowuje zjawiskowe śniadania, więc jeśli się nie pospieszę, mój ojciec zje mi wszystko sprzed nosa.

– Pani Willocks umie gotować? – zdziwił się. – No proszę, każdego dnia dowiaduję się czegoś nowego. A jakie masz plany na resztę dnia, oczywiście po tym, jak skończysz opychać się dobrami pani Willocks? I mam nadzieję, że nie siądziesz do stołu z butami na szyi. Nie muszę ci chyba mówić, że pani Willocks nie chce widzieć piasku na swoich serwetkach.

Dotknęłam jednego zapiaszczonego buta zwisającego przy moim ramieniu i roześmiałam się. Nagle dotarło do mnie, jak musiałam wyglądać, i zaczęłam zakładać pasma zasolonych włosów za ucho.

– Lubię czuć piasek między palcami – powiedziałam, trochę zawstydzona.

– Jeśli o mnie chodzi, nie musisz się tłumaczyć. Biegałbym tu na golasa, gdyby nie to, że mogą mnie za to zamknąć.

– I uważasz, że to ja jestem dziwna...

– Powiem tak: wróć do hotelu i ogarnij się. Przyjadę po ciebie koło południa i pokażę ci naszą piękną wieś.

Zaskoczył mnie tym zupełnie. Przez chwilę kusiło mnie, żeby się zgodzić: bardzo chciałam lepiej poznać okolicę, a Chris był dość miły. Oczywiście nic o nim nie wiedziałam, ale jakie były szanse, że w tym małym miasteczku czai się psychopata? Zwłaszcza psychopata z psem? Ale pomyślałam o wyrazie twarzy Piper, kiedy powiem jej, że porzucam moje ślubne obowiązki i wybieram się na przejażdżkę z nieznajomym, i zrozumiałam, że byłaby to głupota.

– Nie mogę – powiedziałam. – Muszę pomóc mojej siostrze w przygotowaniach do ślubu, a dziś zjeżdża się mnóstwo gości...

– To jutro. Przejedziemy się rano.

Roześmiałam się, co zabrzmiało jak szczeknięcie.

– Moja siostra zabiłaby mnie, gdybym odeszła od niej choćby na krok w dniu jej ślubu. Przykro mi, bardzo bym chciała, ale...

– Nie mów nic więcej. Oczywiście, jestem zdruzgotany, złamałaś mi serce, ale ufam, że z czasem dojdę do siebie.

– Zawsze możesz mi przysłać rachunek za terapię, jeśli będzie konieczna.  
– Skarbie, jesteśmy w Anglii! Tu nie ma terapeutów, tu są puby. – Gwizdnął i Archie ruszył w naszym kierunku. – Pierwszy raz na to zareagował – stwierdził.  
– Musiałaś się mu spodobać i chce zrobić na tobie wrażenie.  
– Jestem oczarowana – powiedziałam, drapiąc Archiego za uchem na pożegnanie.  
– Powodzenia ze ślubem. Mam nadzieję, że nikt nie spadnie z baszty.  
– To chyba nieuniknione... – odparłam. – Miło było cię poznać. Powodzenia z kolanami!

Odbiegłam już kawałek, kiedy usłyszałam, że mnie woła. Zawróciłam.

– Proszę – powiedział, wkładając mi do ręki kawałek papieru. – Na wszelki wypadek, jakbyś przed wyjazdem znalazła jednak wolną chwilę. – Była to lekko pomięta wizytówka: CHRIS DIXON: LEKARZ/MUZYK. – Trochę pretensjonalna, wiem – zatroskał się, grzebiąc stopą w piasku. Archie wpatrywał się we mnie z nadzieją.

– Jesteś muzykiem? – zapytałam. Zawsze miałam słabość do muzyków.

– To za dużo powiedziane – odparł. – W sobotnie wieczory grywam na gitarze razem ze znajomymi w Craster.

– Super!

– Nie jestem pewien, czy to podpada pod tę kategorię – uśmiechnął się. – Specjalizujemy się w mniej znanych utworach Billy’ego Joela.

Wsunęłam wizytówkę za staniak.

– Zadzwoń, jeśli znajdę wolną chwilę – obiecałam. – Albo jeśli najdzie mnie ochota na Billy’ego Joela.

– Uważaj – powiedział, szczerząc się. – Te piosenki potrafią się przyczepić. Pozdrów ode mnie panią Willocks i powiedz, że moja mama chce swój prodiż z powrotem!

Czułam, że na mnie patrzył, kiedy biegłam, i usłyszałam smutne szczeknięcie Archiego, kiedy znikam im z pola widzenia. W piersi czułam tępy ból – jakbym czegoś żalowała.



## Kiedyś

Siedzieli na masce samochodu Ethana i przyglądali się gwiazdom. Żadne z nich nie wiedziało, co powiedzieć, żeby pocieszyć siebie nawzajem, więc zaległa między nimi cisza, w której słyhać było jedynie ich oddechy.

To była ostatnia noc Ruby w Beechfield. Jej torby były już spakowane, książki poukładane w pudłach, a jej ojciec wpisał już trasę do Nowego Jorku do nawigacji w samochodzie. Nie pozostawało już nic więcej, jak tylko się pożegnać, ale nadal wydawało się to niemożliwe.

Ethan wziął ją za rękę, delikatnie pocierając kciukiem jej dłoń. Poczowała dreszcz spowodowany tym dotykiem, ale szybko stłumił go ciężar jej smutku. Wiedziała, że powinni teraz zrywać z siebie ubrania, korzystając z ostatniej okazji, by się sobą nasycić, odcisnąć na sobie nawzajem pewien ślad, ale czuła, że ta noc pod czarnym niebem pełnym gwiazd będzie zupełnie niewinna. Oboje byli sparaliżowani lękiem, który przewracał im się w żołądkach.

– Kiedy zaczniesz pracę? – zapytał w końcu Ethan, chociaż znał odpowiedź.

Zaczynała w poniedziałek. Za dwa dni miała włożyć na siebie kostium, który razem wybrali w centrum handlowym, wsiąść do metra, przejść jedną z tych szerokich alei, jakie Ethan znał tylko z filmów, i wejść przez szklane drzwi do jednego z drapaczy chmur, gdzie wpadnie w wir świata, którego on nie znał i nie miał nigdy zrozumieć. W tym czasie on nadal będzie w Beechfield, serwując marne drinki miejscowym opijusom.

– W poniedziałek – powiedziała cicho.

Mimo smutku poczuła, jak zalewa ją fala lęku i ekscytacji. Nowy Jork, pomyślała. Przez ostatni tydzień, kiedy myśli o tym, że będzie musiała zostawić Ethana, stawała się dla niej tak nieznośna jak fizyczna rana, przywoływała obraz Nowego Jorku – miasta, które miało jej to wszystko wynagrodzić.

Ponownie zapanowała cisza, żadne z nich nie chciało wypowiedzieć swoich myśli na głos. Ethan zastanawiał się, kiedy będzie mógł ją odwiedzić. Myśl o wizycie w Nowym Jorku napełniała go strachem – od zawsze nienawidził tego miasta, ponieważ jego drużyna bejsbolowa konkurowała z Red Sox, a teraz kradło mu ono ukochaną kobietę – wiedział jednak, że jak tylko Ruby tam zamieszka, on też zapragnie tam być. Mógłby przyjechać w przedłużony weekend z okazji Dnia Kolumba, a ona może mogłaby zrewanżować się wizytą kilka tygodni później. A wiosną... nie mógł jej jeszcze nic powiedzieć, ale postanowił wrócić do szkoły. Ruby miała rację: było wiele interesujących kursów projektowania graficznego, niektóre nawet w Nowym Jorku, więc rozesłał formularze zgłoszeniowe. Wiedział, że tylko wtedy będzie miał szansę u Ruby, jeśli postara się coś ze sobą zrobić. Nie było takiej możliwości, by została na dłużej ze zwykłym barmanem, zwłaszcza że wkrótce będzie mogła przebierać w całym Nowym Jorku. Musiał więc spróbować.

Ruby położyła się na masce, która była jeszcze ciepła od pracy silnika. W powietrzu wyczuwało się już zdecydowane ochłodzenie, a liście na drzewach pociemniały i zaczęły opadać. Niedługo okoliczne lasy nabiorą wspaniałych kolorów – od czerwieni poprzez oranż do najdelikatniejszej żółci – zanim liście ostatecznie opadną na

ziemię. Kiedy Ruby była mała, razem z mamą zbierała najładniejsze liście i wkładała je między strony książek, aby je zachować, choć ich kolory szybko blakły. Po śmierci mamy znajdowała je wszędzie – za każdym razem, kiedy otwierała książkę, kruche kawałki liści wypadały na podłogę. Wszystko się kończy, pomyślała, i poczuła, jak łza spływa jej po policzku do ucha.

Spojrzała na Ethana leżącego koło niej. Miał zamknięte oczy, a jego rzęsy rzucały cień w księżycowej poświacie. Tak łatwo przyszłoby jej po prostu być obok niego i zapomnieć o wszystkim: o pracy, o nowym mieszkaniu, o Jessice, o Nowym Jorku. Mogłaby zostać z nim w Beechfield. Mogłaby nadal pracować w biurze ojca, może nawet zajęłaby się jego kampanią reklamową. Noce spędzałyby z Ethanem w Billy Jack's. Zamieszkaliby razem. Wszystko mogłoby zostać tak, jak było. Nic nie musiało się przecież zmieniać.

Usiadła i wytarła łzy. Nie, nic nie musiało się zmieniać, a jednak się zmieni. Pracowała zbyt ciężko, żeby wyrzec się tego wszystkiego dla kogoś innego, nawet dla miłości swego życia. Jutro przeprowadzi się do Nowego Jorku, a w poniedziałek pójdzie do pracy – oczywiście, że tak. Jak mogłoby być inaczej? Tego zawsze chciała i teraz to wreszcie było jej. Nie zamierzała się zakochać tego lata, lecz tak się stało i ona nic nie mogła na to poradzić. Nie potrafiła zrezygnować z Ethana, ale też nie chciała wyrzec się tego, czego pragnęła dla siebie.

Teraz

Zbliżało się dopiero południe, a w Bugle Hall było już pełno gości. Większość z nich zatrzymała się w okolicznych pensjonatach i domkach do wynajęcia, ale Bugle Hall szybko stał się głównym miejscem spotkań. Pani Willocks, najwyraźniej trochę zagubiona, krzątała się, oferując każdemu herbatę i wybór ciasteczek z puszki.

Kiedy zeszałam na dół z włosami mokrymi po prysznicu, zastałam Ethana w otoczeniu młodych kobiet. Po obu jego stronach siedziały Tylor i Madison – i te ich nogi jeszcze bardziej opalone, niż zapamiętałam. Za każdym razem, kiedy Ethan coś powiedział, odrzucały głowy do tyłu i śmiały się, a reszta zgromadzonych podążała w ich ślady. Czułam się, zupełnie jakbym się znalazła na dworze Henryka VIII, z tym że nikomu nie groziło ścięcie. Chociaż muszę przyznać, że w tym konkretnym momencie nie byłam zupełnie przeciwna temu rozwiązaniu.

– Ruby! – zawołała Piper, podrywając się z krzesła.

Złapała mnie za ramię i zaciągnęła do holu. Nigdy w życiu nie cieszyła się tak na mój widok. Natychmiast nabrałam podejrzeń.

– Dzięki Bogu, że jesteś. Przeżywam kompletne załamanie.

– Co się stało? – Boże, proszę, żeby tylko nie zamierzała się rozmyślić, pomyślałam. Nie przejechałam przecież takiego szmatu drogi, żeby musieć pocieszać porzuconego pana młodego.

– Moja ślubna koordynatorka jest zupełnie niekompetentna. Powiedziałam jej, że chcę mieć przybranie w kolorze bladozielonkawoniebieskim, a to, co zastałam, jest zdecydowanie w odcieniu morskiej zieleni. W dodatku florystka zadzwoniła, że moje zamówienie na sto różowych piwonii jest gotowe. Różowych! Mówiłam, że chcę białe!

Za to z kwestiami organizacyjnymi byłam w stanie poradzić sobie nawet przez sen.

– Piper, uspokój się. Załatwię to. Masz numer koordynatorki?

– Nie. To znaczy tak, ale to bez znaczenia, bo ją zwolniłam.

Przez chwilę patrzyłam na nią w osłupieniu.

– Zwolniłaś ją? Piper, ale twój ślub jest jutro!

Piper wyrzuciła ręce w powietrze w geście niedowierzania.

– Ale Ruby, jak ja mam zaufać kobiecie, która nie rozróżnia bladozielonkawoniebieskiego od morskiej zieleni? Która w dodatku zamawia kwiaty w złym kolorze! Przecież to idiotka.

Westchnęłam. Powinnam była się tego spodziewać. Jeśli było coś, co Piper lubiła ponad wszystko, to było to zwalnianie personelu.

– Jesteśmy pośrodku niczego, a nawet gdyby jakimś cudem była tu jakaś inna koordynatorka, nie ma już czasu, żeby się wdrożyła! Kto to wszystko zorganizuje? – Moje serce zaczęło gwałtownie opadać w kierunku kolan. Bo doskonale znałam odpowiedź...

Piper uśmiechnęła się do mnie promiennie.

– Ty, oczywiście!

Jezu, ratuj! W swojej pracy uspokajałam zdenerwowanych klientów, ugłaskiwałam przeczulonych artystów, raz nawet zmieniałam trasę samolotu dla prezesa jednej z pięciuset największych amerykańskich firm, ale nie byłam pewna, czy będę w stanie

sprostać oczekiwaniom mojej siostry.

– Nie jestem koordynatorką ślubną! Nie wiem, kto jest od czego ani co na kiedy ma być gotowe. Nic w ogóle!

Popatrzyła na mnie błagalnie swoimi zielonymi oczami.

– Jesteś niezastąpiona w takich sprawach... Przecież wiem, jak uwielbiasz rozpiski!

– To mnie nie przekonuje. – Ale to była prawda. Uwielbiałam rozpiski.

– Wiesz, co mam na myśli! Jesteś niczym królowa organizacji! – Piper ujęła moją dłoń. – Poza tym jesteś moją starszą siostrą i pierwszą druhną i jeśli nie zgodzisz się mi w tym pomóc, wścieknę się i wtedy moja twarz będzie zniszczona i wyjdę okropnie na zdjęciach ślubnych i... och, mój Boże... nie radzę sobie... Po prostu się zgódź!

Westchnęłam i objęłam ją. Ponownie zaskoczyło mnie, jak krucha wydała się w moich ramionach, jak delikatna. Mimo że doprowadzała mnie do szaleństwa, nigdy nie potrafiłam jej niczego odmówić.

– Oczywiście. – Poczulałam znajomy smak rezygnacji. – O nic się nie martw, wszystkim się zajmę.

– Jesteś najlepsza.

Piper pociągała nosem wtulona w moją pachę, a ja odnotowałam w myślach, żeby jej o tym przypomnieć, kiedy będzie urządzić awanturę z powodu żurawi z origami.

– Dobrze – powiedziała, ciągnąc mnie z powrotem do salonu. Pozostałe kobiety prawie nie zwróciły na nas uwagi, tak były pochłonięte tym, co mówi Ethan. Piper podała mi ogromny segregator. – Oto twoja biblia – poinformowała. – Stąd dowiesz się dokładnie, czego chcę. – Przewróciłam oczami, więc spojrzała na mnie bardzo poważnie. – Żadnych odstępstw od biblii.

Przejrzałam zawartość segregatora, zauważając, że każda sekcja była skrupulatnie rozpisana i oznaczona innym kolorem. Byłam pod wrażeniem: był to wyższy stopień organizacyjnego wtajemniczenia.

– Więc mam tylko koordynować, tak?

– W zasadzie tak. Musisz po prostu zarządzać tym wszystkim. Upewniać się, że nikt się nie leni i nie oszukuje. Ruby – dodała z błyskiem w oku – powierzam ci moje życie. Nie możesz mnie zawieść.

Wróciłam myślą do wszystkich sytuacji, w których usłyszałam te słowa od Piper: kiedy miałam ją kryć, jak rozbiła okulary ojca, kiedy oddała mi pod opiekę swoją Barbie, bo szła na noc do koleżanki, kiedy malowałam jej kreski eyelinerem w płynie przed jej pierwszymi tańcami w liceum. Moja młodsza siostra wielokrotnie mi zawierzała. Uśmiechnęłam się.

– Zrobię, co w mojej mocy.

– Świetnie. Ethan, czy możesz zadzwonić do Vica, żeby przyjechał po Ruby i zawiózł ją do zamku?

Ethan spojrzał, zdziwiony moją obecnością.

– Oczywiście.

Ulżyło mi, że oto miałam powód, by stamtąd wyjść – przynajmniej moja nowa rola oznaczała, że nie będę musiała tkwić tam cały dzień, czując się jak trzeci sutek albo szósty

palec.

Piper zwróciła się do mnie.

– Dobrze. Musisz wrócić tutaj przed czwartą, ponieważ wtedy przychodzi manikiurzystka, dobrze?

Grupowy manikiur – koszmar się zaczyna. Spojrzałam na telefon.

– Ale to daje mi zaledwie dwie godziny!

– To mnóstwo czasu!

– Nie mogę sama pójść na manikiur? Jestem pewna, że jest jakiś salon w miasteczku...

Piper była wstrząśnięta.

– Oczywiście, że nie! Wszystkie musimy mieć na jutro paznokcie w takim samym kształcie i kolorze, co oznacza, że musimy to zrobić wspólnie. Jasne?

– Jasne. – Poczulałam, jak od napięcia dostaję bólu głowy.

– Nie zapomnij zadzwonić do restauracji, by się upewnić, że mają dania bezglutenowe na dzisiejszą próbną kolację. Za nic nie chcę być jutro wzdęta.

– Dobra! Dobra! Jezu – wymamrotałam, zabierając ze sobą segregator.

Wychodząc, pomachałam zebranym na pożegnanie, ale nikt tego nie zauważył.

Vic już czekał na podjeździe – ciekawe, czy ukrywał się przez cały czas w zaroślach na końcu drogi, czekając, aż Ethan pstryknie palcami... Uchylił czapki i otworzył tylne drzwi.

– Wolałabym pojechać z przodu, obok ciebie, jeśli to nie problem – powiedziałam.

Przez lata byłam wożona po Nowym Jorku przez pozbawionych twarzy taksówkarzy, ale z Vikiem już rozmawiałam, więc czułam się dziwnie, traktując go jedynie jako szofera. (Tak, wiem, że to była jego praca, ale mimo wszystko).

– Ruby! Poczekaj! – Wsiadałam do auta, kiedy nadbiegł Ethan z kurtką pod ręką.  
– Potrzebujesz pomocy?

Spojrzałam na niego głupio.

– Masz na myśli ze ślubem?

– No tak – odpowiedział, przeczesując włosy dłonią, a ja poczułam, jak ściany mojej twierdzy zaczynają drżeć. – Mogę pojechać z tobą do zamku, jeśli chcesz. Jestem świadkiem i w ogóle, więc powinienem pomóc.

– To bardzo miło z twojej strony – odparłam – ale sądzę, że poradzę sobie z ułożeniem kilku piwonii. Poza tym nie chciałabym pozbawiać pań twojego towarzystwa. – Ależ jestem królową śniegu, pomyślałam. Wyniosłym i niepokromionym ptakiem. Może łabędziem.

Moje słowa go uderzyły.

– Chciałem tylko pomóc.

– Naprawdę nie musisz. – Jestem bujną tropikalną wyspą, zamieszkaną tylko przeze mnie.

Zatrzasnęłam za sobą drzwi, żeby Vic mógł odjechać, niestety on zrobił to dopiero wtedy, kiedy Ethan dał mu znać, że może.

Podczas jazdy w samochodzie panowała pełna napięcia cisza. Zajęłam się przeglądaniem biblii ślubnej Piper, zastanawiając się nad niebotycznymi kosztami całego

przedsięwzięcia (ręcznie wykonane i ręcznie grawerowane ramki na zdjęcia, w każdej czarno-białe zdjęcie Piper i Charliego, każde włożone do blad różowej dekoracyjnej ptasiej klatki). Zaplanowanie tego wszystkiego musiało zająć jej miesiące. Gdzie Piper ulokuje całą swoją energię, kiedy będzie już po ślubie? Podejrzewam, że w powiększanie rodziny. A później w organizację niebieskich lub różowych przyjęć.

Westchnęłam. Z jakiegoś powodu to, że Ethan zaproponował mi pomoc, było jeszcze bardziej wytrącające z równowagi niż to, jak mnie ignorował, czy przyglądanie się, jak nadskakiwały mu bioniczne bliźniaczki. Ten rodzaj troski był dla niego charakterystyczny, przynajmniej wtedy, kiedy go znałam. Zawsze o mnie myślał, dawał mi urocze drobiazgi lub zostawiał ukryte liściki, żebym znalazła je, gdy będę sama. Ale teraz to była odruchowa uprzejmość, nic więcej. Poczułam się jak babcia, której trzeba pomóc w przejściu przez ulicę, albo stary kundel, który wpadł do studni.

Vic rzucił mi spojrzenie.

– Ciężki dzień? – zapytał.

– Coś w tym rodzaju – przytaknęłam.

– Śluby bywają stresujące – powiedział współczująco.

– To prawda. – A nie miał pojęcia nawet o połowie spraw.

– Coś jeszcze cię gryzie? – A może jednak miał pojęcie... Spojrzałam na niego, zdziwiona uprzejmością, z jaką się do mnie zwrócił. – No dalej, możesz mi powiedzieć wszystko. Jestem jak jakiś cholerny ksiądz. Jeżdżę już od ponad dwudziestu lat i gdybyś wiedziała, z czego ludzie mi się zwierniają, włosy stanęłyby ci na głowie. Nic, co powiesz, mnie nie zdziwi.

– Naprawdę, nic mi nie jest – odpowiedziałam bardziej sucho, niż chciałam, i natychmiast dopadło mnie poczucie winy. Rozumiałam, że Vic chciał być miły, ale w tym tkwił właśnie problem. Kolejny mężczyzna użalający się nade mną i oferujący mi współczucie. Nie potrzebowałam współczucia. Nie potrzebowałam niczego. Byłam samotną panterą przemierzającą dżunglę. Byłam torpedą przebijającą się przez... Poczułam, że łzy napłynęły mi do oczu. – Przepraszam – wyszeptałam. – Naprawdę miałam ciężki dzień.

– Nic nie musisz tłumaczyć, skarbie. Dam ci spokój.

– Po prostu jestem zdenerwowana i tyle. Nie chodzi o to, że nie chcę z tobą rozmawiać, po prostu nie sędzę, żebym była gotowa rozmawiać o tym z kimkolwiek. – Gdybym powiedziała jeszcze słowo, wybuchnęłabym łzami, co było niedopuszczalne i zupełnie nie w stylu twierdzy.

– Nic się nie martw, wszystko w porządku. Widziałaś już zamek Bambergh?

Zrozumiałam, że próbował zmienić temat, za co byłam mu do zgonnie wdzięczna.

– Dzisiaj rano widziałam go z plaży, kiedy poszłam pobiegać, ale tylko tyle. Wyglądał... imponująco.

– I taki jest. Moim zdaniem najlepszy zamek w kraju. Twoja siostra będzie w siódmym niebie, kiedy zobaczy go jutro przystrojony na swój ślub.

– Nie znasz mojej siostry – wymamrotałam. Jeśli nie będzie to impreza na miarę koronacji, z koroną i berłem, Piper będzie zawiedziona. I to ja miałam się upewnić, że tak się nie stanie.

– Dobrze – powiedział Vic. – Gdzie jedziemy najpierw?

Zerknęłam do segregatora.

– Wygląda na to, że do florystki z kwiaciarni Bloomin' Gorgeous.

– Jest pierwszorzędną wariatką. Uważaj na siebie, skarbie, bo wykole ci oczy, jak nie będziesz patrzeć.

– Świetnie – odrzekłam. – Po prostu świetnie.

Oparłam się wygodniej o siedzenie. Mimo wszystko się uśmiechałam. Miło było poczuć się przydatną. Poza tym miałam ochotę się z kimś pokłócić, nawet jeśli miała to być szalona florystka.

## Kiedyś

Ruby przyjechała do Nowego Jorku ze spuchniętą od płaczu twarzą i oczami jak szparki. Była w swoim wymarzonej mieście, wprowadzała się do wymarzonego mieszkania ze swoją najlepszą przyjaciółką, aby zacząć wymarzoną pracę, i była zupełnie nieszczęśliwa.

Zgoda, to mieszkanie na pewno nie było jej wymarzonej. Znajdowało się na piątym piętrze w budynku bez windy w Sunset Park. W okolicy znajdowały się same sklepy z częściami do samochodów i winiarnie, ale nie z tych miłych, jak w Park Slope czy Cobble Hill. Tyle że było tanie i niedaleko stacji metra, a w gorące letnie noce z kuchni meksykańskiej babci mieszkającej poniżej dobiegały tak wyśmienite zapachy, że nawet dorosła kobieta mogła się rozpląkać. A przynajmniej kobieta u progu dorosłości.

Z Beechfield przywiózł ją ojciec. Ruby przez całą drogę łkała niemal konwulsyjnie, a on od czasu do czasu niezręcznie poklepywał ją po plecach. Zostawiła Ethana stojącego na jej podjeździe i patrzącego za samochodem niczym porzucony szczeniak. Kiedy pocałowali się na do widzenia, podarował jej skomponowaną przez siebie składankę na płycie kompaktowej, której słuchała przez całą drogę, żeby pod koniec ograniczyć się jedynie do puszczenia w kółko *Yesterday*.

Jess otworzyła drzwi i objęła Ruby, podczas gdy jej ojciec w milczeniu wypakowywał samochód. Nie skomentował ani słowem nieciekawej okolicy ani tego, że zawiasy drzwi frontowych były wypaczone, jak również niekończących się schodów, po których wnosił narzuty na łóżko, półki pod prysznic, ulubione bluzy z college'u i ciężkie pudła z książkami, które ze sobą zabrała, przy czym większość z nich już przeczytała, a reszty nigdy nawet nie zaczęła.

Wieczorem, po tym, jak ojciec włożył do bagażnika złożone tekturowe pudła – „Słono mnie kosztowały!” – i uściśnął ją tak mocno, że poczuła, jak staruszek wstrzymuje oddech, żeby się nie rozpląkać, a następnie wsiadł do swojego SUV-a i odjechał, Jess i Ruby przystąpiły do upijania się na smutno.

Jess pozwoliła jej godzinami mówić o Ethanie, wysłuchiwała cierpliwie, kiedy przyjaciółka zapewniała ją, że jeszcze nigdy nie była tak zakochana, że Ethan był tym jednym jedynym, że nie mogła bez niego żyć, że im się uda mimo wszystko, ponieważ byli dla siebie stworzeni, ponieważ byli swoim przeznaczeniem, i milcząco dolewała jej czerwonego wina do utłuczonego kubka z Garfieldem, który Ruby miała od piątej klasy podstawówki. A kiedy Ruby nie mogła już więcej płakać, Jess posadziła ją, wygładziła jej ubranie i kazała wziąć się w garść.

– Widzę, że masz złamane serce i że ty i Ethan bardzo się kochacie. Jestem pewna, że uda wam się utrzymać wasz związek na odległość i wszystko będzie w porządku, ale to jest Nowy Jork! Jesteś w pieprzonym Nowym Jorku! Pozwolę ci dziś użalać się nad sobą do woli, ale jutro ty i ja weźmiemy to miasto szturmem, zrozumiałaś?

– Jutro – wybełkotała Ruby, kiwając słabo głową. Nagle wyprostowała się jak struna i wytarła wino z podbródka. – Cholera! Jutro zacznę pracę!

– Dokładnie tak! – powiedziała Jess, nalewając jej wina do kubka i wychylając resztę z butelki. – Rozwalisz ich z miejsca.



A ta praca, no cóż... ta praca również nie była wymarzona.

Ruby wyszła z metra, mrugając oczami, i skierowała się na zachód, czyli dokładnie w przeciwnym kierunku niż biuro agencji Diamond Age Advertising. Zorientowała się dopiero pół przecznicy dalej, ale nie zawróciła, obawiając się szyderczych spojrzeń tłumu bardziej zaprawionych nowojorczyków, wprost bezlitosnych dla słabości nowo przybyłych, zrobiła więc kółko, idąc w dół Pięćdziesiątą Dziewiątą Ulicą do Piątej Alei i na wschód do Pięćdziesiątej Ósmej Ulicy. W końcu, czerwona na twarzy i spocona, stanęła przed szklanymi drzwiami prowadzącymi do miejsca jej pierwszej prawdziwej, dorosłej pracy. Wzięła głęboki oddech i weszła przez drzwi obrotowe do wyłożonego marmurem foyer, gotowa na spotkanie ze swoją przyszłością.

Pojechała windą na dwudzieste szóste piętro i została powitana w recepcji przez poważnie wyglądającą młodą kobietę, siedzącą za ogromnym biurkiem z pleksi. Miała na sobie ubrania od Theory i nieskazitelny makijaż wykonany kosmetykami MAC. Nie uśmiechnęła się. Prawie nie zwróciła na nią uwagi, oprócz tego, że przewróciła oczami, kiedy się przedstawiła, i zdawkowym gestem odesłała ją na sofę w kształcie ust w odcieniu wściekłego różu. Ruby przysiadła na dolnej wardze – właściwie unosiła się nad nią ze zdenerwowania – i czekała, aż zostanie poproszona.

W końcu po dwudziestu długich minutach pocenia się zobaczyła wchodzącego do recepcji mężczyznę z burzą włosów, który po chwili wykrzyczał jej nazwisko. To był Martin, szef HR-u – przepraszam, „działu zarządzania zasobami ludzkimi” – z którym spotkała się w maju podczas rozmowy kwalifikacyjnej. Miał na sobie podkoszulek ze Stone Roses, który ciasno opinał się na jego okrągłym brzuchu, i sprane dżinsy, które były na niego równocześnie za duże i za małe. Otaczała go aura nerwowej energii, a kiedy się uśmiechnął, pokazując rząd niewielkich zębów osadzonych w sporych dziąsłach, przypominał jej spłoszonego żrebaka. Starła się nie wykonywać żadnych nagłych ruchów, kiedy szła za nim przez całe biuro.

– To są account managerki, Tara i Melanie – powiedział, wskazując na dwie opalone blondynki. Obie posłały Ruby słabe uśmiechy, zanim z powrotem odwróciły się do swoich laptopów. Następnie Martin wskazał na pustą przestrzeń przedzieloną stołem do ping-ponga. – To dział kreatywny, ale jak dla nich jest jeszcze trochę za wcześnie... Zeszłej nocy siedzieli do trzeciej, więc pewnie nie zjawią się przed dziesiątą. – Ruby przełknęła z trudem na myśl, że ktoś oprócz barmana może siedzieć w pracy do trzeciej nad ranem. – To jest nasz guru strategii, Simon. – Mężczyzna ubrany w rozpinany sweter i krawat spojrzął znad notatnika Moleskine i pomachał do niej. – A tutaj znajduje się produkcja. – Obejrzała się i zobaczyła troje ludzi, dwóch mężczyzn i kobietę, białych niczym albinosi, skupionych przed komputerem Mac Pro i szepczących do siebie udreżonymi głosami.

Po dwóch przeciwnych stronach otwartej przestrzeni biura znajdowały się dwa pomieszczenia z mlecznego szkła. Ruby zapytała, czy były to sale zebrania.

– Ależ skąd! – powiedział, posyłając jej miażdżące spojrzenie. – W Diamond Age Advertising nie wierzymy w sale zebrania. Przejrzystość jest jedną z naszych podstawowych zasad. Prawda? – Nikt nawet nie spojrzął na niego. – W każdym razie te dwa biura należą do dwóch ważniaków: dyrektora generalnego Paula Golda i...

– Dlaczego nie nazwał firmy Golden Age Advertising? – zapytała, zanim zdążyła pomyśleć.

Martin spojrział na nią zdziwiony.

– Chyba się nie rozumiemy... O co ci chodzi?

– No wiesz... – powiedziała, nienawidząc się za to, że te słowa padły w ogóle z jej ust. – Paul Gold, Golden Age...

– Jasne, jasne! – odparł Martin, ale Ruby widziała, że wcale tak nie było.

– Właściwie to był bardzo mądry wybór. Diamenty są więcej warte niż złoto, a my wierzymy w jasność przekazu...

– Oczywiście! Rozumiem! To jest jak najbardziej zrozumiałe. Przepraszam, to było głupie pytanie.

– Hej, dla nas żaden pomysł nie jest zły – odparł, posyłając jej poważne, błagalne spojrzenie. – Ale powinnaś wiedzieć, że Paul jest prawdziwym wizjonerem.

– Jestem tego pewna. – Stali i patrzyli na siebie przez chwilę. – A drugie biuro?

– zapytała. Temat Paula wydawał się polem minowym, więc chętnie skierowałyby rozmowę na inne tory.

– Należy do szefa działu kreatywnego, Jeffersona Petersa.

– Czy ktoś wymienił moje imię?

Ruby odwróciła się i zobaczyła idącego w jej kierunku wysokiego, opalonego mężczyznę o swobodnym uśmiechu. Był ubrany w jasnoniebieską koszulę i znoszone dżinsy o postrzępionych brzegach oraz stare converse'y, a włosy miał zaczesane do tyłu, co dodatkowo podkreślało jego niebieskie oczy, wokół których rysowały się delikatne zmarszczki.

– Jakie kłamstwa opowiadasz na mój temat tej biednej, niewinnej młodej kobiecie?

– Zwracał się do Martina, ale cały czas patrzył na Ruby.

– To jest Ruby Atlas, nasza nowa pracownica. – Martin przedstawił ją, jakby była świnią, która zdobyła nagrodę na jarmarku.

– Miło mi pana poznać, panie Peters – powiedziała, podając mu wilgotną dłoń.

– Czytałam o pana zwycięstwie w Cannes w zeszłym roku. Gratulacje. To będzie dla mnie zaszczyt z panem pracować.

– Pochlebstwo zaprowadzi cię wszędzie – odpowiedział, ujmując jej dłoń i przytrzymując ją o sekundę za długo. – Mów mi Jefferson. Pan Peters to mój ojciec, a on już nie żyje.

– Pprzykro mi... – wydukała.

– Niepotrzebnie, był dupkiem. Dlatego nie chcę, żebyś zwracała się do mnie jego nazwiskiem. Jestem pewien, że Martin doskonale się o ciebie zatroszczy. – Martin rozpromienił się na te słowa. – Ale jeśli byś czegoś potrzebowała, nie wahaj się prosić, dobrze? Na początku może ci być trochę ciężko, ale moje drzwi są zawsze otwarte.

– Dziękuję – wymamrotała. – Jestem pewna, że sobie poradzę. Nie boję się ciężkiej pracy.

– Nie mam wątpliwości – odparł niejednoznacznym tonem. Było w nim coś, co

sprawiło, że robiła się nerwowa na jakimś głębszym, niemal komórkowym poziomie.

– No cóż, miło było cię poznać, Ruby. Z pewnością wkrótce usłyszysz o tobie same

wspaniałe rzeczy. Teraz jednak muszę wracać do pracy. – I to powiedziawszy, poszedł do swojego biura, a Martin i Ruby popatrzyli za nim z uwielbieniem.

Drzwi zatrzasnęły się za nim głośno.

– Tak! – odezwał się Martin, nadal zaróżowiony z podekscytowania. – Zabierzmy się do wdrażania ciebie.

Pozostały dzień zajęły jej spotkania z różnymi ludźmi, arkusze Excela, zapisywanie terminów i zamawianie taksówek. Za każdym razem, kiedy ktoś podchodził do jej biurka, żeby zlecić jej kolejne zadanie – zazwyczaj była to Tara lub Melanie, choć Ruby nie potrafiła ich od siebie odróżnić – prostowała się i słuchała z uwagą niczym suseł wyglądający ze swej nory. Każde zlecenie mogło spowodować katastrofę i, jak się szybko przekonała, tak było najczęściej. Zamówiła taksówkę dla klienta na złe lotnisko. Podała Paulowi earl greya zamiast herbaty miętowej. Przypadkowo usunęła ważne spotkanie z wewnętrznego kalendarza, doprowadzając cały zespół obsługi klienta do wściekłości (w tym momencie Tara i Melanie nie siliły się już na pozory uprzejmości). Po latach bycia świetną we wszystkim, czego się podjęła – skarbnik klasowy, kapitan drużyny piłkarskiej, zdobywczyni stypendium na dobry uniwersytet, ulubienica profesorów i doradców zawodowych, wzorowa studentka – Ruby okazała się nie dość dobra. Im bardziej zawalała, tym częściej ponownie popełniała błąd, aż pod koniec dnia była istnym kłębkim nerwów.

O dziesiątej wieczorem tego dnia nadal siedziała przy swoim biurku. Widziała, że miała osiem – osiem! – nieodebranych połączeń od Ethana, który prawdopodobnie się o nią martwił, ale była zbyt pochłonięta pracą, żeby do niego oddzwonić, poza tym obawiała się, że na dźwięk jego głosu wybuchnie płaczem. Na jej biurku utworzyła się warstwa z samoprzylepnych karteczek, z których każda przypominała jej o czymś, czego się nauczyła, a raczej o tym, czego dopiero miała się nauczyć, i to w trybie pilnym. Biuro było o tej porze w znacznym stopniu opustoszałe. Większość jej współpracowników wykorzystała dość luźny z ich perspektywy dzień, aby pójść na wieczorne zajęcia pilatesu (Tara i Melanie) albo na pokaz filmu Kurosawy w Bowery (zespół do spraw strategii), albo wciągać kreski kokainy z płaskiego brzucha kochanki (Paul, jak się później miała dowiedzieć). Ruby została, rozpaczliwie próbując zrozumieć kalendarz spotkań międzynarodowych i zastanawiając się, czy powinna złożyć formalną rezygnację po pierwszym dniu pracy, czy może lepiej zniknąć po cichu.

– Ciężki dzień? – Podniosła wzrok i zobaczyła Jeffersona, który przysiadł na skraju jej biurka. Nie słyszała, jak wychodził ze swojego biura, więc wzdrygnęła się lekko na dźwięk jego głosu. – Nie chciałem cię przestraszyć – powiedział. – Wyglądasz na totalnie zapracowaną. Wszystko w porządku?

– Ooo, tak! – powiedziała wesoło, przełykając gulę, którą czuła w gardle, i powstrzymując łzy.

– Na pewno? Bo nie wyglądasz najlepiej. – Uśmiechnął się w ten zatroskany ojcowski sposób, który uwydatnił zmarszczki wokół jego oczu, i gula w jej gardle urosła do rozmiarów grejpfruta.

– Muszę się zorientować w tylu nowych sprawach... – zakwiliła.

– Wiem, praca tutaj bywa szalona, ale jestem pewien, że świetnie sobie radzisz. Do

diabła, to, że nadal tutaj jesteś o tej porze pierwszego dnia pracy, dobrze rokuje. Wiele dzieciaków nigdy nie wróciło z przerwy na lunch.

Pomyślała o smętym taco, które dosłownie połknęła, rzucając nerwowe spojrzenia w kierunku najbliższej stacji metra parę godzin wcześniej.

– Naprawdę? To takie nieodpowiedzialne.

– No cóż, nie każdy może temu sprostać, ale ty najwyraźniej tak.

Znów uśmiechnął się do niej oczami i poczuła się trochę lepiej.

– Dziękuję – odpowiedziała cicho, powstrzymując się od uśmiechu.

– Nie ma sprawy. – Chciał już odejść, ale zawrócił, jakby nagle coś przyszło mu na myśl. – Hej, masz ochotę wyskoczyć na drinka? Znam miejsce, gdzie serwują świetny manhattan. Na lepszy koniec dnia.

Zawahała się. Chodzenie z szefem na drinka było niestosowne, tak? Czy może wręcz przeciwnie – była to miara sukcesu? Ruby próbowała wyobrazić sobie, co by na jej miejscu zrobiła Murphy Brown, ale nic nie wymyśliła. Przypomniała sobie o ośmiu nieodebranych połączeniach od Ethana i potrząsnęła głową.

– Lepiej nie – rzekła, wskazując swoje zawalone biurko.

– Bez wytchnienia! – skwitował, kiwając głową z aprobatą. – To mi się podoba. Nie siedź za długo... Strażnik zamyka drzwi o północy, a nie chcesz tu chyba spać swojego pierwszego dnia... Ludzie by gadali.

– Jasne – powiedziała. – Dobrej nocy! – W tamtej chwili po prostu chciała, żeby już sobie poszedł i zostawił ją w spokoju z jej załamaniem nerwowym.

– Do zobaczenia jutro – pożegnał się i zsalutował jej, wychodząc.

Usłyszała, jak drzwi się za nim zamknęły, i wyciągnęła telefon: 22.23 i kolejne dwa nieodebrane połączenia od Ethana. Wrzuciła komórkę do szuflady biurka: Ethan będzie musiał poczekać.

Teraz

Wróciłam w samą porę na popołudniową herbatę pani Willocks. Kiedy weszłam, powitał mnie zapach świeżo upieczonych bułeczek, a gospodyni natychmiast wetknęła mi do rąk filiżankę ze spodkiem, nie przejmując się tym, że moje ręce były już pełne toreb ze świeżymi kwiatami.

– Wszyscy są w salonie, skarbie – powiedziała, popychając mnie w tamtym kierunku. – Cukier i mleko znajdziesz na kredensie. Za minutkę wrócę z ciastami i innymi smakołykami! – wyrzucała z siebie, spiesząc do kuchni. Biedna pani Willocks wyglądała na wytrąconą z równowagi obecnością tylu gości.

Kiedy weszłam, wszyscy zebrani zajmowali różne miejsca, trzymając filiżanki ze spodeczkami na kolanach lub na pobliskich stolikach. Co było do przewidzenia, Ethan siedział między Tylor i Madison – wszyscy troje pogrążeni w dyskusji, podejrzewam, że o seksie lub internecie. Mój tata i Candace grali w karty z Barbarą i Bobem przy małym stoliku na środku pokoju, a jego usta zaciskały się wraz z malejącą liczbą żetonów.

– Ta gra jest ustawiona – usłyszałam słowa mojego ojca.

– Zawsze tak mówią – powiedziałam, nachylając się, żeby pocałować go w głowę. – Bob ma fula – szepnęłam mu do ucha, a ojciec westchnął i położył swoje karty na stoliku.

– Ruby! – zawołała Piper, zrywając się z miejsca i wpychając filiżankę w wolną dłoń Charliego. – Wróciłaś! Opowiadaj mi wszystko. Kompletna katastrofa? Bo to jest katastrofa, prawda?

– Piper, pozwól siostrze złapać oddech – interweniował Charlie. – Ledwo co weszła.

Piper posłała mu niemiłe spojrzenie.

– Czy ty nie rozumiesz, że mój ślub jest jutro?

– Hej, uspokójcie się – powiedziałam. – Nie ma żadnej katastrofy.

Położyłam filiżankę i spodek na stoliku, rzuciłam torby na podłogę i opadłam na pierwszy wolny fotel. Prawda była taka, że byłam wykończona. Do katastrofy nie doszło, ale było naprawdę blisko. Piper miała rację co do koordynatorki – naprawdę była zupełnie niekompetentna. Po tym, jak krzykiem, łapówkami i pochlebstwami utorowałam sobie drogę przez pół regionu North East, nie miałam wcale pewności, że wszystko pójdzie jutro jak z płatka. Nadal musiałam ułożyć bukiety – florystka naprawdę okazała się wariatką i po prostu wręczyła mi kilka plastikowych siatek z kwiatami i wyprosiła za drzwi – a fotograf twierdził, że ma półpaśca. Oczywiście nie zamierzałam tego mówić Piper.

– Wszystko jest w porządku – powiedziałam głosem, którym zazwyczaj uspokajałam klientów. – Mam wszystko pod kontrolą.

– Dzięki Bogu – rzekła Piper, siadając na sofie i odbierając swoją filiżankę z rąk Charliego. – Wiedziałam, że ci się uda.

– Tak, będzie super!

Nagle w mojej torebce odezwał się telefon, a ja byłam mu za to taka wdzięczna... To był esemes od Jess: „Jakie wieści? Nadal jesteś twierdzą? Czy on już zorientował się, jakim jest kretynem?”.

– Muszę odpisać – powiedziałam przepraszająco. – To z pracy. – Wzięłam torby i pospiesznie opuściłam salon.

– Dla ciebie dzień nigdy się nie kończy, co, mała? – zawołał za mną tata, kiedy biegłam po schodach.

„Nie, jest zupełnie omotany przez ponętne bliźniaczki. Ale mam się dobrze. Twierdza się trzyma”.

Zamknęłam za sobą drzwi do mojego pokoju i usiadłam na ziemi. Wyciągnęłam kwiaty z siatek i rozłożyłam przed sobą: dwieście białych piwonii, mnóstwo gipsówki, trochę zielonych gałązek i – co dziwne – rozmaryn. Spojrzałam na to wszystko zrozpaczona. Zdolności manualne nie były moją mocną stroną – kiedyś, próbując naprawić nogę od stołu, skleiłam sobie kciuk i palec wskazujący – więc nie bardzo wiedziałam, jak mam z tego zrobić cztery bukiety i tuzin przybrań na stoły, które w dodatku zyskałyby uznanie Piper.

Postanowiłam zdać się na trend „domowo i rustykalnie”. Wzięłam kilka piwonii, dodałam gipsówkę i związałam to razem sznurkiem. Efekt był koślawy i dość smutny. Westchnęłam i oparłam się o łóżko. Może jak napiję się trochę wina, uruchomię swoje moce twórcze...

W jednej z siatek szukałam butelki, którą kupiłam w drodze powrotnej, kiedy usłyszałam pukanie do drzwi.

– Tak?

– To Maddie – odezwał się głos po drugiej stronie. – Mogę wejść?

Cholera. Tego mi tylko brakowało.

– Chwileczkę! – zaczęłam szaleńczo upychać kwiaty z powrotem do siatek... Jeśli Madison doniesie Piper, że mam w pokoju małą szklarnię, będę ugotowana.

Wepchnęłam siatki pod łóżko i otworzyłam drzwi. Przede mną stała Madison z nożycami ogrodowymi i szpulką białej wstążki.

– Pomyślałam, że przyda ci się pomoc – powiedziała konspiracyjnym tonem, wchodząc do pokoju.

– Co masz na myśli? – zapytałam niewinnie, choć ewidentnie blefowałam.

– Widziałam torby z kwiatami – powiedziała. – Byłam na wystarczająco wielu planach, żeby rozpoznać botaniczny koszmar. Nie martw się – dodała, widząc wyraz mojej twarzy – nic nie powiedziałam Piper. Niewiedza jest błogosławieństwem i tak dalej.

– Skąd wzięłaś nożyce?

Wzruszyła ramionami.

– Pani Willocks jest osobą, która ma pod ręką ratunkowy zestaw do aranżacji kwiatów. Po prostu ją poprosiłam.

– Dobry ruch – przyznałam, gotując się w środku ze złości.

Nie wystarczy, że resztę wieczoru miałam spędzić, męcząc się z kwiatami, to teraz jeszcze miałam to robić w towarzystwie nowej potencjalnej partnerki mojego byłego chłopaka, która – o czym byłam przekonana, choć jeszcze nie widziałam jej z kwiatem w ręku – była w tym znacznie ode mnie lepsza. Pewnie we wszystkim była ode mnie lepsza, będąc wielozadaniowym milenialsem.

– Bierzemy się do roboty? – Złożyła swoje długie nogi, jakby były bardzo

eleganckim, ale niezbyt stabilnym meblem ogrodowym, i wyciągnęła siatkę z kwiatami spod mojego łóżka. – Och, to będzie łatwizna – powiedziała, przyglądając się piwoniom. – Ja je ułożę, a ty będziesz wiązać, zgoda?

– Zgoda.

W ciągu kilku minut złapałyśmy rytm pracy. Jak podejrzewałam, Madison była bardzo, ale to bardzo dobra w układaniu kwiatów. Patrzenie na nią było jak śledzenie Blake Lively na Instagramie, a każdy bukiet, który mi podawała, był piękny, okrągły i symetryczny.

– Od dawna znasz Ethana? – zapytała, przycinając łądygę gipsówki.

Oho, zaczyna się, pomyślałam. Nie ma nic za darmo na tym świecie, nawet układanie bukietów ma swoją cenę.

– No – odparłam, starając się, żeby mój głos brzmiał obojętnie. – Kiedyś znaliśmy się bardzo dobrze, ale lata temu straciliśmy kontakt. – To było chyba wystarczająco wieloznaczne.

– Świetny z niego gość – powiedziała. – Wiesz, że właśnie założył fundację dostarczającą połączenia internetowe w Afryce Subsaharyjskiej?

– Tak, jest niezwykle – zgodziłam się. – Podaj mi wstążkę.

– A wy byliście kiedyś razem czy to tylko przyjaźń?

Jęknęłam w duchu. Jakim cudem z tego zaczęło się robić specjalne wydanie programu Oprah?

– Przez krótki czas byliśmy ze sobą – powiedziałam. – Ale, jak wspominałam, to było lata temu. Z okazji ślubu Piper spotkaliśmy się po raz pierwszy od bardzo dawna.

– Mogłabym zapytać, dlaczego ze sobą zerwaliście?

Nie, absolutnie nie.

– Sorry – dodała szybko, uśmiechając się przy tym przepraszająco. – Wiem, że jestem strasznie wścibska, ale zżera mnie ciekawość. Wydaje mi się, że tak dobrze byście do siebie pasowali, wiesz?

Uniosłam brwi.

– Tak sądzisz?

– Jasne! Oboje jesteście fajni i zabawni, oboje pracujecie w prestiżowych miejscach...

– Jego praca jest trochę lepsza niż moja – zauważyłam. – A ty też nie masz na co narzekać.

Zbyła mnie machnięciem ręki.

– Ja właściwie pracuję w sprzedaży – wyjaśniła. – Ludziom wydaje się, że mam super pracę, bo jest związana z modą.

– No tak, ale oprócz tego jesteś jeszcze niewiarygodnie śliczna i zarządzasz małym imperium w wieku dwunastu lat.

– Mam dwadzieścia trzy lata! – zawołała. – W tym biznesie to prawie starość. – Obie zadumałyśmy się nad tym przez chwilę. Jeśli ona była babcią, to ja chyba Matuzalemem. – Czyli... – podjęła przerwany temat – naprawdę nie sądzisz, że między tobą a Ethanem coś jeszcze jest? – Zajęła się kolejnym bukietem, ale widziałam, że kątem oka uważnie mi się przygląda.

– Absolutnie nie – powiedziałam, potrząsając głową. – Jak już mówiłam, to było wiele lat temu. Stare dzieje.

Zobaczyłam, że na jej ustach pojawił się uśmiech, który był dla mnie jak cios w samo serce.

– Jasne – odparła. – Możesz mi podać pęczek rozmarynu? Chyba wetknę po gałązce do każdego bukietu. Wiesz, „rozmaryn na pamiątkę”.

Madison była ostatnią osobą, dosłownie, którą mogłabym podejrzewać o cytowanie Szekspira... Zobaczyła moją minę i się roześmiała.

– Jako drugi fakultet skończyłam literaturę angielską – wyjaśniła. – Wszyscy znajomi się ze mnie z tego powodu śmiali, ale ja za bardzo kocham książki, by iść do szkoły tylko po to, żeby uczyć się finansów i kodowania, wiesz? Moja praca dyplomowa była o znaczeniu kwiatów w literaturze elżbietańskiej...

Patrzyłam na jej rozpromienioną twarz, kiedy opowiadała o wielorakiej symbolice róży, i zrozumiałam, że naprawdę lubię tę dziewczynę. Nie była jakąś pięknoscią z watą cukrową zamiast mózgu – była mądra, zabawna i troskliwa. Wszystko to powinno ułatwić mi pogodzenie się z tym, że Ethan tak łatwo się nią zauroczył, ale zamiast tego poczułam, jak opada na mnie potworny smutek.

Prawie skończyłyśmy przygotowywać przybranie na stoły, kiedy rozległo się kolejne pukanie do moich drzwi.

– Dziewczyny, żyjecie? – Ethan otworzył drzwi, nie czekając na odpowiedź, i uśmiechnął się na widok nas obu na podłodze. – Wyglądacie malowniczo.

– Zamknij drzwi! – zawołałyśmy równocześnie.

– Dobra! Dobra! – powiedział, wchodząc i zamykając je za sobą. Zza pleców wyciągnął butelkę wina i korkociąg. – Pomyślałem, że może potrzebujecie trochę wsparcia w płynie.

– Bardzo, bardzo potrzebujemy – odparłam z wdzięcznością. – W umywalce jest kilka szklanek.

Poszedł po nie i nalał każdemu z nas czerwonego wina.

– Jak wam idzie? – zapytał. – Skleićś już sobie palce?

Podczas incydentu ze stołem w 2005 roku podtrzymywał mnie na duchu przez telefon. To on poradził mi, żebym polala zlepię palce zmywaczem do paznokci.

– Tym razem na szczęście obyło się bez kleju – powiedziałam. – W dodatku całą robotę wykonuje Madison, ja zostałam oddelegowana do wiązania, a i tak wiem, że jak tylko skończy, poprawi wszystkie brzydkie kokardki, które wyszły spod mojej ręki.

Madison uśmiechnęła się do mnie głupkowato.

– Przyznaję się od razu – roześmiała się. – Hej – tym razem zwróciła się do Ethana. – Pomyślałam, że moglibyśmy zrobić to, o czym rozmawialiśmy. Oczywiście jak skończymy tutaj – dodała, rzucając mi spojrzenie.

Pewnie chodziło jej o seks. Na samą myśl zapadłam się w sobie.

– Jasne – odpowiedział Ethan, uśmiechając się. – Z przyjemnością. – Ooo, mogę się założyć, że z przyjemnością, pomyślałam. Zboczeniec. – Ale nie chcę cię odciągać od przygotowywania bukietów. Widzę, że to poważna sprawa.

– Myślę, że z resztą już sobie sama poradzę – powiedziałam szybko. – Zostało do



zrobienia już tylko kilka przybrań na stół, a kokardy możemy porobić jutro. To znaczy, ty możesz.

– Jesteś pewna? – zapytała Madison, choć najwyraźniej uznała to za pytanie retoryczne, bo wstała z ziemi i poprawiła ubranie. – Naprawdę nie chcę cię z tym zostawiać.

Nie ulegało wątpliwości, że bardzo chciała, lecz to było dla mnie jak najbardziej zrozumiałe. Pod warunkiem, że zostawią mi wino, mogli się oboje wynosić tak szybko, jak chcieli.

– Przepraszam, nie zamierzałem rozbijać waszej małej imprezy – wyznał Ethan, kiedy wychodzili. – Jesteś pewna, że możemy cię zostawić?

Uniosłam ku niemu szklankę w geście toastu.

– Jak najbardziej.

– No cóż, jeśli się do czegoś przykleisz albo coś, to wiesz, do kogo dzwonić.

– Przystanął w drzwiach na chwilę. – Nadal to robisz, co?

– Co robię?

– Stukasz paznokciem w zęby, kiedy się nad czymś intensywnie zastanawiasz.

– Wcale nie! – zawołałam, chociaż wiedziałam, że mówi prawdę. Był to jeden z moich bardziej denerwujących nawyków, denerwował nawet mnie samą. Ale Ethan kiedyś uważał, że to urocze. A przynajmniej tak mówił.

– Nawet nie próbuj zaprzeczać – powiedział. – Ale powinnaś z tym skończyć, bo to źle działa na szkliwo.

– Nie wiedziałam, że teraz udzielasz też porad dentystycznych. Tyle różnych specjalizacji... Uważaj, żebyś się nie pogubił.

– Jestem prawdziwym człowiekiem renesansu – odparł na to, wychodząc i zamykając za sobą drzwi.

Oparłam się o łóżko i pociągnęłam długi łyk wina. Podłoga wokół mnie była usiana poodcinanymi końcówkami łydyg i kawałkami sznurka. Zauważyłam też mokrą plamę na dywanie, rozprzestrzeniającą się spod przenośnej lodówki, w której stały rośliny. Musiałam posprzątać, zanim biedna pani Willocks to zobaczy i dostanie zawału.

Zamknęłam oczy, opróżniłam szklankę i usiłowałam nie wyobrazić sobie tej rozmowy, która niewątpliwie toczyła się w pokoju obok.

Jestem twierdzą, pomyślałam. Niezdobytą twierdzą. Za kilka dni będę w samolocie lecącym do Nowego Jorku. Z powrotem do mojego mieszkania, do mojej pracy, do mojego życia.

Ta myśl nie przyniosła mi jednak pociechy, na jaką liczyłam.

## Kiedyś

– Masz już jakieś wiadomości od swojej dziewczyny? – Charlie rozsiadł się na swoim ulubionym stoliku barowym i usiłował trafić sobie orzeszkiem do ust.

– Wiesz, że te orzeszki były dotykane przez setki brudnych rąk w tym barze, prawda? – powiedział Ethan, odsuwając je od przyjaciela.

Charlie rzucił się do przodu i nabrał kolejną garść.

– Ja się tak nie przyjmuję zarazkami jak ty.

– Jak sobie chcesz, ale powiedz mi tylko, czy kiedykolwiek widziałeś, żeby Mick Dewey umył ręce po tym, jak się odlał?

Charlie wrzucił orzeszki z powrotem do miski.

– Wygrałeś. To masz jakieś wieści od Ruby czy nie?

Ethan zignorował go i nadal pucował kontuar, aż ten zaczął lśnić. Nie, nie rozmawiał tego dnia z Ruby. Zeszłej nocy nagrała mu wiadomość na poczcie głosowej – była pijana, mówiła niewyraźnie. Musiała wypić sporo wina. Po kilku latach jako barman Ethan potrafił rozróżnić różne stany upojenia: po dżinie ludzie stają się gniewni, po piwie senni, a po tequili (a w przypadku Ruby po burbonie) weseli, aż do pierwszych mdłości.

Tymczasem wino sprawia, że ludzie mówią, jakby dostali zastrzyk uspokajający, bo tak w zasadzie jest. Zeszłej nocy Ruby brzmiała, jakby upiła się białym winem: była zbyt pobudzona jak na czerwone, a w dodatku w tle słyszał jej zwariowaną koleżankę, Jess, śpiewającą piosenkę Destiny's Child. Zazwyczaj osobom pijącym czerwone wino film urywał się, zanim dochodziły do Beyoncé.

Usiłował oddzwonić do niej, kiedy odebrał wiadomość, ale to było już po tym, jak skończył pracę, więc Ruby z całą pewnością już dawno spała. Dziś też już dzwonił parę razy – wiedział, że była w pracy, ale przecież mogła zrobić sobie pięć minut przerwy, by odebrać telefon – tyle że od razu włączała się poczta głosowa. Od wyjazdu Ruby minęły dwa tygodnie, a im udało się porozmawiać zaledwie kilka razy, wszystko przez te ich godziny pracy, zwłaszcza że Ruby zostawała długo po godzinach. Chociaż Ethan nie mógł zrozumieć, czemu tyle czasu poświęcała pracy, w której traktowano ją gorzej niż źle.

– Zgaduję, że nie – odezwał się Charlie, uśmiechając się przebiegle. Zdążył już zapomnieć o niemytych rękach Micka Deweya i z powrotem zabrał się do jedzenia orzeszków. – Mówiłem ci, stary, że jesteś nienormalny, podejmując się tego związku na odległość. Mówię poważnie, jaki to ma sens? Seks raz na osiem tygodni, i to jak dobrze pójdzie! A ona i tak pewnie rzuci cię dla jakiegoś bogatego bankiera jeszcze przed twoją pierwszą wizytą.

Ethan rzucił szmatę na bar.

– Jesteś strasznym dupkiem, wiesz?

– Po prostu usiłuję wlać ci trochę oleju do głowy. Mógłbyś co noc sypiać z inną dziewczyną – powiedział Charlie, rozglądając się po barze.

Ethan podążył za jego spojrzeniem: przy pierwszym stoliku siedziały rozwódki, które spotykały się co tydzień, żeby narzekać na swoich byłych mężów (czerwone wino), a przy barze było kilka samotnych zniszczonych przez życie kobiet, które piły whisky,

choć dla nich równie dobrze mógłby to być olej napędowy.

– Tak, najwyraźniej coś mi umyka.

– Dobra, dzisiejszy wieczór nie jest najlepszy, ale tutaj przychodzi mnóstwo gorących lasek! Koleś, kilka wieczorów temu była tutaj Kelly Wallace i błagała cię spojrzeniem, żebyś ją przeleciał! Ruby jest naprawdę fajna i w ogóle, ale Kelly Wallace to naprawdę coś! Daj spokój!

Ethan wzruszył ramionami.

– Kocham ją – powiedział.

Obrócił się plecami do Charliego i zaczął polerować butelki z tyłu baru w nadziei, że Charlie da mu w końcu spokój. Nie miał jednak na co liczyć.

– Po prostu usiłuję się o ciebie troszczyć, stary. Lubię Ruby, kocham jej siostrę, ale...

– Zaraz, kochasz Piper?

– No – przytaknął, wbijając wzrok w kontuar. – Kocham ją.

Ethan nigdy nie widział go tak pokornego.

– Rany boskie, stary! Naprawdę? Powiedziałeś jej?

– Oczywiście. Powiedziałem jej na naszej trzeciej randce.

– Powiedziałeś jej, że ją kochasz, na trzeciej randce? Zwariowałeś?

– Nie, jestem po prostu pewny.

– A co ona na to?

– No że też mnie kocha, oczywiście. Co innego mogła powiedzieć? – Ethan nie mógł dyskutować z takim rozumowaniem. – Poza tym nie rozmawiamy o moim życiu miłosnym, które, jak widać, jest wspaniałe, lecz o twoim. Nie chcę, żebyś marnował swoje najlepsze lata, czekając na kogoś, na kogo nie ma po co czekać, rozumiesz?

– Moje najlepsze lata? Ty sprzątasz w fabryce swojego ojca, a ja pucuję butelki w tym zaszczanym barze... Naprawdę wydaje ci się, że to nasze najlepsze lata?

– A żebyś wiedział! – rzekł Charlie, upijając duży łyk piwa i wznosząc kufel do Ethana w milczącym toaście.

– To chyba nie masz pojęcia, co dobre. – Westchnął i spojrzał na zegarek. Była 23.30. Ruby musiała być już po pracy. – Popilnujesz baru przez chwilę? Muszę się odlać.

– Jasna sprawa. Ale nie miej do mnie pretensji, jeśli w utargu będzie ci brakowało kilku piw.

– Jakbyś kiedykolwiek płacił mi za piwo!

Ethan poszedł do magazynu i wyciągnął telefon. Zadzwoił do Ruby, lecz odezwał się uprzejmy głos automatycznej sekretarki, proszący o zostawienie wiadomości po sygnale. Rozłączył się. Może po pracy poszła na drinka z ludźmi z firmy, pomyślał. Oczami wyobraźni widział mężczyzn o świeżych twarzach, w koszulach z kołnierzykiem, zamawiających w barze drinka Tanq Ten & Ts, samodzielnie skręcających sobie papierosy i dyskutujących o walorach utworów Boba Dylana umieszczanych na stronach B. Mężczyzn, którzy skończyli college i na dowód tego mieli koszulki drużyny sportowej i dzieła zebrane Pabla Nerudy. Mężczyzn, którzy w tej chwili pewnie kładli dłoń na talii jego dziewczyny, śmiejąc się w głos z radości bycia „młodymi i wykwalifikowanymi” mieszkańcami Nowego Jorku, jakby byli jedynymi ludźmi na świecie.

Cholera, musiał zapalić. Zawołał do Charliego, że potrzebuje jeszcze jakichś pięciu minut.

– Masz więcej orzeszków? – zapytał Charlie.

– Pod półką z butelkami! – Ethan nie miał pojęcia, jakim cudem gość, który pochodził z tak bogatej rodziny, mógł być tak zupełnie bez klasy, ale uwielbiał go za to jeszcze bardziej, na swój własny sposób, oczywiście.

Ethan wyszedł na zewnątrz i oparł się o chłodny ceglany mur. W bocznej uliczce było ciemno i kiedy zapalał papierosa, musiało mu wystarczyć dobiegające z oddali nikłe światło lamp ulicznych. W ciągu dnia było gorąco, upalny i duszny sierpień niezauważalnie przeszedł we wrzesień, ale nocą ochładzało się i czuć było nadciągającą jesień. Niedługo w całym Beechfield zapanuje latte o smaku korzennej dyni, przejażdżki na wozie z sianem i rumiane jabłka, a później już tylko krok będzie dzielił ich od świątecznego wystroju sklepów i ulic.

Zastanawiał się właśnie nad tym, próbując nie myśleć o facetach, którzy pewnie flirtują z Ruby, kiedy zadzwonił jego telefon. To była ona.

– Hej – powiedział, starając się, żeby jego głos brzmiał neutralnie. – Jak ci minął dzień?

– Och, wiesz... – odparła – dość beznadziejnie. Tara wylała na mnie kawę, jestem pewna, że celowo, i pomyliłam zamówienie lunchowe. Ale poza tym było nie najgorzej.

Ethan nie miał pojęcia, o czym mówiła, a jej cichy głos po drugiej stronie sprawiał, że czuł, jakby była od niego tak daleko jak nigdy.

– Mam nadzieję, że cię nie poparzyła.

– Nie, kawa nie była gorąca. Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale ten dzień po prostu mi umknął – powiedziała.

– Nie ma sprawy. Jestem w barze, a Charlie dotrzymuje mi towarzystwa. Tutaj wszystko w porządku. – W porządku? Co on wygadywał? – Poszłaś po pracy na drinka? Z nowymi znajomymi? – Usłyszał w swoim głosie narastający niepokój i kopnął się za to, a właściwie kopnął mur.

– Nie – odparła jeszcze ciszej. – Wciąż pracuję.

– Do tej pory?

– No. W przyszłym tygodniu jest jakaś gruba akcja i wszyscy dostają świra... No i pewnie wszyscy będziemy siedzieć do północy albo dłużej.

– Czyli nie siedzisz tam sama? – Nienawidził tych wszystkich Teddych, Tadów i Nedów, wyobrażając sobie, że stoją nad Ruby, każąc dorzucać jej węgla do pieca, z sadystycznymi uśmiechami na różowych twarzach. – Mam nadzieję, że chociaż zapłacą ci za taksówkę do domu. Jest za późno, żebyś wracała metrem.

– Poradzę sobie – powiedziała sucho i Ethan zrozumiał, że źle to rozegrał. Nastąpiła chwila ciszy. – Tylko współwłaściciele mają opłacone taksówki do domu – tłumaczyła łagodniejszym tonem. – A poza tym w metrze jest zupełnie bezpiecznie. Małe dzieci jeżdżą same, więc ja też mogę. Naprawdę.

– No cóż, zadzwoń, jak dojedziesz do domu. Dla mojego świętego spokoju.

– Nie wiem, o której to będzie – odparła. – Pewnie padnę, jak tylko dojdę do mieszkania. Jutro rano muszę być bardzo wcześnie w pracy.

– Och. – Miał nadzieję, że nie usłyszała, jak bardzo był rozczarowany. – Oczywiście. Postaraj się wyspać. Nie pozwól im się zamęczyć.

– To mi się raczej nie uda – powiedziała, śmiejąc się cicho. – Muszę już wracać. Zadzwoń do ciebie jutro podczas przerwy na lunch, dobrze? – Słyszał, że się spieszyła, jej oddech stał się urywany, a obcasy stukały energicznie.

– Jasne – odparł. – Świetnie.

– Przepraszam, nie chciałam cię martwić ani nic, ale... to był taki dziwny dzień, to wszystko...

– Nie przejmuj się.

– Boże, nawet nie spytałam, co u ciebie? Jestem beznadziejną dziewczyną.

– U mnie wszystko dobrze. – Pomyślał o liście, który otrzymał z college'u w Brooklynie, w którym uprzejmie poinformowano go, że nie było dla niego miejsca w semestrze wiosennym, ale mógł ubiegać się o to jeszcze w przyszłym roku.

– Nic się nie działo. Wracaj do pracy, no już! Też muszę iść do baru, zanim Charlie zapije się pod stołem.

– Kocham cię, wiesz? – rzekła i w końcu Ethan usłyszał tę Ruby, którą kochał.

– Ja ciebie też – odpowiedział. – Wyświadcz mi przysługę, dobrze? Jeśli jakiś gość o imieniu Teddy proponuje ci drinka, odmów mu, dobrze?

– Jaki znów Teddy?

– Nieważne.

Pożegnali się i Ethan wrócił do baru, gdzie Charlie wrzucał monety do szafy grającej.

– Szykuj się na całą godzinę Stonesów – powiedział z ustami pełnymi orzeszków.

Ethan oparł się o kontuar, nalał sobie piwa i zanurzył się w pierwsze dźwięki piosenki. Mick Jagger śpiewał: „Goodbye, Ruby Tuesday”.

– Cholera – zachnął się Charlie, kiedy dotarło do niego, co zrobił. – Przepraszam.

– W porządku – odparł Ethan i prawie sam sobie uwierzył.

Teraz

– Ruby, tutaj!

Zobaczyłam Candace machającą do mnie z drugiej strony sali. Przepchnęłam się do niej przez tłum – składający się z ludzi, których nie znałam bądź znałam, ale nie pamiętałam ich imion – i usiadłam obok.

– Kim są ci wszyscy ludzie? – zapytałam.

– Och, a kto to wie? Podejrzewam, że przyjaciele Armstrongów. Czy to szampan?

– Candace porwała kieliszek z tacy przechodzącego kelnera i uniosła go w geście toastu.

– Dobry Boże, brakowało mi tego.

Rzuciłam jej spojrzenie.

– Nie ma szampana na Florydzie?

– Nawet jeśli jest, kochanie, to nie dla mnie. Twój tata... no cóż... tak zaciska pasa, że dziwię się, że nadal ma krążenie w nogach.

– Myślałam, że idzie mu lepiej?

– Chyba tak, ale nie żyjemy jak sławni i bogaci. W dwa tysiące ósmym stracił naprawdę dużo pieniędzy i nie wydaje mi się, żebyśmy jeszcze kiedykolwiek je zobaczyli, mimo że twój tata jest zdeterminowany, by zapracować się na śmierć, byle tylko je odzyskać.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że jest aż tak źle. – Dużo czasu minęło, odkąd rozmawiałam z tatą tak naprawdę. Nasze cotygodniowe pogawędki telefoniczne sprowadzały się do serii pytań, którymi zarzucał mnie bezlitośnie, a na które ja unikałam odpowiedzi.

– Nie mieszkamy w przytułku dla ubogich, jeśli to masz na myśli. Ale twojemu tacie jest naprawdę ciężko. – Urwała. – Nam obojgu jest ciężko.

Zmartwiłam się. Mój ojciec bywa okropny i wkurzający, lecz za tą fasadą kryje się złote serce i wiem, że bardzo kocha Candace. Spojrzałam na nią.

– Ale między wami wszystko gra, prawda?

Candace dopiła swojego szampana i z zamyślnym wyrazem twarzy sięgnęła po kolejny kieliszek.

– Nie pozwól sobie wmówić, że małżeństwo nie jest ciężką pracą – skwitowała.

– Powinny być jakieś związki zawodowe czy coś w tym guście.

O Boże, to nie brzmiało dobrze. Ani trochę. Spróbowałam okazać jej zrozumienie.

– Wiem, że czasem ciężko z nim wytrzymać, ale on bardzo cię kocha.

Candace poklepała mnie po ręce.

– Wiem o tym, skarbie. Ja też go kocham. – Ton jej głosu wyrażał raczej rezygnację niż jakieś inne uczucie, jakby utknęła z miłą, lecz zrzędliwą starszą ciotką lub chorowitym kotem. – Oto i on, o wilku mowa.

Zobaczyłam ojca, jak machał do nas z drugiego końca salonu. Miał na sobie garnitur, który kojarzyłam z jakiegoś pogrzebu parę lat temu, a jego krawat – zbyt szeroki i błyszczący – był lekko przekrzywiony. Pamiętam, jak został wybrany na Najlepiej Ubranego Mężczyznę w Beechfield – i to dwukrotnie! – więc teraz poczułam ukłucie w sercu.

– Jak się mają moje dwie ulubione dziewczyny? – zapytał, siadając obok nas. W jednej ręce miał szklanę pełną whisky, a w drugiej niezapalone cygaro. – Rozmawiacie o mnie? Uszy mnie pieką!

– Już się chyba zupełnie spaliły – powiedziała Candace do siebie, a ja miałam tak ściśniętą szczękę, że bałam się, że nie wytrzyma.

– Rozmawialiśmy o restauracji! – powiedziałam tak pogodnie, jak tylko potrafiłam. – Jest taka... nowoczesna!

Restauracja – cała w marmurach i szkle – była przycupnięta na stałym lądzie, ale z widokiem na morze. Wystrój wnętrza składał się z błyszczących powierzchni i ostrych kątów, a wnioskując po przekąskach, które się pojawiły, szef kuchni – młody zapaleniec z dwiema gwiazdkami Michelina na koncie – lubował się w piankach. Na ich widok straciłam dobry humor – po dziesięciu latach w Nowym Jorku widziałam już tyle pianek, esencji i emulsyfikacji, że starczyło mi na całe życie. Nagle naszła mnie przemożna chęć, żeby znów siedzieć w środku starego, przytulnego pubu przy dźwiękach narzekania barmana i strzałek rzuconych do tablicy. I znów zobaczyć Chrisa z sardonicznym uśmiechem na ustach i Archiem leżącym u jego stóp. Dotknęłam jego wizytówki w kieszeni mojej torebki. Może powinnam dać mu szansę. A przynajmniej jej cień...

– Ci Armstrongowie wiedzą, jak się wydaje przyjęcia, co? – powiedział tata, kiwając głową z aprobatą. Miał czerwone policzki i zastanawiałam się, ile już zdążył wypić. – Najwyższa klasa.

– Jest wystawnie, to fakt – przytaknęłam.

– Można tu poznać dużo ważnych osób. Tamten gość, Dale Evans, jest szycią w Intelu, a wcześniej zdawało mi się, że widziałem Patty Drysdale. Dużo pieniędzy jest w tej sali – podsumował, zacierając ręce. – Dużo pieniędzy.

Poczułam przyływ irytacji – małżeństwo tego gościa chwiała się w posadach, a on myślał tylko o nawiązywaniu kontaktów z bandą palantów, którzy pewnie śmiali się z niego za jego plecami.

– Jezu, tato, brzmisz jak Sknerus McKwacz. Zamierzasz ich poprosić, żeby wysypali swoje złoto na kupę, byś ty mógł w nim nurkować?

Roześmiał się serdecznie.

– Bardzo bym chciał. – Zmrużył oczy i ponownie rozejrzał się po sali. – Wydawało mi się, że widziałem starego Jacka Weathervale'a – powiedział, wskazując na mężczyznę w spodniach do golfa, który wycierał piankę ze swojej koszulki. – Podobno jest teraz skarbnikiem Klubu. Zawsze lubił hazard i słyszałem, że ma teraz dom na Florydzie... Chyba pójdę się z nim przywitać i opowiem mu o swoim pomysle. Może pozwoli mu kiedyś wejść na parter, co? – Złapał Candace w talii i ścisnął, aż się lekko zachwiała.

– Powodzenia, skarbie – rzekła tylko, całując go w policzek.

Byłam pełna podziwu, że nadal potrafi brzmieć tak entuzjastycznie, choć wszyscy wiedzieli, że ojciec miał większe szanse wyciągnąć pieniądze z pianki na talerzu niż z Jacka Weathervale'a.

– Ten twój ojciec... – powiedziała Candace, potrząsając głową. Nie dodała nic więcej.

Obserwowałam, jak patrzy za nim, i po raz pierwszy zwróciłam uwagę na

zmarszczki, które zarysowały się w kącikach jej oczu i ust. W jednej chwili dotarło do mnie, jak Candace bardzo się postarzała. Jak bardzo postarzeliby się oboje: mimo głośnego zachowania mojego ojca nie ulegało wątpliwości, że był wyczerpany i znużony.

Spojrzałam na tatę, który z wyciągniętą ręką zbliżał się do zdziwionego i zniechęconego Jacka Weathervale'a, i uświadomiłam sobie, jakie to musiało być dla niego trudne przebywać wśród tych ludzi, którzy nigdy nie zaakceptowali go do końca, kiedy miał pieniądze, i odwrócili się od niego, gdy tylko je stracił. Rozejrzałam się po wszystkich tych zadowolonych z siebie białych mężczyznach o grubych karkach i różowych policzkach, w wykrochmalonych na sztywno koszulkach od Ralphi Laurena i zaczęłam trząść się ze złości na tę niesprawiedliwość.

Candace musiała to zauważyć, ponieważ ujęła moją dłoń i zapytała:

– A jak z Ethanem?

Pomimo najlepszych intencji Candace nie uśmierzyło to mojego gniewu, zwłaszcza że widziałam go przy barze w otoczeniu wianuszków młodych kobiet.

– Dobrze – odparłam sucho. – To było dawno temu.

– Co wcale nie znaczy, że to nie jest dla ciebie niezręczne. Widziałam, jak na niego patrzyłaś tamtego wieczoru w pubie, więc obie wiemy, że ta gadka w stylu „wszystko w porządku” to zwykła ściema.

– Wcale na niego nie patrzyłam! – Mój głos na chwilę stał się piskliwy. – Przysięgam!

– Głupiego nie oszukasz – powiedziała. – Wiem, jak wygląda zakochana kobieta. Martwią cię te dziewczyny? – spytała, podążając za moim wzrokiem. – Bo nie powinny. Koleżanki Piper mają puszek między uszami i rywalizują między sobą o największy pierścionek zaręczynowy. – Spojrzałam na nią ze zdziwieniem. Nigdy nie słyszałam, żeby Candace tak mówiła. Zazwyczaj była taka... miła. – Wiem, co sobie myślisz – powiedziała, śmiejąc się. – Że pozna swój swego!

– Wcale nie! – zaprzeczyłam, czerwieniąc się, bo, faktycznie, trochę tak myślałam. Przynajmniej wtedy, kiedy Candace po raz pierwszy zjawiała się na śniadaniu, owinięta w czerwony satynowy szlafrok, całując mnie i Piper w policzki. Zdecydowanie pokręciłam głową. – Wiem, że taka nie jesteś.

– To dobrze. A wracając do tematu, żadna z tych dziewcząt nie przykuje jego uwagi na dłużej niż pięć minut, więc odpuść sobie. Tylor i Madison są trochę inne, miłe i mają głowy na karku, ale zdecydowanie dla niego za młode. – Uniosłam brew, przecież ona sama była młodsza od mojego ojca o dobre piętnaście lat. – Wiem, wiem, przyganiał kocioł garnkowi! – Zaśmiała się. – Ale naprawdę, jesteś warta dziesięć takich dziewczyn, dwadzieścia.

– Nie sędzę, żeby Ethan się z tym zgadzał – rzekłam. – Jestem pewna, że ucieszy się, kiedy nie będzie już mnie musiał widywać.

– Dlaczego? Bo zerwaliście ze sobą sto lat temu? I co z tego? Byliście jeszcze dziećmi! Założę się, że nawet nie pamięta, dlaczego tak się stało.

– Nie wydaje mi się – odparłam. – Poza tym ja dobrze pamiętam.

A gdyby znał prawdziwy powód, dla którego go zostawiłam – pomyślałam – nie chciałby przebywać w tym samym kraju co ja, a co dopiero w tym samym pomieszczeniu.



– Zawsze byłaś taka uparta – powiedziała Candace, uśmiechając się do mnie z czułością. – Pamiętam, jak pierwszy raz zostałam na noc w domu waszego ojca, to znaczy w waszym domu. Twoja mina, kiedy zeszłam na śniadanie! Panie mój! Myślałam, że zamienię się w kamień!

– Byłam smarkulą – tłumaczyłam, czerwieniąc się na samo wspomnienie.

Kiedy tamtego ranka zobaczyłam Candace, usiadłam przy stole i nie odzywałam się, a kiedy podała mi miskę płatków kukurydzianych, wstałam i ostentacyjnie wyrzuciłam je do kosza. W skrócie, zachowałam się jak ostatnia jędza. Ale Candace zaakceptowała mnie bez mrugnięcia oka – nas wszystkich zresztą – czego nie potrafiłam docenić, zanim nie dorosłam.

– Chroniłaś swojego tatę – powiedziała – i ja to szanowałam. Ale trzeba przyznać, że twarda sztuka z ciebie była od samego początku. Chcę przez to powiedzieć, że zawsze podziwiałam cię za to, że byłaś taka uparta i niezależna. Ja w tym wieku z pewnością taka nie byłam. Nawet teraz mi to nie wychodzi. Nie pozwól tylko, żeby twój upór uniemożliwił ci bycie szczęśliwą, dobrze? Bo wiesz, czasem możesz się trochę ugiąć. Nie złamiesz się od tego, obiecuję.

Uśmiechnęłam się do niej, ale nic nie powiedziałam. Przypomniały mi się wiotkie gałązki brzozy, która rosła pod oknem mojego pokoju, kiedy byłam dzieckiem. Pamiętam, jak raz naciągnęłam je, żeby zrobić sobie łuk i strzały, związując oba końce sznurkiem, ale kiedy chciałam wystrzelić strzałę, gałązka pękła już za pierwszym razem. Starłam się nie doszukiwać w tym zbyt wielkich analogii.

Znów spojrzałam na Ethana, który teraz stał sam przy barze, obserwując salę. Młode kobiety otaczały teraz Piper, która królowała przy okrągłym stole z maleńką diamentową tiarą na głowie, co było tyleż niewiarygodne, co nieuniknione. Obawiałam się jej zachowania na ślubie: wprawdzie nie dostrzegłam w jej bagażu płaszcza z gronostajów, co wcale nie znaczy, że nie miała ze sobą jakiejś etoli...

Wzięłam głęboki oddech i ruszyłam przez salę. Ethan patrzył, jak się do niego zbliżałam, i, na szczęście, uśmiechnął się do mnie.

– Postawiłbym ci drinka – powiedział. – Ale obawiam się, że znów mi się dostanie za to, że narzucam się ze swoją pomocą. Jeśli układanie kwiatów okazało się takim kontrowersyjnym tematem, mogę tylko podejrzewać, jakie masz podejście do etykiety barowej.

– Przepraszam, zachowałam się okropnie – przyznałam. – Po prostu nie jestem przyzwyczajona... – urwałam, nie wiedząc, co powiedzieć.

– ...że ludzie mogą być mili? – uśmiechał się coraz szerzej. – Daj spokój, wiem, że mieszkasz w Nowym Jorku już od dawna, ale z pewnością nawet tam nie wszyscy są bezwzględnyimi draniami. Chociaż muszę przyznać, że ja spotkałem tylko ten rodzaj nowojorczyka.

– No tak, jesteśmy praktycznie rasą zombi – odparłam. – I tak, możesz postawić mi drinka. Poproszę wódkę z sokiem.

– Wódka z sokiem? A nie burbon? Myślałem, że jesteś jego fanką do szpiku kości! Na samo wspomnienie o burbonie włosy zjeżyły mi się na karku.

– Nigdy więcej burbona! – zawołałam. – Teraz wódka!

– Jaka szkoda. Lubiłem cię jako dziewczynę od burbona. – Upił ze swojej szklanki.  
– W pewnych granicach, oczywiście.

Oboje zamarliśmy na chwilę, a potem wybuchnęliśmy śmiechem.

– Wielkie dzięki – powiedziałam. – Wiesz, jak sprawić, żeby dziewczyna poczuła się wyjątkowa.

– Staram się. Wódka z sokiem?

Przywołał barmana i zamówił drinki, a ja próbowałam się pozbiierać. Wzmianki o burbonie i naszej wspólnej przeszłości wstrząsnęły mną bardziej, niż się spodziewałam.

– A zatem... – rzekł, podając mi szklankę. – Co sądzisz o przyjęciu?

– Jest miło – odpowiedziałam, wzruszając ramionami. – Choć nie pamiętam, żebym kiedykolwiek była w jednym pomieszczeniu z taką masą republikanów, ale przekąski są w porządku, a drinki zimne, więc nie ma na co narzekać.

– Co do republikanów to się nie mylisz.

– Prawda? Ale Piper i Charlie dobrze się bawią. – Oboje popatrzyliśmy, jak Charlie porwał Piper w ramiona, żeby ją pocałować. – Są przesłodcy – powiedziałam cicho.

– Zgadza się. Nie wiem, jak ty, ale ja nadal jestem w szoku, że między nimi tak dobrze się ułożyło. Pamiętasz ich pierwszą randkę?

– O Boże. Byliśmy na podwójnej randce i po kolacji poszliśmy na lody. Piper nie chciała ich zjeść, bo sprzedawca nie miał rękawiczek, a ona podejrzewała, że był nosicielem wirusowego zapalenia wątroby.

– A Charlie relacjonował letnią galę wrestlingu, uderzenie po uderzeniu.

– Porażka – stwierdziłam. – Lecz zaraz potem oboje siedzieli przytuleni do siebie na tylnym siedzeniu samochodu. Usiłowałam nie patrzeć w lusterko, tak na wszelki wypadek, jakbym miała zobaczyć coś, czego siostra nigdy widzieć nie powinna.

Pokiwał głową.

– To była strasznie niezręczna jazda do domu. – Oboje zamilkliśmy, wspominając (przynajmniej ja), co robiliśmy później, kiedy wysadziliśmy ich pod domem Charliego. Byłam przekonana, że nadal mam na ciele plamy z trawy.

Poczułam wielką potrzebę zmiany tematu, więc zrobiłam to w samobójczym stylu.

– Widzę, że jesteś bardzo popularny.

– Co masz na myśli?

Przewróciłam oczami.

– Po tym, jak te kobiety na ciebie patrzą, można by wywnioskować, że jesteś owinięty bekonem. Chociaż, w przypadku tego towarzystwa, to raczej nie bekon, lecz awokado.

– To miłe dziewczyny – powiedział, wzruszając ramionami. – Wiem tylko tyle.

– No proszę cię, widziałam, jak Madison na ciebie patrzy. I Tylor. – Nie mogłam się powstrzymać, zupełnie jakbym zdzieraa strupek, mimo że rana się jeszcze do końca nie zagoiła. Po prostu nie przestawałam.

Wyglądał na zirytowanego, co mnie ucieszyło. Mógł robić, co chciał, ale musiał się przede mną do tego przyznać.

– Nie, to nie to. Pomagam im przy... O cholera!

Ethan przepchnął się obok mnie i zaczął biec. Obróciłam się na czas, żeby

zobaczyć, jak nogi uginają się pod moim ojcem. Upadł na podłogę niczym szmaciana lalka, przyciskając jedną rękę do piersi i zaciskając oczy z bólu. Uderzył głową o podłogę zdecydowanie za mocno i znieruchomiał.

– Tato! – Nie pamiętam, co było później, ale musiałam do niego podbiec, bo nagle znalazłam się tuż obok, podtrzymując jego głowę rękami. Wokół nas utworzyło się kółko, kilku mężczyzn w garniturach pochylało się nad nami, radząc, co zrobić. Poczulałam, że jego oddech był krótki i rwany. – Tato, słyszysz mnie? – Jego powieki poruszyły się, ale tylko na chwilę. Musiałam się rozplakać, bo zobaczyłam łzy spadające na jego twarz. Chyba one musiały go otrzeźwić, ponieważ chwilę później jego powieki znów zaczęły się poruszać. Wiedziałam, że najgorsze jeszcze nie minęło. – Niech ktoś zadzwoni po pogotowie! – zawołałam.

Zgromadzeni zastanawiali się, jaki numer wybrać najlepiej.

– Zadzwońcie pod dziewięćset jedenaście! – ktoś krzyknął.

– To w Stanach! – zawołał ktoś inny. – Jesteśmy w Anglii!

– Dziewięćset jedenaście!

– Dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć!

W końcu wybuchnęłam:

– Zapytajcie jakiegoś pieprzonego Anglika! – wrzasnęłam.

– Co mam zrobić? – Spojrzałam i zobaczyłam nad sobą Ethana. Jego głos był spokojny, ale twarz pobiadła z niepokoju.

– Zadzwoń po pogotowie – odparłam. – I porozmawiaj z nimi. Powiedz, że podejrzewam zawał. W torebce mam aspirynę, przynieś mi ją. – Nagle poczułam się nieludzko spokojna, niczym nieruchome oko cyklonu.

– Już zadzwoniłem. Jadą do nas. – Przykucnął przy mnie i mnie objął. – Wszystko będzie dobrze – powiedział łagodnie i pozwoliłam sobie na chwilę oprzeć głowę o jego ramię.

Ambulans przyjechał w ciągu kilku minut, lecz mnie wydawało się, że minęła wieczność. Nie dało się uspokoić Piper, która albo nerwowo szlochała, albo histeryzowała na całego, podczas gdy Candace opadła na krzesło, obserwując wszystko w milczącym zdumieniu. Kiedy Ethan upewnił się, że karetka jest w drodze, usiadł przy niej i bez słowa wziął ją za rękę, delikatnie ją głaszcząc. Ja zostałam przy tacie, dopóki sanitariusze nie zabrali go do szpitala. Odzyskał przytomność krótko po tym, jak Ethan zadzwonił pod numer ratunkowy, i posłusznie jak dziecko połknął aspirynę, którą włożyłam mu do ust. Był blady i rozedrgany, lecz zdołał się trochę unieść i powiedział kilka słów na pocieszenie, kiedy wynoszono go na noszach.

– Mogę z tobą pojechać? – zapytał Ethan, kiedy szłam za sanitariuszami do karetki. Oboje prowadziliśmy Candace.

– Tylko dwie osoby! – zawołał sanitariusz.

– Możesz tu zostać i upewnić się, że wszystko pójdzie dobrze. Przyjedź później z Piper i Charliem. Przepraszam, wiem, że nie ty to powinienesz robić, ale...

– Oczywiście – powiedział, a potem ścisnął moje ramię i dodał: – Zrobię wszystko, co mi powiesz.

Stał na parkingu i patrzył za odjeżdżającym ambulansem, a zanim zniknęliśmy mu

z oczu, podniósł do góry rękę.

– To wygląda na niedokrwienie mięśnia sercowego – oznajmił barczysty sanitariusz z czupryną rudych włosów podczas jazdy do szpitala.

Candace i ja siedziałyśmy po obu stronach ojca, trzymając go za ręce i intensywnie wpatrując się w jego poszarzałą twarz. Żadna z nas nie miała odwagi spojrzeć na tę drugą. Sanitariusze zrozumieli, że jesteśmy w szoku, i okryli nas kocami, choć wcale tego nie zauważyłyśmy.

Kiedy dojeżdżaliśmy do szpitala, uderzyła mnie pewna myśl. Wyciągnęłam z torebki skrawek papieru, modląc się, żeby mój telefon miał zasięg.

Odebrał po czwartym sygnale.

– Halo? – Głos po drugiej stronie był zaspany i podejrzliwy.

– Chris? Tu Ruby. Mój tata... Coś się stało. Chyba zawał. Czy mógłbyś... Wiem, że proszę o wiele i w zasadzie się nie znamy, ale...

– W którym szpitalu jesteście? – zapytał, nagle zupełnie wybudzony. – Już jadę.

## Kiedyś

– Czy to twoje? – zapytała Ruby, trzymając czarny koronkowy biustonosz. Wyglądał na drogi, tym bardziej zdziwiła się, znajdując go w piekarniku.

– Wszędzie go szukałam! – zawołała Jess, porywając stanik. – Super! Mogę go włożyć dziś wieczorem.

– Czy faktycznie chcę wiedzieć, czemu włożyłaś go do piekarnika?

– To jedna z tych głupich rzeczy, które trzeba prac ręcznie, nie mogłam wziąć go do pralni – powiedziała, przewracając oczami. – Straszne utrapienie.

– I... pomyślałaś, że go upieczesz?

– Cały ociekał wodą, jak go wyprałam w umywalce, normalka! No i strasznie długo zajęłoby suszenie, więc włożyłam go do piekarnika, żeby było szybciej.

– Nie zacznę nawet wyliczać powodów, dla których był to głupi pomysł.

– Włączyłam bardzo niską temperaturę! Nadal żyjemy, więc musiałam też pamiętać, żeby go wyłączyć w którymś momencie, a może zrobił to Kim, kiedy przygotowywał swój dziwny obiad... No a potem widać zapomniałam go wyjąć. A tak poważnie, ten stanik sprawia, że moje cycki wyglądają niewiarygodnie. Jay będzie powalony!

– Bardzo się cieszę. Tylko postaraj się nie spalić mieszkania w przyszłości, okej?

– Nic takiego nie będę obiecywać. Lepiej mi powiedz, jakie masz plany na wieczór? Tylko proszę, nie mów mi, że będziesz siedzieć w domu i oglądać telewizję.

– Pomyślałam, że trochę posprzątam...

– Ruby, jest sobotni wieczór. Jesteś w Nowym Jorku, w mieście, które, do cholery, nigdy nie śpi! A ty będziesz siedzieć przed telewizorem i sprzątać to zaszczone mieszkanie, które nigdy nie będzie wyglądało lepiej, obojętnie, jak bardzo będziesz je czyścić. To akurat mogę ci obiecać. Równie dobrze możesz o tym zapomnieć i wyjść się upić.

– Po prostu jestem bardzo zmęczona po pracy. I w tym tygodniu w ogóle nie rozmawiałam z Ethanem, a on obiecał, że zadzwoni dziś po pracy, więc chciałabym to wykorzystać.

– Ale on pracuje do drugiej nad ranem! To daje ci... – Spojrzała na zegarek. – ...siedem godzin, które możesz spędzić, dobrze się bawiąc i pijąc. Powiem ci tak, odwołam randkę z Jayem i razem ruszymy w miasto!

– Nie możesz tego zrobić! Masz swój magiczny stanik!

– Proszę cię, ten stanik jest pewnie za dobry, żeby marnować go na takiego gościa. Zawsze przed posiłkiem wkłada twarz do talerza i obwąchuje jedzenie. No i nie jest zbyt chętny do robienia minety. Użyjmy mocy stanika w dobrej sprawie, takiej jak dostanie się do pierwszego rzędu w Wonder Bar.

– Prawdę powiedziawszy, będę okropną towarzyszką, do tego mam worki pod oczami, za które natychmiast odeślą nas na sam tył. Baw się dobrze z Jayem i swoim stanikiem. Powiedz mu, żeby zabrał głowę z talerza i włożył ci ją do majtek.

Jess posłała Ruby długie twarde spojrzenie.

– Dobra – zgodziła się w końcu. – Tym razem ci odpuszczę, ale nie możesz żyć jak

pustelnik. Brakuje mi mojej partnerki w zbrodni.

– Obiecuję, że niedługo będę z powrotem gotowa pełnić swoje obowiązki.

Czyszcząc wannę, Ruby słuchała niskiego pomruku suszarki Jess. Małe czarne drobinki, niczym opiłki żelaza, znaczyły jej dno, a kiedy zaczęła je wycierać, dotarło do niej, że były to włosy zgolone z nóg. Na samą myśl przewróciło jej się w żołądku. Dzielenie mieszkania z dwiema innymi kobietami nie było idyllą usłaną płatkami róż, rozpropagowaną przez seriale komediowe i reklamy tamponów.

Ruby westchnęła i położyła się na świeżo wyczyszczonej podłodze łazienki. Płytki pod nią były zimne, a zapach wybielacza wkradał się w jej płuca. Słyszała, jak Jess spryskiwała się różnymi specyfikami do włosów i perfumami. Potem dał się słyszeć stukot obcasów w salonie, kiedy poszła po swoją torebkę i szukała czerwonej szminki. Ruby zamknęła oczy. Niedługo będzie mogła otworzyć butelkę wina, którą kupiła sobie w sklepie, i wziąć pierwszy, kojący łyk alkoholu. Mogła otworzyć ją, kiedy Jess była w mieszkaniu – przyjaciółka nigdy nie osądzała jej z powodu picia w samotności ani z żadnego innego – ale Ruby najpierw rozsmakowała się w dźwięku zamykanych drzwi i pustce, która po nim następowała. Dopiero później odkorkowała wino.

Nie potrafiła się przystosować do życia w Nowym Jorku, zupełnie jakby nie tego chciała.

Praca była przerażająca w swej intensywności, ale też dawała jej dziwne wytchnienie. Zasady i wytyczne były jasno określone i należało się ich trzymać, Ruby bardzo to odpowiadało. Nie przeszkadzały jej długie godziny pracy ani nawet ciężkie spojrzenia rzucane jej przez Tarę i Melanie, które nadal traktowały ją z niepowściąganym obrzydzeniem, jakie żywiły również wobec złożonych węglowodanów i niemarkowego obuwia. Ruby była dobrze zaznajomiona z ciężką pracą, a kiedy dyrektor generalny od czasu do czasu pamiętał jej imię albo Jefferson podziękował jej za kawę, którą mu zrobiła, czuła przyływ dumy i zadowolenia.

Nie, praca nie była problemem, było nim miasto samo w sobie.

Kiedy Ruby była mała, mama czytała jej przed zaśnięciem. Nawet kiedy sama umiała już czytać i wiedziała, że bajki na dobranoc są dobre dla małych dzieci, a jej koledzy wyśmialiby ją, gdyby się o tym dowiedzieli, nadal prosiła mamę, żeby jej czytała. Najbardziej lubiła historie o Nowym Jorku: o Eloise, dziewczynce, która mieszkała na szczycie hotelu Plaza, oraz o rodzeństwie, które uciekło do nowojorskiego muzeum sztuki, książkę zatytułowaną *Z pomieszanego archiwum pani Basil E. Frankweiler*. Czasem mama zamiast czytać, opowiadała jej historie ze swojego dzieciństwa, które spędziła w tym mieście. O świątecznych wystawach w Macy's, o smaku świeżo ubitego masła na gorącej bułeczce w Le Pavillon, o psach kąpiących się w Bethesda Fountain w gorące sierpniowe dni i o lodach ściekających jej po ręce. Ruby zamykała oczy, żeby lepiej móc sobie wyobrazić mamę jako małą dziewczynkę w otoczeniu drapaczy chmur. Wtedy postanowiła, że Nowy Jork będzie jej przeznaczeniem.

Ale miasto, w którym Ruby obecnie mieszkała, w niczym nie przypominało pastelowego krajobrazu ze snu, pełnego lodów i płatków śniegu. Ten Nowy Jork składał się z ostrych krawędzi i stalowych płotów. Za każdym razem, kiedy wychodziła ze stacji metra, mrużąc oczy w słońcu, czuła się coraz mniejsza i coraz mniej pewna. Cały czas się

gubiła i skręcała w niewłaściwe przecznice, zamiast stanąć i zapytać o drogę lub – nie daj Boże – wyciągnąć mapę na oczach tłumu bardziej pewnych, lepiej ubranych i przystosowanych współmieszkańców tego miasta. Za każdym razem, kiedy szła Madison Avenue albo zamawiała kawę w budce niedaleko pracy, czuła się, jakby podszywała się pod kogoś innego i niebawem miała zostać odkryta.

Nie pomagało jej, że Jess bez żadnego problemu natychmiast się zaaklimatyzowała. Po sześciu tygodniach, które spędziła w redakcji „Examinera”, z reporterki specjalizującej się w opisach *quinceañeras*<sup>1</sup> w Queens awansowała do działu plotkarskiego, „On the Pulse”, co oznaczało, że spędzała swoje wieczory w towarzystwie młodej elity tego miasta, w nadziei wydobywania jakichś smakowitych plotek do porannego wydania. W zeszłym tygodniu przyłapała jedną z gwiazdek reality show na wciąganiu kreski z wypolerowanego baru gdzieś w NoHo. Jess wydawała się rosnąć w oczach, aby wypełnić to nowe, większe życie, podczas gdy Ruby kurczyła się z dnia na dzień.

Oczywiście nie mogła nikomu powiedzieć, że tak się czuła. Jess próbowałaby ją zaciągnąć na swoje przerażające imprezy lub otwarcia galerii, gdzie Ruby zginęłaby w tłumie szykownych Amazonek o nienaturalnie białych zębach i onieśmiałających funduszach powierniczych. Poza tym Jess nigdy by jej nie zrozumiała: obie spędziły cztery lata w college’u, roznosząc kampus na strzępy, terroryzując chłopaków z bractwa i asystentów, nieustraszone i śmiało w każdym swoim posunięciu. Gdyby po tym wszystkim Jess miała się dowiedzieć, że Ruby w skrytości ducha była tchórzem... nie... to by było bardzo upokarzające.

Jej ojcu zależało tylko na pracy. Podczas ich cotygodniowych rozmów, które zaczynały się od tego, że pytał, czy nadal ma pracę, oferował jej swoją wykładnię sukcesu. Po tym, jak zapewniła go, że dowie się o golfowe upodobania szefa (grał w tenisa) i o jego dzieci (miał tylko psy), ojciec oddawał słuchawkę Candace, która opowiadała jej o toksycznych produktach spożywczych omawianych w ostatnim programie Oprah i kazała sobie obiecać, że Ruby pójdzie na pedikiur, „ponieważ żadna kobieta nie powinna żyć z brzydkimi stopami”. Ruby nie miała serca, by jej powiedzieć, że zarówno jej stopy, jak i cała reszta w ciągu miesiąca stały się odrobinę pulchne, a wszystko dzięki diecie zawierającej duże ilości syropu glukozowo-fruktozowego, taniego białego wina i czystego strachu.

No i był jeszcze Ethan. Ruby wiedziała, że gdyby powiedziała mu, jak się czuje, wsiadłby w pierwszy autobus i do niej przyjechał, gotów porwać ją w ramiona i obronić przed całym tym złem. Zapewniłby ją, że Nowy Jork nie jest dla wszystkich, że przecież spróbowała i że nie musi się umartwiać, bo to żaden wstyd wrócić do domu, że może zamieszkać z nim i że zatroszczy się o nią, dopóki ona nie poukłada sobie życia z powrotem. Wiedziała, że byłby jej rycerzem w spranym dzinsie i że bardzo by tego pragnął. Ale nie mogła zdobyć się na ten telefon. Nie chciała być damą w opałach. Chciała być dorosłą kobietą w najwspanialszym mieście na świecie. Po prostu było jej trudniej, niż się spodziewała.

Leżąc na podłodze w łazience, usłyszała, jak Jess się pożegnała i zamknęła za sobą drzwi. Ruby usiadła, włożyła butelkę wybielacza i papierowe ręczniki z powrotem pod umywalkę i podniosła się z podłogi. Poszła do kuchni, powstrzymując się, żeby nie puścić

się biegiem, i otworzyła pierwszą butelkę czerwonego wina (w sklepie obok sprzedawali dwie butelki po dwanaście dolarów, grzechem byłoby więc kupić tylko jedną). Nalała sobie sporą ilość do jednego z nielicznych pozostałych pękatych kieliszków i wypila jeszcze w kuchni. Poczula, jak zrobiło jej się przyjemnie ciepło w żołądku, palce zaczęły ją mrowić i zanim znów napełniła kieliszek, pozwoliła sobie na uśmiech. W końcu był sobotni wieczór. Mogła sobie dogodzić.

Tradycyjna huczna uroczystość odbywająca się z okazji piętnastych urodzin dziewczyny, obchodzona w części krajów latynoamerykańskich oraz wśród Latynosów w Stanach Zjednoczonych. [[wróć](#)]



Teraz

Cały mój spokój znikł w jednej chwili, kiedy tylko przekroczyłam próg szpitala. Zapach środków do dezynfekcji pomieszany z czymś słodkawym, smętne pikanie monitorów mierzących pracę serca, ciche kroki pielęgniarek – wszystko to sprawiło, że żołądek ścisnął mi się ze strachu. W końcu dotarła do mnie powaga sytuacji: byliśmy w obcym kraju, a zdrowie taty było zagrożone.

Chris zjawił się w szpitalu – bez tchu i pachnący pastą do zębów – na krótko po tym, jak ojciec został przyjęty.

– Gdzie on jest? – zapytał bez wstępów, więc skinęłam głową w kierunku zamkniętych drzwi do sali taty.

– Doktor z ostrego dyżuru jest teraz u niego – powiedziałam. – Chciałam zostać, ale badają go na osobności. Powiedział coś o badaniach... – Uniosłam rękę w powietrzu, bezradna i zagubiona.

– Zaraz wrócę – odparł Chris, otwierając drzwi. Po niechlujnym mężczyźnie, którego spotkałam na plaży, nie było ani śladu. W koszuli z podwiniętymi rękawami i świeżo ogolony emanował zawodowym profesjonalizmem. Poczulałam się lepiej od samego patrzenia na niego. Zanim wszedł do sali, obejrzał się jeszcze przez ramię. – Nie martw się – powiedział i na chwilę napięcie zelżało, choć nieznacznie.

– Proszę. – Spojrzałam i zobaczyłam Ethana podającego mi papierowy kubek z kawą. – Pomyślałam, że możesz tego potrzebować. Zostawiłem Candace z Piper, Charliem i jego rodzicami. Wyszli zaczerpnąć powietrza. Piper nadal jest dość roztrzęsiona.

Przyjęłam kawę z wdzięcznością i upiłam łyk. Była za gorąca i oparzyłam sobie koniuszek języka.

– Dziękuję – powiedziałam.

– Czy dobrze widziałem, że gość z pubu właśnie tam wszedł? – zapytał, wskazując na zamknięte drzwi.

– Tak, zadzwoniłam po niego. Jest lekarzem.

– Och, to dobrze, wspaniale. – Zaciśnął usta. – Dał ci swój numer w pubie?

– Spotkałam go dzisiaj, kiedy rano poszłam na plażę pobiegać – wyjaśniłam.

– Wtedy dał mi swoją wizytówkę, którą wrzuciłam do torebki, a kiedy to wszystko się wydarzyło, nagle przypomniałam sobie, że on jest lekarzem, i pomyślałam, że dobrze byłoby mieć tu kogoś znajomego... – Mówiłam bez ładu i składu, ale nie mogłam przestać. – Nie żebym go znała, ale... no wiesz...

Ethan pokiwał głową.

– Jasne.

Siedzieliśmy w ciszy, popijając tę okropną kawę i wsłuchując się w pikanie monitorów. Poczulałam nowy przypływ paniki. Jedyne, o czym mogłam myśleć, to: „A co, jeśli on umrze? Co, jeśli umrze?”. Po raz pierwszy od dawna nie mogłam znaleźć racjonalnej odpowiedzi. W takich spawach rozum na niewiele się zdaje – powinnam była to pamiętać od czasu choroby i śmierci mamy. Był tylko chaos i nadzieja, i rozpacz, a od czasu do czasu łut szczęścia, który oznaczał, że twój świat został uratowany, przynajmniej

na chwilę. Tyle że na szczęście nie zawsze można liczyć.

– Bardzo się boję – powiedziałam w końcu i poczułam, jak wraz z tymi słowami uchodzi ze mnie powietrze. Opadłam na oparcie twardego krzesła.

– Wiem – odrzekł Ethan, biorąc mnie za rękę. To było takie dziwne, czuć znowu jego dotyk: był zarówno dobrze znany, jak i zupełnie obcy, ale przede wszystkim ciepły i kojący. – Wszystko będzie dobrze. Twój ojciec to twardy gość. Do tego ma ciebie, a Chris wie, że ty też jesteś twardzielką.

Wpatrywałam się tępo w plakat zabraniający rozmów przez komórki na oddziale.

– Mogłam zrobić więcej – powiedziałam cicho.

– O czym ty mówisz? Zachowałeś się fantastycznie. Jeśli się z tego wykaraska, a zapewniam cię, że tak będzie, to tylko dlatego, że tak szybko zareagowałeś i byłaś tak bardzo spokojna. Nawet przypomniałeś sobie o aspirynie, która pewnie uratowała mu życie.

– Nie, chodzi mi o to, że... mogłam zrobić dla niego coś więcej w ciągu ostatnich kilku lat. Wiedziałam, że on i Candace mieli kłopoty po kryzysie rynku nieruchomości. Stracił wszystko, wiesz, zupełnie wszystko. A ja im nie pomogłam. – Spojrzałam na nasze złożone ręce i znów uderzyło mnie poczucie straty. – Jestem złą córką – powiedziałam, ale chodziło o coś więcej. W tym momencie zrozumiałam, że zawiodłam w fundamentalny sposób jako osoba, przez lata stałam się tak zamknięta w sobie, tak bardzo skupiona na jednym, że straciłam zdolność nawiązywania kontaktów z ludźmi, a oni stracili chęć przebywania ze mną.

– Ruby, spójrz na mnie, no dalej. – Niechętnie spojrzałam mu w twarz. – Nie możesz siebie o to obwiniać. Jesteś dobrą córką. Nie da się przeżyć życia za nikogo i nie da się ochronić go przed całym złem. Twój tata wie, że go kochasz, i to jest bardzo ważne. Nie chciałby, żebyś odłożyła swoje życie na później z jego powodu.

Pokręciłam głową.

– Nie chodzi tylko o to – odparłam. – Ja... – W tym momencie, który trwał ułamek sekundy, byłam pewna, że wyznam mu całą prawdę, lecz kiedy otworzyłam usta, nie mogłam znaleźć właściwych słów.

Ujął moją drugą dłoń i uśmiechnął się.

– Przestań być dla siebie taka surowa. Każdy z nas zawsze mógłby zrobić coś więcej. To jest właśnie paragraf dwadzieścia dwa naszego życia. Kiedy myślisz, że robisz wystarczająco dużo, że jesteś dobrą osobą, i zaczynasz być z siebie odrobinę zadowolona, zdarza się coś, co udowadnia ci, że wszystko, co robisz, jest nic niewarte. W przypadku rodziny to nawet trudniejsze.

Jego serdeczność sprawiła, że poczułam się jeszcze gorzej.

– Łatwo ci mówić. Ty troszczysz się o swojego tatę i masz różne fundacje charytatywne i kupujesz ludziom różne rzeczy, wszędzie, gdzie się zjawisz. Jesteś jak Człowiek Roku.

Roześmiał się chrapliwie.

– Zdecydowanie nie. Naprawdę, jeśli byłbym dobrym synem, pozwoliłbym mojemu ojcu zostać w Beechfield. To, że musiał się przeprowadzić do Anglii, jest wyrazem mojego egoizmu. Jest nieszczęśliwy, a ja nie bywam w domu wystarczająco

często, żeby mu to wynagrodzić. Sądziłem, że go chronię, ale tylko podciąłem mu skrzydła.

Potrząsnęłam głową.

– Jestem pewna, że to nieprawda.

– Wierz mi, że to prawda. Ale o to właśnie mi chodzi: nie ma dobrych i złych odpowiedzi. Albo raczej są same niejednoznaczne i wszystkie one mają sprawić, że poczujesz się okropnie. Chyba to mają na myśli, mówiąc, że rodzice mszczą się na dzieciach na starość.

– Po prostu nie sądziłam, że to nastąpi tak szybko – odparłam. – To znaczy, zawsze uważałam, że dużo przeszłam z powodu mojej mamy. Liczyłam jeszcze na kilka lat beztroskiego samolubstwa.

– Nie obraż się, ale nie wygląda na to, żebyś była szczególnie beztroška, wręcz przeciwnie.

– Słuszna uwaga – zgodziłam się, zawstydzona. Ostatnią rzeczą, jaką chciałam, to dać Ethanowi do zrozumienia, że byłam w rozsypce, ale po tym, co się przydarzyło mojemu ojcu, nie miałam siły dłużej udawać.

– Wszystko będzie dobrze – mówił tak delikatnie. – Zrobisz, co w twojej mocy, bo nie masz innego wyjścia.

Spojrzałam na niego i poczułam, że coś jednak jest między nami, jak wtedy w pubie, tyle że tym razem to było jeszcze łagodniejsze i czulsze.

– Dziękuję – powiedziałam prosto z serca.

Otworzyły się drzwi i wyszedł przez nie Chris razem z lekarzem dyżurnym.

– Dzięki, Paul – rzekł Chris, ściskając jego dłoń. – Jestem ci bardzo wdzięczny.

– Po raz kolejny uderzyło mnie, jak bardzo był opanowany w tym otoczeniu, jak... dorosły. Wstałam i poczekałam, aż zwróci się do mnie. – Twojemu ojcu nic nie będzie – powiedział, a ja niemal zemdlałam, tak bardzo mi ulżyło, wyciągnął więc rękę, aby mnie podtrzymać. – Badanie EKG wykazało, że przeszedł lekki atak serca, ale sytuacja się ustabilizowała i nie wygląda na to, by zaszły jakieś trwałe uszkodzenia. Czekamy jeszcze na wyniki badań krwi, żeby to potwierdzić. Powinny być za jakąś godzinę.

Uściskałam go. Nie była to moja świadoma decyzja, lecz nagle znalazłam się w jego ramionach. Poczułam, że na początku był zaskoczony, ale zaraz przyciągnął mnie do siebie mocniej.

– Bardzo dziękuję – wymamrotałam w jego pierś.

– Wszystko dobrze – zapewniał, lekko poklepując mnie po plecach. – Wszystko będzie dobrze.

– Przepraszam – powiedziałam, odsuwając się. – Trochę mnie poniosło. – Spojrzałam za siebie, na Ethana, który z kamienną twarzą i bardzo uważnie czytał ulotkę o raku jelit.

– Możesz teraz się z nim zobaczyć – rzekł Chris. – Ale należy obchodzić się z nim spokojnie, bo przeżył spory wstrząs.

Pokiwałam głową.

– Czy mógłbyś powiedzieć to Candace? – zapytałam. – I mojej siostrze też. Wiem, że chcą go zobaczyć.

– Oczywiście – odparł Chris i ruszył korytarzem.

Zatrzymał go Ethan.

– Ja pójdę – zaproponował. – Ty zostań z Ruby.

I poszedł.

Weszłam do sali, w której mój tata leżał na łóżku zabezpieczonym po bokach, szczelnie otulony kocami. Obok niego miarowo pikał monitor, zielona linia na jego ekranie wznosiła się i opadała. Ręce miał ułożone po bokach, a cienka biała taśma zabezpieczała przewód kroplówki biegnący od jego prawej ręki do woreczka z przezroczystym płynem zawieszonym na metalowym wieszaku. Miał zamknięte oczy, a jego twarz, choć już nie tak niepokojąco szara jak wcześniej, nadal była spięta i miała niezdrowy kolor. Pośrodku pomalowanej na beżowo sali, gdzie słodkawy zapach środków dezynfekujących mieszał się z nieświeżymi oddechami, wyglądał na drobnego i kruchego niczym porcelanowa figurka. Usiadłam na twardym plastikowym krześle, które stało obok, i delikatnie ujęłam jego dłoń.

Otworzył oczy.

– Cześć, mała – powiedział cicho, zachrypniętym głosem. – Jak się masz?

– To chyba ja powinnam cię o to pytać – odparłam, śmiejąc się cicho.

Uniósł swoją wolną rękę, aby odpędzić tę myśl.

– Nic mi nie jest, naprawdę. Lekarz powiedział, że moje serce wycięło mały numer, nic poważnego. Zaraz stanę na nogi i wrócę do swoich przekrętów.

Skrzywiłam się na te słowa – nie to chce się usłyszeć od ojca, który właśnie przeszedł zawał.

– Tylko spokojnie – radziłam. – Trochę nas wystraszyłeś.

Było to przekłamanie stulecia – byłam pewna, że w ciągu tych kilku godzin postarzałam się przynajmniej o dziesięć lat. Czułam, jak zaczęły mi wyrastać siwe włosy.

– Wiem, przepraszam. O rany, jaka scena. Przed tymi wszystkimi ludźmi, podczas wielkiego wieczoru Piper... Jak ona się miewa?

– Bardzo się przejęła, ale poczuje się lepiej, jak tylko zobaczy, że nic ci nie jest.

– Jest na mnie zła?

– Oczywiście, że nie! Tato, nam wszystkim chodzi tylko o to, żebyś był zdrowy.

– Ale ślub jest jutro...

– Nawet o tym nie myśl – rzekłam poważnie. – Musisz odpoczywać i tyle.

Wszystko inne jakoś załatwię.

– A Candace? Jest tutaj?

– Oczywiście. Zamartwia się na śmierć. Chcesz, żebym ją poprosiła?

Skinał głowę.

– Dobrze, pójdę po nią. – Chciałam już odejść, ale wiedziałam, że muszę mu coś powiedzieć i że muszę zrobić to od razu, zanim się rozmyślę. Podejrzywałam też, że już nigdy więcej nie będę mieć taty tylko dla siebie. Usiadłam z powrotem z westchnieniem.

– Wiesz, że cię kocham, prawda?

– Oczywiście.

– Postaraj się o tym pamiętać, słuchając, co mam ci do powiedzenia. Musisz potraktować tę sprawę jako powód do ogromnej zmiany.

– Ależ, Ruby...

– Tato, po prostu mnie wysłuchaj, dobrze? Wydaje mi się, że cały wszechświat mówi ci, żebyś zwolnił, wiesz? Właściwie to czuję, jakby wszechświat mówił nam wszystkim, że czas zwolnić. Wiem, że przez ostatnie parę lat nie byłam dla ciebie zbyt dobrą córką, ale chcę, byś wiedział, że to się zmieni. Będę częściej przyjeżdżać do was na Florydę i jeśli mogłabym ci pomóc w jakiś sposób... no wiesz... to teraz jestem już w bardzo wygodnej sytuacji. Jeśli potrzebujesz pieniędzy...

Zauważyłam, że knykie mu zbiegały.

– Z pewnością nie potrzebuję, żeby moja córka ratowała mnie z finansowych tarapatów.

– Wcale tego nie mówię. Ale jeśli dzięki mnie mógłbyś przestać tyle kombinować, czy to faktycznie byłoby aż takie złe? Troszczysz się o mnie przez całe moje życie. Pozwól, żebym raz to ja zatroszczyła się o ciebie.

– Nie chcę teraz o tym rozmawiać, Ruby. Poza tym cały czas ci powtarzam, że mój los ma lada dzień się odmienić. Mam pomysł na to kasyno, a sytuacja na rynku zaczyna się odwracać...

– Jeśli będziesz pracował na takich obrotach jak dotąd, to naprawdę nie wiem, co się może stać – powiedziałam, podczas gdy łzy napływały mi do oczu, a gardło zaczęło się ścisnąć. – Tato, tak bardzo bym chciała, żebyś był tu jeszcze z nami – wyznałam. – Candace też na tym zależy. Jeśli nie chcesz mojej pomocy, w porządku. Ale musisz się zmienić dla dobra Candace.

Patrzył na mnie przez chwilę, po czym zamknął oczy. Bałam się, że chce się mnie pozbyć, ale kiedy znów je otworzył, ujrzałam w nich łzy.

– Po prostu nie mogę znieść, że jestem nieudacznikiem – powiedział.

Położyłam dłoń na jego ręce.

– Jesteś Alekiem Atlasem. Jesteś najlepszym ojcem, jakiego można mieć, i dobrym człowiekiem. Nigdy nie będziesz nieudacznikiem. Pieprzyć tych gości z country klubu, to banda nadętych białasów. Kto się przejmuje ich opinią?

Uśmiechnął się do mnie i mrugnął porozumiewawczo, i już wiedziałam, że wszystko będzie dobrze – jakby chmury rozstały się i wyszło słońce.

– Są tacy sztywni, jakby mieli kije w tyłkach – oznajmił. – A w tym Klubie jest problem z wilgocią, którego nigdy nie naprawili. Zapamiętaj moje słowa, za pięć lat to miejsce zamieni się w bagno.

– Idealne miejsce na kasyno – podchwyciłam, a ojciec się roześmiał. – Kocham cię – powiedziałam, nachylając się, żeby pocałować go w policzek.

– Ja ciebie też – odparł. – Jesteś dobrym dzieckiem.

Kiedy otworzyłam drzwi, reszta rodziny nerwowo siedziała w poczekalni.

– Tata chce cię zobaczyć – powiedziałam do Candace, która natychmiast się rozplakała. – Ciebie też, Pipes.

Wstały chwiejnie na nogi i poszły do sali, zamykając za sobą drzwi. Charlie i jego rodzice siedzieli obok siebie, walcząc ze snem. Ethan wstał i podszedł o mnie.

– Jak on się ma? – zapytał troskliwie.

– Myślę, że w porządku – powiedziałam. – Wygląda na wykończonego, ale zdaje

się, że wszystko będzie dobrze. A może nawet lepiej.

– Bardzo się cieszę – odparł. – Ruby, ja... – urwał, jakby czegoś szukał i nie mógł tego znaleźć. – Ja...

Przerwało mu zjawienie się Chrisa.

– Mam wyniki twojego ojca – obwieścił. – Wszystko wygląda całkiem dobrze. Zatrzymamy go na obserwacji na dzień lub dwa i przez kilka tygodni będzie musiał na siebie uważać, ale koniec końców nic mu nie będzie.

– Dzięki Bogu – powiedziałam i poczułam, jak ustępuje całe napięcie. – Pójdę mu to powiedzieć – rzekłam, kierując się do drzwi.

– To ja jestem lekarzem – oznajmił Chris ze śmiechem – więc to ja przekażę mu rokowania medyczne. Ty usiądź sobie na chwilę. Przeżyłaś dzisiaj szok.

– Dziękuję – odparłam. – Za wszystko.

– Wykonuję tylko swoją pracę – rzekł, uśmiechając się do mnie szeroko, zanim otworzył drzwi. – Choć wydaje mi się, że teraz to jednak musisz pójść ze mną na tę randkę...

Czubki uszu zapłonęły mi i zrobiłam się czerwona.

– Wygląda na miłego gościa – powiedział Ethan, kiedy Chris nie mógł już nas usłyszeć.

– Tak – przytaknęłam. – To znaczy, nie znam go właściwie, ale zachował się wspaniale. Bez niego byłoby mi znacznie ciężiej.

– Prawdziwy rycerz w lśniącej zbroi. – W tonie Ethana było zdecydowanie za dużo sarkazmu.

– O czym ty mówisz?

– Nie wydaje mi się, żeby był tutaj tylko z dobroci serca. Widać, że coś do ciebie ma.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odrzekłam, choć nie byłam w tym do końca szczerą. Wiedziałam, że Chris mnie lubi, i w duchu cieszyłam się, że Ethan to zauważył.

Obrócił się do mnie i spojrzał na mnie niespodziewanie poważnie.

– Jesteś nim zainteresowana?

– Ja... nie wiem. – Byłam taka skołowana. – Wydaje się miły, ale prawie go nie znam...

– Powinnaś zdecydowanie spróbować – powiedział, może zbyt gwałtownie. – Jeśli tylko jesteś nim zainteresowana.

Patrzyłam na niego długo, ale jego twarz była niczym Szwajcaria – niewzruszenie neutralna. Kilka minut wcześniej, zanim Chris nam przerwał, wydawało mi się, że ja i Ethan byliśmy o krok od czegoś. Ale patrząc teraz na jego otwartą i poważną twarz, zrozumiałam, że znów źle go zinterpretowałam. Jego zachowanie wobec mnie było podyktowane wrodzoną troskliwością i uprzejmością. Po prostu pomagał dawnej znajomej w potrzebie. Zignorowałam dojmujący ból i zmusiłam się do uśmiechu. Poczułam, że moje wewnętrzne mury znów się odbudowują, tym razem jeszcze silniejsze. Nie dam się dwa razy nabrać.

– Może masz rację – odparłam. – Czy to znaczy, że ty spróbujesz z Madison? Rozerwiesz się trochę na wakacjach?

Wyraźnie zbladł, a ja poczułam perwersyjną przyjemność, że udało mi się choć trochę zerwać tę jego maskę.

– W ogóle o tym nie myślałem – powiedział spokojnie.

– Nie wciskaj mi kitu – rzekłam, szturchając go w ramię. – Wiem, że byś chciał.

Zmienił pozycję na krześle i spojrzał na swoje dłonie.

– Oczywiście, jest słodka i w ogóle, ale... Sam nie wiem. Nie sądzę, żeby twojej siostrze podobało się, gdybym podrywał jej druhny.

– Och, przestań, byłaby zachwycona! Mogłaby się chwalić przed znajomymi, że zeswatała swoją najładniejszą przyjaciółkę z milionerem.

– Nie bardzo mi się ten pomysł podoba. – Wyglądał na głęboko nieszczęśliwego i przez chwilę pożałowałam swojego zachowania, ale szybko mi przeszło, kiedy przypomniałam sobie, jak kilka dni temu uczył Madison grać w krykieta. Nie można mieć wszystkiego.

– Cóż, jakoś mi ciebie nie żal. To co, zamierzasz uderzyć do Madison czy nie?

– Widziałam, że się wahał. Poczulałam tę dziwną, niewyjaśnioną chęć, która nachodziła mnie czasem na zatłoczonym peronie: żeby wykonać ostateczny skok nad krawędzią i to wszystko zakończyć. – Sposobność sama ci się nadarza.

Nastąpiła długa cisza, w której słychać było jedynie pikanie monitorów i od czasu do czasu jakieś kasznięcie.

– Zobaczymy – powiedział w końcu.

– Pewnie! – odparłam wesoło. Nie mogłam dopuścić do tego, żeby choć przez chwilę podejrzewał, że nie podobał mi się ten pomysł, a część mojego serca po prostu umierała.

Znów zapadło milczenie. Zaczęłam czytać ulotkę dotyczącą zawałów, którą wyjęłam z plastikowego wieszaka na przeciwległej ścianie, zerkając co pewien czas na Ethana, który wydawał się pogrążony w myślach. Po kilku minutach napotkał moje spojrzenie i otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz zanim mu się to udało, znów przerwał nam Chris, który wyszedł od mojego taty w towarzystwie Candace i Piper. Na twarzy tej pierwszej malowała się ulga, za to moja siostra była cała skrzywiona.

– Co my teraz zrobimy? – zaszlochała, rzucając się na Charliego, który ocknął się i złapał ją w ramiona w ostatniej chwili.

– Co się stało? – zapytał przerażony. – Z twoim ojcem wszystko w porządku?

– Dzięki Bogu nic mu nie będzie, ale będzie musiał spędzić weekend w szpitalu.

– Piper jest trochę zdenerwowana, że Alec nie będzie mógł zaprowadzić jej do ołtarza – wyjaśniła Candace.

– A to szkoda – powiedział Bob, kiwając głową ze współczuciem. – Ale jako twój teść będę zaszczycony móc go zastąpić.

– To nie wszystko! – płakała Piper. – Jak mam wyjść za mąż bez mojego ojca w kościele? – Zupełnie zalała się łzami.

– To był bardzo intensywny dzień – powiedziała Candace. – Powinniśmy wrócić do hotelu i odpocząć. Wszystkim innym możemy zająć się jutro rano.

– Nie ma czym się zająć – szlochała Piper. – Nie wychodzę za mąż bez taty i tyle! Możemy wszystko odwołać!

– Nie da się tego jakoś obejść, doktorze? – zapytał Charlie Chrisa ponad głową Piper.

Chris zaprzeczył ruchem głowy.

– Miał zawał serca. Nawet jeśli łagodny, nadal potrzebuje poleżeć kilka dni w łóżku. To byłoby nierozważne wypisać go jutro, zwłaszcza po to, żeby uczestniczył w stresującym wydarzeniu. Chociaż jestem pewien, że ślub będzie wspaniały – dodał szybko, robiąc ukłon w stronę Piper.

Barbara i Bob siedzieli teraz bardzo wyprostowani.

– Myślę, że będziesz musiała się z tym jakoś pogodzić, kochanie – powiedział Bob. – Wszyscy przejechali taki szmat drogi, wszystko jest już opłacone...

– Dokładnie, skarbie – wtrąciła się Barbara. – Pomyśl o tych wszystkich ludziach, którzy będą bardzo rozczarowani, jeśli odwołamy wszystko w ostatniej chwili...

– Mamo, tato, jeśli Piper chce odwołać, odwołamy. To tylko pieniądze – powiedział Charlie, a Bob i Barbara równocześnie zbledli na tę myśl. – Piper zasługuje na taki ślub, jakiego pragnie, i nie zmuszę jej, żeby zrobiła cokolwiek wbrew swojej woli.

Piper podniosła głowę i uśmiechnęła się do niego z błyszczącymi oczami.

– Naprawdę tak myślisz?

– Oczywiście! – powiedział, obejmując ją opiekuńczo. – Kocham cię i chcę, żebyś została moją żoną, ale chcę też, żebyś była radosna w dniu swojego ślubu.

Kucnęłam obok nich i ujęłam dłoń Piper.

– Wiem, że to jest trudne, ale myślę, że tata chciałby, aby ślub się odbył jutro. Już teraz się martwi, że zniszczył ci dzisiejszy wieczór... byłby załamany, gdyby ślub nie odbył się przez niego.

Spojrzała na mnie oczami pełnymi łez.

– Nie mogę wyjść za mąż, nie mając obok siebie żadnego z moich rodziców – powiedziała. – Jest wystarczająco źle, że nie ma przy mnie mamy, ale nie może być ślubu bez taty.

Pogładziłam ją po ręce.

– Wiem. – Staralam się być delikatna. – Rozumiem, ale musisz być silna ze względu na tatę, dobrze? Wiem, że to nie będzie to samo, ale nie jest tak, że nikogo z twojej rodziny nie będzie przy tobie. Masz mnie.

– I mnie – rzekła Candace, podchodząc i ujmując drugą rękę Piper. – Wiem, małeńka, że nie jestem twoją mamą, ale kocham cię jak córkę.

Piper spojrzała na nią i uśmiechnęła się słabo.

– Proszę cię, Piper, to najlepsze rozwiązanie dla nas wszystkich, a zwłaszcza dla taty.

Patrzyła na nas przez chwilę, po czym pokiwała głową.

– Dobrze. Ale to znaczy, że na naszą pierwszą rocznicę będzie wielkie przyjęcie i wtedy tata zaprowadzi mnie do ołtarza na odnowienie przysięgi. Zgoda?

– Co tylko zachcesz – powiedział Charlie, tuląc ją do siebie.

Ethan wstał i zwrócił się do Chrisa.

– Masz chwilę? Chciałbym omówić coś z tobą na osobności.

– Jasna sprawa – odparł Chris i obaj oddalili się korytarzem.



– Ciekawe, o co chodzi? – zastanawiał się Bob.

– Powinniście jechać już do hotelu, odpocząć – powiedziałam, chcąc odwrócić ich uwagę. Sama byłam bardzo ciekawa, co Ethan mógł chcieć od Chrisa. Proszę, Boże, żeby nie chodziło o mnie, pomyślałam. – Postarajcie się przespać choć kilka godzin przed jutrzejszym wielkim dniem. Ja zostanę z tatą.

– Ja też – powiedziała Candace. – Nigdzie się stąd nie ruszam.

Charlie zawahał się.

– Musicie być wykończone. Na pewno nie chcecie z nami wrócić?

Podszedł Chris.

– Łóżko obok twojego ojca jest wolne – powiedział. – Pielęgniarka zapewniła mnie, że możecie obie tam spać, pod warunkiem że w razie potrzeby natychmiast je zwolnicie.

– Oczywiście – odparłam. – Dziękuję, że się o to zatroszczyłeś. I jeszcze raz, za wszystko.

– Nie ma sprawy, skarbie – odrzekł.

Bob wstał i podał mu rękę.

– Będzie nam bardzo przyjemnie, gdybyś przyszedł jutro na ślub.

– Och, tak! – zawołała Barbara, chwytając go za łokieć. – To by było wspaniale!

Chris spojrzał na mnie wyczekująco.

– Będzie fajnie – powiedziałam. – Oczywiście jeśli nie masz innych planów...

– Przychodisz – zawyrokowała Piper tonem nieznoszącym sprzeciwu. – To postanowione.

Spojrzałam w dół korytarza i dostrzegłam Ethana rozmawiającego ściszym głosem przez telefon. Był zamyślony i wyglądał, jakby był setki kilometrów stąd. Bo w pewnym sensie tak było.

– Tak – powiedziałam, kładąc dłoń na nadgarstku Chrisa. – Przyjdź.

## Kiedyś

– Czy mógłbyś podać mi te szczypce?

Ojciec Ethana uparł się, żeby pożegnać sezon letni ostatnim grillem, mimo że był już październik i rankiem ziemię pokrywał szron.

– Nigdy nie jest za późno, żeby rozpałcić ogień – powiedział wcześniej, nacierając żeberka mieszanką przypraw. – To dobre dla duszy.

To był jedyny wolny wieczór Ethana w tygodniu. Charlie zabierał Piper na balet do Bostonu – Ethan z lubością wypominał mu to przez cały tydzień – więc nie chciało mu się iść samemu do baru i przesiadywać z resztą stałych bywalców. Kiedy więc ojciec zaproponował mu grilla, a następnie wspólne oglądanie *Rio Bravo*, przystał na to z chęcią, choćby po to, by na chwilę odciągnąć uwagę od Ruby.

– Przyniosłeś ostry sos? – zapytał ojciec, rozcierając bryłki węgla.

W przeciwieństwie do wszystkich swoich sąsiadów nie miał ogromnego gazowego grilla z piekła rodem, wyposażonego w kamień do pizzy i podgrzewacz do bułek. Nadal używał tego samego starego modelu na węgiel drzewny, który kupił, kiedy Ethan był mały, mimo że kratki od dawna nie można było doczyścić, a spalone resztki po prostu się w nią wtopiły.

– To tylko dodaje smaku.

Twierdził, że jedzenie przygotowane na nowszych, bardziej luksusowych modelach czuć benzyną, ale tak naprawdę po prostu lubił pierwotny dreszcz, który przechodził go na widok płonącego węgla. „Nie ma nic lepszego niż gotowanie na wolnym ogniu”, powtarzał, a w jego spojrzeniu migotała iskierka szaleństwa.

– Zrobiłem sałatkę – powiedział Ethan, kładąc na stole miskę z sałatą, serem i cienko pokrojonym salami z delikatesów.

– Laluś – odparł ojciec, spoglądając przez ramię z obrzydzeniem. – Komu potrzebna sałatka, kiedy jest mięso?

– Twoim jelitom?

– Mówisz jak Cheryl.

Od kilku miesięcy ojciec Ethana spotykał się z Cheryl, recepcjonistką w firmie instalującej baseny, która w ramach osobistej krucjaty postanowiła nauczyć go jeść warzywa, używać kosmetyków do włosów i zamienić go w prawdziwego metroseksualnego nowoczesnego mężczyznę. Jej starania natrafiły na nieprzewyciężony opór, a Bill Bailey dawno by zakończył tę znajomość, gdyby Cheryl nie była o dobrą dekadę od niego młodsza i ładniejsza podobna do Christie Brinkley.

– Dzięki niej czuję się jak Billy Joel – wyznał synowi, kiedy opowiadał mu o tym, jak zaciągnęła go do wegańskiej restauracji. – Czasem mężczyzna musi się poświęcić, by móc realizować swoje marzenia.

Ethan usiadł na niskim ceglany murku, który otaczał mały zachwaszczony trawnik, i przyglądał się, jak ojciec przekłada żeberka szczypcami na drugą stronę. Na zewnątrz było zimno – zimniej, niż którykolwiek z nich miał ochotę przyznać – więc Ethan siedział w pogryzionym przez mole swetrze, który przyniósł sobie z szafy w przedpokoju. Przy mankietach szwy puściły na tyle, że można było włożyć w nie

kciuki, naciągając rękawy mocniej na ręce. Nagle Ethan przypomniał sobie, że pewnej zimnej sierpniowej nocy dał ten sweter Ruby, żeby się ogrzała. Przyciągnęła kolana do piersi i naciągnęła sweter na nogi, robiąc sobie przytulny wełniany kokon na środku Memorial Park. Spojrzała w rozgwieżdżone niebo, włosy kręciły się jej wokół uszu, a oczy błyszczały. Wyglądała tak pięknie w tamtej chwili, że Ethanowi aż dech w piersiach zaparło. Kiedy spojrzała na niego i zapytała, czy chce jeszcze jedno piwo, nie był w stanie odpowiedzieć, tylko pokiwał głową. Teraz, czekając na mięso z grilla, włożył kciuki w dziury przy rękawach, chcąc przytrzymać to wspomnienie trochę dłużej.

– Na co się tak gapisz tym maślanym wzrokiem? – zapytał ojciec, trącając go butem.

– Na nic. W gwiazdy.

– Najpierw sałatka, a teraz jeszcze gwiazdy? Jezu, daj mi siłę! Jak to się stało, że skończyłem z takim wydelikacowanym synem?

– Woda w miasteczku musi być skażona.

– No, powinienem ich pozwać. No dalej, Picasso, wstawaj, obiad gotowy.

Zjedli przy białym plastikowym stole, trzęsąc się z zimna, ale nie dając tego po sobie poznać. Słysząc było cichy pomruk telewizora sąsiadki przerywany wybuchami śmiechu publiczności. Stella mieszkała obok nich od dwudziestu lat, ale nigdy się z nimi nie zaprzyjaźniła na tyle, aby ich stosunki można było określać jako „dobrosąsiedzkie”. Ethan bał się jej jako dziecko, głównie dlatego, że kiedy pewnego razu grał z Charliem w piłkę zbyt blisko jej róz, przyszła i bez słowa oblała ich wodą z węża. Co wieczór słyszeli jej donośny i nieprzyjemny głos, kiedy krzyczała przez telefon na któregoś z synów. Ethan zastanawiał się czasem, dlaczego mimo to dzwonili, choć sam wiedział co nieco o kolczastych i zawitych relacjach rodzinnych.

– Widziałeś wczoraj mecz Soxów? – zapytał ojciec z pełnymi ustami.

– Tak, leciał w barze. Beznadzieja.

– Co ty nie powiesz... Banda patałachów.

Pokiwali zgodnie głowami i jedli w milczeniu.

Ojciec Ethana ogryzł żeberko kilkoma wprawnymi kęsami, rzucił kość na talerz i sięgnął po kolejne.

– Między tobą a Ruby nadal wszystko gra?

Ethan nabił na widelec ser i salami prosto z miski i włożył sobie do ust. Pogryzł bardzo dokładnie, próbując zyskać na czasie. Prawdę powiedziawszy, nie miał pojęcia, jak się między nimi układało. Rozmawiali prawie codziennie, a ona mówiła, że za nim tęskni, ale w jej głosie pobrzmiwała jakaś nuta wahania, która kazała Ethanowi kwestionować szczerść tych słów. Czasem, kiedy rozmawiali, była tak odległa, jakby dzwoniła z dryfującej rosyjskiej stacji kosmicznej, a nie z miasta oddalonego o zaledwie kilkaset kilometrów. Wpędzało go to w głęboki niepokój, ale obojętnie ile razy pytał, czy wszystko z nią dobrze, zawsze odpowiadała: „Wszystko w porządku”.

Oczywiście nie przyznał się do tego przed ojcem. Wzruszył tylko ramionami i powiedział:

– Chyba tak. – I zabrał się do obgryzania żeberka.

U sąsiadów publiczność zgromadzona w studiu telewizyjnym wybuchnęła

śmiechem.

– Musisz pojechać się z nią zobaczyć – powiedział Bill, nie patrząc na syna. Cała jego uwaga skupiona była na ostatnim kawałku mięsa, który został na kości, ale z tonu jego głosu łatwo było wywnioskować, że według niego powiedział coś ważnego. W ciszy, która nastąpiła, odrzucił kość na stertę znajdującą się na jego talerzu i sięgnął po kolejne żeberko.

Ethan głośno wypuścił powietrze.

– Nie mam kasy, żeby spędzić weekend w Nowym Jorku.

– A planujesz się zatrzymać w hotelu Four Seasons? Idziesz na dworzec, kupujesz bilet, wsiadasz do autobusu. Czy to takie trudne?

– Billy za nic nie da mi wolnego. Brakuje nam ludzi, a do tego zbliża się Dzień Kolumba, więc bar będzie pełny. Zabije mnie, jeśli będę chciał się urwać.

Ojciec Ethana odłożył na wół ogryzione żeberko i spojrzał na syna zmęczonym i zawiedzionym wzrokiem, którym zazwyczaj obdarzał jedynie właścicieli volkswagenów jetta.

– Synu, mówisz, że kochasz tę dziewczynę, tak?

– Tak.

– A mimo to usiłujesz mi wmówić, że boisz się wkurzyć właściciela tego zaszczanego baru, w którym pracujesz, żeby móc ją zobaczyć? – Sięgnął do tylnej kieszeni i wyciągnął portfel. Skóra była popękana i porysowana, ponieważ stale był przepelniony, i kiedy Bill go otworzył, wysypały się z niego kawałki papieru i rachunki, które szybko zgarnął z powrotem do środka. Wyciągnął kilka banknotów i podał je Ethanowi.

– Masz kilka dolców. Jedź się z nią zobaczyć. Jeśli Billy będzie robił ci problemy, przypomnij mu, że nadal mi wisi za gaźnik i zjawię się z kijem bejsbolowym, żeby odebrać należność.

Ethan westchnął.

– Tato, nie mogę tego przyjąć.

– Oczywiście, że możesz. – Odsunął się od stołu i położył dłoń na brzuchu. – Jezu, już czuję żołądek. Muszę chyba zażyć tabletki na nadkwasotę.

Wstał i wszedł do środka, zostawiając Ethana ze sporą porcją stygnących żeberek i niemal nietkniętą sałatką. Spojrzał na banknoty, teraz już trochę zmięte i zapocone w jego dłoni, i uśmiechnął się. Tak, pomyślał. Pojadę do Nowego Jorku. Pojadę po moją dziewczynę.

Teraz

Do: Mathius Sondergaard

Data: 18 lipca 2015, 03:34

Od: Ethan Bailey

Temat: re: Wykup

Podjąłem decyzję. Porozmawiajmy rano.

E

Teraz

Obudziłam się za wcześnie: słońce wpadające przez ażurowe rolety rozcinało mnie na cienkie, rozgrzane kawałki. Mrugałam, patrząc na sufit i czekając, aż mój mózg się uruchomi, kiedy poczułam, że coś się koło mnie porusza, a czyjeś palce u stopy dotykają mojej skóry. Spojrzałam w prawo i zobaczyłam Candace we wczorajszej sukience, śpiącą ze mną w łóżku i chrapiącą przez sen.

Trybiki w mojej głowie zaskoczyły. Przypomniałam sobie ojca opadającego na środku restauracji niczym spieczony suflet, bezosobowy pokój szpitalny wypełniony maszyną, czułe i nieprzeniknione spojrzenie Ethana, obejmujące mnie silne ramiona Chrisa, rozhisteryzowaną Piper. Nieme przerażenie Candace. I oto leżałam teraz z moją macochą na wolnym szpitalnym łóżku, którego poręcz wbijała mi się w bok. Usiadłam i spojrzałam na zegar ścienny: 6.34. Dopiero co się obudziłam, ale moje ciało już było wyczerpane, a przecież miałam jeszcze na głowie koordynację całego ślubnego przedsięwzięcia, pannę młodą do ugłaskania, byłego chłopaka do ogarnięcia i doktora, żeby z nim popoflować. Wiele kilometrów dzieliło mnie od chwili, kiedy to znów będę mogła się położyć.

Pochyliłam się i delikatnie potrząsnęłam Candace.

– Muszę wrócić do Bugle Hall – powiedziałam, gdy spojrzała na mnie nieprzytomnie. – Prześpij się jeszcze. Zajrzę do taty, zanim wyjdę.

– Już nie śpię! Już nie śpię! – zapewniała, unosząc się na łokciach. – Słodki Jezu, z czego oni zrobili ten materac? Z cementu?

– Ciii! Obudzisz tatę.

– Nie śpię już od dawna. – Usłyszałam głos z drugiej strony sali. – Myślałem, że już nigdy się nie obudzicie. Myślicie, że jesteśmy w Holiday Inn? – Spojrzałam i zobaczyłam ojca siedzącego na łóżku i wyglądającego całkiem dziarsko. – Dzień dobry! – zawołał do nas. – Jak się macie? – Patrzyłam przerażona, jak spuścił nogi z łóżka i skoczył na stopy.

– Tato, co ty wyprawiasz? – krzyknęłam. Zachwiał się lekko, a ja podbiegłam do niego w samą porę, żeby go złapać. – Z powrotem do łóżka, natychmiast!

– Nic mi nie jest! – Starł się ode mnie odpędzić. – Po prostu potrzebowałem porządnie się wyspać. Te szpitalne łóżka, mówię ci, nie wiem, z czego oni je robią, ale są miękkie jak chmurka! Cukiereczku, musimy sprawić sobie takie do domu.

– Wydaje mi się, że mówisz raczej o morfinie niż o materacu – zauważyła Candace. – A teraz posłuchaj córki i wracaj do łóżka. Ten miły doktor powiedział, że masz zachowywać się spokojnie!

– Jestem spokojny! – upierał się, niechętnie przysiadając na krawędzi łóżka. – Tylko spójrz na mnie! Mówię ci, że nic mi nie jest! Nie ma powodu, żebym zajmował łóżko jakiemuś poważnie choremu człowiekowi.

– Miałeś wczoraj zawał – oznajmiłam. – Myślę, że to podpada pod kategorię „poważnej choroby”.

– Nie obchodzi mnie, co mówią lekarze. Co oni mogą wiedzieć? Czuję się jak nowo narodzony! Gdybyście zechciały dać mi trochę prywatności, chciałbym się ubrać.

A potem możemy ruszać. Jakbyście zapomniały, to dzisiaj jest ślub.

Candace usiadła obok niego na łóżku.

– Kotku, wiesz, że nie możesz pójść na ślub – powiedziała bardzo łagodnie. – Nie jesteś na siłach.

Tata wstał z powrotem.

– Jeśli sądzicie, że przegapię ślub mojej małej córeczki, to... jesteście w błędzie!

– Tato, pamiętasz, o czym rozmawialiśmy? – zapytałam głosem nauczycielki.

– O czym rozmawialiście? – zapytała Candace.

– Wiem, wiem – zignorował ją tata. – Ale to co innego! To ślub Piper!

– Rozmawialiśmy już z Piper, wszystko jej wyjaśniłyśmy, wszystko jest załatwione. Oczywiście, że wszyscy woleliby, żebyś był na ślubie, ale to zbyt ryzykowne. Lekarz powiedział...

– Doktor może mnie pocałować w mój biały amerykański tyłek! – wrzasnął, a stojący w kącie monitor zaczął wydawać niepokojące dźwięki.

– Musisz się uspokoić – nakazała Candace, ciągnąc go na łóżko. – Nie denerwuj się!

– Mówisz mi, że nie mogę pójść na ślub mojej córki, a potem żebym się nie denerwował? Czy to jakiś spisek?

Monitor pikał wściekle, odnotowując nierówne bicie jego serca. Do sali wpadła zdyszana pulchna pielęgniarka, a za nią kroczył nieznany mi lekarz.

– Opuścić pokój! – powiedział do mnie i Candace.

Spojrzałyśmy na niego w szoku, jakby przyłapał nas na biciu taty lub próbie uduszenia go poduszką.

– Proszę – powiedział łagodnie. – Tylko na chwilę.

Niechętnie spełniłyśmy jego prośbę.

Przez drzwi słyszałyśmy spokojne, acz stanowcze słowa przestrogi, jakie lekarz skierował do mojego ojca, oraz trochę bardziej zirytowane napomnienia pielęgniarki. Ojciec próbował się stawiać, później przypodobać, oczarować, a na końcu błagać. Lekarz wyszedł od niego, potrząsając głową. Jego włosy nadal były mokre po porannym prysznicu i roztaczał wokół przyjemny cytrynowy zapach.

– Pani ojciec jest bardzo uparty – stwierdził.

– To prawda – przyznałam, uśmiechając się z dumą.

– Proszę się postarać, żeby miał spokój. Nie może tutaj urządzać scen, to jest szpital, nie stadion piłkarski.

– Przepraszam – powiedziała Candace. – To się już nie powtórzy. Po prostu ucieszyłyśmy się, widząc go takiego jak zawsze.

– Jeśli jest taki zawsze – westchnął doktor – to nie dziwię się, że dostał zawału.

– Pracujemy nad nim – odparłam i weszłyśmy z powrotem do pokoju z uśmiechami na twarzy.

– Będziesz się zachowywał? – zapytała Candace, siadając na łóżku.

– To miejsce jest jak obóz jeniecki – wymamrotał tata, ale widać było, że już nie będzie z nami walczył.

– Zrobimy mnóstwo zdjęć – zapewniła go Candace, poklepując go po ręce. –

I przyjadę do ciebie zaraz po ceremonii, żeby wszystko ci opowiedzieć.

– O nie, absolutnie – powiedział. – Musisz iść na przyjęcie! Musisz wypić tyle, żeby doprowadzić Boba Armstronga do ruiny! Musisz tańczyć do rana! Chcę zobaczyć zdjęcia, jak huśtasz się na żyrandolu!

– Alec!

– Chcę, żebyś się dobrze bawiła. Wiem, że nie miałaś na to szansy przez kilka ostatnich lat – dodał, uśmiechając się smutno.

– Kochanie, czy ty nadal nie rozumiesz, że ja bawię się dobrze tylko z tobą u mojego boku? Obojętnie, ile szampana płynie... jeśli ciebie nie ma, nie ma sensu go pić.

Pochyliła się i pocałowała ojca w środek czoła, a on ukradkiem otarł łzę.

– Poczekam na zewnątrz – powiedziałam, kierując się do drzwi.

– Nie ma potrzeby, żebyś wychodziła, dziecinko – rzekła Candace.

Spojrzała na mnie i zobaczyłam, że ma łzy w oczach, i ja również o mało się nie rozpłakałam.

Tata podniósł się na łóżku.

– Musicie się już zbierać – ponaglił. – Wiem, że macie mnóstwo roboty przed ślubem, a Piper potrzebuje was obu blisko siebie. Powiedzcie jej, że... – Urwał, żeby wziąć głęboki oddech. – Powiedzcie jej, że ją kocham.

– Przyniosę ci kawałek tortu – obiecała Candace, na które to słowa trąciłam ją lekko i wskazałam na monitor. – A, racja, może nie tortu.

– No, zbierajcie się już! – powiedział, a my pocałowaliśmy go jeszcze na do widzenia.

Tym razem monitor się nie rozszalał.

Kiedy wychodziłyśmy, spojrzałam na niego. Cała butność go opuściła i wyglądał, jakby uszło z niego powietrze, niczym balon po skończonym przyjęciu.

Zostawiłam Candace w Bugle Hall, a sama udałam się na zamek. Kilka osób popatrzyło na mnie z zainteresowaniem, czego powodem, jak podejrzewam, była moja wczorajsza koktajlowa sukienka i ptasie gniazdo na głowie, ale wieści o wypadku rozchodziły się szybko i wkrótce odnoszono się do mnie jedynie ze współczuciem. Nie zwracałam na to uwagi, ponieważ nie lubię współczucia od obcych.

– Dobra – powiedziałam do siebie, wchodząc do holu. – Jedziemy z tym cyrkiem!

Kolejne półtorej godziny wypełniła mi gipsówka, świece i żurawie z origami. Miały miejsce różne wypadki: małe (nieznacznie krzywy tort weselny, nic, czego kilka wykałaczek ukradzionych z kuchni nie mogłoby naprawić) i większe (cała paczka z karteczkami z imionami gości zaginęła na ponad godzinę, aby znaleźć się w lodówce przemysłowej). Catering się spóźnił, a kiedy przyjechał, okazało się, że nie ma bezglutenowych blinów. Urzędnik stanu cywilnego się zgubił. Pies leśniczego (uwierzycie, że mają tu leśniczego?) splądrował namiot ślubny, zjadając jeden ze wspaniałych bukietów Madison, ale na szczęście był jeszcze zapasowy. Jeden z dzieciaków zatrudnionych do roznoszenia szampana postanowił otworzyć butelkę przed ceremonią i znaleźliśmy go w toalecie. W skrócie, było o krok od katastrofy, ale do niej nie doszło. Co samo w sobie było super, bo dzięki temu nie miałam czasu myśleć o moim ojcu, który w szpitalnym łóżku wyglądał na małego i zagubionego.



W końcu, kiedy przynajmniej na chwilę zapanował ład i porządek, ruszyłam do Bugle Hall, aby spróbować przeistoczyć się w coś, co choć przypominałoby druhnę. Nie byłam pewna, jakie mam szanse.

Kiedy weszłam do środka, panowała cisza, jeśli nie liczyć jęku suszarki dobiegającego z piętra. Westchnęłam z ulgą i udałam się do kuchni, aby wyblagać kubek kawy od pani Willocks.

– Ruby? Czy to ty?

Na szczycie schodów zjawiała się Piper, ubrana w różowy satynowy szlafrok z wyhaftowanymi słowami „Panna młoda” na plecach. Włosy miała nawinięte na ogromne wałki, na twarzy perfekcyjny makijaż, ale jej oczy były zmęczone i zapadnięte.

– Jak się ma tata? – zapytała.

– W porządku – powiedziałam. – Kazał powtórzyć ci, że cię kocha i będzie myślał o tobie cały dzień. – Postanowiłam nie wspominać jej o reakcji ojca, kiedy dowiedział się o tym, że nie pójdzie na ślub.

– Nie mogę w to uwierzyć, że nie będzie go przy mnie, kiedy zostanę panią Armstrong. – Jej oczy napełniły się łzami.

Wbiegłam po schodach i objęłam ją.

– Wiem – odrzekłam. – Ale dziś jest twój ślub. Byłoby mu przykro, gdyby wiedział, że płaczesz. Poza tym zepsujesz sobie makijaż.

Uśmiechnęła się blado.

– Wiem – odparła, przykładając chusteczkę do kąćków oczu. – Cholera, makijażystka mnie zabije. Chodź, wszyscy są u mnie w pokoju.

Poszłam za nią do sypialni. Figurki pani Willocks zagubiły się wśród ślubnych rekwizytów. Na narzucie na łóżku leżały rozłożone pędzle do makijażu, buteleczki z pudrem brązującym oraz mokre chusteczki. Ktoś włączył Taylor Swift na iPhone, więc w pokoju panowała atmosfera sztucznej radości. Tylor i Madison z szeroko otwartymi oczami i ustami nakładały tusz na rzęsy. Kiedy weszłam, odwróciły się i uśmiechnęły, a ja zobaczyłam, że obie miały na sobie podkoszulki z hasztagiem #PipsSieHajta.

– Madison zrobiła je na wieczór panieński w Miami – wyjaśniła Tylor. – Jest też jeden dla ciebie.

Miała na tyle wyczucia smaku, że zrobiło jej się głupio, kiedy wręczała mi podkoszulek z napisem NACZELNA JĘDZA.

– Bo jesteś główną druhną – wyjaśniła. – Przepraszam, teraz to się wydaje niestosowne.

– Jest super – powiedziałam, wkładając go przez głowę. Właściwie była to prawda, bo kiedy nadarzy się inna okazja, żeby ktoś obdarował mnie takim podkoszulkiem?

– Co z twoim tatą? – zapytała.

– Jest trochę zmęczony, ale wszystko będzie dobrze – mówiąc to, poczułam dużą ulgę.

– Dzięki Bogu – powiedziała Madison. – Tak bardzo się martwiłyśmy.

Nigdy nie miałam paczki przyjaciółek – zawsze byłyśmy tylko Jess i ja – ale w tym pokoju, dusznym od lakieru do włosów, perfum i owocowych żeli pod prysznic, widząc troskę na ich twarzach, zrozumiałam, w czym tkwił urok.

– Ruby – powiedziała Piper. – Nie chcę być niegrzeczna, ale do mojego ślubu zostały tylko trzy godziny, a ty wyglądasz dosłownie jak prostytutka, i to wcale nie luksusowa. Natychmiast musisz iść pod prysznic. Jeśli się pospieszysz, może uda mi się namówić makijażystkę i fryzjerkę, żeby wróciły i uruchomiły dla ciebie swoją magię.

– Zdecydowanie potrzebuję całej ich magii – odparłam i pobiegłam do swojego pokoju.

Zamknęłam za sobą drzwi. Moje łóżko wyglądało boleśnie zachęcająco, mimo że znajdowało się w otoczeniu porcelanowych lalek, które pilnowały go niczym straż. Wiedziałam jednak, że nie mogę się położyć, nawet na minutę. Za dwanaście godzin będzie po wszystkim i będę mogła położyć się w chłodnej pościeli i wyspać za wszystkie czasy, lecz na razie musiałam zapomnieć o śnie. Ale jednego nie mogłam odpuścić.

Chodziłam po pokoju, czekając na połączenie.

– Hej, kurczaku, co słychać? Pozbyłaś się już bliźniaczek?

Na dźwięk głosu Jess wybuchnęłam płaczem.

– Ruby? – dopytywała się. – Co się dzieje?

Wzięłam głęboki, rwący się oddech.

– Mój tata miał zawał – udało mi się wydusić z siebie, zanim zalałam się łzami od nowa.

– O cholera! BEN! – zawołała. – Możesz wziąć Noaha ode mnie? – Cisza, stłumione odgłosy, zamykane drzwi. – Jesteś tam, Ruby? Mów do mnie, co się stało? Co z nim?

– Będzie zdrowy – powiedziałam. – Ale, o Boże, tak bardzo się bałam. On po prostu... upadł. Ot tak, na środku restauracji, wśród wszystkich tych ludzi. Nikt nie mógł mu pomóc. A później przyjechał ambulans i podpięli go do tylu różnych rzeczy... był taki mały, Jess! I taki stary! Myślałam, że umrze.

– Wiem, kochanie, wiem. Przykro mi. Ale lekarze mówią, że się wyliże?

Pokiwałam głową.

– Ruby?

– Tak – przełknęłam szloch. – Wróci do zdrowia.

– Dzięki Bogu.

– Przepraszam, że jestem w takim stanie – powiedziałam, nie mogąc uwierzyć, że aż tak straciłam nad sobą panowanie. Miałam dziś być silna, a nie płakać jak wariatka. Nie mogłam pozwolić sobie na słabość. Nie teraz i nie nigdy. – Wiem, że masz tyle rzeczy na głowie, jesteś w ciąży, a ja dzwonię do ciebie i wypłakuję się! Nie przejmuj się mną! Już mi lepiej! – wyrzucałam z siebie kolejne słowa, usiłując wyrównać oddech. Nie byłam pewna, kogo próbowałam przekonać: siebie czy ją. Na żadną z nas to nie działało.

– Twój tata miał zawał. Możesz nie czuć się okej. I dlaczego, do cholery, mnie przepraszasz? Jesteś moją przyjaciółką. Masz obowiązek się przede mną wypłakiwać!

– Przepraszam – powiedziałam, tym razem ciszej.

– Ruby, posłuchaj. Jesteś człowiekiem. Masz prawo czuć się smutna, wystraszona, zła. Masz prawo czuć. Przestań racjonalizować życie.

– Przepraszam – wyszeptałam, zupełnie jakby przepraszanie stało się moim niekontrolowanym tikiem nerwowym.

– O mój Boże, przestań!

– Przepraszam! Przepraszam!

Obie zaczęłyśmy się śmiać, dzikim, radosnym, niepowstrzymanym śmiechem, który zdarza się tylko w najmniej stosownych momentach.

– Muszę się przygotować na ten pieprzony ślub – powiedziałam w końcu.

– W porządku. Ja muszę przygotować się na to pieprzone dziecko. Tak w ogóle to zaczął mi się poród.

Nie mogłam w to uwierzyć.

– Niemożliwe. Dlaczego, do cholery, rozmawiasz ze mną przez telefon?

– Wszystko w porządku. Mam na razie rozwarcie tylko na trzy centymetry. Mam przed sobą długie godziny, zanim rozwali mi pochwę. Czy mówiłam ci już, że lekarz powiedział mi, że dziecko ma niespotykane dużą głowę? Dzięki, doktoru!

– Będzie dobrze! – zawyrokowałam, choć na samą myśl robiło mi się niedobrze.

– Powinnaś się położyć. A może powinnaś raczej chodzić? Powinnaś robić to, co się robi podczas porodu.

– Narkotyzować się i wrzeszczeć na męża?

– Dokładnie – przytaknęłam ochoczo. – Kocham cię. Świetnie sobie poradzisz. Daj znać, jak tylko urodzisz.

– Oczywiście. Też cię kocham. Informuj mnie o swoim tacie. I proszę cię, odpuść sobie trochę, dobrze?

– Nigdy – odparłam z uśmiechem, bo już mi było lżej, a potem rozłączyłam się i pobiegłam pod prysznic, pozwalając ciepłej wodzie zmyć ze mnie zapach szpitala i adrenaliny.

Wymyta, wysuszona, dumnie prezentując podkoszulek z napisem NACZELNA JĘDZA, ruszyłam do pokoju Piper. W korytarzu minęłam Madison, która posłała mi szybki uśmiech i zeszła po schodach. Wyjrzałam przez poręcz i zobaczyłam, że na dole czekał na nią Ethan, który uśmiechnął się na jej widok i powiedział coś, na co ona odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się. Oczywiście nie miała już we włosach wałków, a po plecach spływały jej karmelowe loki. Dopiero teraz zauważyłam, że jej podkoszulek #PipsSięHajta był na tyle krótki, że odsłaniał brzuch, i po cichu zmówiłam modlitwę do wszystkich bogów przemiany materii, żeby ukarali ją szybko i sprawiedliwie. Niech szlag trafi kobiecą solidarność. Patrzyłam, jak oboje wyszli na zewnątrz. Wyglądali jak para winowajców, jak osoby, które łączy mroczny sekret.

Pewnie nie chciałabym go poznać, nawet gdyby go rozgłaszali.

## Kiedyś

– Proszę bardzo, Atlas. Wyglądasz, jakbyś tego potrzebowała. – Jefferson postawił na biurku Ruby kawę i uśmiechnął się do niej jak jakiś dobroduszny, złotowłosy bóg.

Ruby spojrzała na napis umieszczony na niebieskim papierowym kubku: „W końcu znalazł się ktoś, kto cieszy się, że mnie obsłużył”.

– Dzięki – powiedziała nerwowo.

Jefferson zawsze tak na nią działał i nie pomagało nawet to, że jako jedyny w firmie widział w niej osobę, a nie szafę na dokumenty czy ekspres do kawy. A może właśnie dlatego ją niepokoił: tak się przyzwyczaiła, że jest traktowana jako wyposażenie biurowe, że kiedy ktoś zwracał się do niej jak do człowieka, czuła się zagubiona. W dodatku Jefferson był bardzo przystojny i zawsze mówił do niej po nazwisku, co z jakichś niewyjaśnionych przyczyn miało podtekst erotyczny.

Ruby upiła łyk. Kawa była bardzo gorąca, więc poparzyła sobie język, ale udało jej się nie skrzywić. To była pierwsza rzecz, jakiej nauczyła się w tej pracy: nigdy się nie krzywić. Jej współpracownicy byli jak wampiry żywiące się nieszczęściem i spijające łyzy, jedynym sposobem na przetrwanie było zatem nigdy nie okazywać słabości. Nawet przy Jeffersonie, który szczerzył się jak wilk, przynosił jej kawę i zwracał się do niej po nazwisku. Zwłaszcza przy Jeffersonie.

Ruby czekała, aż sobie pójdzie – ponaglała go w myślach, aby móc spokojnie wypić kawę i ustabilizować ciśnienie krwi – ale on przysiadł na brzegu jej biurka i zaczął rozmowę.

– Widziałaś, w co się dziś ubrał Martin?

– Nie – skłamała.

Oczywiście, że widziała. Nie było fizycznej możliwości, żeby nie zwrócić na to uwagi. W tym momencie astronauta na stacji kosmicznej widzieli, co Martin miał na sobie. Tego ranka zjawił się w biurze ubrany w purpurowy zamszowy trencz i sztyblety, włosy miał zaczesane na czoło i natapirowane na czubku głowy. Wyglądał jak kogut w przebraniu.

– No dalej – powiedział, nachylając się do niej konspiracyjnie. – Wiem, że go widziałaś. Jak myślisz, dlaczego się tak wystroił? Zjazd modsów? Wieczór swingersów? Spotkanie anonimowych zбочeńców? – Ruby zaśmiała się wbrew sobie, więc Jefferson kontynuował. – Ale tak poważnie. Kto się tak ubiera? Wygląda, jakby się urwał z teledysku Echo & the Bunnymen. – Ruby nigdy nie słyszała o zespole Echo & the Bunnymen, ale zrozumiała, że Jefferson powiedział coś niezwykle mądrego i śmiesznego zarazem.

– Randka! – wypaliła bez zastanowienia. – To musi być randka! – Ruby wiedziała o tym, ponieważ sama robiła rezerwację w drogiej włoskiej restauracji w Tribeca i odbierała jego rzeczy z pralni, w tym koszmary purpurowy trencz.

– Skurczybyk – powiedział Jefferson. – Nie wierzę, że udało mu się kogoś do tego namówić. Jakim sposobem? Jak myślisz? Randka w ciemno? Jakiś szemrany portal internetowy? Nie ma szans, żeby poderwał kogoś w barze albo na ulicy. Nawet gdyby ten ktoś wpadł prosto na niego.

Ruby wzruszyła ramionami, nie chcąc dać się wciągnąć w tę rozmowę, tak na wypadek gdyby to była jakaś zasadzka, mająca na celu zwolnienie jej w trybie natychmiastowym. Zaledwie w zeszłym tygodniu jeden z copywriterów stracił pracę, ponieważ podczas spotkania narysował w zeszycie ludzika. Szef zauważył to kątem oka i doszedł do wniosku, że biedny chłopak się z niego nabija (fakt, można było dostrzec pewne podobieństwo w podbródku). Został z miejsca zwolniony. Nikt nie był więc bezpieczny. Oprócz Jeffersona, który był zbyt utalentowany, żeby Paul go kiedykolwiek zwolnił, i który, jak szeptały między sobą Tara i Melanie, przyciągał jakieś trzy czwarte zamówień. Ruby jednak żyła w ciągłym strachu, że zostanie zwolniona, i to bez referencji.

– Dobrze dla niego – powiedział, kontynuując mimo wszystko. – Mam nadzieję, że coś zaliczy. Naprawdę tego potrzebuje. – Jefferson wyciągnął z kieszeni jabłko i zaczął polerować je o spodnie. – A ty, jakie masz cuda zaplanowane na ten weekend? – zapytał. – Co teraz dzieciaki porabiają w wielkim mieście? – Ugryzł kawałek jabłka i wpatrywał się w nią intensywnie, przeżuwając kęs.

Tyle że Ruby nadal nie miała pojęcia, co ludzie w jej wieku robią w weekendy w Nowym Jorku – jeśli wierzyć Jessice, biorą amfetaminopochodny adderall i środki uspokajające dla koni – ale ten raz przynajmniej miała jakieś plany.

– Przyjeżdża do mnie mój chłopak – powiedziała z dumą w głosie.

Wcześniej nie wspominała w pracy o Ethanie – zwłaszcza że nikt jej nie pytał – więc teraz była podekscytowana, mówiąc o nim. Jasne, w pracy mogła być popychadłem od robienia kawy, ale na zewnątrz był ktoś, kto pragnął jej i uważał, że jest po prostu wspaniała. Na samą tę myśl jej kąciki ust się uniosły, jakby ktoś pociągnął za dwa niewidzialne sznurki.

– Naprawdę? – rzekł tonem, którego nie potrafiła zinterpretować. – Nie wiedziałem, że masz chłopaka, Atlas! Zawsze byłem przekonany, że jesteś czarnym koniem. Jak się nazywa szczęściarz?

– Ethan – powiedziała zbyt defensywnie. – Ethan Bailey.

Zastanawiał się nad tym, żując kolejny kawałek jabłka.

– Więc czym się ten Ethan Bailey zajmuje?

– Projektuje technologie.

– Ach tak? A dla kogo pracuje? Znam większość.

– Właściwie to nie pracuje dla nikogo.

– Czyli jest wolnym strzelcem? Nad czym pracuje?

– Pracuje nad jakimiś własnymi projektami – wymamrotała Ruby, udając, że studiuje listę zadań, która od rana znacznie się wydłużyła. – Jest naprawdę niesamowitym artystą – dodała. – Potrafi wszystko narysować. Jest też barmanem.

– Prawdziwy człowiek renesansu – odparł Jefferson i tym razem Ruby wyraźnie usłyszała nowy, niechętny ton w jego głosie. – W jakim barze pracuje? Może znam to miejsce?

– To bar w naszym mieście w Massachusetts – przyznała, zupełnie już nieszczęśliwa.

Nastąpiła długa cisza, w której oboje analizowali jej słowa. W końcu Jefferson ugryzł ostatni kawałek jabłka i wyrzucił ogryzek do kosza pod jej biurkiem.

– Mam nadzieję, że będziecie dobrze się bawić – powiedział. – Pamiętaj, żeby pokazać swojemu chłopakowi wszystkie atrakcje, które nasze piękne miasto ma do zaoferowania: haniebnie przepłacanych bankierów, zagubionych imigrantów, zbrojeńców w metrze i hordy gapiących się turystów. No wiesz, wersja luksusowa.

– Właściwie to wynajmuję mieszkanie od takich zagubionych imigrantów i przyciągam zbrojeńców, więc te dwa punkty Ethan ma jak w banku.

– Podoba mi się – oznajmił, salutując nieznacznie, zanim sobie poszedł.

Ruby patrzyła za nim z uczuciem głębokiego niepokoju. Nie powiedział o Ethanie nic, co można by uznać za niegrzeczne, ale nadal miała poczucie, że razem z Jeffersonem skrzywdziła jakoś swojego chłopaka, spotwarzyła go. Jefferson sprawdził Ethana swoimi pytaniami i nie ulegało wątpliwości, że ten oblał test. Teraz w oczach Ruby Ethan nie wyglądał już tak dobrze, a ekscytacja z okazji jego przyjazdu nieco opadła.

Upiła łyk kawy i wyrzuciła nadal pełny kubek do kosza, ochlapując przy tym szary dywan. Już teraz czuła się dziwnie, a dodatkowa ilość kofeiny sprawiłaby, że latałaby po biurze jak koliber.

– Mam nadzieję, że to posprzątasz – szepnęła do niej Tara albo Melanie. – Martin ma świra na punkcie tego dywanu.

Resztę dnia Ruby spędziła pomiędzy szaleństwem pracy a szaleńczym wyszukiwaniem atrakcji Nowego Jorku, barów, o których mogłaby kłamać, że w nich bywa. Była zdeterminowana, by udowodnić Ethanowi, że do perfekcji opanowała życie w wielkim mieście. Że poruszała się po metrze ze swobodą, że zamawiała kawałek pizzy bez uczucia narastającej paranoi, że chodziła ulicami, nie martwiąc się o to, że jest źle ubrana. Była zdeterminowana, by przynajmniej na ten jeden weekend stać się wytrawną mieszkanką Nowego Jorku: stylową, długonogą i zadziorną. Przez jeden weekend nie chciała być Ruby Atlas – Przerażoną Wieśniaczką. Miała stać się Ruby Atlas – Miejską Wojowniczką.

W skrócie, zamierzała udawać, że jest Jessicą.

Dziesięć minut po dziewiętnastej, ledwo uniknąwszy zagazowania wodą po goleniu Martina, który właśnie wyszedł, Ruby sama postanowiła się urwać. Co okazało się problematyczne: Tara (albo Melanie) przyłapała ją w łazience na nakładaniu drżącą ręką eyelinera i prychnęła: „Wielka noc?”, a następnie, kiedy Ruby już wyłączyła komputer, położyła na jej biurku sto siedemdziesiąt pięć kopert – naprawdę trzeba to rozesłać jeszcze dziś. W końcu jednak udało jej się dojść do recepcji, gdzie Jefferson sączył piwo z jednym z pracowników działu kreatywnego.

– Idziesz zobaczyć się ze swoim chłopakiem? – zapytał nieco dziwnym, spiętym głosem.

Kiwnęła energicznie głową i z uśmiechem przyklejonym do ust wypadła na ulicę. Nareszcie wolność!

Oczywiście znów się zgubiła w drodze do Chinatown, lecz tym razem nie rozmyślała o tym, wszystko inne bowiem straciło znaczenie, kiedy drzwi autobusu się otworzyły i Ethan wdzięcznie zeskoczył na chodnik, biorąc ją w ramiona i całując. Następnie bardzo stary Chińczyk splunął niebezpiecznie blisko jej lewej stopy, ale tym również się nie przejęła. Liczył się dla niej jedynie zielonożłoty kolor oczu Ethana

w świetle ulicznej lampy i jego zapach, którego nie sposób było nie poczuć po czterech godzinach jazdy tanimi liniami. Jego uśmiech, kiedy ją dostrzegł, jakby składała się z milionów małych gwiazdeczek, i to, jak całe napięcie, które czuła w ramionach, nagle zupełnie ustąpiło. Myślała tylko o tym, nawet kiedy Chińczyk splunął ponownie, tym razem trafiając w czubek jej nowego buta.

– Wynośmy się stąd – powiedział Ethan, zarzucając na ramię swoją starą torbę i biorąc Ruby za rękę.

Poprowadziła go Canal Street na stację metra, z której odjeżdżały pociągi linii R (wielokrotnie sprawdzała jej trasę, zanim odebrała Ethana). Wręczyła mu zakupioną wcześniej kartę na metro i przyłożyła do czytnika swoją, czując się dumna, że ma miesięczny abonament. W końcu czuła się jak tutejsza: tylko miejscowi mają miesięczne karty na metro, bez problemu poruszają się po Canal Street i nie przejmują się spluwającymi starymi Chińczykami. Jak do tej pory szło świetnie.

Jedną ręką trzymała się poręczy, a drugą Ethana, kiedy przejeżdżali przez Rector, Whitehall i Court Street – miejsca, które znała tylko jako podziemne stacje, ponieważ nigdy nie zebrała się na odwagę, aby wyjść na górę i się z nimi zaznajomić.

– Tutaj wysiada się do Junior's Cheesecake – powiedziała, kiedy z piskiem zatrzymali się na stacji DeKalb Avenue.

– Naprawdę? – Był pod wrażeniem. – Byłaś tam?

– Parę razy – skłamała.

Wysiedli na stacji Prospect Avenue, mrugając oczami i zanurzając się w kakofonii ulicy. Było zimno, pierwsza mroźna noc, więc ich oddechy uwidaczniały się jako obłoczki pary.

– Witaj, skarbie – przywitał ją właściciel sklepu. – Czego potrzebujesz? Więcej wina? Dopalam papierosa, ale jeśli chcesz, mogę wejść i obsłużyć cię od razu.

– Nie, nie, nie trzeba – odparła, zawstydzona. – Idziemy do domu.

– A to kto? – zapytał z błyskiem w oku. – Masz przyjaciela? Nie wiedziałem, że masz kogoś!

– Tak! – zawołała nagle rozochociona Ruby. – To mój chłopak, Ethan. Ethan, to jest...

– Roberto! – powiedział sklepikarz, podając Ethanowi rękę i potrząsając nią energicznie. – Każdy przyjaciel Ruby jest moim przyjacielem. To moja najlepsza klientka, wiesz. Przychodzi każdego wieczoru i kupuje to samo. Każdego wieczoru! Można na niej polegać.

– Dzięki, Roberto – wymruczała Ruby.

– Każdego wieczoru, co? – uśmiechnął się Ethan, unosząc brwi.

– Przesadza.

– Każdego wieczoru! – zawołał Roberto już z wnętrza sklepu, gdzie zamasyście czyścił i tak czyste półki.

Ruby pociągnęła Ethana za sobą.

– Chodźmy do mieszkania, mam wielkie plany na dzisiejszy wieczór, więc musimy zacząć.

– Doprawdy? – zapytał Ethan, ruszając brwiami w parodii lubieżności. – W takim

razie prowadź.

Pożegnali się z Robertem, który nie mógł uwierzyć, że Ruby nie kupiła swoich zwyczajowych dwóch butelek wina i paczki falafeli, i ruszyli wzdłuż Trzeciej Alei do mieszkania Ruby.

– Tutaj mieszkasz? – zapytał zmartwiony, rozglądając się po okolicy. – Wygląda trochę... groźnie.

– Wręcz przeciwnie, tu jest zupełnie bezpiecznie – odparła, a wypowiadając te słowa, po raz pierwszy w nie uwierzyła. Spojrzała na budynek z czerwonej cegły, na śmieci w bezlistnych gałęziach okolicznych krzewów i nagle poczuła się z tego wszystkiego niewiarygodnie dumna. – To tutaj – powiedziała, zamasyżując otwierając drzwi.

Ethan ostrożnie wszedł na korytarz.

– Trochę tu ciemno, nie?

Żarówka przepaliła się kilka tygodni temu, ale nikt nie przyszedł jej wymienić. A Kim, ich współlokatorka, z tego powodu zaczęła zostawiać w mieszkaniu gniewne liściki. Ani Ruby, ani Jess nie wiedziały, czego od nich oczekiwała – nie miały drabiny, a poza tym to była sprawa właścicieli, tyle że Kim była nieugięta. Na szczęście dla nich współlokatorka była jedynie duchem, który opłacał czynsz i zostawiał pasywno-agresywne wiadomości na samoprzylepnych karteczkach, więc z łatwością ją ignorowały.

– To żaden problem – rzekła Ruby, chociaż co wieczór przychodziła z pracy sparaliżowana lękiem na samą myśl, co może przytrafić się jej w ciemnym korytarzu. Włożyła klucz do zamka, przekręciła go tyle razy, ile było trzeba, i otworzyła drzwi. – Oto mój dom! – zaszczebiotała.

– A więc to tu, co?

Ruby patrzyła, jak Ethan rozglądał się po maleńkiej kuchni, salonie z poplamioną podłogą i ogromną pomarańczową kanapą stojącą przy tylnej ścianie. Sterta błyszczących magazynów leżała na ciężkim drewnianym stoliku kawowym, którego blat był nierówny i poznaczony niezliczonymi śladami po szklankach. Na środku salonu leżała sterta ubrań, nie wiadomo, czy czystych, czy brudnych, i popielniczka, z której wysypywały się pety i karaluchy. Kiedy Ruby wychodziła rano do pracy, Jess jeszcze nie wróciła do domu po całonocnej imprezie – wyglądało na to, że impreza miała swój dalszy ciąg w domu...

– Chcesz się czegoś napić? – spytała, idąc do kuchni, i nie czekając na odpowiedź, wyciągnęła dwie puszki piwa. Poczowała, że linoleum w kuchni lepi się do jej butów. – Przepraszam, zwykle nie jest tu aż tak brudno – powiedziała, co nie było pełnym kłamstwem. W poprzedni weekend sprzątała, a przynajmniej zaczęła, zanim się upiła i zaległa przed *Wzgórzami Hollywood*.

– Nie przejmuj się, wiem, jakie są dziewczyny. – Wziął od niej piwo i z wdzięcznością upił spory łyk. – A mówiąc o dziewczynach... – powiedział, obejmując ją w talii. – Myślenie o tobie doprowadza mnie do szaleństwa.

– Mnie też – odparła, wyrывая mu się. – Ale teraz nie ma na to czasu! Mamy rezerwację w Hothouse, a Jess zapewniała mnie, że to najmodniejsza restauracja w Park Slope. Kuchnia fusion. Tajska i chilijska? Włoska i indyjska? Nie pamiętam. Ale ma być cudownie i żeby zdążyć, musimy wyjść dosłownie w tym momencie.



– Dopiero co przyjechałem! – Znow spróbował ją objąć, ale i tym razem mu się wymknęła.

– Wiem, ale na miejsce w tej restauracji czeka się pół roku! Jess wykorzystała swoje znajomości, żeby nas tam wkreślić. Chciałam wziąć cię w jakieś wyjątkowe miejsce twojego pierwszego wieczoru. Pokazać ci coś, co jest bardzo nowojorskie.

Ethan przeczesał włosy dłonią i westchnął.

– Ruby, ani trochę nie zależy mi na najmodniejszej restauracji w Park Slope, cokolwiek by to było.

– To praktycznie nowy Williamsburg – wypowiedziała się ze znanstwem.

– Obojętnie. Zrozum, jestem wykończony. Dzisiaj w nocy pracowałem do późna, a potem przez wiele godzin siedziałem w tym obrzydliwym autobusie z ludźmi, którzy pachnieli jak kapusta. – Przyciągnął ją do siebie, a ona opierała się tylko przez chwilę. Dobrze było się poddać, choćby na moment. – Połóżmy się na kanapie przed telewizorem i zamówmy jakieś jedzenie. Tak jak zwykle, dobrze?

– W Nowym Jorku nie ma „jak zwykle” – odrzekła, czując się dowcipna i wielkowiejska, kiedy usłyszała własne słowa. – Chodź, będzie wspaniale. Obiecuję.

Westchnął i ściągnął podkoszulek.

– Pozwól mi chociaż wziąć prysznic, dobrze? Ale, żeby było jasne, oczekuję za to rekompensaty w seksie.

– Zgoda.

Teraz

Piper, oszłamiająco piękna w sukni ślubnej z salonu mody Marchesa, uśmiechała się, kiedy wszystkie się wokół niej krzątałyśmy. Na zmianę podawałyśmy jej szampana, poprawiałyśmy błyszczący na jej ustach i wsuwki podtrzymujące jej wysoko upięte blond loki. Po godzinie w potwornych szyfonowych sukienkach drухen (limonkowy to zdecydowanie nie mój kolor) wszystko zaczynało nas drapać i zdążyłyśmy się spocić, a nasze doskonale wykonane makijaże powoli spływały. Od czasu do czasu ktoś z cateringu, urzędnik stanu cywilnego lub inny ciekawski zaglądał do pokoju, a Piper chowała się wtedy w łazience. Reszta z nas uśmiechała się do przybyczy serdecznie w nadziei, że przemycili nam jakieś jedzenie. Nic jeszcze nie jadłyśmy i zaczynałam się obawiać, że któraś z nas skończy na YouTube jako jedna z tych drухen, co to mdleją przed ołtarzem, pociągając za sobą pannę młodą.

Kiedy przyjechałyśmy i weszłyśmy do głównego holu zamku Bamburgh, Tylor zamarła.

– To wygląda zupełnie jak Disney World – powiedziała z ustami otwartymi ze zdziwienia.

W rozmiarze i skali tego miejsca było coś nierealnego: wysokie kamienne ściany, sklepione sufity, niekończące się parkiety. Wiedziałam, że zamek powstał prawie tysiąc lat wcześniej, kamień po kamieniu budowany przez wieśniaków, ale nadal ciężko było mi uwierzyć, że to miejsce nie stanowi scenografii do baśni, że było prawdziwe.

Teraz siedziałyśmy zamknięte w jakiejś wieży, z dala od wścibskich oczu. Podejrzewałam, że nie byłyśmy pierwszymi kobietami uwięzionymi w tym zamku. Cięża, poród, zaraza, szaleństwo – zawsze znajdzie się powód, by wysłać kobietę w jakieś odległe miejsce. Tym razem chodziło o to, żeby zachować piękno panny młodej do momentu, gdy będzie mogła nim uszczęśliwić przyszłego męża, oczekującego na nią przed ołtarzem. Do tego czasu należało ukrywać, chronić i strzec Piper jak największy sekret. Sekret, który w tym momencie był już lekko wstawiony.

– Chcesz więcej szampana? – zapytała Madison, przechylając butelkę w kierunku panny młodej.

– Och tak, poproszę!

Byłam zadowolona, widząc, że część jej smutku zniknęła, i wyglądało na to, że dobrze się bawi. Wiedziałam, że uroczystość nie przebiegała zgodnie z jej planem (ani z niczym), ale cieszyłam się, że jest szczęśliwa. W końcu to był dzień jej ślubu, a Piper marzyła o nim od dziecka.

Ktoś zapukał do drzwi i Piper krzyknęła.

– Poczekajcie, muszę się schować!

Chciałam powiedzieć, że właściwie to nie musi chować się przed wszystkimi – to nie była jakaś luksusowa wersja zabawy w chowanego – ale ona już zdążyła zamknąć się w łazience.

Otworzyłam drzwi, przed którymi stała Candace w intensywnie różowej obcisłej sukience i w butach na niebezpiecznie wysokiej platformie. Jej makijaż był perfekcyjny, a włosy ułożone w spływające blond fale. Na środku głowy miała stroik z piórami, które

splywały jej nad twarzą, sięgając aż do ramion. Wyglądała jak egzotyczna orchidea w pełni rozkwitu. Byłam pełna podziwu dla siły, jaką musiała się wykazać, żeby wciągnąć na siebie tę sukienkę i ułożyć pióra we włosach. Oto była teraz na ślubie swojej (nie zawsze łatwej i miłej) pasierbicy, w zamku, w obcym kraju, jej mąż leżał w szpitalu po drugiej stronie miasteczka, a ona mimo to była w stanie pomalować sobie paznokcie lepiej niż ja w najbardziej sprzyjających warunkach. Nagle poczułam przyływ obezwładniającego podziwu dla tej kobiety, która w ciągu tych dwudziestu lat skrycie, krok po kroku, stawała się moją zastępczą matką. Wzięłam ją za rękę.

– Wyglądasz wspaniale – powiedziałam i ucieszyłam się, widząc jej uśmiech.

– Ty również, dziecinko. – Zrobiło mi się miło, mimo iż wiedziałam, że to nieprawda. – Czy mogę porozmawiać z twoją siostrą na osobności? – zapytała, wchodząc do pokoju.

– Kto to? – spytała Piper, wyglądając zza drzwi łazienki. – Ach, to ty.

– Och, Piper – zwróciła się do niej Candace. – Wyglądasz tak... tak... – Ku przerażeniu nas wszystkich z jej oka spłynęła łza, a potem następna.

– Twój makijaż! – zawołałyśmy chórem, spiesząc ku niej z chusteczkami.

– Nie płacz! Nie płacz! – prosiłyśmy, ale chociaż Candace bardzo się starała, zupełnie straciła nad sobą kontrolę i jej twarz rozsypała się niczym stok, z którego zeszła lawina, a my mogłyśmy tylko patrzeć.

Piper podeszła do niej i położyła dłoń na jej ramieniu.

– Chodź, mam tutaj całe tony kosmetyków – powiedziała, prowadząc ją do łazienki. – Naprawimy co trzeba w mig. Tylko nie pobrudź mi sukienki.

Usłyszałyśmy zamykające się za nimi drzwi, a potem ich ściszone głosy i tylko od czasu do czasu pociągnięcia nosem. Nie chciałam podsłuchiwać (no dobra, chciałam, ale wiedziałam, że nie wypada), więc podeszłam do okna sprawdzić, czy zobaczę stamtąd przyjeżdżających gości. Zamiast nich moim oczom ukazał się duży biały van, który zatrzymał się przed głównym wejściem i z którego wysiadł Ethan. Właśnie pomyślałam, że pewnie samochód Vica się zepsuł, i uśmiechnęłam się pod nosem na myśl, że wspaniały Ethan Bailey musiał zajechać na ślub starym vanem, kiedy nagle ktoś dotknął mojego ramienia. Obróciłam się i zobaczyłam, że to Madison, która podała mi batonik z granoli.

– Znalazłam go na dnie torebki – powiedziała. – Chcesz trochę? Lepiej zjedzmy go szybko, zanim Piper wyjdzie z łazienki i zacznie na nas krzyczeć z powodu okruchów.

– Przełamała go i podała mi pół. – Jak się masz? – zapytała między kęsami. – Wiem, że musi być wam ciężko z powodu taty i w ogóle...

– Trzymam się – odparłam. – Ale dzięki za troskę. I za to, że jesteś taka dobra dla Piper. Wiem, że to dla niej wiele znaczy, że tu jesteście.

– Proszę cię – powiedziała. – Nie przegapiłybyśmy tego za nic w świecie. Piper jest pierwszą z moich przyjaciółek, która bierze ślub, czy to nie szalone?

– Całkowicie.

Nawet nie mogłam sobie przypomnieć pierwszego ślubu jakiejś mojej przyjaciółki, na którym byłam – czułam się, jakbym ostatnie dziesięć lat spędziła, jeżdżąc po całym kraju między czterogwiazdkowymi hotelami i country clubami, przerobionymi farmami,

resortami, łąkami i podwórkami rodzinnych domów, gdzie wznosiłam toasty szampanem ze średniej półki cenowej, podziwiałam wytłaczane karteczki z imionami gości i tańczyłam na bosaka do piosenek Vana Morrisona z różnymi wujkami o zbyt ruchliwych dłoniach.

– Jakbym mogła coś dla ciebie zrobić, to daj znać – powiedziała.

– Podzieliłaś się ze mną batonikiem, a w tej sytuacji to tak, jakbyś uratowała mi życie.

– Nie zapomnij ukryć dowodów!

Drzwi do łazienki otworzyły się i stanęła w nich odświeżona Candace, posyłając nam uśmiech, który mógł złamać niejedno serce. Za nią szła Piper – jej sukienka nadal była nieskazitelna – ale teraz na głowie miała małą srebrną tiarę.

– Dostałam to od Candace – wyjaśniła i z wyrazu jej twarzy zrozumiałam, że coś się między nimi zmieniło, a może raczej coś się zaczęło. – Jest przepiękna – powiedziałam i wszystkie zaczęłyśmy ją podziwiać.

Piper złapała mnie za rękę.

– Candace zaprowadzi mnie do ołtarza, czy to będzie dla ciebie w porządku?

Spojrzałam na Candace, która przyglądała mi się nerwowo.

– Ależ oczywiście! – odparłam. – Dlaczego miałyby mi to przeszkadzać?

– Nie wiem... Jesteś moją starszą siostrą, byłaś dla mnie... sama nie wierzę, że to mówię... jak matka, ale Candace też, naprawdę, więc skoro nie ma taty... Po prostu nie chcę cię urazić.

Candace podeszła do nas z wahaniem.

– Nigdy nie chciałabym się wtrącać między was – oznajmiła. – I wiem, że nigdy nie zastąpię wam matki, ale jesteście dla mnie jak córki i będę zaszczycona.

– Moim zdaniem to cudowne, że poprowadzisz Piper do ołtarza – odparłam zdecydowanie. – I kocham was obie, ale jeśli zaraz z tym nie skończycie, to zupełnie stracę nad sobą panowanie! – Otarłam łzy, które zagrażały kreskom na moich powiekach, i uścisnęłam je obie.

Ponownie rozległo się pukanie do drzwi i pojawił się zdenerwowany kelner.

– Nie chciałbym przeszkadzać – powiedział. – Ale ceremonia ma się właśnie rozpocząć, więc...

– Cholera!

Pokój eksplodował energią. Buty zostały włożone na stopy, luźne kosmyki włosów zostały upięte i spryskane lakierem, szminki poprawione i ostatnie łyki szampana dopite. Zeszliśmy po niebezpiecznie krętych schodach i zatrzymałyśmy się we foyer, gdzie kwartet smyczkowy czekał na umówiony znak. Spojrzałam w stronę głównego holu i zobaczyłam, że goście wyciągają już szyje w oczekiwaniu na pannę młodą. Z przodu stał Charlie, lekko się pocąc, z poźólkłą twarzą i absurdalnie kanciastymi kolanami wyglądającymi spod kiltu, który koniecznie uparł się włożyć. Obok niego stał Bob, odrobinę mniej blady, ale ze zdecydowanie bardziej kanciastymi kolanami, pomiędzy nimi zaś Ethan, a wszelkie mankamenty jego kolan skrywały doskonale wyprasowane spodnie. Wszyscy trzej wyglądali, jakby mieli zemdleć ze zdenerwowania.

– Jesteście gotowe? – wyszeptałam.

Tylor i Madison równocześnie pokiwały głowami, przyciskając do siebie swoje bukiety niczym małe, wonne tarcze. Candace delikatnie chwiała się na swoich platformach, ale poza tym była zupełnie niewzruszona, a jej mina wyrażała szczęście i trwogę równocześnie. Piper była zaróżowiona jak urodzona aktorka, gotowa do zajęcia należnego jej miejsca na samym środku sceny. Ułożyła usta w perfekcyjny uśmiech panny młodej – radosny, ale pełen skromności, musiała tygodniami ćwiczyć go przed lustrem – i skinęła do mnie głową.

– Powodzenia! – wyszeptałam.

Wzięłam głęboki oddech i dałam znak kwartetowi, że może zaczynać, zanim sama ruszyłam równymi krokami w kierunku ołtarza.

Jakie to dziwne, myślałam przy dźwiękach *Ave Maria*, iść do Ethana stojącego przed ołtarzem, ale bez możliwości zostania jego żoną. Podejrzywałam, że i jemu nie umknęła ironia tej chwili. Pochwycił moje spojrzenie, kiedy byłam w połowie drogi, i, przysięgam, coś błysnęło w jego oczach – cień dawno zapomnianego uczucia, niczym bóle fantomowe u osób z amputowanymi kończynami. Z całych sił skupiałam się na tym, by zachować kamienny wyraz twarzy, aż zaczęła mnie boleć szczęka.

Dopiero kiedy doszłam do ołtarza, zobaczyłam jego. W pierwszym rzędzie na wózku inwalidzkim siedział mój ojciec. Był okryty kocem, ale dostrzegłam, że miał na sobie swój smoking. Uśmiechnął się do mnie szeroko i mrugnął. Z jednej jego strony stał Chris, a z drugiej kobieta w stroju pielęgniarki, która obserwowała pracę jego serca na przenośnym monitorze. Tato pokazał mi uniesiony kciuk, po czym obrócił się, żeby popatrzeć na moją siostrę. Nie miałam pojęcia, że jednak będzie uczestniczył w ceremonii, ale byłam tak bardzo za to wdzięczna.

Goście podnieśli się ze swoich miejsc, kiedy zabrzmiały pierwsze dźwięki *Kanonu* Pachelbela. Obserwowałam wyraz zachwytu na twarzy Charliego, kiedy zobaczył Piper. A kiedy ona go dostrzegła, idealny, wyćwiczony uśmiech zniknął z jej twarzy, zastąpiony przez autentyczny i szeroki. Mogłam dostrzec jej dolne zęby wychylające się z nad wargi, czego nie znosiła, ponieważ były nieznacznie krzywe, jako że przez lata nie chciała nosić aparatu. Widok jej dolnych jedynek i zmrużonych ze szczęścia oczu (co zazwyczaj również było niedopuszczalne, bo powodowało zmarszczki) uświadomił mi, jak bardzo jest szczęśliwa i jak mocno kocha tego przerośniętego labradora, który miał lada chwila zostać jej mężem. Moje serce rozparła radość!

Piper dostrzegła ojca, zanim doszła do ołtarza.

– Tato! – zawołała i rzuciła się w jego ramiona, co sprawiło, że wszyscy, w tym i ja, się rozplakali.

– Wyglądasz pięknie – usłyszałam głos taty, co wywołało nową falę łez.

Dlaczego ktokolwiek nakłada makijaż na śluby, zastanawiałam się, patrząc przez sklezione tuszem rzęsy. Zauważyłam, że Ethanowi również błyszczały oczy – najwyraźniej nikt nie był na to odporny.

Ceremonia była piękna i, na szczęście, krótka. Para złożyła śluby, a potem oboje drżącymi palcami nałożyli sobie obrączki i pocałowali się, wywołując głośnie brawa oraz morze łez. Kiedy szli razem, już jako mąż i żona, biło od nich szczęście. Najpierw zatrzymali się, żeby uściskać tatę i Candace oraz Boba i Barbarę.

Ethan przyłączył się do mnie, kiedy szliśmy za nowożeńcami.

– Wszystko dobrze? – zapytał.

Pokiwałam głową.

– Widok mojego ojca zupełnie mnie rozkleił.

– Cieszę się, że mógł być obecny.

– Ja też. Dziękuję ci bardzo za to, że zeszłej nocy byłeś taki wspaniały w szpitalu.

Nie przeżyłabym tego bez ciebie.

– To bzdura, ale proszę bardzo.

– To nie jest bzdura!

– Ruby, jesteś najtwardszą kobietą, jaką znam. Poprawka, jesteś najtwardszą osobą, jaką znam, a kiedyś spotkałem Dwayne’a „The Rocka” Johnsona.

– Spadaj!

– Nie żartuję. Nigdy nie potrzebowałam niczyjej pomocy, a już na pewno nie mojej.

– To nieprawda – powiedziałam, zbyt cicho, żeby usłyszał. Wstydziłam się przyznać, że potrzebowałam go bardziej niż kogokolwiek innego, zarówno teraz, jak i wtedy, kiedy byliśmy razem. Ale podobnie jak wtedy, kiedy byłam zbyt dumna, by poprosić o pomoc, teraz też nie chciałam niszczyć wyobrażenia, które miał na mój temat. Całymi latami budowałam tę twierdząc: nie było innego wyjścia, jak tylko w niej mieszkać.

Doszliśmy do końca holu, Charlie i Piper wyszli na Battery Terrace, a za nami tłum gości zaczął dzielić się swoimi wrażeniami ze ślubu: jak wspaniale wyglądała panna młoda, jak cudownie, że jej ojciec mógł być obecny, jakże wytworny był King’s Hall i czy Charliemu i Bobowi nie było chłodno w kiltach. Ethan zatrzymał się w progu. Patrzyliśmy na siebie przez chwilę, a goście przepychali się obok nas, spragnieni szampana.

W uszach nadal słyszałam słowa Jess. Wiedziałam, że to była moja szansa, żeby coś powiedzieć, żeby uświadomić mu, jaka naprawdę jestem.

– Ethan...

Poczułam dotyk na talii i zobaczyłam Chrisa, który się do mnie uśmiechał.

– Przepraszam, kolego, czy mógłbym ją na chwilę porwać?

Ethan przez chwilę patrzył na niego oszołomiony, po czym skinął głową.

– Spróbuj – powiedział do mnie, a ja jeszcze popatrzyłam za nim, jak zniknął w tłumie.

– Miły gość, ale często wygląda na przybitego – powiedział Chris, delikatnie wyprowadzając mnie z pomieszczenia. – Jak sobie dajesz radę? To musiał być dla ciebie szok, kiedy zobaczyłaś ojca. – Opuszką palca starł smugę tuszu spod mojego oka. – Wyglądasz ślicznie, nawet kiedy jesteś roztrzęsiona – powiedział z uśmiechem.

– Chris, zrozum... – Nagle dostrzegłam Ethana pogrążonego w rozmowie z Madison i trzymającego dłoń na jej plecach. – Nieważne – mruknęłam.

– Proszę bardzo! – Chris porwał dwa kieliszki szampana z tacy kelnera i podał mi jeden. – Jakie są tradycje na amerykańskim weselu? Są przemowy? Czy w pewnym momencie ktoś wystrzelił z broni?

– Przemowy tak, broń nie – odparłam. – Przynajmniej mam taką nadzieję. To wesele zdecydowanie może się obyć bez wariata biegającego z pistoletem.

– A to szkoda! Liczyłem na salwy o świcie.

Zauważyłam, że Candace wprowadza mojego tatę na wózek do sali.

– Nie masz nic przeciwko, żebyśmy się z nimi przywitała?

– W Anglii niestety społeczeństwo jest nadal patriarchalne, ale podejrzewam, że gdybym zabronił ci rozmawiać z twoim ojcem, posunąłbym się o krok za daleko.

Podeszliśmy do nich, a oni zaśmiewali się jak para uczniów.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam – powiedziałam, pochylając się, żeby pocałować go w czoło.

Candace objęła mnie i przytuliła mocno. Poczułam jej perfumy – po tylu latach nadal była wierna Poison.

– Twój tata właśnie opowiadał mi historię o pielęgniarce – powiedziała. – Jest bardzo niegrzeczny!

Oboje zachichotali.

– Gdzie jest siostra Clara? – zapytał Chris. – Nie mów mi, Alec, że już jej zwiąłeś.

– Raczej siostra Ratched! – zawołał tata. – Ta kobieta cały czas mnie szturcha i czymś dźga!

– Tato, to jest jej praca – zauważyłam.

– No cóż, wolałbym, żeby przynajmniej najpierw ogrzała sobie ręce. W każdym razie siostra Clara poszła do łazienki odświeżyć się. Mam nadzieję, że tam zostanie.

– Alec! – skarciła go Candace, ale widziałam, że w duchu była zachwycona, widząc, że zachowywał się tak jak zazwyczaj. Jej twarz nie była już taka napięta i policzki jej się zaróżowiły. W ciągu całego tygodnia nie widziałam jej takiej szczęśliwej.

– Bądź grzeczny dla siostry Clary, bo będziemy musieli odesłać cię do szpitala – powiedział Chris. – A tym razem nie będziemy tak hojnie pakować w ciebie leków przeciwbólowych.

– W tym kraju są sami słuźbiści – zauważył tata. – To pewnie ten socjalizm.

– Jeśli o mnie chodzi, nadal w zbyt małym stopniu – odparł Chris. – Gdyby to zależało ode mnie, wszyscy bylibyśmy tak czerwoni jak włosy na mojej głowie.

– Powinienem był się domyślić, że jesteś jednym z nich – powiedział tata z uśmiechem. – Nie ufaj lekarzowi, który nie ma porządnego garnituru.

– To będzie koniec świata, kiedy przyjmę porady krawieckie od Amerykanina.

– Chłopcy, zachowujcie się – napomniała ich Candace. – Chris, mnie się twój garnitur bardzo podoba.

– Bardzo ci dziękuję, Candace – odparł, kłaniając się przed nią z rozmachem.

Tata ujął Chrisa za rękę.

– Słuchaj, jeszcze raz chciałbym ci podziękować za całą twoją pomoc. Przegapiłbym ślub córki, gdyby nie ty i Ethan.

Zamarłam.

– A co Ethan ma z tym wspólnego?

– Tak naprawdę to on to wszystko załatwił – powiedział Chris. – To on zatrudnił siostrę Clary i przekonał administrację szpitala, żeby wypisali twojego ojca na jeden dzień.

– Chyba żartujesz? – Serce tłukło mi się w piersi, choć krew w moich żyłach była

lodowata.

– Absolutnie nie – odparł Chris. – Ethan załatwił to wszystko przez noc, a rano przyjechał z Madison vanem pod szpital. Nie mam pojęcia, skąd w tak krótkim czasie wytrzasnął ambulans przystosowany do wózka inwalidzkiego.

– Jest bogaty, to wystarczy – wtrącił mój ojciec.

– I troskliwy – dodałam. – Naprawdę bardzo troskliwy. – Nagle poczułam ból po jego stracie, niemal tak mocno jak przed dziesięciu laty. Nie chodziło o jego pieniądze ani o jego sukces, ani nawet o to, jak zabójczo przystojnie wyglądał w garniturze. Był i nadal jest najbardziej przyzwoitym człowiekiem, jakiego poznałam. A ja za całą jego dobroć odpłacałam mu, zostawiając go i kłamiąc mu prosto w twarz. Nawet teraz.

Dość tego! Musiałam mu powiedzieć, co czuję. Nie miałam pojęcia, jak zareaguje ani czy czuje to samo, ale musiałam spróbować. Wiedziałam też, że muszę wyznać mu prawdę, nawet jeśli to miałyby wszystko popsuć. Podałam Chrisowi mój kieliszek.

– Przepraszam na chwilę, muszę pobiec...

– Nigdzie nie będziesz biegać – powiedział tata, chwytając moją sukienkę. – Zamierzam wygłosić mowę! – To powiedziawszy, wyjął łyżeczkę z kieszeni... Bóg jeden wie, skąd ją miał... i zaczął uderzać nią w kieliszek. – Przepraszam! Czy mogę prosić o uwagę?

Gwar przycichł i zebrani zgromadzili się wokół ojca.

– Chodźcie bliżej! – wołał. – Nie wstydzcie się!

Zapadła cisza.

– Przepraszam, że nie wstanę, ale pewnie i tak nie chcielibyście zobaczyć, co mam na sobie pod tym kocem. – Goście roześmiali się nerwowo.

– Coś mi mówi, że twój ojciec jest urodzonym mówcą – szepnął do mnie Chris.

– Mam nadzieję, że włożyłeś wygodne buty – odparłam.

– Panie i panowie, chcę was wszystkich powitać na tej cudownej uroczystości. Nigdy nie podejrzewałam, że przyjdzie mi oglądać ślub mojej małej córeczki z wózka inwalidzkiego, ale jestem bardzo szczęśliwy, że w ogóle mogę tu być. Ethan, bardzo dziękuję ci w imieniu całej mojej rodziny za to, że mi to umożliwiłeś.

Rozległy się brawa, a ja zauważyłam Ethana, który stał z tyłu i, zawstydzony, uniósł kieliszek, przyznając się niechętnie do swojego dobrego uczynku.

– Muszę przyznać, że kiedy moja nieżyjąca już żona była w ciąży z Piper – ojciec kontynuował – miałem nadzieję, że to będzie chłopiec. Mieliśmy już małą córeczkę, Ruby, i jak każdy mężczyzna pragnąłem syna, którego mógłbym nauczyć grać w bejsbol i z którym rozmawiałbym o samochodach, a później również o kobietach. Ale zamiast chłopca urodziła się Piper. I kiedy po raz pierwszy zobaczyłem jej wielkie niebieskie oczy, byłem stracony. Ach, mówię wam, płakałem jak dziecko, kiedy złapała mnie swoją małą rączką za mały palec... chociaż muszę przyznać, że był to pierwszy i ostatni raz, kiedy owinięła mi się wokół palca, bo od tamtej pory, przez kolejne dwadzieścia parę lat, to ona trzyma mnie owiniętego wokół swojego najmniejszego paluszka. Obserwowanie, jak rosła, obserwowanie, jak obie moje córki rosły i stawały się tymi pięknymi kobietami, którymi są dzisiaj, było największą radością mojego życia. Nie cieszyłem się tak bardzo nawet wtedy, kiedy raz udało mi się wygrać w golfa z Berniem Lipowitzem, pamiętasz



to, Bernie?

Kolejny wybuch gromkiego śmiechu publiczności.

– Założę się, że tak, ty skurczybyku. W każdym razie teraz wiem, że gdybym miał synów, nie potrafiłbym ich nauczyć niczego o kobietach. Dopiero dzięki przyjemności bycia ojcem córek zrozumiałem kobiety, choć podejrzewam, że moja ukochana żona, Candace, powiedziałyby, że jeszcze sporo muszę się w tym temacie dowiedzieć.

Candace uśmiechnęła się do niego wyrozumiale i pokręciła głową.

– Oto jesteśmy na ślubie mojej małej dziewczynki. Charlie, muszę ci się przyznać, że kiedy Piper po raz pierwszy powiedziała mi, że spotyka się z tobą, miałem mieszane uczucia. Znam cię już długo i nie wszystkie moje wspomnienia związane z tobą są złote. Wydaje mi się, że nadal jesteś mi winny jakieś pieniądze od czasu, kiedy upiłeś się w Klubie i zwymiotowałeś na maskę mojego bmw. Ale czasy się zmieniają... i Bóg wie, że przekonałem się o tym bardziej niż inni... a ludzie dojrzewają. Jestem bardzo szczęśliwy, powierzając moją młodszą córkę temu mężczyźnie, ponieważ wiem, że ma złote serce. Ma również sporo pieniędzy, co nigdy nie szkodzi!

Poczułam ścisk żołądka, ale prawie od razu się uśmiechnęłam. Tylko mój ojciec może powiedzieć coś tak rażącego na ślubie swojej córki i ujdzie mu to na sucho. Charlie i Piper również się śmiali – nawet Bob i Barbara przywołali uśmiech na twarz, chociaż dość sztuczny.

– Nie zamierzam zajmować wam więcej czasu, zresztą czeka na mnie pielęgniarka z gąbką... chyba chce mnie wykąpać... – Poruszył brwiami. – Chciałbym jeszcze skorzystać z okazji, aby podziękować kobiecie, która weszła do naszego domu, kiedy był pełen smutku i złości, i rozpałała w nim ognisko rodzinnej miłości. Candace, wiem, że przez kilka ostatnich lat nie było ci lekko... do diabła, wiem, że ze mną w ogóle nie jest lekko... ale chcę, byś wiedziała, że cię kocham i jestem ci niezmiernie wdzięczny. – Spojrzał na Piper i na mnie. – Wszyscy jesteśmy wdzięczni, że jesteś w naszym życiu. Obiecuję ci, że resztę mojego życia poświęcę, by uszczęśliwić cię tak bardzo, jak ty uszczęśliwiłaś mnie. Mam nadzieję, że Piper i Charlie jako żona i mąż będą równie szczęśliwi jak my.

Candace pochyliła się i pocałowała go, a wszyscy zebrani zaczęli bić brawo i wiwatować. Piper podeszła do nas i wszyscy objęliśmy się, jakbyśmy byli jedynymi ocalałymi rozbitkami. Zauważyłam kątem oka, że ojciec próbuje wstać, żeby lepiej móc to wszystko chłonać.

– Tato! – skarciłam go, a on z powrotem opadł na wózek, choć uśmiech nie schodził z jego twarzy.

– Dał czadu – powiedział Chris, kiedy ponownie stanęłam u jego boku. – Absolutnie genialna przemowa. Twój ojciec jest niezły.

– To prawda.

Reszta wystąpień poszła gładko. Charlie pogubił się lekko, opowiadając o tym, jak bardzo kocha Piper, a Ethan obowiązkowo uraczył nas żenującymi historiami z przeszłości Charliego, których było sporo. Miałam nadzieję, że nawiąże ze mną kontakt wzrokowy, mrugnie do mnie lub da mi jakiś znak, ale on zachowywał się bardzo profesjonalnie i zwracał się do gości jak wytrawny, acz cokolwiek znużony mówca.

W końcu mikrofon trafił do Piper, która wygłosiła długą, chaotyczną mowę o tym, jak bardzo kocha każdego z obecnych i że dzięki wszystkim zebrany czuje się dziś niczym prawdziwa księżniczka. Ani razu nie przewróciłam oczami, co najlepiej odzwierciedla mój stan emocjonalny.

Po zakończeniu wystąpień wszyscy przeszli do namiotu ślubnego, gdzie serwowano maleńkie kanapeczki, w płonnej nadziei, że pomogą choć trochę zniwelować działanie szampana przed obiadem. Cały czas starałam się dotrzeć do Ethana, ale ciągle ktoś mi przeszkadzał: najpierw pani od przekąsek spanikowała w kwestii wegetariańskich przystawek, później Piper poprosiła mnie, żebym pottrzymała tren jej sukni, kiedy pójdzie do łazienki (tak, naprawdę), a w międzyczasie Chris – świetny gość! – podawał mi szampana albo prawił komplementy.

Rozległ się dzwonek (a raczej gong) wzywający na obiad i goście zgromadzili się przed rozpiską (tematyka arystokratyczna), aby sprawdzić, kto gdzie siedzi. Ethan i ja siedzieliśmy przy głównym stoliku („Klejnoty koronne”, jakżeby inaczej?), ale na jego dwóch różnych końcach. Zerkiałam na niego pod koniec każdego dania (wędzony łosoś na rukoli, kurczak z warzywami na parze i kawałek bezglutenowego tortu ślubnego – twardego jak kamień), ale za każdym razem z kimś rozmawiał, a to z Charliem, a to z Barbarą, która śmiała się i czerwieniła. Próbowałam rozmawiać z Candace i tatą, ale za każdym razem traciłam wątek, próbując sobie wyobrazić przebieg rozmowy, na którą liczyłam. Żaden scenariusz nie był zbyt uspokajający.

Talerze zostały uprzątnięte, serwetki zebrane, a goście wstali, by zobaczyć pierwszy taniec młodej pary: Charlie obracał się powoli niczym niedźwiedź, a Piper śmigała z gracją pięknego motyla. W końcu zespół zagrał *The Twist* i parkiet się zappełnił. Zobaczyłam Ethana samotnie podpierającego kolumnę i z uśmiechem na twarzy patrzącego na taniec w wykonaniu Boba i Barbary. Wiedziałam, że nadeszła moja chwila.

## Kiedyś

Głowa Ethana uderzała o chłodną szybę, kiedy autobus jechał przez Holland Tunnel. Wytarł parę z okna i wyjrzał w nadziei, że po raz ostatni zobaczy Ruby, ale ona już przepadła w tłumie. Mężczyzna obok niego, ubrany szykownie w podkoszulek z napisem „Yankees Suck” i elastyczne spodnie dresowe, wyciągnął z plecaka wielką paczkę doritos i przystąpił do konsumpcji. Zapach owionął Ethana, który westchnął tylko i zamknął oczy. Pod powiekami czuł piasek. Autobus wyrzucił kłęb spalin, a kierowca, gadając przez telefon komórkowy, skręcił ostro na autostradę. Głowa Ethana ponownie uderzyła o szybę, tym razem mocniej, i między oczami poczuł tępy, pulsujący ból.

Weekend w Nowym Jorku dobiegł końca.

Gdyby Ethan był bohaterem musicalu z lat pięćdziesiątych, opisałby go jako wir. Ale nie był Gene'em Kellym, a Nowy Jork, który zobaczył, był prawdziwy, nie zaś z planu filmowego, więc powiedziała by raczej, że był to przykry i męczący test na wytrzymałość. W dodatku nie miał wątpliwości, że go oblał. Kiedy zobaczył Ruby na przystanku, jego serce poszybowało w górę – w tamtej chwili naprawdę był Gene'em Kellym i gdyby ktoś go poprosił, mógłby uderzyć obcasem o obcas w wyskoku. Jej widok zaparł mu dech w piersiach. Pragnął jedynie wsadzić ją do taksówki, zaprowadzić do łóżka, rozebrać i zanurzyć się w nią. Chciał odizolować ich od wszystkiego – od głośnego tłumy Nowego Jorku – i po prostu istnieć tylko we dwoje.

Ale podobnie jak wielu innych marzeń i tego nie udało się zrealizować.

Najpierw było to modne miejsce, do której Ruby zaciągnęła go w piątek wieczorem – tajska-kubańska restauracja, gdzie napoje serwowano w łupinach po owocach, a dania miały na celu jedynie podrażnić kubki smakowe. Posadzono ich przy stoliku koło łazienki, czyli przy najgorszym z możliwych, o czym Ethan wiedział z własnego doświadczenia – najwyraźniej znajomości Jess nie były aż tak skuteczne – i przez kolejne trzy godziny próbowali przekrzykiwać głośną latynoską muzykę i nie rozplakać się od ilości chili. Po tym doświadczeniu Ethan chciał wracać do domu, ale Ruby uparła się, żeby pojechali taksówką do baru w Williamsburgu. Z zewnątrz wyglądał jak sklep z kurczakami z różną, ale kiedy byli już w środku, Ruby podała tajne hasło dzieciakowi za barem, który w odpowiedzi wpuścił ich przez drzwi do zamrażarki, a potem krętymi schodami w dół do słabo oświetlonego piwnicznego baru, w którym roiło się od smutnych hipsterów.

– Ale super, prawda? – powiedziała Ruby, a Ethan w odpowiedzi pokiwał głową bez słowa i zamówił najmocniejszy drink w karcie.

Włożył barmanowi do ręki dwadzieścia dolarów, prosząc, żeby nie żałował alkoholu, i sądząc po problemach, jakich przysporzyło mu wspięcie się po schodach w drodze powrotnej, tak też się stało.

Kiedy w końcu wrócili do mieszkania, oboje byli zbyt pijani i wykończeni, więc tylko bez słowa padli sobie w ramiona i zasnęli.

Kiedy następnego dnia obudził ich deszcz bębniący w zakratowane okno dusznej sypialni Ruby, Ethan miał nadzieję, że będą mogli w końcu odprężyć się w swoim towarzystwie.

– Dzień dobry! – zawołała Ruby, wyskakując z łóżka i naciągając džinsy i sweter.

– Wypałeś się? Pobiegnę i przyniosę nam kawę. Chcesz kawę? Dopóki nie napijesz się nowojorskiej kawy, to tak jakbyś nie żył.

– Wracaj do łóżka! – zawołał, ale była już za drzwiami.

Usiadł ostrożnie na łóżku i sprawdził swoją głowę – bolała, ale do przeżycia. Włożył bokserki, poszedł do łazienki, gdzie połknął trzy tabletki przeciwbólowe, które znalazł w szafce z lekarstwami, i porządnie się odlał.

– Ruby, czy to ty? – W powrotnej drodze do sypialni usłyszał gardłowy kobiecy głos. – Mogłabyś przynieść mi szklankę wody? Ja tu, kurwa, umieram!

– Ruby poszła po kawę! – zawołał. – Wróci za chwilę! – Uświadomił sobie nagle, jakie dźwięki wydawał w łazience, i głęboko się zawstydził.

– Ethan? O rany! Zupełnie zapomniałam, że przyjeżdżasz. Poczekaj, idę do ciebie! Dobiegł go dźwięk, jakby pies próbował stanąć na śliskiej powierzchni, a następnie huk.

– W porządku?

– Tak! – Dziewczyna, zapewne Jess, pojawiła się w płataninie kończyn i tlenionych blond włosów sterczących z jej głowy pod dziwnym kątem i rzuciła się na niego. – Nie mogę uwierzyć, że w końcu cię poznam! Tyle się o tobie nasłuchiwałam!

– Mam nadzieję, że samych dobrych rzeczy – powiedział, delikatnie wydostając się z jej objęć. Czuł się dziwnie, przytulając przyjaciółkę Ruby, kiedy jej nie było w pobliżu, zwłaszcza że miała na sobie najwyraźniej jedynie za dużą koszulkę futbolową.

– Oczywiście – odparła rozpromieniona. Poszła do kuchni i nalała sobie kubek wody z kranu, który wypła za jednym zamachem, i nalała sobie kolejny. – W tej chwili jestem zupełnie rozwalona. – Sądząc po jej zaczerwienionych powiekach i poszerzonych źrenicach, nie kłamała.

– Co robiłaś w nocy? – zapytał.

– Właściwe pytanie brzmi: czego nie robiłam? – Rozłożyła się na sofie i mrugnęła do niego. – Poszliście wczoraj do Hothouse?

– Chodzi ci o tę restaurację? Tak, byliśmy tam. Dzięki, że załatwiłaś nam stolik. Ruby mówiła, że uruchomiłaś swoje znajomości.

Jess wzruszyła ramionami.

– Nic wielkiego. Zakochałeś się w tym miejscu?

Ethan nie był pewien, jak wyrazić swoją opinię.

– Było... interesująco, to na pewno.

– No, wiem, co masz na myśli. Tam jest strasznie kijowo, a jedzenie tak ostre, że przypominało mi o sobie przez kilka następnych dni. Zdziwiłam się, że Ruby chciała tam pójść. To do niej nie pasuje.

Ethan poczuł przyływ ulgi.

– Też mi się wydawało, że to dziwny wybór. – Podrapał się po szyi, zastanawiając się nad pytaniem, które miał zadać. – Hej, jak myślisz... chodzi mi o to, czy twoim zdaniem Ruby ma się dobrze?

– To znaczy?

– Po prostu, wiem, że dużo pracuje i wychodzi co noc z tobą na imprezy, co jest super, wiesz, nowe miasto i w ogóle, i ona powinna chodzić do tych barów i na przyjęcia,

ale...

Jess usiadła prosto, podwijając nogi pod siebie.

– Ruby nigdzie ze mną nie chodzi co noc – odparła. – Próbowałam ją gdzieś wyciągać...

Oboje zamarli, słysząc dźwięk przekręcanego klucza.

– Zrozum – pospiesznie wyszeptała Jess. – Nie martw się, dobrze? Pilnuję jej.

– Przed czym?

– Cześć wam! – Do pokoju wpadła Ruby, niosąc w jednej ręce kawy w tekturowym pojemniku, a w drugiej torbę jeszcze ciepłych bajgli. Miała mokre włosy i drżała lekko w swoim cienkim swetrze. Ethan poczuł głęboką chęć porwania jej i otulenia kocami, ale z jej oczu, w których czaił się lekko maniackalny błysk, wywnioskował, że wyrwałaby mu się niczym spłoszony kot. – Uwierzycie, że dostałam bajgle prosto z pieca? Ethan, poczekał, aż spróbujesz, nic na świecie nie przebije nowojorskiego bajgla! Dzień dobry, Jess! Co słyszeć? Dzięki, że załatwiłaś nam stolik w Hothouse. Było super, prawda? – Spojrzała na Ethana wyczekująco.

– No – odparł. – Było fajnie.

Rozpromieniona Ruby podała mu kawę i bajgla z serkiem śmietankowym.

– Będziesz zachwycony – powiedziała. – Nie trzeba wkładać go do tosterka, bo jest jeszcze ciepły.

Ethan nie miał serca mówić jej, że nie znosi serka śmietankowego.

– Dzięki – rzekł tylko, ostrożnie skubiąc brzeg pieczywa.

– To jakie macie plany na dziś? – zapytała Jess. Poczęstowała się kawą i zeskrobywała nadmiar serka ze swojego bajgla. – Zawsze nakładają za dużo – wyjaśniła, widząc, że Ethan się jej przygląda. Uśmiechnął się i szybko wziął z niej przykład.

– Myślałem, że posiedzimy w domu – powiedział, gryząc bajgiel z większym entuzjazmem. Ruby miała rację: był pyszny. – Może obejrzymy jakiś film albo coś w tym stylu.

– Mowy nie ma – odparowała Ruby, potrząsając głową. – Czekaj na nas cały Nowy Jork! Myślałam, że zaczniemy od Metropolitan Museum of Art, a później przejdziemy przez Central Park na Rockefeller Plaza.

– Dlaczego chcesz wybrać się do Midtown w sobotę? – zdziwiła się Jess. – Ethan ma rację, lepiej zostańcie w domu, zwłaszcza w taką pogodę. – Skinęła głową w kierunku okna, za którym widniał szary, deszczowy poranek.

Ethan rozumiał, że chciała im pomóc, ale Ruby zmrużyła tylko oczy i oboje zrozumieli, że nic jej nie odwiedzie od raz powziętych planów.

– Ethan przyjechał tylko na półtora dnia – powiedziała dobitnie. – Nie możemy siedzieć tutaj i oglądać filmów. To byłoby głupie.

– Naprawdę mi to nie przeszkadza...

– Nie! – ucięła Ruby. – Chcę ci pokazać miasto. – Spojrzała na zegar kuchenny. Była 11.13. – Nie wierzę, że jest tak późno! Musimy się pospieszyć! – Ugryzła bajgla, po czym odłożyła go na blat kuchenny i pobiegła do łazienki. – Wskoczę tylko pod prysznic – zawołała. – A potem musimy się zbierać!

Drzwi łazienki zatrzasnęły się za nią, a Jess i Ethan popatrzyli po sobie.

– Co to ma być? – zapytał Ethan.

Jess wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, co w nią dziś wstąpiło, ale mam nadzieję, że wzięłaś wygodne buty, bo zanosi się na to, że obejdiesz cały Manhattan. – Ponownie wyjrzała za okno. – Przyda ci się nieprzemakalna kurtka.

Nie pomyliła się. Siedząc w autobusie jadącym przez Connecticut, Ethan usiłował sobie przypomnieć, czy w ogóle udało się im przeprowadzić jakąś rozmowę od serca. Kilkakrotnie usiłował dowiedzieć się od niej, jak sobie radzi: na szczycie Empire State Building, kiedy stali wciśnięci między turystów fotografujących szary i przysłonięty mgłą Manhattan; w Chinatown w podłej restauracji serwującej dim sum, gdzie cały czas szturchali się łokciami, i następnego dnia, kiedy stali w niebotycznie długiej kolejce, aby zjeść późne śniadanie w SoHo. Ale za każdym razem Ruby wykręcała się i unikała odpowiedzi. Podsumowując, Ethan dowiedział się wielu zupełnie nieistotnych informacji o Nowym Jorku, ale nic na temat stanu ducha swojej dziewczyny.

W końcu się poddał. Ostatnie godziny jego wizyty spędzili we względnej ciszy, podczas gdy Ruby ciągnęła go po różnych sklepach w SoHo, pokazując mu rzeczy, które mógłby sobie kupić, gdyby było go na nie stać. Nie udało mu się powiedzieć jej nawet o tym, że chce wrócić do szkoły: pragnął podzielić się z nią tym osobiście, nie przez telefon, ale właściwy moment nie nadszedł, aż w końcu postanowił zachować to dla siebie, być może w ramach zemsty za to, że była taka skryta, a może dlatego, że w porównaniu ze splendorem Nowego Jorku myśl o college'u nie wydała mu się specjalnie doniosła.

A seks... to kolejna sprawa, której wyraźnie brakowało. Za każdym razem, kiedy próbował ją dotknąć, zrywała się jak przestraszona złota rybka. Kochali się tylko raz, w niedzielę nad ranem, kiedy oboje byli jeszcze zaspani i znaleźli się w półmroku w płataninie niezdatnych kończyn i ciepłych pocałunków. Później przyciągnął ją do siebie i wodził palcami po delikatnych krzywiznach jej ciała, ale odsunęła się i ciasno owinęła prześcieradłem.

Stała się nieśmiała i skrępowana w porównaniu z tym, jaka była jeszcze kilka miesięcy wcześniej, kiedy nago siadywała na jego łóżku, obierając pomarańcze i powoli zjadając je, cząstka po cząstce, podczas gdy sok płynął jej po podbródku, i zaśmiewała się, kiedy Ethan go zlizywał. Zauważył, że przybrała trochę na wadze, ale podobało mu się to: straciła dawną kanciastość i nabrała miękkości. Podobała mu się nowa wypukłość jej brzucha, ale broniła go przed nim i za każdym razem, kiedy chciał go dotknąć, obrywał po rękach, za co przepraszała potem uśmiechem.

– Autobus zatrzyma się na krótką przerwę – powiedział kierowca przez trzeszczący mikrofon. – Można coś zjeść. Odjazd za piętnaście minut. Nie czekam na spóźnialskich.

Ethan wyjrzał przez okno i zobaczył, że zatrzymali się na niewielkiej stacji benzynowej, na której znajdowała się też tania restauracja. Nie był głodny – kiedy w końcu doczekali się z Ruby śniadania, porcja była naprawdę wielka, poza tym Ethan nigdy nie był tak głodny, żeby jeść na stacjach – ale potrzebował rozprostować nogi, wysiadł więc z autobusu. Słyszał odgłosy samochodów z pobliskiej autostrady, a w powietrzu unosiły się spaliny i zapach smażonego na tłuszczu mięsa. Zapalił

papierosa i zaciągnął się głęboko. Starał się wyobrazić sobie, co robi teraz Ruby, ale zamiast tego widział sceny ze starego musicalu. Zdeptał niedopałek papierosa i wrócił do autobusu. Za dwie godziny będzie w domu – daleko od Ruby jak nigdy przedtem.

Teraz

Do: Bill Bailey

Data: 18 lipca 2015, 19:33

Od: Ethan Bailey

Temat: re: Na litość boską

Wiem, wiem, zrobię to! Po prostu czekam na właściwy moment.

Idź pomęczyć Jasmine albo pokrzyżać na telewizor, albo co tam chcesz.

E



Teraz

Ethan spojrzął mi w oczy, kiedy szłam do niego przez parkiet. Czas jakby się zatrzymał, tańczące pary poruszały się w zwolnionym tempie. I wtedy on się do mnie uśmiechnął, a świat znów zawirował, muzyka stała się zbyt głośna, tańce dzikie.

– Możemy pójść gdzieś porozmawiać? – zapytałam.

Skinął głową i wziął mnie za rękę.

W milczeniu wyszliśmy z namiotu i zeszliśmy na plażę. Było już ciemno i wszystko spowijały różne odcienie granatu, na niebie zaś błyszczały gwiazdy. Zdjęłam buty, żeby poczuć piasek pod palcami. Byłam niemal nadludzko spokojna. Cokolwiek miało się zdarzyć, w końcu byłam gotowa stawić temu czoła.

– Posłuchaj – zaczęłam. – Zamierzam powiedzieć ci teraz parę rzeczy i możesz z tym zrobić, co zechcesz. Jeśli nie będziesz chciał nic z tym zrobić, to też będzie w porządku. – Uśmiechnął się do mnie, mrużąc oczy, i nagle poczułam się bardzo zdenerwowana. – Dobra, już mówię. Po prostu to powiem. – Pokiwał zachęcająco głową. Wzięłam głęboki oddech, choć ten jedynie sprawił, że słowa uwięzły mi w gardle. – Chodzi o to... Chodzi mi o to...

– W porządku – powiedział, kładąc mi dłoń na ramieniu. – Cokolwiek powiesz, wszystko będzie w porządku.

I w tym momencie, jak głupia, uwierzyłam mu.

– Kocham cię – powiedziałam odrobinę za szybko. – To znaczy... wciąż cię kocham. Nigdy nie przestałam, chociaż zmusiłam się, by myśleć, że tak właśnie było.

– Ruby...

Patrzyłam na jego twarz w księżycowej poświacie. Mocno zarysowany podbródek, zakręcone rzęsy, miękka, lekko przekrzywiona linia jego ust. Jego oczy błyszczały w ciemności i wiedziałam, że być może on również mnie kocha, że te nikłe przebłyski, które zaobserwowałam w tym tygodniu, nie były przewidzeniem. Ale wiedziałam też, że nie mogę mu pozwolić nic powiedzieć, dopóki nie usłyszy całej prawdy. Nawet jeśli najbardziej na świecie pragnęłam po prostu rzucić mu się w ramiona i zostać w nich do końca życia.

– Nie, poczekaj. Muszę to z siebie wyrzucić do końca, bo inaczej nigdy tego nie zrobię – powiedziałam. – Kiedy zerwaliśmy, ja...

– To już przeszłość – przerwał mi, podchodząc bliżej.

– Nie, to nieprawda. Żyłam z tym... żyłam w tym każdego dnia przez ostatnie dziesięć lat i nie wytrzymam ani minuty dłużej, nie mówiąc ci o tym. Jeśli mamy to zrobić... cokolwiek to będzie... to tylko z czystym kontem.

– Dobrze – powiedział cicho. – Powiedz mi.

– Kiedy przeprowadziłam się do Nowego Jorku, byłam bardzo nieszczęśliwa. Byłam samotna, praca była okropna, a całe to miasto po prostu mnie przerażało. Zrobiłam taką wielką sprawę z przeprowadzki, opowiadałam, że Nowy Jork był moim duchowym domem, że tam było moje miejsce i podobne bzdury. A kiedy dotarło do mnie, że wcale tak nie jest, zaparłam się z całej siły, żeby tylko się do tego nie przyznać. Dlatego tak dziwnie się zachowywałam, kiedy przyjechałeś mnie odwiedzić... Chciałam ci

udowodnić, że zadomowiłam się już w nowym mieście.

– Pamiętam. Zaciągnęłaś nas do takiej strasznej speluny. Byłaś jak zaczarowana...

– No właśnie. Po twoim wyjeździe robiłam się coraz bardziej przygnębiona i taka... bezsilna, co było jeszcze gorsze. Jess bawiła się doskonale, imprezując i poznając nowych, wspaniałych ludzi, a ja albo pracowałam, albo siedziałam w domu, tęskniąc za tobą.

– Myślałam, że z miejsca zawojowałaś miasto – powiedział Ethan. – Za każdym razem, kiedy rozmawialiśmy, opowiadałaś mi o jakimś nowym barze. Dlaczego mi nie powiedziałaś? Przecież nie uważałbym cię za gorszą tylko dlatego, że było ci ciężko odnaleźć się w Nowym Jorku. Każdemu jest ciężko w Nowym Jorku.

Wzruszyłam ramionami.

– Nie wiem, dlaczego nie potrafiłam się do tego przed tobą przyznać. Wydawało mi się, że muszę sobie samej udowodnić, że dam radę, że nie muszę wzywać ciebie niczym rycerza w lśniącej zbroi na odsiecz.

– Zrobiłbym to, wiesz.

– Wiem. Ale nie mogłam ci na to pozwolić.

Znów przybliżył się do mnie i wziął mnie za rękę.

– Zawsze byłaś uparta. Strasznie mi przykro, że musiałaś przez to wszystko przejść.

Żałuję, że...

– Nie skończyłam. – Puściłam jego rękę i odwróciłam się. – Pewnej nocy, kiedy siedziałam w pracy, pewien gość, z którym pracowałam... Jefferson... zaprosił mnie na drinka. Był dyrektorem kreatywnym w naszej firmie, kimś naprawdę ważnym...

Ethan zmarszczył brwi.

– Tak, pamiętam, że o nim wspominałaś.

– No cóż, zaprosił mnie na drinka, a ja się zgodziłam. Nie wiem czemu... Może dlatego, że zawsze był dla mnie miły, choć było w nim też coś dziwnego, wiesz? Poszliśmy do baru i dużo wypiliśmy, zbyt dużo... najpierw martini, później burbon, tyle burbona, że do tej pory od samego zapachu robi mi się niedobrze. Za każdym razem, kiedy chciałam już wyjść, on zamawiał następną kolejkę i mówił, że chce się dowiedzieć o mnie więcej... I zanim się zorientowałam, szlochałam przy barze, później on wsadzał mnie do taksówki, a później zatrzymaliśmy się przed jego mieszkaniem...

– Nie – rzekł, a ja spojrzałam na niego i zobaczyłam jego niewzruszone spojrzenie.

– Nie kończ.

– Muszę – powiedziałam cicho. – Nie rozumiesz? Nie mam innego wyboru.

Mówiąc dalej, czułam się, jakbym unosiła się w powietrzu nad nami obojgiem, i słuchałam słów wychodzących z moich ust. Widziałam, jak Ethan zgiął się lekko, jakby ktoś go uderzył w brzuch, widziałam, jak podeszłam do niego i chciałam wziąć go za rękę, a on mnie odtrącił. Płakałam. Ethan zostawił mnie na plaży i wrócił na przyjęcie. Patrzyłam, jak on odchodził, a ja zostaję. Poczułam kłębiące się we mnie emocje, i pomyślałam: Należało mi się, ale nareszcie to powiedziałam. Teraz to może już naprawdę się skończyć.

## Kiedyś

Ruby znów była spóźniona. W ciągu kilku tygodni po wizycie Ethana zaczęła coraz więcej spać. Jeśli nie była w pracy, leżała w łóżku albo na kanapie z kołdrą podciągniętą pod samą brodę. Na początku Jess próbowała interweniować – pewnego niedzielnego popołudnia nawet wylała jej na twarz szklankę wody, aby obudzić ją z trwającego siedemnaście godzin snu – ale później nawet ona się poddała.

– Równie dobrze mogłabyś wyhodować brodę i zamieszkać w wydrążonym drzewie – powiedziała, wychodząc, a Ruby pomachała jej zdawkowo spod koca.

Na początku spała tylko wieczorami, kiedy powieki opadały jej jak zasłony, ale później zaczęła mieć też problemy z porannym wstawaniem. Kiedy dzwonił budzik, ani drgnęła. Jakby przygniatała ją tona zastygającego betonu. Włączała sobie drzemkę, raz, drugi. Cholera, po prostu wyłącz to. W ostatnim miesiącu dwukrotnie zadzwoniła do pracy i powiedziała, że jest chora, a Tara bądź Melanie rzucała jej bardzo nieprzyjemne spojrzenia, kiedy co rano skradała się obok, znów spóźniona.

Alkohol pewnie też robił swoje. Nawet sama przed sobą musiała przyznać, jedna butelka co wieczór już dawno jej nie wystarczała – czerwone wino nawoływało ją ciągle swoim ciepłym, słodkim, sennym syrenim głosem. Ale to było coś więcej. Zmęczenie nie było zasługą jedynie czerwonego wina ani efektem permanentnego kaca. To siedziało jej głęboko w kościach. Mogła przepowiadać dzięki temu pogodę, jakby to było artretyczne kolano. A ponieważ był grudzień, prawie w ogóle nie mijało.

Nie pograżyła się w pracy tylko dlatego, że strach pompował w nią adrenalinę. Prawdę powiedziawszy, im mniej była pewna swojego życia osobistego, tym bardziej kompetentna stawała się zawodowo. Bez problemu umawiała spotkania, zamawiała taksówki, kwiaty i prezenty rocznicowe, parzyła kawę i roznosiła ją, nie roniąc nawet kropli. Niedawno dyrektor właściwie zapamiętał jej imię i podziękował jej za odebranie jego rzeczy z pralni, co było w zasadzie osobistym wyróżnieniem. Nawet przy tym spojrzał jej w oczy... a przynajmniej na środek jej czoła, co było znacznie lepsze, niż gdyby popatrzył na jej biust czy tyłek. Był to wymierny sukces.

Poza tym sprawy w jej życiu nie postępowały. Miasto nadal ją przerażało. Jej świat nadal był mały, a nawet jeszcze się zmniejszał. Jess straciła do niej cierpliwość. A co do Ethana – ciężko było powiedzieć. Nadal rozmawiali co wieczór, skrupulatnie wymieniając informacje o tym, jak minął im dzień (ona często kłamała, ubarwiając swoje dokonania), i na koniec recytując te same zapewnienia o miłości i tęsknocie, które przychodziły im z taką łatwością na początku. Tyle że te rozmowy nie były już dla niej ukojeniem, nie utulały jej do snu. Zamiast tego leżała w łóżku z początkami bólu głowy i analizowała każde słowo. Jak on może mnie kochać, skoro mnie nie zna? A gdyby mnie znał, jak mógłby mnie kochać?

Te pytania tłukły się jej w głowie, kiedy wkładała torebkę pod biurko i włączała komputer. Zegar na ekranie pokazywał 9.47, podczas gdy pracownicy powinni być na swoich stanowiskach punktualnie o 9.30. Ruby wydawało się to niesprawiedliwe, że początek pracy był tak sztywno ustalony, podczas gdy koniec zdawał się bardziej elastyczny niż większość adeptów jogi. Westchnęła, zażyła tabletkę przeciwbólową

i otworzyła skrzynkę pocztową, przeglądając ją i wyrzucając niechciane wiadomości. Wśród ofert kupna, z których nigdy nie korzystała, i zaproszeń do barów, do których nigdy nie chodziła, znalazła wiadomość od ojca i Candace, zatytułowaną „Święta Bożego Narodzenia”. Jęknęła po cichu, zanim ją otworzyła.

Cześć Dziecinko,

zbliżają się Święta! Cieszysz się??? My cieszymy się bardzo!!!! Od zeszłego tygodnia mamy już choinkę, mimo że Twój tata powiedział, że to za wcześnie. Kupiłam sztuczną, całą srebrną, żeby nie gubiła igieł, więc powiedziałam mu, że możemy ją wyciągać, kiedy chcemy! Zastanawiam się nad ozdobami w kolorze intensywnego różu, jak myślisz??? Właśnie planuję świąteczny obiad (wiem, wiem – zdecydowanie za wcześnie – ale, jak już mówiłam, bardzo się cieszę i jestem podekscytowana). Myślisz, że Ethan chciałby przyłączyć się do nas ze swoim tatą? Wiem, że są tylko we dwóch, a ja robię zawsze za dużo jedzenia, więc jeśli tylko chcieliby przyjść, są mile widziani. Twój tata też tak powiedział.

Muszę już kończyć, całuję Cię xoxoxox Candace

PS. Co chciałabyś dostać od Mikołaja???

Xoxoxoxoxo

Ruby przez chwilę zastanawiała się, czy odpowiedzieć, ale w końcu usunęła i tę wiadomość. Dlaczego Candace zawraca jej głowę, skoro do świąt zostało jeszcze kilka tygodni? Chociaż był już początek grudnia, a przed Rockefeller Center stanęła już ogromna choinka (Ruby widziała w telewizji), nie czuła świątecznej atmosfery. Pomysł, żeby zaprosić Ethana i jego ojca na świąteczny obiad, wydawał jej się porównywalny z zaproszeniem dwójki kosmitów, którzy akurat mijają Ziemię. Będzie jej wystarczająco ciężko rozmawiać z Ethanem, kiedy przyjedzie na święta do domu, a co dopiero poruszać się po polu minowym, jakim bez wątpienia byłby łączony rodzinny obiad. Candace jak zawsze chciała dobrze, ale posunęła się o krok za daleko.

– Atlas, wyglądasz, jakbyś poczuła jakiś okropny zapach. – Ruby zobaczyła przed sobą uśmiechającego się do niej Jeffersona. Podniósł rękę i powąchał się pod pachą.

– To nie ja, prawda?

Roześmiała się nerwowo.

– Oczywiście, że nie! Nie czuję żadnego nieprzyjemnego zapachu, a już na pewno nie od ciebie

– Fiu! A to ulga. Właśnie spędziłem dwie godziny na śniadaniu z klientką, więc byłbym załamany, gdyby okazało się, że przez cały czas musiała wstrzymywać oddech.

Ruby poczuła ukłucie zazdrości na myśl o Jeffersonie jedzącym śniadanie z nieznaną jej, ale zapewne szykowną kobietą. Wiedziała, że to bezsensowne, ale nic nie mogła na to poradzić.

– Z jaką klientką? – zapytała neutralnym tonem.

– Z Tracy Hornbridger z Ises, no wiesz, od odzieży sportowej. O przepraszam, chciałem powiedzieć od „marki aktywnego lifestyle’u”. Jest straszna. Cały czas próbowała mnie przekonać, że powinniśmy przygotować całą kampanię od początku, ponieważ uważa, że ulotki zostały wydrukowane w niewłaściwym odcieniu fioletu. Ale

przynajmniej na Briar Street robią naprawdę dobre croissanty, więc nie było tak źle.

– Zapamiętam to sobie – powiedziała. – O Tracy Hornbridger i croissantach.

– Obie te sprawy są jednakowo istotne – podkreślił. – Chociaż nie, croissanty są zdecydowanie ważniejsze.

– Przyjęłam do wiadomości. Potrzebujesz czegoś ode mnie dzisiaj?

Uśmiechnął się do niej łaskawie.

– Nie, nic nie potrzebuję. Ale dzięki.

– Dobrze, daj znać, jakby coś się zmieniło! – Ruby poczuła, że się czerwieni, a serce podskoczyło jej do gardła. Mimo że upłynęły już cztery miesiące, nadal nie potrafiła rozmawiać z nim, nie ryzykując stanu przedzawałowego.

– Właściwie jest coś, w czym mogłabyś mi pomóc – powiedział, obracając się do niej z powrotem. – Muszę pójść na jedno spotkanie networkingowe dziś wieczorem, jakieś drinki z gośćmi od nowych mediów w SoHo.

– Na którą zamówić ci taksówkę? – zapytała z ręką na telefonie.

– Nie, nie, nie o to chodzi. Tara miała ze mną iść, ale okazało się, że nie może, więc pomyślałem, że może ty mogłabyś wybrać się ze mną dla towarzystwa. To nie powinno zająć zbyt dużo czasu, a te spotkania zawsze są takie nudne, zwłaszcza kiedy się idzie samemu. A przy okazji mogłabyś poznać trochę osób z branży. Inne wschodzące gwiazdy.

Twarz Ruby wręcz płonęła.

– Jasne! – powiedziała nazbyt entuzjastycznie. – To znaczy, jeśli chcesz, to z przyjemnością z tobą pójdę. – Spojrzała na swój stary sweter z H&M i spłowiałe czarne spodnie. – Chociaż nie jestem pewna, czy jestem odpowiednio ubrana...

– Wyglądasz świetnie. Poza tym mogę ci obiecać, że nikt nie będzie zwracał uwagi na twoje ubranie.

Ruby nie była pewna, jak miała to zrozumieć, więc tylko pokiwała głową.

– Jeśli tak uważasz – odparła.

– Świetnie. Złapiemy taksówkę koło dwudziestej, jeśli ci to pasuje?

– Doskonale.

Uśmiechnął się do niej, mrużąc oczy, i wrócił do swojego biura.

– Nie mogę się doczekać – zawołał jeszcze.

– Ja też – powiedziała, choć miała wątpliwości, czy tak faktycznie było.

Mijały godziny. Poranna odprawa. Burrito na lunch. Kilka wizyt w łazience, podczas których przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze, zastanawiając się, jak przetrwa spotkanie networkingowe. O szesnastej spłynęło mnóstwo maili do jej skrzynki i usiłowała się z nimi uporać przez kilka następnych godzin, aż w końcu za kwadrans dwudziesta ponownie wybrała się do łazienki, żeby nałożyć na usta kilka warstw zbyt jaskrawej szminki. Pamiętała niejasno słowa Jess, która mówiła, że szminka dodaje każdej kobiecie pewności siebie, miała więc nadzieję, że tak będzie i w jej przypadku.

Tuż po dwudziestej Jefferson otworzył drzwi taksówki i puścił Ruby przodem. Podczas jazdy siedziała zupełnie sztywno na tylnym siedzeniu obok niego. Była boleśnie świadoma każdego swojego szybszego oddechu, każdego odgłosu, który wydawało siedzenie ze sztucznej skóry, oraz tego, że za każdym razem, kiedy taksówkarz

gwałtownie skręcał w prawo, mimowolnie przysuwała się coraz bliżej Jeffersona. On tymczasem nie przestawał mówić, opowiadając jej o niedawnym upokorzeniu, jakiego Martin doświadczył ze strony pewnej drag queen i pary butów od Jimmy'ego Choo. Ruby słyszała swój śmiech, albo dźwięk do niego zbliżony, ale czuła, jakby się unosiła pod dachem taksówki i stamtąd ich obserwowała.

Samochód zatrzymał się z piskiem opon i Ruby zsunęła się z siedzenia, wyciągając przed siebie rękę, aby uniknąć zderzenia z odgradzającą ich od kierowcy szybą z pleksi.

– Stary, spokojnie – zareagował Jefferson, uderzając pięścią w przegrodę, lecz taksówkarz obrócił się i tylko wzruszył ramionami.

– Dziewięć pięćdziesiąt – powiedział, wskazując ręką na mały otwór w pleksi.

Jefferson wyjął dziesięć dolarów z portfela i wsunął je. Otworzył drzwi i wysiadł, podając Ruby rękę.

– Gotowa?

Wzięła go niepewnie za rękę, odnotowując, że była chłodna i sucha w przeciwieństwie do jej własnej. Razem stanęli przed nieoznakowanymi drzwiami, zza których dochodziły stłumione uderzenia basów.

– Jefferson! Czy to ty? Ty skurczybyku! – Obrócili się i zobaczyli dość przystojnego mężczyznę w zbyt połyskliwym garniturze, zmierzającego w ich stronę z wyciągniętą ręką.

– Scott! – powiedział Jefferson, ściskając wyciągniętą do niego dłoń. – Jakże się miewasz?

– Dobrze, dobrze. Koszę pieniądze. – Twarz mężczyzny była nienaturalnie napięta i Ruby przez chwilę zastanawiała się, czy coś przy niej poprawiał.

– Dobrze słyszeć – odparł Jefferson, choć bez przekonania.

– Doszły mnie słuchy, że pracujesz teraz w Diamond Age! O co w tym chodzi, stary?

– No cóż, sam wiesz...

Jeffersonowi zrobiło się niezręcznie, więc Ruby zebrała się na odwagę (a może faktycznie była to zasługa szminki) i postanowiła interweniować.

– Cześć – powiedziała, podając rękę Scottowi. – Jestem Ruby.

Mężczyzna o spiętej twarzy obejrzał ją od stóp do głów i wyszczerzył się w drapieżnym uśmiechu.

– No jasne – odparł. – Jestem Scott Tripper, do usług. – Skłonił się nisko i pocałował ją w rękę. Jego usta były zbyt miękkie i ciepłe i Ruby poczuła chęć wyrwania mu się. – Widzę, że nadal nie nauczyłeś się dmuchać na zimne – powiedział, poklepując Jeffersona po plecach. Obaj mężczyźni wpatrywali się w Ruby. – Wchodzicie do środka? – Skinął głową w stronę nieoznaczonych drzwi.

– Właśnie wychodzimy – powiedział Jefferson ku zdumieniu Ruby, ale jego twarz była spokojna i nieprzenikniona.

– Szkoda. To pewnie znaczy, że nie ma już żadnych rybek do schrupania przez rekina! Na razie! – mężczyzna pożegnał się i zniknął za drzwiami klubu, zostawiając za sobą zdumioną Ruby i Jeffersona.

– Co za cholerny kretyn – skwitował Jefferson, a następnie, zerkając na Ruby,

dodał: – Przepraszam.

– Nie ma za co. Wyglądał na kompletnego dupka.

– Scott wykupuje czas reklamowy. Pracowałem z nim kiedyś, zanim przeniosłem się do działu kreatywnego. – Nadal stali na środku chodnika, jak dwa nieruchome punkty w morzu mijających ich przechodniów. – Przepraszam, że przeze mnie nie weźmiesz udziału w pierwszym spotkaniu networkingowym, ale nic nie straciłaś, bo tam było więcej takich dupków.

– W takim razie nie ma potrzeby, żebyś przeproszała.

– Pozwól przynajmniej zaprosić się na drinka.

Uczucie ulgi, które spłynęło na Ruby, kiedy Jefferson powiedział, że nie będą wchodzić do baru, zniknęło bez śladu.

– No nie wiem... – odparła. – Jest czwartek, więc chyba powinnam wracać do domu.

– Daj spokój, jest jeszcze wcześnie! Jesteś młoda! Znam świetny bar kilka przecznic stąd.

Ruby owinęła się ciasniej płaszczem.

– Myślę, że mogłabym wstąpić na jednego – odrzekła, wkładając ręce do kieszeni.

Poprzedniej nocy padał śnieg i przy ulicach leżały jego poczerniałe pozostałości. Tanie i zdecydowanie niewodoodporne buty Ruby ślizgały się na błocie pośniegowym, więc kiedy szli, Jefferson podtrzymywał ją za ramię. Noc była bezksiężycowa, ale SoHo rozświetlały witryny sklepowe i wiszące nad ulicami lampy. Ich oddechy zamieniały się w obłoczki pary i wyglądały jak puste miejsca na tekst.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił, otwierając kolejne nieoznakowane drzwi. Przed nimi były wąskie schody prowadzące do wyłożonego parkietem foyer. Naprzeciwko wisiała czerwona aksamitna zasłona.

– Czy my idziemy do burdelu? – zapytała Ruby.

– Niezupełnie – odparł. – Myślę, że ci się spodoba.

Uchylił przed nią kotarę i Ruby przeszła na drugą stronę. Jej oczom ukazało się najpiękniejsze pomieszczenie, jakie kiedykolwiek widziała.

Ściany pomalowano na złoto, a podłogę wyłożono kafelkami o skomplikowanym wzorze, które połyskiwały w słabym świetle. Przy ścianie znajdował się bar z polerowanego mosiądzu, za którym stali zjawiskowo atrakcyjni barmani, całą uwagę poświęcający przygotowywanym drinkom. Na podłodze poustawiano małe drewniane stoliki, na których migotały świeczki, a siedzący przy nich piękni ludzie trzymali się za ręce i w tej intymnej atmosferze rozmawiali ściszymi głosami, które wszystkie razem brzmiały jak jedno westchnienie rozkoszy.

Ruby natychmiast poczuła się nie na miejscu.

– Świetnie tu, prawda? – zagadnął Jefferson, witając się skinieniem głowy z menedżerką (która była chyba sobowtórem Gwyneth Paltrow) i kierując się do wolnego stolika w rogu. – Tutaj będzie dobrze? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, wziął od Ruby płaszcz i odsunął dla niej krzesło. – Przychodzę tutaj dość często, więc trzymają ten stolik dla mnie.

– To... niesamowite – powiedziała Ruby. I naprawdę tak myślała. W tym

konkretnym momencie przepełniał ją podziw: dla tego miejsca, dla tych ludzi i dla tego mężczyzny, jej szefa, który właśnie przywoływał kelnera.

– Cześć, George. Jak się masz? To moja przyjaciółka, Ruby. Poprosimy martini z dżinem Old Raj i z cytryną.

– Oczywiście – powiedział kelner, mrugając porozumiewawczo. – To co zwykle.

– Lubisz dżin? – zapytał Jefferson, kiedy kelner odszedł do następnego stolika. Brzmiało to raczej jak stwierdzenie niż pytanie, więc Ruby tylko się uśmiechnęła. – Wspaniale. A nawet jeśli nie lubisz, to tutaj ci posmakuje. Najlepsze martini na Manhattanie.

– Świetnie – rzekła Ruby bez przekonania, zajmując się podwijaniem rękawów swetra i nerwowo rozglądając się wokół.

– Wszystko gra? – zapytał Jefferson, sięgając przez stół i lekko dotykając jej ręki. Odskoczyła, jakby użądliła ją osa.

– Tak! – powiedziała za głośno i para przy sąsiednim stole spojrzała na nią z ciekawością. – Przepraszam – odezwała się już nieco ciszej. – Tak, wszystko w porządku.

Kelner zjawił się z powrotem i postawił przed nimi dwa schłodzone kieliszki martini, oba pełne po same brzegi. Jefferson uniósł swój w geście toastu – nie roniąc ani kropli – i upił łyk.

– Idealne – powiedział i wskazał na jej kieliszek. – Musisz wypić, póki jest zmrożony.

Ruby podniosła kieliszek do ust i z nerwów wzięła spory łyk. Dżin był zimny, orzeźwiający i miał jałowcowy posmak. Przywodził jej na myśl zimy, które jako dziecko spędzała w Nowej Anglii, zjeżdżając na sankach. Poczła ciepłą falę zalewającą jej gardło i niezupełnie nieprzyjemne pieczenie w pustym żołądku. Spojrzała i zauważyła, że Jefferson przygląda jej się uważnie.

– To jest naprawdę dobre – powiedziała i na poparcie swoich słów znów uniosła kieliszek.

– Wspaniale. Miałem nadzieję, że ci posmakuje. Zawsze wydawałaś mi się kobietą o wytrawnym guście.

Ruby nie była przyzwyczajona, żeby słyszeć o sobie takie słowa z ust atrakcyjnego mężczyzny, który był (prawdopodobnie) dwukrotnie od niej starszy, uśmiechnęła się więc i upiła trzeci łyk. Alkohol zaczął działać: poczuła mrowienie w palcach i powoli traciła jasność myślenia. Ostrożnie odstawiła kieliszek i ponownie rozejrzała się po barze.

– Naprawdę jesteś tutaj tak często? – zapytała.

– Prawie co wieczór – odparł. – Lubię przychodzić tutaj po pracy, żeby trochę odparować. Mam mieszkanie przy Siódmej Alei i Sześćdziesiątej Ulicy, gdzie mogę przenocować, kiedy nie mam siły wracać do Westchester. Moja żona go nie cierpi, ale... – wzruszył ramionami, jakby fakt, że jego żona nie lubi niektórych jego zachowań, był nie do uniknięcia, niczym przeziębienie w zimie czy ugryzienie komara.

– Jesteś żonaty? – zapytała Ruby. Nagle jej ramiona się rozluźniły: przebywanie w słabo oświetlonym barze z żonatym szefem wydało jej się mniej groźne niż wieczór spędzony z szefem kawalerem. – Nie nosisz obrączki.



– Mam alergię na metal – powiedział. – Dostaję pokrzywki. Dość o moim nudnym życiu. Chcę dowiedzieć się więcej o Ruby Atlas. Jak ci się podoba życie w wielkim mieście?

Ku swojemu przerażeniu Ruby poczuła, że łzy napłynęły jej do oczu.

– Och, no wiesz... – zaczęła. – Jest w porządku. Praca jest świetna.

Jefferson opadł na oparcie krzesła i cicho gwizdnął.

– Jezu, musi być naprawdę źle, jeśli myślisz, że twoja praca jest świetna.

Potrząsnęła głową, ale nie była w stanie wydusić z siebie już ani słowa.

– Hej – powiedział, sięgając przez stolik i kładąc dłoń na jej ramieniu. – Możesz ze mną porozmawiać, wiesz.

– Gdzie jest łazienka? – zapytała, zrywając się na równe nogi. – W porządku! Poradzę sobie! – Wzięła swoją torebkę, która podobnie jak jej buty wyglądała jeszcze taniej na tle przepychu tego pomieszczenia, i pobiegła ku drzwiom, które wzięła za łazienkę, ale okazało się, że był to schowek.

– Łazienka jest tam – poinformowała ją jedna z pięknych kelnerek.

Ruby udało się zamknąć w środku, zanim ostatecznie zalała się łzami.

– Cholera, cholera – mówiła sama do siebie. – Cholera.

Usiadła na sedesie i wzięła kilka głębokich oddechów.

Łazienka była w całości wyłożona lustrami, niczym w lunaparku. Chociaż kiedy patrzyła, jak jej oczy ponownie napełniają się łzami, a nie było to szczególnie śmieszne, zastanawiała się, jakim trzeba być sadystą, żeby zaprojektować taką łazienkę. Nawet gdyby nie przechodziła przez kryzys emocjonalny, nigdy nie robiła w łazience czegoś, czego nie chciałyby oglądać, nawet wtedy, kiedy w college'u zaciągnęła skarbnika bractwa pod prysznic, by uprawiać z nim seks. Tego zwłaszcza nie chciałyby oglądać.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi, a po chwili kolejne, bardziej natarczywe. Spojrzała na siebie w lustrze. Nie mogła siedzieć tam w nieskończoność. Jefferson mógłby kogoś po nią przysłać, co byłoby jeszcze bardziej upokarzające. Wzięła głęboki oddech i wstała, przesuwając palcem pod rzęsami, aby zetrzeć smugi rozmazanego tuszu. Umyła ręce pod kranem i wytarła je w jeden z ręczniczków ułożonych w wiklinowym koszyczku przy umywalce (ręcznik był prawdziwy, z materiału, nie mogła uwierzyć w rozrzutność tego miejsca), a potem jeszcze wtarła w nie sporą ilość stojącego tuż obok drogiego kremu nawilżającego. Otworzyła drzwi, uśmiechnęła się wyniośle do czekającej przed nimi kobiety i wróciła do baru.

Jefferson siedział tam, gdzie go zostawiła, rozglądając się jak ktoś, kto podziwia swoje królestwo. Na stole stały dwa kolejne kieliszki martini.

– Pomyślałem, że możesz potrzebować jeszcze jednego drinka – powiedział, kiedy podeszła.

Usiadła i natychmiast się napiła. Czowała teraz w głowie przyjemną mgiełkę i całe zdenerwowanie, które paraliżowało ją przez ostatnie dziesięć minut, ulotniło się bez śladu.

– Dzięki – odrzekła, wskazując na kieliszki. – Chyba naprawdę tego było mi trzeba.

Roześmiał się i sam pociągnął łyk z kieliszka.

– Mądry człowiek powiedział mi kiedyś, że z martini jest jak z piersiami. Jedno to za mało, trzy to za dużo, ale dwa to w sam raz.

– Jeśli o mnie chodzi, to się zgadza – odparłam.

– Chociaż czasami zdarzają się okoliczności łagodzące... – Przywołał kelnera, który przechodził obok. – Poprosimy jeszcze dwa.

– Właściwie... – odezwała się Ruby w nagłym przyływie śmiałości. – Teraz napiłabym się burbona.

Jefferson uniósł brwi.

– Pijesz burbon, tak? Naprawdę jesteś pełna niespodzianek.

W tym momencie, rozgrzana dżinem i oczarowana tym wspaniałym miejscem, poczuła się wyrafinowana i może nawet trochę elegancka. Była kobietą, która potrafiła zaskoczyć takiego mężczyznę jak Jefferson. Posłała mu uśmiech, a on mrugnął do niej.

Potem przyszła pora na następną kolejkę, a potem jeszcze jedną. Pole widzenia Ruby znacznie się ograniczyło, uśmiechnięta twarz kelnera pojawiała się i znikwała, dłón Jeffersona przewędrowała pod stołem na jej kolano, a następnie Ruby zobaczyła obrazy ulicy migające za oknem taksówki. Odźwierny otworzył przed nimi drzwi, na łóżku były szare prześcieradła, jej sweter przerzucony przez krzesło, twarz Jeffersona nad nią.

Obudziła się na łóżku ubrana tylko w bieliznę. W pokoju, w którym najwyraźniej rzadko ktoś przebywał, było zimno i Ruby zadrżała, zakrywając się rękami. Jefferson spał obok niej. Teraz, w sztucznym świetle lampy, wyglądał na starszego, jego zmarszczki były głębsze, a skóra blada. Usiadła i rozejrzała się po pokoju. Ściany były pomalowane na gustowny jasnoniebieski odcień, a dywan pod jej bosymi stopami okazał się gruby i puszysty, kiedy tak szła po nim chwiejnym krokiem do łazienki. Zrobiło jej się niedobrze i zwymiotowała, tak cicho, jak tylko mogła, żeby go nie obudzić. Przyłożyła czoło do chłodnego białego porcelitu i zaczęły się jej przypominać sceny z poprzedniego wieczoru.

W końcu, kiedy zyskała pewność, że nie będzie już wymiotować, podniosła się z ziemi. Spojrzała na siebie w lustrze, studiując smugi z tuszu do rzęs i pozostałości po szmince na ustach. Wyglądała jak nawiedzona, niczym wiktoriański portret jej samej: wielkie podkrążone oczy i blada skóra. Ostrożnie zebrała swoje ubrania rozrzucone po pokoju – każde z nich było niczym dowód na miejscu zbrodni – i powoli się ubrała. Nadal była noc, ale już czuła efekty kaca. Sprawdziła godzinę na swoim telefonie: 4.34. Miała trzynaście nieodebranych połączeń: dziewięć od Ethana, cztery od Jess. Włożyła telefon z powrotem do torebki i wyszła z mieszkania, zdecydowanym gestem zamykając za sobą drzwi.

Nocne powietrze było zimne, a wiatr hulał po Siódmej Alei bezlitośnie. Kiedy szła na stację metra, ulica była zupełnie cicha. Pojechałaby taksówką, ale miała przy sobie tylko sześć dolarów, a poza tym nie była pewna, czy dogada się z taksówkarzem. Właściwie nie była pewna, czy kiedykolwiek będzie w stanie mówić. Czy nadal w klasztorach składa się śluby milczenia? Zastanawiała się. Czy ta ścieżka była dla niej otwarta?

Jechała do domu z półprzymkniętymi powiekami i głową opartą o szybę. Za oknem migały kolejne stacje metra: Trzydziesta Czwarta Ulica, Union Square, Canal Street. Wiedziała, że właśnie wszystko się zmieniło. Znajdzie nową pracę. Nigdy więcej nie przyjmie zaproszenia na drinka od starszego, żonatego mężczyzny. Ruszy w miasto z podniesioną głową i wywalczy sobie swoje miejsce. Nie będzie się więcej bać. Będzie

mądrzejsza, twardsza, silniejsza. Będzie dorosła.

Zakończy również związek z Ethanem. Wyśle mu list pożegnalny. Wiedziała, że nie będzie potrafiła z tym żyć, jeśli przyzna się przed nim do tego, co zrobiła, a on ją znienawidzi, ale wiedziała też, że nie będzie mogła żyć ze sobą, jeśli on jej wybaczy. Musiała się od niego odciąć bez żadnych wyjaśnień, żeby mogła iść dalej.

Zamknęła oczy i pozwoliła, by stukot pociągu ją ukołysał. Court Street, DeKalb Avenue, Atlantic Avenue. Będzie żyła sama ze sobą. To będzie swego rodzaju kara, ale może i zbawienie. Prospect Avenue. Otworzyła gwałtownie oczy, wysiadła z pociągu i zanurzyła się we wczesny nowojorski poranek.

Teraz

Następnego ranka znów obudziłam się za wcześnie – wygląda na to, że moje ciało podjęło suwerenną decyzję, by nie przystosowywać się do nowej strefy czasowej. Tym razem nie miałam kaca ani nie czułam się zmęczona. Byłam niemal zbyt rozbudzona, a serce tłukło mi się w piersi od momentu, gdy tylko otworzyłam oczy.

Wczorajsze wydarzenia wracały do mnie kawałek po kawałku, urywki wspomnień wydobywały się z zakamarków pamięci niczym podczas pokazu przezroczy, aż w końcu przypominałam sobie wszystko. Jak szła ta piosenka Adele? „Mieliśmy prawie wszystko”?

Usiadłam i wyjrzałam przez okno: niebo było szare, a w powietrzu unosiła się lekka mgiełka. Słońce zakryły chmury i oto w końcu miałam doświadczyć prawdziwej angielskiej pogody, którą obiecywały mi albumy i kiepskie romanse.

Naciągnęłam legginsy, włożyłam bluzę i wyjęłam cienką kurtkę przeciwdeszczową. Zasznurowałam buty i zbiegłam ze schodów. Nikt jeszcze nie wstał, nawet pani Willocks spała, i w domu panowała niesamowita cisza, jakby ktoś rzucił na niego zaklęcie. Otworzyłam drzwi i ruszyłam przez podjazd, obawiając się, że ktoś może mnie usłyszeć. Chciałam uciec niezauważona.

Zeszłej nocy, koniec końców, wróciłam na przyjęcie, otrzepawszy stopy z piasku i włożywszy je do eleganckich butów, które stały się niewygodne. Przywołałam uśmiech na twarz, piłam szampana, śmiałam się z żartów taty. Tańczyłam z Chrisem, odrzucałam głowę w śmiechu, kiedy mówił coś zabawnego, a na koniec uściskałam moją siostrę i powiedziałam jej, że była najpiękniejszą panną młodą, jaką kiedykolwiek widziałam. W pewnym momencie zobaczyłam Ethana, który zawzięcie pisał coś na swoim telefonie, ale już z nim nie rozmawiałam. Poszłam spać, nie zobaczywszy go więcej. Wiedziałam, że miał wrócić do domu wczesnym lotem, około ósmej, pomyślałam więc, że zniknę, byle tylko już go nie spotkać.

Przeszłam przez furtkę na pole, minęłam owce i wspięłam się na wzgórze. Mgła zgęstniała i cienki materiał mojej kurtki przylgnął do ciała. Po drugiej stronie pola mgła, która delikatnie falowała, podniosła się i zamieniła w deszcz, sprawiając, że wzgórza nabrały niebieskozielonego odcienia.

Trafiłam bez większego problemu. Siedzenie ławki było pokryte maleńkimi kropelkami, które starłam rękawem bluzy. Plakietka pokryła się wilgocią, więc ją również przetarłam.

Nie zdawałam sobie sprawy, że tam szłam, dopóki nie dotarłam na miejsce, ale byłam bardzo zadowolona. Pomimo moich zabiegów ławka nadal była mokra i moje legginsy szybko nasiąkły wodą. Przeszedł mnie dreszcz, objęłam się rękoma i spojrzałam na ciemnoszare morze ponad wzgórzami.

Wyciągnęłam telefon i wysłałam wiadomość: „Jakieś wieści?”.

Kropelki deszczu szybko pokryły ekran, więc włożyłam go z powrotem do kieszeni. Pomyślałam o Jess, gdzieś po drugiej stronie oceanu wypychającej na świat nowe życie, i uśmiechnęłam się.

Wiedziałam, że powinnam być zdenerwowana, i faktycznie byłam – tępy ból

w piersi sprawiał, że było mi trochę niedobrze – ale czułam też coś jeszcze. Coś na kształt ulgi lub podniecenia albo połączenia obu tych odczuć.

W dziwny, trochę masochistyczny sposób byłam zadowolona z tego, co się stało. Sprawilo mi to ból – oczywiście. Ale też mnie wyzwoliło. Zrozumiałam, że przez lata nosiłam w sobie poczucie winy niczym włosienicę, zdejmując ją tylko po to, by podziwiać powstałe blizny. Byłam dziewczyną, która skrzywdziła ukochanego chłopaka, a stając się kobietą, zabrałam ze sobą tę winę i dlatego nie pozwalałam nikomu się pokochać. Po jakimś czasie przestało mi chodzić o Ethana – to sobie chciałam udowodnić, że potrafię żyć bez miłości. Zdecydowałam, że zamiast otwierać się na możliwość, że zostanę zraniona (lub, co gorsza, że sama kogoś zranie), zamienię się w samotny, samowystarczalny, powleczony teflonem pocisk. Jesteś smutna? Przetrzymaj to. Czujesz się samotna, przerażona, coś cię przerasta? Przetrzymaj to. Nie było miejsca na współczucie. Nie po tym, co zrobiłam.

Jako nastolatka samotnie jeździłam po Beechfield, wtórując Joni Mitchell, myśląc, że kiedyś się stamtąd wydostanę i nigdy więcej się za siebie nie obejrzę. Miałam pojechać w ślad za mamą do Nowego Jorku. Miałam zrzucić swoją małomiasteczkową skórę, a wielkie miasto miało przyjąć mnie jak swoją.

Ale kiedy przeprowadziłam się do Nowego Jorku, zrozumiałam, że on wcale nie chciał przyjąć mnie w swoje ramiona, i musiałam się bardzo napracować, by wpuścić mnie do siebie choćby chyłkiem. Więc pracowałam, pracowałam, pracowałam, aż pewnego dnia rozejrzałam się wokół siebie i zrozumiałam, że to się dokonało. Poświęciłam dziesięć lat mojego życia, żeby coś sobie udowodnić, i w końcu mi się udało.

Ale zrozumiałam też coś innego: pojęłam, że nienawidzę swojego życia. Nie w całości – niektóre fragmenty były świetne – lecz żyłam w ten mój zautomatyzowany sposób zdecydowanie za długo, wydeptując koleiny między pracą, domem a siłownią. Zupełnie jakbym ciągle jadła to samo danie i nagle zorientowała się, że świat jest pełny innych smaków, które na mnie czekają. Makaron z sosem pomidorowym i parmezanem, świeżo upieczony bajgiel posmarowany serkiem śmietankowym, kawałek potrójnie czekoladowego ciasta z lukrem waniliowym, które Jess upiekła na drugie urodziny Noaha: wszystkie te smakołyki, których unikałam latami, potrząsając głową i prosząc o zrozumienie. Od tej pory miałam zamiar jeść ciasto. Wysypiać się w sobotę rano. Zapominać o praniu i odkurzaniu listew przyściennych – zamierzałam czytać książki, i to te, na które miałam ochotę, a nie te, które z jakichś dziwnych powodów powinnam, siedzieć w parku z kawą i croissantem i zasypiać na słońcu. Zamierzałam použíwać życia.

Postanowiłam, że rzucę moją pracę. Ta myśl pojawiła się we mnie już w pełni uformowana i niezachwiana. Będę podróżować, ale nie w sposób reklamowany jako „Ucieknij do Włoch i zapisz się na kurs robienia makaronu”. Pojadę na Florydę i spędzę trochę czasu z ojcem i Candace. Może odwiedzę Charliego i Piper w Beechfield, choć na krótko – zanim zdążymy się pozabijać. Zatrzymam się u Jess w New Jersey, żeby poznać się lepiej z Noahem i tą małą istotką, która była w drodze.

Może na koniec wrócę do Nowego Jorku, a może nie. Myśl o tym, że moje dni przestaną być walką, przyprawiła mnie o zawrót głowy. Zbyt długo zmuszałam się, by

pokochać to miasto. Myśl o tym, że nie było to miejsce dla mnie, była tak przerażająca, iż zmieniałam się w kogoś, kto tam pasował, ostrząc swoje łokcie każdego dnia przed wyjściem z domu. W końcu mogłam sobie pozwolić złagodnieć.

Mój telefon zawibrował. Dostałam wiadomość: „To dziewczynka. Eliza Jane. 3,8 kg. Bolało jak cholera, moja pochwa nigdy nie dojdzie do siebie, ale ona jest doskonała. Kocham Cię. Jxx”.

Zamknęłam oczy i wystawiłam twarz na deszcz – po raz pierwszy od bardzo dawna poczułam wdzięczność.

Kiedyś

Szanowny Panie Bailey,

w imieniu Komisji Rekrutacyjnej mam przyjemność poinformować Pana, że został Pan przyjęty do Massachusetts Institute of Design. Po dokonaniu oceny Pańskiego portfolio został Pan uznany za jednego z najbardziej utalentowanych i obiecujących kandydatów na studia przy bardzo wysokim poziomie wszystkich ubiegających się o przyjęcie.

Chcielibyśmy zaproponować Panu nietypowe rozwiązanie, polegające na tym, by rozpoczął Pan naukę natychmiast, nie czekając na nowy rok akademicki. Załączam wszystkie dokumenty, które należy w tym celu wypełnić.

Żywimy silne przekonanie, że jest Pan idealnym kandydatem na nasz kierunek i w naszym środowisku akademickim będzie Pan mógł rozwinąć skrzydła. Witamy Pana bardzo serdecznie w Massachusetts Institute of Design.

Składamy Panu gratulacje i czekamy na Pańską odpowiedź.

Z poważaniem,

B. Harris

Komisja Rekrutacyjna

Massachusetts Institute of Design

Później

To się wydarzyło, kiedy wracałam do Bugle Hall. Byłam zupełnie przemoczona, kurtka przeciwdeszczowa dawno przestała spełniać swoje zadanie, włosy spływały mi po twarzy, a użyty wczorajszego dnia lakier do włosów piekł mnie w oczy. Pochylona, wiązałam sznurówki – całe w błocie i splątane – kiedy usłyszałam czyjeś kroki. Spojrzałam do góry, kiedy już przede mną stał. Wyciągnął do mnie dłoń.

– Co ty tutaj robisz? – zapytałam. – Myślałam, że masz rano samolot. – Gdzieś w środku wydawało mi się, że występuję w komedii romantycznej, w której bohater decyduje się nie lecieć i wraca po ukochaną.

Ethan wzruszył ramionami i pomógł mi wstać.

– Jest opóźnienie – powiedział. – Przez mgłę.

Patrzyliśmy na siebie.

– Czy wszyscy już wstali? – zapytałam.

– Nie, kiedy wychodziłem, było zupełnie cicho. Jestem pewien, że wszyscy odsypiają kaca. O której poszłaś wczoraj? Nie widziałem cię.

– Około jedenastej. – Wykręciłam się bólem głowy i wyszłam po angielsku tylnym wyjściem. Przeszłam w ciemnościach dwa kilometry do Bugle Hall, dotykając palcami żywopłotów, żeby się nie zgubić. – A ty?

– Około pierwszej, tak sędzę. Wróciłem samochodem z Chrisem i Madison – powiedział.

Uniosłam brwi do góry.

– Chris wrócił do domu z Madison?

Ethan roześmiał się, widząc moją zdziwioną minę.

– Tak. Zakręcił nią parę razy na parkiecie, a chwilę później całowali się w kącie jak nastolatki.

– Myślałam, że ona była zainteresowana tylko tobą – powiedziałam.

– Nie, po prostu chciała ode mnie profesjonalnej porady – odparł, uśmiechając się krzywo. – Przez półtorej godziny objaśniałem jej obrazowanie trójwymiarowe.

– Aha. – Nie mogłam powstrzymać się od uśmiechu. Kiedy ja podejrzewałam, że wyznawali sobie miłość, oni dzielili się zawodową pasją.

Zapadło milczenie.

– Sprzedałem firmę – powiedział w końcu. – Umowa zostanie zawarta w ciągu kilku następnych tygodni.

– Och! – Byłam zaskoczona. – Co sprawiło, że się zdecydowałeś?

– Twój ojciec – odparł. – Kiedy zobaczyłem go w szpitalu, dotarło do mnie, jak mało czasu mamy, my wszyscy. Nie możemy go tracić na rzeczy, które nas nie uszczęśliwiają, prawda?

Przytaknęłam.

– Wiem dokładnie, co masz na myśli. I co będziesz teraz robił?

– To zależy.

– Od czego?

– Od ciebie. – Urwał, a mnie oddech uwiązał w gardle niczym ptak w potrzasku.



– Zrozum, nie zamierzam ci tego ułatwiać. Kiedy przeczytałem tamten list, który mi napisałaś, w moim sercu powstała gigantyczna wyrwa, którą latami usiłowałem załatać, a to, co mi wczoraj powiedziałaś, było emocjonalnym odpowiednikiem polania tej rany jodyną.

– Cholera – mruknęłam.

– Byłem cholernie wkurzony, kiedy odeszłaś, i wczoraj, gdy dowiedziałem się dlaczego, przez to, co zrobiłaś z tym dupkiem z pracy...

– Wiem – odparłam. – Prze...

– Nie skończyłem!

Uniosłam ręce.

– Przepraszam.

– Chodzi o to, że nigdy właściwie nie wybaczyłem ci tego, w jaki sposób mnie zostawiłaś. Wysłałaś jakiś zagadkowy list, a następnie zniknęłaś bez śladu. Wiesz, jak się czułem?

Milczałam. Podejrzewam, że wiem, jak się czuł, co nie znaczy, że było mi miło tego słuchać... nawet jeśli sobie na to zasłużyłam...

– Spędziłem lata, stając się osobą, która nigdy nie będzie już cierpieć w ten sposób. I odniosłem sukces. Stałem się bogaty. Zdobyłem wszystko, czego kiedykolwiek mogłem chcieć. I wiesz, co się stało? – Urwał i popatrzył na mnie.

Jego oddech zamieniał się w obłoczki pary, widziałam, jak jego klatka piersiowa szybko się porusza pod cienkim, mokrym podkoszulkiem. Pomyślałam, że pewnie mu zimno, i zrobiło mi się smutno.

– Zaliczyłeś dużo panienek?

– To też – przytaknął obojętnie. – Ale to nie przyniosło mi szczęścia. Nic mnie nie cieszyło: ani pieniądze, ani luksusowy apartament, ani nagrody, ani kobiety, absolutnie nic. Praca sprawiała, że na chwilę o tym zapomniałem, ale przez ostatnie kilka lat, kiedy głównie martwiłem się notowaniami giełdowymi, czułem się po prostu... pusty. Chodzi o to, że wszystkie te rzeczy pakowałem w moją dziurę w sercu, a poczułem, że coś może ją zapełnić, dopiero wtedy, kiedy zobaczyłem cię na lotnisku. Siedziałaś tam, zmęczona zmianą stref czasowych, zdenerwowana i, prawdę powiedziawszy, nie pachniałaś najlepiej, ale nagle poczułem, że nie jestem już tak cholernie pusty. Z początku próbowałem temu zaprzeczać, lecz nic z tego nie wyszło. Charlie zaczął mnie wypytywać, kiedy byliśmy na wycieczce w tym zamku, i musiałem naprędce wymyślić jakąś bzdurę, ponieważ nie byłem gotów przyznać się do tego nawet przed samym sobą. Jak powiedzieć światu, że jedyna osoba, którą możesz pokochać, to ta, która cię najbardziej skrzywdziła?

– Mogę cię tylko przeprosić – powiedziałam. – Bardzo, bardzo cię przepraszam.

Potrząsnął głową.

– Żadnych więcej przeprosin. Jak już mówiłem, nie ma czasu. Bo jest coś jeszcze: im więcej czasu z tobą spędzałem, tym bardziej uświadamiałem sobie, że nie jestem już na ciebie zły. Nawet po tym, co mi wczoraj wyznałaś... spędziłem całą noc, próbując się rozżłościć, usiłując cię znienawidzić. Ale nie mogłem.

Poczułam, jak kąciaki ust unoszą mi się w uśmiechu.

– Nie mogłeś?

– Nie – powiedział, podchodząc do mnie. – To, co wydarzyło się między nami, było w innym życiu. Przez dziesięć lat próbowałem o tobie zapomnieć, a ty znów stoisz tutaj przede mną. Byłbym głupi, gdybym pozwolił ci odejść. W pewien sposób cieszę się z tego, co zaszło między nami. To było straszne, ale w jakiś sposób mnie ukształtowało, wiesz?

– Wiem.

Uniósł dłoń do mojej twarzy, a moje serce zamarło.

– Sęk w tym, że tylko ty jesteś w stanie zapełnić tę dziurę, którą sama zrobiłaś w moim sercu. I nie chcę zmarnować ani sekundy więcej naszego wspólnego życia. Oczywiście jeśli tylko mnie chcesz – dodał, śmiejąc się nerwowo.

Jestem pewna, że płakałam, choć ciężko było się tego domyślić w deszczu. W każdym razie Ethan otarł mój policzek.

– Jesteś pewny? – zapytałam. – Nawet po tym wszystkim?

– Zwłaszcza po tym wszystkim – powiedział. – Powinienem był wtedy o ciebie walczyć. Wiedziałem, że byłaś nieszczęśliwa w Nowym Jorku, wiedziałem, że coś było nie tak. Powinienem był wsiąść w autobus, jak tylko dostałem ten list.

– Zrobiłam coś strasznego – odparłam. – Nie było warto o mnie walczyć.

Objął mnie w talii.

– Zawsze było warto o ciebie walczyć. Przyjmij to od osoby, która przez dziesięć lat usiłowała walczyć z tobą. Zdecydowanie łatwiej jest walczyć u twojego boku.

Pochylił się i pocałował mnie, a ja nie miałam już wątpliwości, że płaczę... Czułam słony smak w naszych ustach.

Wróciliśmy, trzymając się za ręce, zatrzymując się tylko po to, by się całować i śmiać, jak dzieciaki, którymi kiedyś byliśmy. Deszcz padał mocniej, nasze buty ślizgały się w błocie, ale nie zwracaliśmy na to uwagi. Był tylko on i ja, tak jak kiedyś. Tylko inaczej. Lepiej.

– To co teraz zrobimy? – zapytał, kiedy zbliżaliśmy się do Bugle Hall. – Mam teraz czasu pod dostatkiem. Mogę polecieć z tobą do Nowego Jorku albo...

– Właściwie to zaplanowałam już coś innego. Masz ochotę na małą przygodę?

Porwał mnie w ramiona i uniósł do góry.

– Bardziej, niż mogę to wyrazić.

Do: Bill Bailey

Data: 19 lipca 2015, 12:28

Od: Ethan Bailey

Temat: Dom

Tato,

masz jutro lot z Heathrow do Edynburga, kierowca przyjedzie po ciebie około 10:00. Spakuj torbę na kilka tygodni i weź paszport. (Może lepiej poproś o to Jasmine. Znając Ciebie, to pewnie ograniczysz się do paczki krakersów i bielizny na zmianę). Resztę rzeczy mogą nam przysłać później (kota też).

Wracamy do domu. Wszyscy. Sprzedałem firmę, a Ruby i ja... no cóż, sam się jutro przekonasz. Jest dobrze. Jestem szczęśliwy.

Pakuj się. Nie myśl o tym, po prostu to zrób. Nie ma czasu do stracenia – zbyt wiele już przepadło, również z winy Twojego durnego syna. Więc zbieraj się, bo ruszamy.

E